

JOHN UPDIKE

WDOWY Z EASTWICK

Przełożyła Katarzyna Karłowska

Tytuł oryginału *The Widows of Eastwick*



I wtedy duchy nie śmiały wyjść z kryjówek,

Noce są zdrowe, ustają złe wpływy

Planety, a wiedźma nie rzuci uroku:

Tak święty jest ten czas i pełen łaski.

Hamlet, akt 1, scena 1

William Szekspir, *Romeo i Julia/Hamlet/Makbet*

(przeł. S. Barańczak, Wydawnictwo Znak, Kraków 2008)

CZEŚĆ
PIERWSZA

SABAT PONOWNIE
ZWOŁANY

Tych z nas, którzy poznaliśmy na wylot ich plugawą i skandaliczną historię, ani trochę nie zdziwiło, gdy na podstawie pogłosek docierających z różnych miejsc, gdzie owe trzy wiedźmy osiedliły się po swej ucieczce ze stanu Rhode Island, i przede wszystkim z naszego urokliwego Eastwick, wyszło na jaw, iż mężowie, których przekłete kobiety sprokurowały sobie mocą swych mrocznych talentów, nie okazali się wcale niespożyci. Nikczemne metody dają słabe owoce. Szatan podrabia dzieło stworzenia, a jakże, ale jego tworum brak odpowiedniej jakości.

Alexandra, najstarsza wiekiem, najszersza ciałem i najbliższa charakterem przeciętnemu, szlachetnemu z ducha *Homo sapiens*, owdowiała jako pierwsza. I jak to się dzieje z wieloma żonami, które zniecka doznają uwolnienia w samotności, instynkt nakazywał jej zabrać się do podróżowania – jakby świat jako taki, mocą wiotkich kart pokładowych, nużących posiedzeń na lotniskach i nieznacznego, a jednak niezaprzeczalnego ryzyka lotu w okresie podwyżek cen paliwa, bankructw linii lotniczych, ataków terrorystów-samobójców i akumulacji zmęczenia materiału, mógł poczuć się obowiązany do dostarczenia podobnie płodnych zgryzot jak te, które towarzyszą posiadaniu partnera. Jim Farlander, mąż, którego Alexandra wyczarowała sobie z wydrążonej dyni, kowbojskiego kapelusza i garści ziemi z Zachodu zeszkrobanej spod tylnego zderzaka półciężarówki na tablicach rejestracyjnych Kolorado, wypatrzonej na początku lat siedemdziesiątych przy Oak Street, gdzie taki pojazd wyglądał niesamowicie nie na miejscu, okazał się, w miarę jak ich małżeństwo uspokajało się i krzepło, raczej trudny do wyrwania ze swojego warsztatu garncarskiego oraz mało uczęszczanego sklepiku z ceramiką przy jednej z bocznych uliczek w Taos w Nowym Meksyku.

Podróżowanie w wydaniu Jima równało się godzinie jazdy na południe, do Santa Fe, a jego wakacje polegały na spędzeniu dnia w jednym z rezerwatów indiańskich – Nawahów, Zuni, Apaczów, Acoma, albo w Isleta Pueblo – gdzie dyskretnie sprawdzał, co też rdzennie amerykańscy garncarze oferują w tamtejszych sklepikach pamiątkarskich, względnie nachodził zapyziałe oddziały Biura ds. Indian z nadzieją, że uda mu się kupić tanio autentyczny, stary dzban Indian Pueblo w czarno-biały, geometryczny wzór, ewentualnie słój Hohokamów, ze spiralno-labiryntowym, czerwono-pomarańczowym wzorem, bo za taki mógł potem wytargować niewielką fortunę od jakiegoś świeżo utworzonego muzeum w jednym z

kwitnących ośrodków turystycznych na Południowym Zachodzie. Jim lubił być tam, gdzie był u siebie, a Alexandra lubiła to w nim, bo ona jako jego żona stanowiła część tego miejsca, gdzie on był u siebie. Lubiała też jego szczupłe, gibkie ciało (płaski brzuch aż do dnia śmierci, mimo że przez całe życie nie wykonał ani jednego brzuszka), siodłany smrodek jego potu i woń gliny, która niczym sepiowa aura biła od jego silnych, mądrych dłoni. Poznali się na naturalnej płaszczyźnie, kiedy ona, rozwódka od jakiegoś czasu, zapisała się na kurs organizowany przez Rhode Island School of Design, w której on z kolei uczył niekiedy w zastępstwie. Czwórka pasierbów – Marcy, Ben, Linda, Eric – którymi go obarczyła, nie mogłaby się domagać bardziej spokojnego, bardziej kojąco mrukliwego substytutu ojca. Dzieci Alexandry – na poły odlatujące już z gniazda, zwłaszcza Marcy, skończona osiemnastolatka – żyły z nim w lepszej komitywie niż z własnym ojcem, Oswaldem Spoffordem, drobnym wytwórcą utensyliów kuchennych z Norwich w Connecticut. Biedny Ozzie zaangażował się tak gorliwie w Małą Ligę baseballu i wewnętrzne rozgrywki kręglowe w swojej firmie, że nikt, nawet własne dzieci, nie umiał traktować go poważnie.

Jima Farlandera ludzie traktowali poważnie, zwłaszcza kobiety i dzieci, w rewanżu za to, że tak statecznie milczał. Jego zimne, szare oczy lśniły jak lufa broni z podcieni kapelusza z szerokim rondem i czubkiem szerniałym w miejscu, gdzie stale szczypał go kciuk i palec wskazujący. Kiedy natomiast zasiadał za kołem garncarskim, obwiązywał głowę spłowiałą, niebieską bandaną, dzięki czemu jego długie włosy – siwe, ale wciąż jeszcze przetkane oryginalnymi, rozjaśnionymi od słońca kasztanowymi pasemkami, i wiązane w długą na osiem cali kitkę – nie miały styczności z mokrą gliną wirującą na napędzanym nogą kole. Upadek z konia, kiedy był nastolatkiem, pozostawił mu pamiątkę w postaci utykania, i koło, którego nie chciał zasilać prądem, utykało razem z nim, ale w trakcie jego wirowania męskie dłonie Jima wytaczały z grud gliny zgrabne naczynia o szczupłych taliach i wydętych tyłkach.

To w łóżku po raz pierwszy poczuła, że zbliża się jego śmierć. Zdarzało mu się wędnąć dokładnie w tym momencie, kiedy byłaby może szczytowała, gdyby on wytrwał; zamiast tego w spojeniach ścięgien jego ciała przygważdżającego jej ciało pojawiało się wyczuwalne zwiotczenie. Dopasowane ubiory Jima – spiczaste kowbojki waniliowej barwy, opinające tyłek dzinsy z ćwiekami na kieszeniach, nieodmiennie świeże kraciaste koszule zapinane w mankietach na podwójne guziki – cechowały się dotąd swoistą, wyzywającą finezją, tymczasem teraz taki dandys jak on nabrał zwyczaju noszenia tej samej koszuli przez dwa albo i trzy dni pod rząd. Na jego szczęście pojawiały się cienie od kielkujących spod skóry siwych kłaków, za sprawą nieuważnego golenia albo zaburzeń wzroku. Kiedy ze szpitala zaczęły przychodzić złowieszcze wyniki badań krwi, a cienie na zdjęciach rentgenowskich

stały się czytelne nawet dla jej niewykształconych oczu, powitał wieść ze stoicką apatią; Alexandra musiała stoczyć bój, żeby przebrać go z zaskorupiałego ubrania roboczego w coś przyzwoitego. Dołączyli do legionu podstarzałych małżeństw, które wypełniają szpitalne izby przyjęć, równie sparaliżowani ze zdenerwowania jak rodzice i dzieci przed występami na szkolnych akademiach. Czuła, że te inne małżeństwa bezmyślnie obmacują ich oczyma, starając się zgadnąć, które z nich dwojga jest to chore, to skazane, i nie chciała, by to było oczywiste. Chciała zaprezentować Jima tak, jak matka prezentuje dziecko, które po raz pierwszy idzie do szkoły: jako dzieło, za które to jej należy się uznanie. Mieszkali, przez te trzydzieści lat z okładem, od kiedy opuściła Eastwick, według własnych reguł, w Taos; tam wolne duchy Lawrence'ów i Mabel Dodge Luhan¹ nadal odciskały ochronne piętno na dogorywającym plemieniu ludzi o artystycznych aspiracjach, na tej zapijaczonej, przesądnej na newage'ową modłę, pseudoartystycznej bandzie, która wystawiała swe dzieła na wystawach sklepowych coraz bardziej błagalnie, coraz bardziej z myślą o skąpych, przyziemnych turystach w miejsce nadzianych, lokalnych kolekcjonerów sztuki Południowego Zachodu. Alexandra na jakiś czas wskrzesiła swoją manufakturę małych, ceramicznych „pączuszków” – przyjemnych w dotyku małych figurek kobiecych bez twarzy i stóp, z prymitywnie namalowanymi ubrankami, tak obklejającymi skórę, że wyglądały jak tatuaże – ale Jim, zazdrosny i dyktatorski, jak to bywa z prawdziwymi artystami, nie był szczególnie hojny z użyczeniem swego pieca. Tak czy owak, miniaturowe kobiety, z przedziałkiem łonowym śmiało wyźłobionym w glinie za pomocą wykałaczki albo pilnika do paznokci, należały do nieprzyjemnego, poprzedniego okresu jej życia, kiedy to uprawiała, do spółki z dwiema innymi rozwódkami z Rhode Island, niedopieczoną, małomiasteczkową odmianę czarów.

Choroba Jima wygnała ich oboje z bezpiecznego, pretensjonalnego Taos do szerszych kręgów społeczeństwa, do otchłani cierpienia, do ogromnego stada, które niczym spanikowane bizony pędziło w stronę śmiercionośnej przepaści. Narzucona jej socjalizacja – rozmowy z lekarzami, przeważnie stresująco młodymi, interakcje z pielęgniarkami, żeby litościwie raczyły się zająć hospitalizowanym pacjentem, zbyt męskim i przygnębionym, by samemu domagać się tej uwagi, wyrazy współczucia od osób w podobnej sytuacji, wdów i wdowców *in spe*, od których normalnie by się oganiała, ale nie teraz, nie na tych antyseptycznych korytarzach, w zjednoczeniu wspólnie wylewanych łez – przygotowała ją do

¹ Mowa o znanym powieściopisarzu brytyjskim D.H. Lawrensie i jego żonie Friedzie, którzy w roku 1922 przebywali w Taos, w tamtejszej kolonii literackiej założonej przez bogatą patronkę artystów Mabel Dodge Luhan (wszystkie przypisy tłumaczki).

podróżowania w towarzystwie obcych.

Nie potrafiła w to uwierzyć – że Jim odszedł tak zupełnie; jego poranna nieobecność stała się dla niej czymś równie wyrazistym jak pianie koguta, a wieczorne nieprzychodzenie odmową, która, czuła to, lada chwila po prostu musiała być unieważniona odgłosem szurania kowbojek kuśtykających przez hol wejściowy albo skrzypieniem, dwa pokoje dalej, koła garncarskiego. Trzy miesiące po jego śmierci zapisała się na dziesięciodniową wycieczkę po kanadyjskiej części Gór Skalistych. Jej dawne ja, zameżne i rozpieszczone, ja bohemiastej snobki dumnej ze swych niedbałych, męskich ciuchów i pustynnej prywatności, szydziłoby z atmosfery udawanego zżywania się, jaka towarzyszy zorganizowanym wycieczkom. A teraz wyobrażała sobie zawczasu codzienny obowiązek wstawania i obżerania się stołówkowymi śniadaniem w hotelach, po drodze do cudów, które miały się objawić danego dnia, i budzące opór, a jednak nieprzemienne drzemki w rozkołysanym autokarze, w lepkiej bliskości czyjegoś obcego ciała, zazwyczaj należącego do jakiejś innej chwackiej wdowy, cierpiącej na nadwagę i bezlitosną gadatliwość. A potem bezsenne noce, wypełnione dokuczliwymi dźwiękami i tajemniczymi czerwonymi światełkami, w królewskich łóżach skonstruowanych dla par. I do tego poduszki hotelowe, nieodmiennie za bardzo puchate, za mocno nabite, zbyt wysokie podpórki dla jej głowy, przez które będzie się budziła z zeszywniałym karkiem, zanadto zmęczona i ogłupiała, żeby czuć się wyspana. I w poduszce obok jej poduszki nie będzie wgłębienia. Dotrze do niej wreszcie, że już nigdy nie będzie jednym z pary.

A jednak była kobietą urodzoną w Kolorado i dlatego uznała, że to zabawny pomysł, podążyć śladem Gór Skalistych na północ, do innego kraju, gdzie dramatyczny krajobraz nie schlebia żarłocznej próżności Stanów Zjednoczonych. Poza tym odkryła, że Kanada naprawdę ma swoje mocne punkty: że lotniska nie dały się przekupić i nie zainstalowały telewizorów rzygających paplaniną, przed którą nie dawało się uciec, że znajomy północnoamerykański akcent tamtejszych głosów jest dodatkowo wzmocniony kilkoma pamiątkowymi szkockimi samogłoskami, że publiczna architektura ma w sobie szarą, imperialną ciężkość. Tu narodowa tożsamość została stworzona przez wrażliwego ducha przedsiębiorczości, który połączył prowincje niczym gigantyczne paciorki nanizane na linie kolei żelaznych, a nie przez jakieś ewangeliczne kazanie o Objawionym Przeznaczeniu – objawionym jedynie jego anglikańskim sprawcom – które cisnęło sklecone do kupy Stany Zjednoczone w stronę zachodu i potem na zewnątrz, przez wszystkie oceany, gdzie ich chłopcy bawiący się w żołnierzy tracili kończyny i umierali. Warto było uciec przed codziennymi doniesieniami o rozmiarach śmiertelnych żniw w Iraku.

Z drugiej strony w kanadyjskich restauracjach hotelowych wyraźnie królowało

przekonanie, że Frank Sinatra i Nat „King” Cole to najnowsze odkrycia w dziedzinie tła muzycznego, a ogromne statki wycieczkowe dokujące w Vancouverze odpływały w stronę koszmarnie zimnej Alaski. Kanada, ze swoją tundrą, polami lodowymi i milami lasów, które przyciskały się do czterdziestego dziewiątego równoleżnika, w samoobronie przysposobiła sobie Zieloność, starając się zrobić z niej zwierzątko domowe, eksploatując towarzyszącą jej nieodmiennie nostalgię i prawość za pomocą dolarów zabieranych turystom. Sprowadzić z powrotem Naturę – kto by miał coś przeciwko? Niemniej dla Alexandry w totemach i łośiach kryła się jakaś elementarna nuda. Wśród nich czuła się, jakby ktoś ją zamknął na stryszku pełnym wypchanych zwierzaków. Natura była jej sojusznikiem w uprawianiu czarów, a jednak nie ufała jej, jako pozbawionemu skrupułów mordercy, marnotrawnemu i ślepemu.

Po dniu spędzonym w Vancouverze i jeszcze jednym w zdecydowanie staroświeckiej Victorii, grupa – czterdziestu podróżników, w tym nikt młody i aż ośmiu Australijczyków – wsiadła do pociągu z wagonami sypialnymi i dała się powlec na północ, przez mrok. Obudzili się wśród gór oślepiających żółcią jesiennych osik. Zarezerwowano dla nich wagon widokowy i kiedy Alexandra wsiadła do niego niezdecydowanie, po ciężkim śniadaniu dostarczonym przez zataczających się kelnerów w wagonie restauracyjnym, powitały ją niezdecydowane uśmiechy już siedzących tam małżeństw. Zajęła jedno z ostatnich wolnych miejsc i poczuła się onieśmielona pustką u swego boku, jakby jakiś ogromny pryszcz zaburzył symetrię jej twarzy.

Nigdy jednak nie dałaby rady namówić Jima na taką przygodę. Nienawidził obcych krajów, nawet Wysp Dziewiczych, dokąd kilka razy na początku ich małżeństwa ją zabrał, bo go do tego przekonała, w ramach wrywania się z okowów długiej zimy w Taos i charakterystycznych dla sezonu narciarskiego korków przy drodze nr 522. Tak się złożyło, że na St. Thomas dotarli późnym popołudniem i uwięźli wynajętym garbusem w wieczornej godzinie szczytu, przy czym Jim po raz pierwszy w życiu próbował jechać niewłaściwą stroną drogi. I na domiar wszystkiego zostali osaczeni przez czarnoskórych kierowców, którzy czerpali rasistowską rozkosz z siedzenia im na ogonie i karcenia każdej oznaki motoryzacyjnej niepewności przeciągłymi, oburzonymi klaksonami. Mimo że w końcu znaleźli swój kurort, przy samym końcu źle oznakowanej drogi, Jim już pierwszego dnia doznał oparzenia słonecznego, wzgardliwie odrzuciwszy jej wielokrotną propozycję, że da mu krem z filtrem, a potem poważnie się pochorował od sałatki z jakichś muszli. I potem już zawsze, kiedy czuł się pokonany w licytacji oskarżeń, wypominał jej drobiazgowo tamten tydzień, który niemalże – dwadzieścia pięć lat przed tym, zanim naprawdę umarł – go zabił.

A teraz, w Kanadzie, w zasięgu wzroku nie było żadnej drogi ani samochodu, tylko

same tory i tunele w oddali, w miarę jak pociąg piał się przez góry obryzgane drżącymi, złotymi liśćmi.

– Ta góra to Robson! – tłumaczyła podnieconym głosem swojemu mężowi kobieta siedząca za plecami Alexandry.

– Przed nami góra Robson – powiadomiła Alexandrę życzliwa Australijka, siedząca po drugiej stronie przejścia, jakby Alexandra była nie tylko samotna, ale i głucha.

– Najwyższy szczyt w kanadyjskiej części Gór Skalistych – dopowiedział zza ramienia tamtej inny głos, nieaustralijski, mniej entuzjastyczny, z nalotem z amerykańskiego Południa, bo raptem wszyscy w krąg stali się troskliwi, jakby z przekonania, że jest wśród nich jakaś ofiara losu.

– Naprawdę? Już? – spytała Alexandra, wiedząc, że robi z siebie idiotkę, i zaraz się poprawiła: – No bo czy nie powinni jej zachować na później?

Nikt się nie roześmiał, może nie usłyszeli albo nie zrozumieli jej żarciku. Pociąg pokonywał właśnie długi zakręt, a połyskliwy czubek góry zniknął z zasięgu wzroku za łańcem osik; ten szczyt był dziwacznie regularny, jak piramidka w komplecie dziecięcych klocków, ale za to cały biały.

– Ile ona ma wysokości? – spytała głośno, zdecydowana zwalczyć swoje poczucie nieistnienia.

Znowu udało jej się trącić nutę wyciszania.

– Prawie cztery tysiące metrów – zlitował się wreszcie któryś z australijskich głosów.

Zawsze miała trudności z przeliczeniami z systemu metrycznego, a teraz, zapożyczwszy odrobinę ksenofobii od swego zmarłego męża, nawet nie próbowała.

Głos z lekkim południowym nalotem zorientował się i przetłumaczył:

– Prawie trzynaście tysięcy stóp, droga pani.

– Ja cię przepraszam! – wykrzyknęła Alexandra, którą własna głupkowatość zaczynała już lekko bawić. Odwróciła głowę, by spojrzeć na swego informatora. Był szczupły, podobnie jak Jim, i miał pociągłą twarz, z głębokimi bruzdami i wąsami, tak długimi, że aż mu obwisały. Strojem – spłowiałe, obcisłe džinsy i koszula w czerwoną kratę – też przypominał jej Jima. – Dziękuję, panu – odparła ciepłej, niż to sobie wcześniej surowo przykazała. Niewykluczone, że ten mężczyzna, z tą aurą dostojnego smutku, był wdowcem. No chyba że czekał, aż jakaś tam opieszala żona dołączy do niego w wagonie.

– Plan wycieczki nie obejmuje Robson – powiedziała Alexandrze do ucha siedząca za jej plecami żona, przeszywającym, z lekka zirytowanym głosem. – To inny park narodowy, nie Jasper.

– Niestety nie odrobiłam lekcji – przeprosiła wstecznie Alexandra, doświadczając przy tym przebłysku nienawiści, starej, niecierplivej, wiedźmowatej, morderczej nienawiści, z której myślała, że dawno temu wyrosła. Dlaczego ta kobieta, pospolita i jędzowata, sądząc po głosie, miała żywego męża, podczas gdy ona, Alexandra, nie miała i siedziała tu, wystawiona z wszystkich stron na życzliwe interwencje obcych ludzi?

– Ja też mam taki styl – zapewnił ją Australijczyk. – Uczyć się w biegu. To moja żona czyta książki z wyprzedzeniem.

– I załatwia bilety i paszporty, ty leniwy draniu – powiedziała żona, żartobliwym tonem wyćwiczonej skargi.

Pociąg, sunący bardziej gładko niż pociągi amerykańskie, po szynach Kanadyjskich Kolei Państwowych, spawanych i remontowanych przez rząd, nie przestawał nurkować do nieba. Nad drzewami znów pojawiła się góra Robson, ale teraz jej biel była naznaczona czarnymi bruzdami – płatami skał pokrytymi prążkami śniegu wpasowanymi w trójkątne fasety, jakby ktoś wyostrzył ten szczyt na podobieństwo krzemienego grotu. Twardy kobalt pocztówkowego nieba napierał na te wklęsłe kontury, aż wreszcie szczyt znowu się schował za grzywaczami z żółtych liści.

– Oni tu piszą – obwieściła głośno australijska żona, wymachując przewodnikiem – że po raz pierwszy zdobył go w 1913 roku jakiś Austriak, który nazywał się Kain. K-A-I-N. I jeszcze że kanadyjskim góralom się nie podobało, że cudzoziemcy jako pierwsi zdobywali szczyty ich gór. Oberwali po tych swoich zaczerwienionych nosach.

Alexandra westchnęła i przymknęła powieki, udzielając sobie pozwolenia, by nie słuchać tego dłużej. Pragnęła zdjąć z nich wszystkich brzemień przymusu zwracania na nią uwagi. W młodych latach prezentowała się majestatycznie i atrakcyjnie dzięki temu, że była taka duża, postawna i poniekąd rozłożysta, a do tego obdarzona burzą kasztanowych włosów, ale teraz, taka stara i samotna, po prostu rzucała się w oczy, przynosiła sobie wstyd. *Kain*, pomyślała. Pierwszy człowiek, który dopuścił się prawdziwie nikczemnego czynu, gorszego niż zjedzenie jabłka wiedzy. Ukatrupił własnego brata, Abla. Trzydzieści lat wcześniej Alexandra zamordowała inną czarownicę: ona, Sukie Rougemont i Jane Smart zabiły małą Jenny Gabriel, mimo że świadectwo zgonu obarczało winą przerzuty ze zrakowaciałych jajników. Klątwa tamtego zdarzenia była tu odtąd zawsze, we wnętrzu Alexandry, nawet wtedy, gdy nie przymykała oczu, po prostu nie przestawała jątrzyć. Za dnia równie mało istotna jak jakiś robak zagrzebany w ziemi, nocą rozrastała się w jej snach, grożąc, że pożre ją żywcem. A sny bez końca wrzucały ją z powrotem do tamtego zwariowanego czasu, kiedy Darryl Van Horne wziął sobie za żonę nie którąś z nich trzech, tylko młodszą kobietę,

jasnowłosą, o karnacji jak kość słoniowa i niewinnych oczach, barwy błękitnego lodu – piekielnie niewinnych, za bardzo, tak na nie patrzyły starsze czarownice. Gdyby Jenny była mniej niewinna, gdyby była równie zepsuta jak one, to zaakceptowałyby fakt, że je przechytrzyła, potraktowałyby to jako element gry z udziałem równych sobie, gry, w której szło o poślubienie mężczyzny ani trochę nieceniącego kobiet, jak się okazało, i nawet nie był bogaty, jak im to wcześniej wmówiono. Wyobraziły go sobie, wyczarowały ze swoich potrzeb.

W swoich snach Alexandra często szukała w jeżynowym gąszczu – na bagnistej, torfowej ziemi uginającej się zdradziecko pod jej zziębniętymi stopami – czegoś śmiertelnie niebezpiecznego, zarodka śmierci zawiniętego w folię aluminiową, którego znalezienie unieważniłoby śmierć Jenny. Nigdy go nie znalazła, choć śniło jej się czasami, że znajduje piłeczkę golfową na poły zbrązowiałą od chemikaliów natury albo maleńki szkielecik, szkielecik ludzkiego dziecka, zmarłego z głodu i zimna. Budziła się wtedy raptownie, wracając myślami do swoich dzieci, przypominając sobie, jak niedbale je traktowała, jak je zaniedbywała, mimo że cała czwórka wciąż żyła, żyła daleko od niej, w czterech różnych stanach, w otoczeniu własnych dzieci i labiedzenia średniego wieku. Znajdowały się poza zasięgiem pomocy albo krzywdy z jej strony, daleko od wszelkiej niedoskonałej opieki, jaką mogłaby im zapewnić. Własne grzechy nie pozwalały jej zasnąć. Kiedyś był obok Jim, ciepły, z długimi kończynami, jego zgrubiałe od tytoniu oddech chrypiał w mroku, zleżały, męski zapach nadawał kolorytu kwadratowej przestrzeni sypialni, z prostokątnymi roletami wyługowanymi przez światło księżyca. Jego swojska realność rzucała kotwicę jej zmysłom wynurzającym się z ciekłego, absurdałnego terroru snu, w którym poczucie winy waliło boleśnie w jej młodsze ja niczym woda wlewająca się do uszczelnionej kajuty na statku, w którym wszystkie okoliczności przynależne do tamtego czasu mieszały się, a jednak nie dawały się pomylić z niczym innym, w którym opętańczo pragnęła unieważnić to, czego się wyparła, w którym jej dusza po nieskończoność pławiła się w poczuciu winy niczym gapiowaty płód w formaldehydzie.

Kiedy jej źrenice wciąż jeszcze się rozszerzały, żeby ogarnąć plamy światła w pokoju, docierało do niej, że tamte okoliczności dawno temu gdzieś się rozproszyły. Jenny Gabriel nie żyła – stała się malutkim szkielecikiem, takim jak ten ze snu – a mężczyzna pochrapujący łagodnie obok niej był jej mężczyzną, jej mężem, który kochał ją na jakiś abstrakcyjny sposób, tymi resztkami miłości, jakie mu pozostawały, gdy wstawał od swych bezcennych garnków i mis, od ich wdzięcznych szyj i uległych talii. Żaden mężczyzna nie potrafi kochać tak jak kobieta, brak mu odpowiednich organów wewnętrznych. Po ewakuacji z Eastwick

postanowiła, że będzie dobrą żoną, lepszą, niż była dla nieszczęsnego Ozziego. Kiedy Jim, w tamtych pierwszych latach ich małżeństwa, jeszcze do niego nieujężdżony, wracał z Eagle Nest albo Tres Piedras, zionąc w krąg wonią alkoholu i reagując butą na jej pytania, czym zdradzał, że miał schadzkę z inną kobietą, tłamsiła swoje uczucia, bo doświadczyła już wcześniej tego, czym potrafi być trująca, zaborcza zazdrość. I z czasem jego wieczory z dala od niej stawały się coraz rzadsze; wiedział, że zdobyła się na wysiłek wybaczenia, trudny dla niej, i w zamian darzył ją wstrzemięźliwym wprawdzie, ale coraz to większym szacunkiem i zachowywał się bardziej ulegle.

Wciąż jeszcze miała sny o Eastwick, ale po przebudzeniu z nich nie znajdowała obok długiego, skórzastego ciała Jima, a rzeczywistość okazywała się pokojem hotelowym, w którym jakaś stara kobieta rozwiesiła do wyschnięcia staromodną bieliznę w rozmiarze XL. Z różnych zakamarków łypały na nią czerwone światełka jak ślepia małego smoka, ale nie miała pojęcia, po co one tam są. Domyślała się, że to pewnie zabezpieczenie przeciwpożarowe. Albo wyczerpująca się bateria. Albo światełko ostrzegające o jakiejś awarii. Czuliła się bezkształtna w swojej koszuli nocnej, w lustrze wyglądała jak blada chmura. I jeszcze ta woń bijąca od ciała, woń niby gotującego się kalafiora albo spodniej strony ceraty, którą zapamiętała z czasów, kiedy stawała blisko swojej babki, ze swoim wrażliwym, dziecięcym nosem. *Oberwali po tych swoich zaczerwienionych nosach*, powiedziała tamta australijska małpa.

W miarę jak ich wycieczka posuwała się autokarem na południe, z Jasper do Calgary, zaliczając po drodze całą serię ogromnych, starych hoteli uzdrowiskowych wzniesionych wspólnym wysiłkiem kanadyjskiej ambicji i sumiennych szkockich rzemieślników, Alexandra nie spuszczała oka ze szczupłego, wąsatego mężczyzny mówiącego z południowym akcentem. Byli jedynymi singlami w całej grupie, dlatego chcąc nie chcąc, maszerowali ramię w ramię ku malowniczym widokom i ogłuszającym gardzielom albo lądowali przy jednym stoliku podczas niektórych posiłków, choć zawsze w towarzystwie innych ludzi. Na przykład z małżeństwem niskich Azjatów, on Tajwańczyk, ona Malajka, chętnie uczestniczących w rozmowie, ale trudnych do zrozumienia – z nimi siedziało się łatwiej niż z Amerykanami, którzy wyczuwali coś okultystycznego i odstręczającego w Alexandre i których kołtuński, przyziemny sposób myślenia i nachalne kolokwializmy, jak słusznie podejrzewali, wzbudzały jej snobistyczny niesmak, i łatwiej też niż z ośmiorgiem Australijczyków, przystojnych, zamożnych i nadętych od tego zadowolenia, że uciekli na drugi koniec świata, nieważne, że tylko na kilka tygodni. Australijczycy, po przejeździe i przepiciu sobie drogi przez Góry

Skaliste, zamierzali pożreć Teksas, jego steki i rodeo, a potem Nową Anglię, z jej homarami i feerią jesiennych barw.

– Ale wtedy jesień już będzie dobiegała końca – zwróciła uwagę Alexandra jednej z par, facetowi i jego cizi, zróżnicowanych płciowo aspektów tej samej nieokrzęsanej australijskości.

– No przecież tu czy tam zostaną jakieś liście – odparł radośnie samiec. – Będziemy ekstrapolowali.

– Nasz przewodnik – dodała żona – twierdzi, że sezon trwa do połowy listopada. Koniecznie chcemy zobaczyć tamtejsze malownicze, małomiasteczkowe błonia z białymi, purytańskimi kościółkami.

– Wiele z nich spłonęło przez te wszystkie lata – powiedziała im Alexandra, z porywcznością, która zaskoczyła nawet ją samą – i zostały zastąpione przez ohydne bąble ze szkła i stali kupione na przecenie albo zwykłe chałupy z prefabrykatów. Albo w ogóle ich nie odbudowano. Nowa Anglia nie jest aż taka religijna jak reszta kraju.

Oboje, ze szklistymi twarzami, wyraźnie próbowali sobie wyobrazić czekające ich rozczarowania, a kiedy już odwracali się do niej plecami, skruszona Alexandra zapewniła ich:

– Będziecie się cudownie bawili. Koniecznie spróbujcie smażonych małży.

Dwoje Azjatów też wywarło na niej wrażenie swoimi apetytami. Niby tacy mali i szczupli, a tymczasem z bufetu śniadaniowego nabierali na talerze stopy kiełbasek, naleśników i orientalnych smakołyków nieokreślonych z nazwy (Kanada zaopatrywała się w Azji, swojego najbliższego sąsiada zza Pacyfiku), a ich roześmiane usta stale lśniły od spożytej oliwy. Zużywali jedną rolkę filmu za drugą i nigdy nie rezygnowali z nadprogramowej wyprawy w góry ani zorganizowanej okazji zrobienia zakupów. W Jasper Alexandra wybrała się dzielnie na samotniczą przechadzkę dookoła małego jeziora, nad którym stał ich hotel; w pewnym momencie skręciła na ścieżkę, która zaprowadziła ją na pole golfowe, wypielęgnowane, a jednak bez jednego gracza. Widok był niesamowity, ale zaraz potem zobaczyła azjatycką parę, dwie maleńkie sylwetki w zwężającej się zielonej dali; szli radośnie w jej stronę, wykrzykując tajemnicze słowo, które brzmiało jak „Skupieni! Skupieni!”

– Popelniliśmy sam błąd – wyjaśniła Małajka, kiedy podeszli blisko. – Bardzo podstępny zakręt tutaj. Spotkaliśmy pracownika. Powiedział, nie bardzo upsiejmie, że to prywatne pole golfowe. Kazał iść do bitej drogi, żeby obejść jezioro.

– Ty też skupiona! – podsumował to małż, szczerząc się triumfalnie.

Alexandra poczuła, że z niewiadomych powodów się czerwieni, że idiotycznie

zdrętwiała od sterczenia jak góra nad tymi przedsiębiorczymi, nieustraszonymi ludźmi. Cała ich trójka wspólnie przespacerowała się po wyludnionym torze, obok polaci trawy wciąż bladej od porannej rosy i głębokich, piaszczystych dołków, gdzie nie zauważyli ani jednego śladu stóp, i wreszcie obok świeżo przystrzyżonego obszaru tee, z markierami zrobionymi z wygładzonych przez wodę kamieni zabranych z brzegu jeziora i pomalowanych różnymi kolorami dla oznakowania różnych poziomów umiejętności graczy. Wygnani z tego sztucznego rajy wrócili do nieoznakowanej bitej drogi; Alexandra skręciła w prawo, a małżonkowie pospieszyli w lewo, pragnąc wrócić do hotelu na czas, by zdążyć wsiąść do autobusu, który miał ich zawieźć do jakiegoś sławnego widoku wiele mil dalej. Znowu samotna zamyśliła się nad apetytem na życie i zastanowiła, czy jej relatywny brak tegoż apetytu oraz fale mdłości, które nawiedzały ją co jakiś czas, ni z gruszki, ni z pietruszki, to aby nie objawy jakiejś choroby. Całe życie panicznie bała się raka i ofiarowała swoim komórkom więcej niż siedemdziesiąt lat, podczas których mogły rozbełtać swój kod i rozsiać za pośrednictwem jej żył obłąkańczą pasję rozmnażania się.

Droga przeobraziła się w leśną ścieżkę – jodły, daglezie, brzozy papierowe, drżące osiki, piana niedocieczonego poszycia i, w plamie słońca, gęsta kępa sosen, jednych prostych i smukłych, innych przyduszonych własnym cieniem, poprzewracanych do jeziora, zaśmiecających skraj, gdzie drobne fale zarzucały sieci odbitych promieni słonecznych na płytkie dno wysypane otoczkami. Mijały ją zdążające z naprzeciwka, przeciwnie do ruchu wskazówek zegara, młode amatorki joggingu, zadyszane i pulchne, wśród których zaplątało się małżeństwo starszych od niej sękatych mieszkańców Quebecu, którzy należeli do jej grupy wycieczkowej. Zdarzały się jednak odcinki, kiedy była całkiem sama. Jeśli spotkacie grizzly, doradziła kobieta będąca ich pilotem, to macie stać w całkowitym bezruchu; jeśli to niedźwiedź brunatny – mniejszy, bez garbu – to wtedy walczyć, ile wam starczy sił. Alexandra nadstawiała ucha w poszukiwaniu dzikich zwierząt, ale nie słyszała nic, nawet ptaka. Za to jezioro srebrzyło się przyjaźnie, odbijając w swych wodach rozedrgane osikowe złoto jak w lekko wypaczonym zwierciadle. Za drzewami rosnącymi na przeciwległym brzegu Góry Skaliste ukazywały się w swej nagości; miały przyjemnie gołębioszarą barwę – taka gigantyczna, geologiczna próbka kanadyjskiej prostoty. Te góry były zbudowane z wapienia, utworzyły je niedające się przeliczyć maleńkie podwodne stworzonka ubrane w zbroje z delikatnych muszli. Heidi, ich pilot, gadatliwa była stewardesa, wytłumaczyła, że półtora miliarda lat wcześniej ta część globu znajdowała się tuż przy zachodnim wybrzeżu obecnej Ameryki Północnej, na spadzistym skraju płyty kontynentalnej. Osady naniesione przez zanikłe mezozoiczne rzeki gromadziły się i ulegały kompresji, a zmiana kierunku dryfu

plyty, przed mniej więcej dwustu milionami lat, zaowocowała skruszeniem i nałożeniem się ogromnych płacht zestalonych osadów, wypiętrzeniem ich i poskładaniem w postaci poprzekrzywianych warstw i ostrych szczytów pozornie znieruchomiałych gór, które ją tutaj otaczały, wygładzonych i zestruganych przez wiatry i szorstkie lodowce. Wszystko to – kontynentalny dryf zmieniający kierunek, nakładanie się skał niczym makaronowe wstążki w rozgrzanych piekarnikach ziemi – rzucało takie samo wyzwanie wierze jak najbardziej fantazyjne dogmaty religii, a jednak każdy obywatel nowożytnego świata obdarzony zdrowymi zmysłami akceptował je. Ciężar dowodów zgromadzony przez cały ten czas, podobnie jak wszystkie te ochronne skorupki dostarczone przez maleńkie istotki, które tak samo chciały żyć, które były równie zadufane i ostatecznie nieznaczące jak ona. Alexandrę zawsze intrygował jej osobisty związek z naturą; znajdowała oparcie w naturze, uczyła się z niej, była nią, a jednak miała w sobie coś takiego – coś innego – co bało się i nienawidziło natury.

Na jednym z wyjątkowo pustych odcinków drogi naprzeciwko Alexandry wyrosła zniecała jeszcze jedna bardzo duża istota. Równie prędko jak podskoczyło jej serce, jej umysł zaczął się modlić, żeby to był grizzly, a nie niedźwiedź brunatny, i żeby w związku z tym wystarczyło po prostu znieruchomieć. Była zbyt stara i słaba, żeby walczyć, ile jej starczy sił. Istota przeobraziła się w wysokiego, idącego na dwóch nogach mężczyznę, melancholijnego, wąsatego półpołudniowca, ubranego w koszulę w niebieską kratę. Mężczyzna nazywał się Willard McHugh i pochodził z okolic Nashville: tyle jej zdradził na swój temat. Teraz jednak, skupiony na zachowaniu tempa marszu, tylko skinął głową w formalnie przyjazny sposób i szedł dalej.

Ona też nie miała ochoty się zatrzymywać. Oboje tak głęboko weszli w naturę, że byłoby w tym coś niestosownego. On był nieśmiały, ona też. Ta natura jakoś tajemniczo ich wypaliła. Heidi tłumaczyła, że sosny wydmowe potrzebują ognia, bo dzięki temu otwierają się ich zaklejone żywicą szyszki. To straszne, naprawdę straszne, że natura z takim spokojem godzi się na przemoc; natura kocha przemoc i potrzebuje jej do takiego stopnia, że strażnicy kanadyjskich parków narodowych z powodu braku dostatecznej liczby pożarów lasów przez te ostatnie siedemdziesiąt lat zaczęli je w końcu wywoływać, żeby inicjować regenerację i sprzyjać biodwersyfikacji. Dywersyfikacja – dlaczego wszyscy zakładamy, że jest taka dobra, skoro czujemy się dobrze dzięki jednorodności?

Rozmyślając o takich podstawowych sprawach i o tym, że los tak niesamowicie sprezentował jej na czas tej wycieczki fizycznego sobowtóra Jima, Alexandra przeoczyła skrót do hotelu biegnący przez parking. Tak się spociła z irytacji i paniki, idąc dłuższą trasą

po serpentynowatym brzegu jeziora, usłanym piknikowymi stołami i pojemnikami na odpadki, obłudnie zalecającymi jej, że ma nie śmiecić – tylko być w zamian dobra dla natury – że musiała wziąć drugi już prysznic tego ranka, żeby podczas lunchu wyglądać jak człowiek.

Następnego przedpołudnia, około jedenastej, stała na zziębniętych stopach na lodowcu Athabaska, znowu stawiając czoło naturze. Autokar, jadący na południe w stronę jeziora Louise, miał tu planowany przystanek. Pola lodowe Kolumbia, uwięzione w misie utworzonej ze szczytów wzdłuż kontynentalnego działu wodnego, pięły się w górę po szerokich, glacialnych ramionach górskich przełęczy, wśród których do autostrady najwygodniej było dotrzeć po Athabascie. Wielkie pojazdy na tłustych kołach, zwane śniegobusami i prowadzone przez młodych mężczyzn, zwiozły turystów w dół przepaści – „największa stromizna, po której idzie zjechać”, obiecał mikrofonowy głos chłopca – prosto na lód. Alexandra i inni turyści posłusznie wywlekli swoje ciała z miejsc i wyczłapali na zewnątrz, spodziewając się jakichś cudowności. Była przygotowana, że zobaczy niehumanie czysty świat, ale lodowiec okazał się równie zafajdany jak dowolna ulica i tylko trudniej się na nim stało. Nie dość, że brudny, to jeszcze pełen dziobów i zapadlin. Bulgotał pod swoją śliską skórą. Mimo że lato dobiegło już końca, wciąż topniał i był zdradziecki dla stojących na nim stóp. Alexandra nie miała dużej wprawy w byciu staruszką – tylko pomyśl, w życiu nie byłaś taka stara, a teraz jesteś stara w każdej sekundzie, jaką jest ci dane przeżyć – ale wiedziała, że nie powinna łamać sobie biodra. Wiele lat wcześniej widziała w telewizji wywiad z fordanserem, który powiedział o swoich klientkach: „Jak już się przewrócą i złamią sobie biodro, to potem nawet wracają jeszcze na salę taneczną, dla towarzystwa, dla wspomnień, ale biedaczki już nigdy więcej nie tańczą”. Nie żeby się dużo natańczyła z Jimem – co najwyżej weekendowy *square dance* od czasu do czasu, kiedy małżeństwo wciąż stanowiło dla nich nowość i byli gotowi niemal na wszystko. Lubiła wtedy te figury, to wplatanie się i wyplatanie, ulotne, prędkie dotknięcia obcych dłoni jak podczas sabatowej orgii, ale kobiety z Nowego Meksyku, z tymi napuszonymi fryzurami i wirującymi, nadymającymi się spódnicami, i mężczyźni w dwukolorowych wysokich butach i sznurkiem zamiast krawata przewleczonym przez jadeitową albo turkusową zapinkę, marszczący się w skupieniu pod wpływem głosu wodzireja, dźwięczącego ponad melodią wygrywaną przez skrzypce, z czasem zaczęli budzić jej niesmak. Ci ludzie byli pracownikami banków i handlarzami bydłowej paszy przebranymi za kowbojów; było od nich lakierowanym fałszem bawiących się mieszcuchów. A poza tym kaleka noga Jima narzekała potem przez wiele dni. Dlatego zrezygnowali z udziału w *square*

dance. Rezygnowanie z różnych rzeczy pasowało Alexandrze – przemawiało do jej wewnętrznej czarownicy. Z życiem wiązało się tyle niepotrzebnego i zbytecznego bałaganu. Samo życie, całe to jedzenie i rozmnażanie się, było studium nadmiaru. Rakiem. Chłopak siedzący za kierownicą paplał przymilnie z pamięci: – Ludziska, te specjalne busy do jazdy po lodowcu, zwane śniegobusami, kosztowały sto tysięcy dolarów każdy. Tylko bez nerwów, według naszych szacunków więcej niż połowa wraca nietknięta i prawie z całym kompletem pasażerów.

Odpowiedział mu jednomyślny, nerwowy śmiech. Pikowali dalej w dół urwiska, aż wreszcie dobili do równego lodu, gdzie zatrzymali się obok innych śniegobusów. Kierowca wyrecytował do mikrofonu:

– Jedno z najczęściej zadawanych nam pytań brzmi: Dlaczego ten lód jest taki brudny? No cóż, lód lodowca składa się ze śniegu, z wielu metrów śniegu skompresowanego w postaci kilku centymetrów lodu. Jak zapewne wiecie, każdy płatek śniegu i każda kropla deszczu musi się uformować dookoła maleńkiej drobiny brudu w powietrzu. Śnieg się topi, ale brud zostaje.

Czy Alexandra o tym wiedziała? Że każdy płatek śniegu i każda kropla deszczu potrzebują zarodka brudu? Czy niebo ma w sobie dość brudu, żeby wystarczyło dla wszystkich? A gdyby tak niebiański brud się skończył? I cały ten kanadyjski motyw kompresji – czy to właśnie napierało na jej pierś po nocach? Jeśli wszystko – śnieg, osady, kamień – ulega ciągłej kompresji, to w takim razie dlaczego cały świat nie staje się cięższy i mniejszy, aż się przeobrazi w czarną dziurę? Tego typu pytania zwykła kiedyś zadawać Jimowi, który nigdy się z niej nie wyśmiewał i zawsze starał się udzielić jakiejś odpowiedzi, opierając się na swojej wiedzy zaczerpniętej z doświadczenia. Mężczyźni, mimo swej skrywanej złości, naprawdę to mają – proste poczucie skutku i przyczyny, praktyczne pragnienie zachowania zdrowego rozsądku. Kobiety ich za to uwielbiają.

Rozejrzała się w poszukiwaniu szczupłego, posępnego mężczyzny z Nashville, ale ich wycieczka przemieszała się z kilkoma innymi i wszyscy dookoła wydawali się jej obcy, ich sylwetki na tle oślepiającego blasku przypominały tamte kosmiczne stwory, które wyłaniały się ze światła w *Bliskich spotkaniach trzeciego stopnia*. Lodowiec wznosił się i w oddali widziała jakąś grań, ciemny mur, długi, zamrożony wodospad. Instykt stadny zjaw zgromadzonych na lodowcu nakazywał człapać w tamtą stronę niczym ryby płynące na ślepo w górę strumienia, dopóki nie nadziali się na rząd czerwonych pachółków, jakie stawia się normalnie na jezdni, i znaku zakazującego dalszego marszu. Uwięzieni w ten sposób turyści kłębili się w miejscu, lęklonie przebierając nogami, ciemne kleksy na tle lodu niczym

pogrążone w ciągłym ruchu agregaty brudu. Japończycy z innych wycieczek krzepili w grupkach pozujących do fotografii.

Znajome małżeństwo małych Azjatów podeszło z uśmiechniętymi minami do Alexandry i zaoferowało, że zrobią jej zdjęcie.

– To słońce jest straszne – powiedziała kobieta, pokazując próbnie swój aparat.

– Zimne stopy! – zawołał jej mąż, wskazując palcem w dół i szczerząc się od ucha do ucha.

Alexandra ustawiła się do zdjęcia najpierw z jednym z pary, potem z drugim. Trzymanie pod pachą tych jędrnych ciałek, z nisko położonym środkiem ciężkości, wyzwoliło w niej uczucie chybotania, zagrożenia równowagi. Po ich lewej stronie, przez długą rozpadlinę płynął strumień stopionego lodu, który wykrawał sobie kanał coraz niżej i niżej, tworząc ryzykownie wykrzywione przestrzenie zabarwione świetlistą, limonkową zielenią. Gdyby owładnięta chwilowym szaleństwem zrobiła kilka kroków, beztrwosko się poślizgnęła i wpadła do tej szemrzącej rozpadliny, nikt w pobliżu nie miałby dość rozumu ani siły, aby ją wyłowić. Dlatego właśnie ludzie nie podróżują sami: żeby mieć ochronę przed własnym wariactwem. Towarzysze, nieważne jak przypadkowi, każą nam się skupiać na męczącym czepianiu się życia. Wszyscy chyboczymy się na prowizorycznym linowym moście, który społeczeństwo przerzuca nad rozpadliną.

Po powrocie do specjalnego autokaru na gigantycznych, balonowych oponach młody kierowca zaczął się znów przekomarzać z posłusznymi turystami i ich lękiem przed śmiercią:

– No dobrze, ludziska, a teraz spróbujemy dokonać niemożliwego i wjechać z powrotem na górę po tym zboczach. Jak już mówiłem, szanse są pięćdziesiąt na pięćdziesiąt. Wszyscy możecie mi pomóc przez wstrzymywanie oddechu. Proszę o same lekkie myśli.

I wszyscy, w tym również Alexandra, jak jacyś idioci zaczerpnęli głośno powietrza do płuc i nie odważyli się go wypuścić, dopóki pojazd nie dał nurka w górę zbocza i nie wskoczył na parking pokryty drobnymi kamykami i błotem.

– Ludzie, udało nam się – obwieścił chłopak ze swym prawie amerykańskim akcentem. – Jak już wysiądziecie, popatrzcie w prawo, ponad Icefields Parkway w stronę małego kopca kamieni, dość daleko stąd. Ten kopiec wyznacza miejsce, do którego lodowiec Athabaska dotarł w roku 1870. Od tego czasu cofnął się o jeden i sześć dziesiątych kilometra. Naszych przyjaciół, którzy mieszkają na południe od granicy i jeszcze nie przetrucili się na system metryczny, informuję, że to z grubsza jedna mila. Wróćcie tu za kolejne sto trzydzieści lat, panie i panowie, a będziecie mieli szczęście, jeśli uda wam się ulepić śnieżkę.

Alexandra zabawiała się w myślach wizją świata bez lodowców: wszystkie stoki gór

pokryte kamieniami, do tego niszczycielskie przecieki i łkania w dolinach, wszystkie nadbrzeżne miasta zatopione przez podniesienie poziomu mórz, pszenica pniąca się w tundrze północnej Kanady, amerykański Środkowy Zachód przeobrażony w pustynię, tu i ówdzie, z lotu ptaka, porytą starymi polnymi drogami.

W holu hotelu nad jeziorem Louise wisiały oprawione fotografie okolicy, tak jak wyglądała około roku 1900, kiedy w wyniku rozbudowy linii kolejowych Canadian Pacific dawne chaty z bali zostały zastąpione zamkiem opartym na drewnianej konstrukcji, w stylu wiktoriańsko-tudorowskim, z możliwością zakwaterowania setek gości. Uwieczniony wówczas widok z frontowego tarasu pokazywał rozpełzający się lodowiec na Górze Wiktorii; obecnie pozostały po nim jedynie nadgryzione resztki. Alexandra odkryła, że nie jest w stanie obejść jeziora dookoła, tak jak w Jasper; tutaj, po przejściu mili wzdłuż linii brzegowej, natknęła się na ślepy zaułek z kamieni i przewróconych kłód i mogła tylko przejść się pnącą w górę ścieżką do „przytulnej herbaciarni”, „maleńkiego, malowniczego jeziora Mirror”, względnie zawrócić w stronę rezydencji. Zawróciła, wypatrując po drodze reklamowanych bobrów, bez powodzenia niestety. Na drodze było tłoczno od gości hotelowych, w tym dzieci i inwalidów na wózkach. Nie przeżyła zbytniego zaskoczenia, kiedy o zmierzchu zaszedł ją z tyłu, a po chwili zrównał z nią krok mężczyzna z Nashville. *Zaczyna się*, pomyślała, nie bardzo właściwie wiedząc, co się zaczyna. Wiedziała, że ludzie zauważają to, że ich zauważono. Aury o podobnych wibracjach przymuszają ciała do kolizji.

Jego głos w jej uchu ociekał południową uprzejmością, żalobną muzyką przegranych.

– Czyż błękit tego jeziora nie jest niezwykle nawet w tym gasnącym świetle? – spytał Willard.

– Owszem – odparła ostrożnie. – Tyle że wszystkie lodowcowe jeziora mają mniej więcej taką barwę. Heidi tłumaczyła w autokarze, dlaczego tak jest, ale ja tego nie zrozumiałam.

Heidi wечно coś szczebiotała do swojego maleńkiego mikrofonu, jakby wciąż znajdowała się na pokładzie samolotu i musiała uspokajać pasażerów.

– To jest ziemia okrzemkowa – wyjaśnił Willard – zdrapana z gór przez ocierające się o nie lodowce. Mikroskopijne cząsteczki minerałów. – Słowo mikroskopijne powiedział z zaśpiewem.

Jego pragnienie zdominowania sytuacji własną drobiazgowością wywołało w niej irytację; poczuła się zobligowana do sprzeczeki.

– Nie jest mi łatwo wyobrazić sobie ten proces – powiedziała mu. – No bo dlaczego od ziemi okrzemkowej woda robi się bardziej niebieska? A poza tym lodowiec, który

widzieliśmy wczoraj, bynajmniej o nic się nie ocierał. Wyglądał na unieruchomiony.

Willard zamyślił się milcząco, jakby ktoś go skarcił.

– To powolny proces – odezwał się w końcu.

– Wiem – zgodziła się. Dostosowała swoje ruchy do jego tempa. A potem przestraszyła ich oboje nagłym okrzykiem: wydało jej się, że zauważyła bobra. Ale to był tylko oderwany kawałek brązowego torfu, wystający na tle nierzeczywistego, wzbogaconego przez lodowiec błękitu jeziora.

– Coś się stało? – spytał lekko spłoszony.

– Nie. Przepraszam. Wydawało mi się, że zobaczyłam bobra. Wyczytałam w przewodniku, że one tu są. Obiecali. Miało być ich mnóstwo.

– Podejrzewam, że w specyficznych porach roku.

Wkurzał ją ten jego gładki, pełen szacunku ton. Być może to wyczuł, bo spytał:

– Co z tego, co widzieliśmy do tej pory, wywarło na tobie największe wrażenie, Alexandro?

To było trudne pytanie. Od samego początku tej wycieczki najmocniej docierała do niej świadomość otaczającej ją, izolującej przestrzeni. Nieobecność Jima uformowała przezroczystą tarczę na wszystkim, co oglądała, podobną do osłony na barze sałatkowym.

– Wydaje mi się, Willardzie... – powiedziała, naśladowując jego ostrożne zdecydowanie – że chyba rogi tego samca łosia, którego widzieliśmy wczoraj obok autostrady, tuż po przystanku przy Athabasce. Nie miałam pojęcia, że mogą być takie wielkie... te badyle, tak je, zdaje się, nazwała Heidi. Te badyle opadały mu przez bark i ściągały mu łeb w tył, pomyślałam, że na bank złamie sobie kark. – *Ark-ank-ark*, własny język płatał jej figle. Być może ten sobowtór był czarodziejem. Nic nie powiedział, więc dodała: – Wyobraź sobie, że nosisz to wszystko, żeby się móc bronić przed innymi bykami i utrzymywać swój harem. Co mówiła Heidi? Że ma tych łań nawet sto?

Ile tego kopulowania potrzebuje natura? Heidi wyraźnie się podnieciła tematem, bo aż jej się porobiły dołki na twarzy; plamy na policzkach było widać nawet ze środka autokaru, gdzie Alexandra siedziała obok innej wdowy. Heidi ciągnęła swym uspokajającym głosem stewardesy, opisując, jak te wszystkie walki i „dogadzanie swoim paniom” męczą stare byki i sprawiają, że muszą stawiać czoło zimie wyczerpane i na poły zagłodzone. Zdychają, pozwalając, by młode łosie czające się na skraju haremu przenikały do środka. Zdychają, bo poddają się woli natury, która każe im się nieprzerwanie rozmnażać.

Ciąg myśli Alexandry, tych wypowiedzianych i tych niewypowiedzianych, musiał chyba wprowadzić jej towarzysza w stan stosownej poufałości, bo Willard McHugh wypalił

zniecka:

– Alexandro, naprawdę się wzruszyłem, słysząc o twoich niedawnych smutnych przejściach.

No proszę: nie tylko znał jej imię, ale jeszcze wiedział o jej smutnych przejściach. Plotkował, na swój uroczysty sposób, przekrzywiając podługowatą głowę jak ktoś, kto ma jedno chore ucho i nadstawia przy słuchaniu to zdrowe.

– O czym ty mówisz?

– Mówię o niedawnej śmierci twojego męża. Jedna z twoich przyjaciółek powiedziała mi o tym w sekrecie.

Przyjaciółka? Alexandra próbowała sobie przypomnieć, z kim rozmawiała wśród znudzonych, przekarmionych łań zagnanych na tę wycieczkę. Starła się unikać rozmów, a inne kobiety wyczuły w niej porażającą prądem rezerwę – ładunek ujemny potencjalnego społecznego zamętu, pogardę czarownicy wobec jarzma normalnego porządku.

– Ktokolwiek to był, nie minął się z prawdą. Jim zmarł trzy miesiące temu.

– Szczerze współczuję, Alexandro.

– Dziękuję, Willardzie.

A jednak miał więcej do powiedzenia. Popęłniła wdowi nietakt i weszła mu w słowo swymi podziękowaniami. Ciągnął dalej, ucukrzonym, melancholijnym głosem:

– Wiem, że cierpisz. Mój partner umarł w zeszłym roku. Byliśmy razem trzydzieści siedem lat.

Partner. Jedno z tych nowych słów-kodów, przydatnie nijakich. A zatem Willard był jednym z nich. Znowu się dała ogłupić. Trochę jej ulżyło, ale trochę się też wkurzyła. Ten pedzio marnował jej czas. Tylko ile wart był jej czas? Coraz mniej: była starszą panią, po klimakterium, wylądowała na śmietniku natury, przeżywszy swój biblijny okres siedemdziesięciu lat.

– To bardzo długo – odparła. Nie dodała: *jak na parę ciot.* Które notorycznie skaczą w bok, łamiąc serca swoimi zdradami, swoimi nieokiełznanymi ciągotami do młodszych ciot.

– Był pięknym człowiekiem – uroczyście oświadczył ten nieproszony gość w jej samotności.

I byłby zapewne kontynuował, wdając się w szczegóły rzeczonoego piękna, gdyby Alexandra nie ucięła tego krótko.

– Nie wątpię. Dziękuję ci za towarzystwo, Willardzie. Czy światła hotelu nie wyglądają zapraszająco teraz, kiedy zrobiło się ciemno?

– Może w hotelu pójdziemy razem na drinka?

No tak, poczuł się w swym prawie, by stać się teraz agresywny towarzysko, bo wyjawiał już swoją orientację seksualną.

– Dziękuję ci, Willardzie – powiedziała. – Jesteś bardzo uprzejmy, ale chyba sobie poleżę przed kolacją. Trochę się nie wysypiam na tej wycieczce. Nie myślałam, że to aż tak męczy. Pewnie przez te wysokości i ciągłe pakowanie rzeczy, a potem rozpakowywanie. I tyle tej natury! – W nadziei, że rany zadane przez jej odmowę zostały zatamowane tym opatrunkiem z pospiesznych słów, dodała jeszcze: – I chwili wytchnienia! Heidi mówi, że jutro mamy wstać przed świtem, żeby zobaczyć wschód słońca na Górze Wiktorii. Im to się wydaje, że jesteśmy jakimiś młodzieniaszkami! Chyba to sobie odpuszczę.

A jednak oszukała go, bo poprosiła w recepcji, żeby ją obudzili o piątej trzydzieści. Przenikliwy dzwonek roztrzaskał jej sen, sen o Eastwick – mglisty poranek, paciorki morskiej mgły na ekranach okiennych, dzieci są w szkole, a ona próbuje zająć się pracami domowymi, ale w napięciu czeka na Joego Marina. We śnie przyniósł jej żywego kurczaka, ale opakowanego w sztywny papier w różowe paseczki. Musiała mu podziękować, w skrytości ducha była jednak wstrząśnięta; co ona zrobi z tym kurczakiem? Nawet jeśli dałaby radę skrócić mu kark, to i tak nie potrafiłaby oskubać go z piór. O czym ten jej kochany Joe myślał? Za tym wszystkim kryło się jego idiotyczne, drobnomieszczańskie poczucie winy. Po co mężczyźni tracą czas na bezużyteczne prezenty, zamiast zwyczajnie cię przelecieć? Zahipnotyzowało ją gniewne oko ptaka nad obrozą z papieru pakowego. Z gardzieli dobywał się chrapliwy, straszliwy odgłos: przeraźliwy sygnał budzącego ją telefonu. To była jej szansa, *ten dzień, który został ci dany*. Alexandra nigdy więcej nie zobaczy jeziora Louise.

Ubrała się prędko i wyszła z pokoju, nie wzięwszy prysznic, wciąż zaspana, prosto w mrok, żeby przyłączyć się do ciżby turystów już zgromadzonych na wyłożonych kamiennymi płytami stopniach i otoczonych żywopłotami ścieżkach łączących hotel z jeziorem. Przypominało to plac w jakimś europejskim mieście, gdzie turysta niedogodnie wcześniej obudzony przeżywa zaskoczenie na widok rzesz ludzi spieszących z różnych stron do pracy, ujawniających w ten sposób, że za oprawą sceniczną stworzoną z pałaców i katedr, muzeów i przedrożonych restauracji, wśród których tak przyjemnie spędza się wakacje, toczy się potajemnie jakieś inne życie wypełnione harówką. Wypatrzyła azjatyckie małżeństwo i ośmioro Australijczyków; robili sobie zdjęcia na tle jeziora i gór i radośnie wciągali Alexandrę do kolejnych fotografii, obiecując, że przyślą jej potem odbitki. Do wycieczki już się przesączał pożegnalny nastrój, mimo że pozostały jeszcze dwa dni w Banff i jeden w Calgary.

Kreska różanego nalotu okalająca najwyższe partie Góry Wiktorii rozrastała się cał po

calu, ściekając po kolejnych warstwach, których poziomy układ hamował osuwanie się śniegu. Różany nalot powoli zataczał coraz szersze kręgi i nabierał złotawego odcienia; światło dnia obejmowało w swe władanie szklistą powierzchnię niesamowicie błękitnego jeziora, po której pełzało płonące widmo porażonego przez świt wierzchołka, odwróconego do góry nogami – bryły złota w modrym Renie Nowego Świata.

Mały Azjata stanął obok niej i spytał z niegasnącym uśmiechem:

– Warto wstać tak wcieśnie?

– Wschód słońca? A tak, piękny. – *Piękny człowiek*. Niemniej, wbrew radom udzielanym samej sobie, zerknęła ponad jutrenkowym tłumem w poszukiwaniu Willarda, chcąc koniecznie wypatrzeć jego fiołkową aurę i chłodno utrzyć mu nosa. Ale Willard ewidentnie nie zaliczał się do rannych ptaszków. Poczula się mimo wszystko odrzucona, co nie miało sensu, bo przecież to ona go odrzuciła, za zgodą natury zresztą. Ponad trzydzieści lat wcześniej, w Eastwick, dała się wessać do orbity pewnego homoseksualisty, bo uwiodła ją jego miłość do zabawy i sztuki – rozśmieszał ją, karmił, pomagał jej się odprężyć. Dał jej, w swojej idiotycznej rezydencji, otoczenie, które odpowiadało jej własnym fantazjom o przepychu. A potem ją zdradził, i Sukie i Jane też. Sprokurowały zemstę. Wspomnienie tego wszystkiego było wstydlive, ale także odświeżające, bo ożywiało jej młodsze ja zdrowym, anarchistycznym apetytem i tajemnymi mocami. Po przyjeździe do Banff poczuła się odmłodzona.

Jasper było górską osadą, pełną samotnych, szerokich ulic i z jednym tylko kompleksem biznesowym, za to Banff okazało się sporym miastem, z muzeum sztuki, muzeum Indian, licznymi barami szybkiej obsługi, wielkomiejskim zgiełkiem, gorącymi źródłami i centrum konferencyjnym; w dół zbrocza, na którego szczycie stał ich hotel, ciągnęły się meandrowe dzielnice pełne drogich domów. Przeszła się do miasta, obejrzała akwarele autorstwa lokalnych artystów i stare fotografie w Muzeum Whyte'ów, a potem zjadła lunch w kąciku kawiarnianym, gdzie posilali się także Australijczycy. Zapraszali, żeby usiadła z nimi, przy ich zsuniętych dwóch stolikach, ale odmówiła i zjadła swoją roladę z indyka, wpatrując się w pustą ścianę. Najwyższy czas, mówiła jej ta pustka, dokonać inwentaryzacji, zebrać się w sobie, bo masz przed sobą ostatni etap życia, sprint do grobu we wdowich szatach.

O czternastej program wycieczki przewidywał wjazd kolejką na Górę Siarkową. Autokar zawiózł ich do podnóża, a potem zjechała po nich gondola. Na szczycie były pamiątki, przekąski, ciepłe powietrze w środku, zimne na zewnątrz i teleskopy, do których wrzucało się kanadyjskie dolary zwane „loonies”, bo z jednej strony były na nich wybite ptaki

wodne, a z drugiej profil jakiejś starzejącej się królowej. Monety dwudolarowe nazywano *toonies*². Alexandra zastanawiała się, dlaczego Stany Zjednoczone nie potrafią wymyślić takiej monety, którą ludzie chętnie by się posługiwali. W wydaniu Kanadyjczyków używanie drobnych wydawało się takie łatwe, takie zabawne. Amerykanie nie znoszą obciążać kieszeni, przypuszczała; boją się, że pociągną je w dół. Kochają wolność.

Setki metrów niżej spotykały się dwie rzeki i do brzegu jednej z nich tuliło się pole golfowe. Banff było jak siatka ugięta między jedną górą i dwoma jeziorami. Z platformy widokowej w dół wiodły drewniane stopnie, a dalej szło się po chodniku do drugiego, nieco wyższego wzniesienia. Właśnie tym wibrującym deptakiem szli w jej stronę inni turyści, w tym znajome australijskie małżeństwa.

– Jak było? – spytała ich Alexandra.

– Cudownie, kochanie. Ciężko, ale warto.

Nadal się wahała, marudząc w sklepie pamiątkarskim, zastanawiając się, które z jej siedmiorga wnucząt chciałoby mieć łosia-zabawkę. Z kolei gdyby dała łosia jednemu, to inne musiałyby dostać coś podobnej wartości, stosownie do wieku, bo najstarsze miało szesnaście lat, najmłodsze skończyło zaledwie rok. Trudno tu było coś wypośredkować. Wychwyciła kątem oka, że zbliża się do niej jakiś wysoki mężczyzna, wysoki mężczyzna z wąsami, więc żeby nie zмагаć się po raz kolejny z Willardem, wyszła na dojmujący ziąb i zeszła po drewnianych schodach.

Deszczulki wyrównały do poziomu, ale nieco dalej, umocowane grubymi wspornikami do szarego kamienia, pięły się w górę po grani. Mijali ją idący w jedną i drugą stronę ludzie, a jednak Alexandra czuła się coraz bardziej samotna, w miarę jak chodnik pod jej stopami zmieniał kierunek i potem znowu tworzył poziomą linię. Dookoła rozstępowały się przed nią wierzchołki drzew i nieliczne skalne występy. Zazwyczaj nie lubiła wysokości, ale postanowiła, że tym razem przeżyje to doświadczenie. Miała wrażenie, że depcze po powietrzu, bo gdziekolwiek spojrziała, otwierały się pod nią szare góry, pasmo za pasmem, łupkowe, barwy popiołu i gołębih piór, pożyłkowane lawinami i zaśmiecone strzępkami śniegu. Alexandra frunęła. Unosiła się wśród bezkresnych, łagodnych gór i jednocześnie nad nimi; te góry były jej przyjaciółmi, wspinałym Innym trzymającym ją w swojej dłoni. Natura była w niej, dookoła niej i nie miała granic.

Deptak z tymi masywnymi stopniami skręcił raz i potem jeszcze raz, zwężając się na

² Slangowa nazwa kanadyjskiej jednodolarówki pochodzi od wybitego na niej ptaka nura (z ang. *loon*); nazwa dwudolarówki – *tonie* – jest zarówno odniesieniem do *loonie*, jak i do liczby dwa (z ang. *two*); obie nazwy zostały zastrzeżone przez Królewską Mennicę Kanadyjską.

Szczycie Sansona, a tam poprowadził ją do szalasu, niskiego szalasu z oszklonym okienkiem, za którym zobaczyła biurko zasłane papierami, ale żadnego człowieka, żadnego meteorologa, bo to właśnie było to, stacja meteorologiczna, do której – wyjaśniała to tablica informacyjna – Norman Sanson wspinał się ponad tysiąc razy w życiu, by rejestrować zmiany w pogodzie. Zajrzawszy do środka i stwierdziwszy nieobecność Normana Sansona, tak jak nieobecność Jima Farlandera w swoim łóżku, czując się oszołomiona i krucha pośród innych turystów, przebojowych i młodych, japońskich i białych, napierających na nią, bo też koniecznie chcieli zajrzeć do tego świętego dla Kanadyjczyków miejsca, Alexandra wycofała się po własnych śladach, schodząc, pokonując zakręt, znowu w dół i dalej po pobrzmiwającym echem, prostym odcinku, śpiesząc w panice, bojąc się, że grupa ją tu zostawi, wśród tych wspaniałych, niewzruszonych, szarych gór. A jednak zobaczyła Willarda McHugh, na szczycie ostatniej kondygnacji schodów, szczupłego, umięśnionego, w koszuli w zieloną kratę. Jego wystudiowane drwalowskie przebrania teraz, retrospektywnie, zaiste sprawiały wrażenie pedalskich.

– Prawie wszyscy już zeszli – powiedział, zaciągając.

Jego posępny, zaborczy ton sprawił, że na sekundę ucieszyła się, że jednak nie ma męża. Obróciła się w stronę Heidi, matki ich wycieczki, jasnookiej i kędzierzawej, która stała kilka stóp dalej. I to do niej, a nie do Willarda, skierowała swoje słowa:

– Strasznie przepraszam. Czy kazałam komuś czekać?

– Ależ skąd – odparła Heidi. Na twarzy miała uśmiech stewardesy; nie zgasiłby go żaden wstrząs, żaden złowieszczy rumor, żadne niespodziewane zstąpienie do dziury powietrznej. – Jaki tam był widok?

– Bajeczny. Zapierał dech w piersiach – wysapała Alexandra, czując, że serce wciąż jej łomocze po tamtych ostatnim, wypełnionym paniką odcinku.

Uśmiech na twarzy Heidi stał się jeszcze szerszy, pogłębiając dołki.

– To widać. Popracuj teraz nad swoim oddechem, Lexa, a potem wszyscy wrócimy do autokaru.

Po opuszczeniu szacownego, nadmorskiego miasteczka, gdzie dopuszczały się swoich niecnych uczynków, trzy czarownice, rozproszone odtąd w sensie geograficznym i szalenie zajęte warzeniem nowego małżeńskiego życia, prawie się z sobą nie kontaktowały. Nie składa się świeżo upranego obrusa brudnymi dłońmi. Na samym początku posteastwickowych lat czasami jeszcze dochodziło do wspólnych spotkań, głównie między Sukie, która osiadła w Connecticut, i Jane bytującą w Massachusetts, bo Alexandra zamieszkała w dalekim Nowym

Meksyku. Niemniej rozmowy wygasały w obecności ich mężów, siedzących niecierpliwie w tym samym pomieszczeniu, a poza tym bez sabatu z udziałem wszystkich trzech nie było mowy o wznoszeniu stożka mocy, który wyposażyłby je w większą siłę niż ta, którą każda posiadała z osobna. W trakcie nieprzyjemnej ciszy dopadały je wyrzuty sumienia, paraliżujące im języki. Dlatego więc kontakty zawężyły się do rozmów telefonicznych i wymiany bożonarodzeniowych kartek. W grudniu jeszcze tego samego roku po jesiennej wyprawie do kanadyjskiej części Gór Skalistych Alexandra otrzymała religijnie neutralną kartkę świąteczną – sosnowe szyszki, chochlikowata wiewiórka w czerwonej czapeczce z białym brzeżkiem – z Nowej Anglii, z kojącymi pozdrowieniami wydrukowanymi w środku i ujętymi w wieniec nabazgranego listu, rozlewającego się obłąkańczo nie tylko we wszystkie strony, ale nawet po części napisanego do góry nogami, wszędzie tam, gdzie znalazło się jakiegóż puste miejsce. Pismo Jane Smart było zawsze takie rozgorączkowane, złościło papier i pędziło ukośnymi linijkami, które sklejały się z sobą do tego stopnia, że brzuszki liter tworzyły przeplatankę albo wręcz nakładały się na siebie.

Kochana Lexo!

Pewnie zrobi ci się smutno na wieść, że zmarł mój ukochany Nat, po wielu latach cierpienia i nieustających pobytach w szpitalu w Massachusetts; tyle tych kuracji – chemia, naświetlania, lasery, infuzje płytek, setki bardzo drogich leków... Czy oni w ogóle coś potrafią oprócz przedłużania agonii? Już lepiej posiedzieć przy kominku i zdychać na zimnicę [Alexandra potrzebowała kilku minut, żeby się doczytać, co to jest za słowo], tak jak to robili nasi przodkowie. Oni go torturowali w tym szpitalu, żeby rezydenci mogli sobie zdobywać doświadczenie i żeby wyciągnąć jak najwięcej z systemu ubezpieczeń dla emerytów. Mój kochany starszeczek był taki potulny, wierzył we wszystko, co mu wmawiali ci naciągacze w białych kitlach, z fryzurami prosto z salonów piękności. Kiedy pielęgniarki znalazły go martwego, na twarzy miał wyraz bezmiernego zdumienia, jakby nie potrafił uwierzyć, że oni pozwalają, żeby to go spotkało. Śmierć, znaczy się. Ja osobiście wolałabym spłonąć na stosie, kiedy nadejdzie mój czas, i przynajmniej odejść w blasku. Czytałam kiedyś w jednej starej książce, że ci spryciarze, których nazywali heretykami, stosowali bardzo przydatną metodę, żeby to przetrzymać – wystarczy wdychać dym i od razu tracisz przytomność. Przepraszam za te ponuractwa, i to na kartce bożonarodzeniowej. Nat „odszedł”, jak mawiają ci dzisiejsi zidiociały przedsiębiorcy pogrzebowi – mógłby przecież odpłynąć

albo odfrunąć – w zeszłym miesiącu, a ja do teraz na okrągło ugaduję się z prawnikami, żeby jego matka – ciągle żyje, mimo że już jej stuknęła setka, czy to nie żalosne? – pozwoliła mi dalej tu mieszkać, w domu z wielkim ceglanym łukiem rzekomo autorstwa H. H. Richardsona, ale ja wiem, że zbudował go młodszy partner, naśladowca – „ze szkoły”, jak mawiają w muzeach sztuki, kiedy opatrują etykietami swoje fałszywki. Wszyscy w Brookline są z jakiejś szkoły. Tweedowe spódniczki, buty z kanciastymi noskami i rozrzedzona krew. Szkoda, że nie poznałaś Nata – z załączonych wycinków poznasz garść podstawowych danych, ale nie to, jak jadł, spał, pieprzył, co mówił etc. Czy my się jeszcze spotkamy? Zadzwoń do mnie kiedyś, moja ty daleka piękności.

Twoja na zawsze, Jane

Załączony nekrolog z „Boston Globe”, na temat Nathaniela Tinkera III, kolekcjonera antyków, filantropa, miał zaledwie cztery albo pięć cali długości, a i tak poruszał się po temacie dość po omacku. Nathanielowi przypisano tu zawód doradcy inwestycyjnego, co jak podejrzewała Alexandra, znaczyło w zasadzie tyle samo, ile powiedzieć, że babrał się we własnych pieniądzach i pieniądzach niektórych ufnych przyjaciół. Należał ponadto do licznych organizacji typu Klub Miłośników Somerset, Towarzystwo Sportowe, Bostoński Klub Absolwentów Harvardu, Towarzystwo Historyczne Nowej Anglii, jakieś stowarzyszenia na rzecz ratowania tego czy tamtego, i zasiadał w radach nadzorczych Konserwatorium Nowej Anglii, Muzeum Sztuk Pięknych, Szpitala Mount Auburn, Szpitala im. McLeana, Domu Małych Włóczęgów Nowej Anglii i Schroniska Pine Street Inn. Robił wszystko jak należy, tak jak to mu dyktowały uwarunkowania społeczne i geograficzne, a potem, kiedy już skończył czterdzieści lat, ożenił się z Jane, którą Lexa i Sukie nazywały żołą, kiedy je szczególnie wkurzyła. Znały ją jako Jane Smart, była żoną Sama Smarta, powieszono go do wyschnięcia w piwnicy jej osiedlowego domu w Eastwick i okazjonalnie dosypywanego do napojów miłosnych, dla dodania im pikantnego smaku. Jane zdawała się emocjonalnie związana jedynie z dwiema rzeczami – ze swoją wiolonczelą, na której grała z opętańczym skupieniem, wywołującym przerażenie w patrzących, bo wyglądało to jak jakiś wir, który mógłby ich wessać, oraz ze swoim młodym dobermanem, obrzydliwie śliniącym się stworzeniem, czarnym w pomarańczowe ciapki, który gryzł szczebelki krzesel i wabił się Randolph. Jane, najmniejsza i najlżejsza z trzech czarownic, jedyna, która opanowała sztukę latania, z niejaką werwą podjęła życie na wysokim poziomie, które otwarło przed nią urodzenie i bogactwo Nata w kręgach lepszych ludzi z Brookline, Bostonu i Cambridge.

Żrący akcent, ostry profil i gniewne oczy, jasnobrązowe jak skorupa żółwia, pozwoliły jej się zmiksować z tym ugrzecznonym środowiskiem jak kapka brandy z gęstym, śluzowatym sosem, ale pikanterii wszystkiemu dodawała jeszcze jej niewidzialna druga strona, ten mrok, na którym się posadowiła, żar i brud, które wyrwały jej drogiego, androginicznego Nata Tinkera z odrętwienia zafundowanego mu przez własną matkę i sprawiły, że ożenił się z rozwódką z dziećmi, których miejscowi plotkarze nie zdążyli się doliczyć, bo tak prędko wykopsano je do najlepszych szkół z internatem.

Sukie, z początku raz albo dwa razy do roku, a potem coraz rzadziej odwiedzała Jane przy Clyde Street, w ceglany domu pyszniącym się wielkim łukiem, bo tam wybito jej z głowy wszelki tupet tymi wysokimi sufitami, gotycką szpiczastością, woskowym aromatem bibliotek z oszklonymi frontami i niemalże kościelnych mebli, rozpiętością mrocznej klatki schodowej, która wiodła – każdemu kolejnemu stopniowi towarzyszyła jakaś mała i ponura fotografia w ramkach, zawieszona na ścianie naprzeciwko balustrady – do podestów i sypialń przepełnionych prywatnością tak głęboką, aż zapierało jej dech, kiedy próbowała ją sobie wyobrazić. Sukie, która dzięki pracy w charakterze reporterki „Słowa”, lokalnej gazety Eastwick, rozwinęła w sobie dar opisywania, zaszczepiła dla żartu w umyśle Alexandry te obrazy, wiele lat wcześniej, zanim obie przyjaciółki utraciły z sobą kontakt. I kiedy Alexandra, zaproszona listownie wykręciła numer Jane zamieszczony pod „S” w jej notesie adresowym – liczącej dziesiątki lat czerwonej książeczce rozpadającej się pod brzemieniem nieusuniętych osób, które zmarły, zmieniły adres albo padły ofiarą niepamięci – odległy sygnał telefonu był jak luna żarzących się węgli w opustoszałej grocie.

Ktoś odebrał telefon, ale nie Jane.

– Rezydencja państwa Tinker – odezwał się pretensjonalny głos, młody i męski.

– Halo! – wykrzyknęła wstrząśnięta Alexandra. – Czy mogę rozmawiać z... – „Jane” zabrzmiałaby zbyt poufale, a z kolei „pani domu” mogła oznaczać matkę Nata, również wdowę – z Jane Tinker?

Lodowaty głos odpowiedział na jej pytanie innym pytaniem:

– A mam przekazać, że kto dzwoni?

– Proszę jej przekazać, że dzwoni Alexandra. – Po czym dodała niepotrzebnie: – Jesteśmy przyjaciółkami z bardzo dawnych czasów. – Co to obchodziło tego przemądrzałego chłoptasia?

– Sprawdzę, czy pani Tinker jest osiągalna.

Jakby przebywanie w domu i osiągalność to były dwie różne rzeczy. Alexandra próbowała wyobrazić sobie Jane na szczycie tych szerokich, mrocznych schodów, uwięzioną

w żałobie, chronioną kozuchami starych pieniędzy. Pokonała długą drogę od tamtego walącego się parterowego domu, stojącego na podmokłej ćwierci akra w dzielnicy Cove, i jego ponurego modernizmu typowego dla lat pięćdziesiątych, obrośniętego pseudopurytańskimi szafkami, podrabianymi szewskimi ławami i przełącznikami światła w formie ramion do pompy wodnej wykonanymi przez poprzedniego właściciela, bezrobotnego inżyniera mechanika. To właśnie w tej kuchni, w obecności dzieci o brudnych buziach, które stale wchodziły i wychodziły, wszystkie trzy rzuciły urok na Jenny Gabriel.

Mimo że tamte dni wydawały się oddalone o całą wieczność, głos Jane, kiedy podeszła do telefonu, był nieco zmieniony – nadal pobrzmiwał w nim dawny, okarżycielski jad, jakby spotęgowany obecnie odrobiną alkoholowej chrypki.

– Lexa! To naprawdę ty?

– A kto inny, kochaniutka? Napisałaś na swojej kartce, że mam do ciebie zadzwonić. Z przykrością przeczytałam o twoich smutnych przejściach. Nat był z pewnością uroczym człowiekiem, żałuję, że go nie poznałam. – Te słowa przygotowała zawczasu.

– Ale przecież napisałam do ciebie dwa miesiące temu – oskarżyła ją Jane.

– My z Zachodu jesteśmy powolni. Nie byłam pewna, czy napisałaś to szczerze.

– Jasne, że napisałam to szczerze. Przez trzydzieści lat nie było dnia, żebyś się nie przespacerowała po moich myślach, ubrana na jasno i poniekąd majestatyczna.

– Bardzo jesteś miła, Jane, ale dawno mnie nie widziałaś. Moja twarz jest poorana jak twarz starej squaw, a poza tym przybrałam na wadze.

– To ty nie wiesz, laleczko, że jesteśmy zabytkami? Teraz liczy się wewnętrzna kobieta.

– No cóż, jestem wewnętrzną kobietą za grubo opakowaną w zewnętrzną. Wszędzie coś mnie kłuje.

– Brzmi to nawet kusząco – odparła Jane. – Przyjedź na Wschód. Znam cudowne ssspa i akupunkturzystę, który potrafi ująć wielu lat – dodała. Jej „s” wciąż potrafiło posykiwać. – Im więcej igieł zaboli przy wkłuwaniu, tym lepiej się poczujesz. Ja u niego zasypiam na stole, najeżona jak jeżozwierz.

Cała ona, nasza kochana żoła, pomyślała Alexandra, uśmiechając się do słuchawki.

– Ja też jestem już wdową – wyznała starej przyjaciółce. – W lipcu tego roku miną dwa lata. Miał na imię Jim. Wydaje mi się, że spotkaliście się parę razy, jeszcze w Eastwick.

– A owszem. Poznałam go, pod sam koniec, kiedy Darryl się już sypał z tą swoją żalospną maskaradą. Jim Jakiś-Tam. Nie cierpiałam go, bo zabierał nam ciebie. A co do mojego „uroczego człowieka”, to owszem, mogłabyś tak go nazwać. To był kontrakt. On

robił dla mnie miłe rzeczy i ja robiłam miłe rzeczy dla niego. On dawał mi pieniądze, ja dawałam mu dupy. Domagał się, żeby poświęcać mu mnóstwo uwagi. Rajcowały go tylko niektóre rzeczy. Mało normalne rzeczy. – Matowy, żrący głos Jane ocierał się teraz o coś... o oburzenie albo łzy. – A chrzanić to, kiciuniu – powiedziała, zamykając drzwi szafy. – Wyszliśmy z tego zwycięsko.

Alexandra próbowała sobie wyobrazić to zwycięskie wychodzenie – dorozumiane intymne szczegóły za skrytym w mroku szczytem szerokiej klatki schodowej.

– Nam też się udało – przyznała. – Kochałam Jima. – Czekala chwilę, czy Jane Tinker powtórzy jak echo to sentymentalne wyznanie, ale na próżno. Dlatego butnie dodała: – I jestem przekonana, że on kochał mnie. No wiesz, na tyle, na ile mężczyzna to potrafi. Kochanie rozbudza w nich poczucie bezradności.

W tym momencie Jane, jak to ona, zniecka zmieniając kierunek rozmowy, zaczęła chlustać sugestywnymi pochlebstwami, choć niewykluczone, że również podszytymi ironią.

– Lexa, ciebie to każdy kochał, czy tego chciał czy nie. Jesteś taka otwarta. Istna siła natury.

– Nie jestem pewna, czy jeszcze lubię naturę. Jest zbyt okrutna. A co do niekochania mnie, to bodajże moje dzieci stać na taki wyczyn. – Przyszedł jej na myśl oporny pan McHugh, podczas kanadyjskiej wyprawy poprzedniego roku, ale nie wspomniała o nim. Takie zwierzenia wymagałyby fizycznej bliskości Jane, drinków i przekąsek na małym stolczku między ich kolanami. – A co u twoich? – spytała zamiast tego Alexandra.

– Och, gdzieś tam walczą o życie – odparła Jane. – Wszyscy czworo, to tu, to tam; ssstałe zapominam, gdzie dokładnie, łącznie zresztą z urodzinami wnucząt. W ogóle nie wierzyłam, że się utrzymają na powierzchni, nieważne jak. Nie potrafiłam ich sobie wyobrazić, jak radzą sobie w pracy, z własnymi domami i małżeństwami z jakimiś obcymi ludźmi, jak wywalczają sobie podwyżki i wsiadają do tych samolotów, co trzeba, a jednak one to robią, o dziwo. Zupełnie nie rozumiałam, jak one to robią, dopóki do mnie nie dotarło, że to nie jest nasz świat, w którym muszą przetrwać, że rywalizują nie z ludźmi z naszego pokolenia, tylko walczą ze swoim światem, rywalizują z tymi samymi małymi ludzikami, z którymi chodzili do przedszkola. I że ich dorastaniu towarzyszy ta cała idiotyczna technika. A dla mnie to jest właśnie ta sfera, w której człowiek czuje się stary. Nie potrafię obsługiwać komputerów i nie cierpię wykręcać dziesięciu cyfr pod rząd. W wielkim, starym domu mojego dziadka telefon był jednym z pierwszych w tamtej okolicy i numer składał się tylko z dwóch cyfr – dwóch! Wciąż je pamiętam: jeden, osiem. Przed nami na całej wyspie założono tylko siedemnaście telefonów. I nie cierpię rozmawiać z tymi cukierkowymi, automatycznymi

głosami, które dopiero kiedy się pomylisz, zachowują się jak maszyny, powtarzając się absurdalnie. Nat wprawdzie zmusił mnie, żebym zawsze nosiła przy sobie komórkę, jak twierdził dla mojej ochrony, ale ja nigdy nie pamiętam, żeby ją włączyć, a zresztą nie wierzę, że mój głos się przedostaje gdzieś dalej, jak prawie wciskam sobie to żalosne coś do ucha. W dzisiejszych czasach widuje się te przemądrzałe dzieciaki, które ledwie co skończyły szkoły biznesu, a przypinają je sobie do głów i ciągle przez nie gadają na cały głos jak w jakimś transie. I na dodatek te paskudztwa są nie tylko telefonami komórkowymi, ale jeszcze robią zdjęcia i kręcą filmy. Nie potrafię tego znieść, wszystkich tych maleńkich obwodów, które są tam wciśnięte, żeby wszystko było cyfrowe, to gorsze niż nasze mózgi, które już i tak są popieprzone. Ale lubiły przyjeżdżać do domu – ciągnęła, gwałtownie przeskakując z powrotem na temat swoich dzieci – żeby się obijać i wypełniać całe drugie piętro zapachem haszyszu czy jakąś tam inną kontrolowaną substancją tygodnia, dopóki nie sprawiły sobie własnych domów i dzieci, o dziwo, jak już powiedziałam. Lubią Nata. Uważały, że jest fajny; nazywały fajną tę kompletnie nefajną, małą, wypchaną koszulę. To naprawdę bolało, przyznaję. A on uwielbiał, jak były blisko, bo był za bardzo infantylny, żeby ożenić się wcześniej i mieć własne dzieci.

– Z moim też tak było! – musiała się wtrącić Alexandra. Zapomniała już, jaka zrzędliva potrafi być Jane, jak bardzo potrafił ją opętać własny, niewyparzony język, chęć narzekania na cały świat. – Moje dzieci szalały za Jimem, a i on chyba też lubił być z nimi, dopóki nie zaczęło im odbijać albo nie poszły na studia. Tak jakoś pomogło, że nie były jego dziećmi. Przyszło ci kiedyś do głowy, Jane, że mężczyźni, z którymi miałyśmy dzieci, nadawali się tylko do tego? Coś w rodzaju wyspecjalizowanej funkcji, jak w przypadku pasożytów i ukwiałów? A dopiero potem naprawdę wyszliśmy za męża, po raz drugi.

– Wyspecjalizowana fikcja – powiedziała Jane.

To była kolejna z jej wad, słabość do gier słownych, którymi zamęczała w samym środku cudzych wywodów. A jednak podczas rozmowy z Jane Alexandra czuła się pokrzepiona jak nigdy podczas jakiegokolwiek interakcji z drugą kobietą, w ciągu tych trzydziestu lat, odkąd trzy rozwódki poszły każda w swoją stronę.

– Och, Jane! – wykrzyknęła w przypływie irracjonalnej wdzięczności. – Musimy koniecznie się spotkać, teraz, kiedy jesteśmy wdowami.

– Przyjeźdź tu, kochana. Dom jest ogromny, a moja teściowa nie wychodzi ze swojego pokoju, otoczona dniem i nocą przez pielęgniarki, które karmią ją mlekiem z piersi i mielonymi gruczołami małą czy czymś w tym stylu. Od pogrzebu Nata prawie jej nie widziałam. Ma ponad sssto lat, to koszmar – jakbym miała dwugłową teściową; ludzie

nabijają się ze mnie. Chciałabym móc powiedzieć, że nie mogła mnie ścierpieć za tupet i że zatrula mi moje tutejsze życie, ale tak naprawdę to potajemnie jej ulżyło, że zabrałam jej Nata; zaliczał się do tych mężczyzn, którzy są tak słabi, że potrzebują oparcia nie jednej, ale dwóch silnych kobiet. Był jej jedynym dzieckiem i tak sobie myślę, że dla jej pokolenia posiadanie dzieci stanowiło czynność niezbyt naturalną, wręcz dziwną, coś, co się robiło, bo rodzice i ich rodzice robili to wcześniej; w przeciwnym razie nie byłoby żadnych przodków. Zanim upodobniła się do nietoperza, mówiła takie niesamowitości, od których zbierało mi się na śmiech. Właściwie to... – Głos Jane przycichł, przeradzając się praktycznie w szelest; Alexandra musiała nadstawiać ucha, żeby coś słyszeć – ...kiedyś się zastanawiałam, czy ona przypadkiem też nie jest... – Słowo uwięzło jej w gardle.

– Czarownicą? – dokończyła za nią Alexandra.

Jane nie potwierdziła.

– Kiedyś unikałam widoku jej w dezabilu, ze strachu, że zobaczę sztuczny cycek – powiedziała zamiast tego.

– Jane! – odruchowo krzyknęła Alexandra, zszokowana i podniecona. – Ty nadal wierzysz w te straszne, średniowieczne bzdury!

– Wierzę w to, co jest – padły słowa też wypowiedziane przyciszonym głosem, ale skwierczące przy wszystkich syczących głoskach – i mam to gdzieś, czy jest ssstraszne czy nie. Ale mówię poważnie: przyjedź do mnie, kotuś.

Mroczny, stary dom, mroczna, stara przyjaciółka.

– To tak daleko – odparowała Alexandra. – Tu, gdzie jestem, jest tyle słońca. Masz teraz więcej pieniędzy. Może byś tak przyjechała do mnie? Mamy tu cudowne rezerwy indiańskie, dom Georgii O’Keeffe w Abiquiu, fragment szlaku kontynentalnego działu wodnego. W Santa Fe wystawiają latem niesamowite opery.

– Owszem, mam teraz trochę pieniędzy, ale to są nowoangielskie pieniądze. Nie znoszą, jak je wydawać, chyba że na cele edukacyjne. Nat zawsze coś dawał na Harvard, który wcale ich nie potrzebuje, i na Roxbury Community College, który ich chyba potrzebuje, ale z kolei politycy nigdy nie zezwolą na jego upadłość. Zmusiałam go, żeby dawał na szkołę muzyczną Berklee i na konserwatorium, mimo że wcale nie lubił muzyki sssymfonicznej. Kompletnie sztywniał, kiedy jej słuchał, zwłaszcza po antrakcie, więc musiałam go brać za rękę, żeby sprawdzić, czy jeszcze ma puls. Ta ręka była lodowato zimna, zwłaszcza podczas Brahmsa i Mahlera. Przy Mozarcie i Bachu utrzymywał się bliżej temperatury pokojowej; widziało się nawet, jak podrygiwały mu palce, kiedy tempo nabierało przyspieszenia.

– Z tego, co mówisz, wynika, że naprawdę go lubiłaś – powiedziała jej Alexandra,

starając się zarazić Jane swoim humanistycznym nastawieniem.

Jane odpowiedziała zgryźliwie, zdradzając w ten sposób, że mimo wszystko strata bliskiej osoby ją rozwścieczyła.

– No i co z tego? Co mi z tego teraz?

– A czego on by chciał? Założę się, że nie tego, żebyś siedziała w domu z jego dogorywającą matką.

– Przykro mi, złotko, ale nie chcę przyjeżdżać do Nowego Meksyku. Wszystko na zachód od Hudson jest za bardzo amerykańskie, byłabyś to wyłączyła, gdyby to była telewizja. Ale nie możesz, bo to jest za duże, żeby to ot, tak olać, hoduje całą tę nudną pszenicę, kukurydzę i krowy, jest pełne religijnych grubasów, którzy obwieszają flagami stojaki na strzelby na swoich pick-upach. Mnie to przeraża, Lexa, jak jakiś obcy kraj, tyle że jeszcze gorszy, bo tu rozumiesz język.

Podczas tego ponętnie kolczastego dyskursu Alexandra dostrzegła dla siebie możliwość wyłamania się z monotonii wdowiego życia: z tego przedzierania się przez comiesięczną lekturę obowiązkową z dziedziny „prozy artystycznej” zadawaną przez jej klub książki, z tego chodzenia na drinki i kolacyjki z „przyjaciółkami” z Taos, z tego pozostawiania gderliwych wiadomości w telefonach jej unikających ją dzieci, z tych zmagających z nadwagą za pomocą wykańczających wypraw po polach na północ od Góry Wheelera, w towarzystwie artretycznego, czarnego labradora, którego razem z Jimem wychowali od szczenięcia i nazwali Popiołkiem, bo wtedy był pokryty szarym puszkami, a zamiast oczu miał te zdumione, białe szkiełka jak husky. Jej labrador z Eastwick wabił się Węgielek. Razem z Popiołkiem wlekli się nawzajem przez wysokie trawy, połączeni smyczą, która miała nie tyle chronić drobną zwierzynę przed psem, co raczej chronić psa przed kojotami. Alexandra nosiła przy sobie kolta kaliber.45, należącego dawniej Jima, na wypadek gdyby napadło ją jakieś stado. Ale z kolei podmiejskie szosy pięły się coraz wyżej między wzgórze i stara kobieta w dżinsach i skórzanej kurtce, z na poły posiwiałymi włosami, wynędzniałym psem i czterdziestką piątką przypasaną do pasa, była postrzegana przez ludzi mieszkających przy tych szlakach jako element obcy i podejrzany. Żyjesz, sama to widziała, w otoczeniu rozrastających się rzesz nieznanymi osob, dla których jesteś jednorazową zjawą przesłaniającą widok. Jedyne ktoś taki jak Jane, która znała ją z czasów, gdy była jeszcze u szczytu swej urody i wciąż szukała, potrafił jej teraz wybaczyć, że stała się zabytkiem. Uczepiła się tego połączenia cienkiego jak słomka.

– Mogłybyśmy pojechać do jakiegoś naprawdę obcego kraju – zaproponowała. – Razem.

– Dwie wesołe wdówki rozdające na lewo i prawo swe wdowie grosze – powiedziała dowcipnie Jane.

– Tamtego roku, kiedy umarł Jim, pojechałam do Kanady... – ciągnęła swoje Alexandra, sama słysząc, że dość tchórzliwym tonem.

– Kanada – wychrypiała z pogardą Jane. – Kto jeździ do tak durnego kraju?

– Ich Góry Skaliste są naprawdę piękne – słabo zaprotestowała Alexandra. – Ludzie z wycieczki traktowali mnie całkiem miło, zwłaszcza Australijczycy, ale czułam się chora od tego, że jestem sama. Chora i speszona. We dwie byłybyśmy pewnie odważniejsze i mogłybyśmy mieszkać w jednym pokoju. Może się jednak zastanowimy?

Zagnieżdżona w swym bogatym, mrocznym domu Jane nie dała się skusić.

– Nie chcę jeździć do takich ponurych miejsc jak Kanada.

– Jasne, że nie.

– Cała Ameryka Północna jest ponura.

– A Meksyk?

– Meksykanie mają z głową. Na dodatek teraz zmagają się z kryzysem społecznym. Amerykanin nie jest bezpieczny nawet w samym środku ich stolicy. Właściwie to Amerykanie nie są nigdzie bezpieczni. Świat nas nienawidzi, spójrz prawdzie w oczy. Są zazdrośni, nienawidzą nas i obwiniają o swoją głupotę, zepsucie i nieszczęście.

– Ale przecież nie recepcjoniści hotelowi. I nie kierowcy autokarów wycieczkowych. Nie wierzę, że nie ma żadnego takiego miejsca, do którego nie chciałabyś pojechać. Czy byłaś z Natem nad Nilem, widziałaś już piramidy? Albo w Chinach, widziałaś już Mur? Naprawdę nie masz ochoty zwiedzić świata, zanim go opuścimy? Jak któregoś dnia połamamy biodra, to nie będziemy mogli chodzić, a przez to również podróżować.

– Nie zamierzam łamać sobie biodra.

– Nikt nie zamierza. Ale to się zdarza. Biodra po prostu pękają jak gałeczki. Sama mówiłaś, że dzieją się straszne rzeczy.

– Tak mówiłam? Nie wydaje mi się.

– Taki był sens tego, co powiedziałaś. O tym, że świat już nie jest bezpieczny dla Amerykanów. – Alexandra zaskoczyła samą siebie, że jest taka agresywna. Już sam fakt, że znów miała w swoim życiu Jane, poprawił jej krążenie. Usłyszała własne błaganie: – Nie musisz decydować teraz. Jesteśmy znowu w kontakcie i strasznie mi się to podoba. Zastanów się nad wspólną podróżą i zadzwoń do mnie. Pojadę wszędzie, gdzie będziesz chciała, jeśli będzie mnie na to stać. I oczywiście nie na biegun południowy ani do Korei Północnej.

– Nat zawsze twierdził, że kraje komunistyczne są najbezpieczniejsze na świecie. Że

państwo skupia w swoich rękach całą broń i dlatego trzyma wszystko pod ścisłą kontrolą. Co wcale nie znaczy, że dokądkolwiek jeździł. Dotarł tylko do Anglii, która była dostatecznie sssocjalistyczna.

Gdyby jeszcze trochę rozmawiały o podróżach, temat mógłby się zestarzeć w ich ustach. Alexandra, którą już rozboleł nadgarstek od trzymania słuchawki przy uchu, popchnęła rozmowę na inne tory.

– Tinker – powiedziała. – Opowiedz mi coś o tym nazwisku. Czy na pokładzie *Mayflower* byli jacyś Tinkerowie?

– Tinkerowie witali *Mayflower*. Tinkerowie przybyli wiele lat wcześniej, szalupą.

– Och, Jane. Jak dobrze posłuchać twoich dowcipów. Tutaj wszyscy znajomi w moim wieku są tacy poważni, rozmawiają wyłącznie o lekarstwach, nieruchomościach i o żalonym poziomie, na jakim rząd wspiera artystów.

A jednak zanim Jane oddzwoniła do niej, minęło tyle czasu, że Alexandra w końcu nie rozpoznała tego złowieszczonego głosu.

– Egipt – tak brzmiało jedyne słowo, które wypowiedział ten jakby męsko brzmiący głos.

Alexandra była tak wstrząśnięta, że zdołała jedynie wyjąkać:

– S-słucham?

– Powinnyśmy jechać do Egiptu, mój ty głuptassku – wyjaśnił jej głos, ze zniecierpliwioną nutą, która dawała jasno do zrozumienia, że mówi Jane Smart.

Alexandra miała trudności z myśleniem o niej jako o Jane Tinker.

– Ale Jane, czy to bezpieczne? Czy nie jest tak, że wszystkie kraje arabskie są niebezpieczne dla amerykańskich turystów?

– Po pierwsze, Lexa, Egipcjanie to nie Arabowie. Uważają Arabów za przerażających, postrzelonych ludzi, tak samo jak my. Większość z nich to muzułmanie, to prawda, aczkolwiek wyższe klasy to agnostycy, tak samo jak u nas, i jeszcze jest tam trochę chrześcijan koptyjskich.

– Ale czy Mohamed Atta nie był Egipcjaninem? I czy nie zdarzały się masakry wśród turystów?

– Pytałam o to w biurze podróży – odparła Jane swym najbardziej kamiennym, twardym głosem. – Dali mi broszurę. Mam ją tutaj. Otóż zdarzały się incydenty – siedemnastu greckich turystów w kairskim hotelu, w 1996 roku, dziewięciu Niemców w tym głównym muzeum w 1997. Później tego samego roku doszło do najgorszego – pięćdziesięciu

ośmiu zagranicznych turystów, w tym trzydziestu pięciu Szwajcarów oraz czterech Egipcjan zostało zabitych w Luksorze, pod wyjątkowo piękną świątynią pewnej starożytnej królowej. Ale jakoś nie było żadnych Amerykanów, a poza tym policja egipska działała bardzo sprawnie, bo dość prędko zabili wszystkich sześciu terrorystów. Jeśli turyści będą się bali dokądś jechać, Lexa, będzie to znaczyło, że się pogodziliśmy z wygraną terrorystów. Egipska gospodarka ucierpi, a tego właśnie chce islamski dżihad czy jak to się tam nazywa. To coś chce ubóstwa, ignorancji i desperacji, bo w ten sposób ludzie staną się bardziej religijni. Nie chce natomiast pokojowych działań globalnego targowiska i jego modernizującego wpływu. A już bardzo nie chce edukacji kobiet, która jest kluczem do wszystkich dobrych i postępowych zjawisk na świecie, poczynając od obniżenia przyrostu urodzeń, a kończąc na walce z AIDS. Nie potrafię uwierzyć, że jesteście przeciwko temu wszystkiemu, Kochaneńka, ty, Osama bin Laden i mułła Omar.

– Och, Jane, jasne, że nie jestem przeciwna wycieczce do Egiptu, przecież to ja ci podsunęłam ten pomysł. Chodzi tylko o to, że wyprawa w te strony, w tak niespokojnych czasach, potrafi wzbudzić lęk.

– Sytuacja nigdy nie będzie spokojna, jeszcze bardzo długo – odparła Jane, z niejakim zadowoleniem podyktowanym złościwością i fatalizmem.

Kiedy tak Alexandra słuchała tego głosu z dalekiego, złowieszczonego domu, posykującego, ostrego głosu z przeszłości, jej wzrok spoczywał na wyrazistych rozbryzgach południowo-zachodniego słońca oblewających jej stolik ze szklanym blatem, z leżącym na nim stosem lakierowanych książek o sztuce, i kilim Nawahów utkany z twardej wełny we wzór w paski – czarne, czerwone, zielone i brązowe – a wykończony frędzlami, które rzucały małe, kędzierzawe cienie na płytki podłogi w kolorach ziemi. Jej serce stawiało opór pomysłowi opuszczenia tej bezpiecznej wyspy pełnej dobrze znanych powodów do zadowolenia. Na półkach i parapetach tego słonecznego pokoju stały garnki Jima, delikatne barwą i kształtem, a każda tkanina i wszystkie solidne, praktyczne meble zostały wybrane przez nią, po namyśle i po dyskusji z Jimem, w trakcie zakupów dokonywanych dla przyjemności. Na Wschodzie meble wyrastały dookoła niej niczym grzyby, tworząc wspólnie miszmasz ze spadków, śmieci i zapchajdziur; jej dom był przystankiem po drodze, niczym jeden z etapów dorastania jej dzieci, którym trzeba było dostarczyć nowych ubrań, zabawek, sprzętów i lekcji, nie wiadomo zresztą po co, bo na kolejnym etapie i tak żądały czegoś zupełnie nowego. Tutaj, w górskim, suchym Taos, jej ukochanym Taos, osiedliła się na dobre i już nie musiała niczego zmieniać. Ale potem zmarł Jim, pozostawiając jej w spadku konieczność dalszego pracowania nad procesami życia.

– Jane – powiedziała, walcząc o odpowiedni moment, w którym mogłaby odmówić w taki sposób, by nie zerwać nieodwracalnie więzi ze swoim dawnym ja, kiedy mniej się bała nowych możliwości – mieszasz mi w głowie.

– Ty zawsze taka byłaś, Alexandro. Zawsze. Nie znosiłaś przejmować inicjatywy. Sama zobacz, jak długo pozwalałaś, żeby cię posuwał ten tłuścio i groteskowy włoski hydraulik. Zapomniałam, jak się nazywał, zawsze nosił ten kapelutek z idiotycznym, wąskim rondem, jakby chciał dać do zrozumienia, że nie jest hydraulikiem, tylko jakimś panem na włościach.

– Joe Marino – przypomniała jej Alexandra i już samo to imię rozgrzało ją wspomnieniem jego ciała, kępy ciemnych włosów w kształcie motyla porastającej plecy, smaku obfitego potu, słono-słodkawego jak nugat. Przed oczyma wyobraźni wykwitła jej jego mięsista twarz, kiedy przyjeżdżał do niej po kryjomu i kiedy opuszczał ją później, już nasycony, ale też po kryjomu – tylko właściwie dlaczego miasto patrzyło krzywo na to, że furgonetka hydraulika stale parkowała przed jej starym domem przy Orchard Road, z tymi przegniłymi rurami i instalacjami? Miał haczykowaty nos i lubieżne oczy renesansowego księcia, ale na jego twarzy malował się nieodmiennie wyraz lekkiego zmieszania, niezależnie od tego, czy zgłębiał tajniki jakiegoś antycznego zaworu, czy też próbował jakoś dopasować ją, swoją czarownicą kochankę, do sieci rodzinnych powiązań nękających jego katolickie sumienie. Tłumaczyła mu, żeby się nie przejmował, tylko korzystał z niej: była darem, natura jest pełna darów, korzystanie z niej nie odbierało niczego Ginie, jego żonie i matce jego pięciorga dzieci; on jednak nie bardzo potrafił się uwolnić od swego chrześcijańskiego bagażu, tego wielkiego „Nie” mówionego naszym pozbawionym skrupułów apetytom. – Ja zawsze uważałam, że to rondo jest urocze – próbowała bronić Joego.

– Ty tak. Moja piękności, spójrzmy prawdzie w oczy: byłaś łatwa. Nie tak bardzo jak Sukie, ale dla niej sssypianie z kim popadnie było tym samym, co zbieranie informacji. Ty natomiast ryzykowałaś i wiecznie płaciłaś złamanym sercem. Darryl złamał ci serce, bo się nie oświadczył.

– W ogóle się nie spodziewałam, że to zrobi.

– Mi też złamał. Też się nie oświadczył. A potem się okazało, że nie jest z tych, którzy się oświadcniają.

– Ha. Jak tak sobie przypomnę tamte stare czasy... Nie cieszysz się, że to już za nami? Ten seks, ten brak snu, te wszystkie bezlitosne knowania.

– Powiadasz? – spytała złowieszczym tonem Jane.

– Jane, jesteśmy stare. Nikt nas nie chce, wyjąwszy nasze wnuki przez pierwsze pół

godziny wizyty. Mnie to się kojarzy z wypuszczeniem na wolność.

– Nie jesteśmy wolne. Nigdy nie jesteś wolna od pragnień. Sam Smart zwykł mi powtarzać: cipa jest bardzo wrażliwa, ale niezbyt rozgarnięta. Za mało wie, żeby dać sobie spokój.

– A, ten Sam. Szczerze powiedziawszy – wybacz mi, Jane – jakoś nie mogłam się do niego przekonać. Był...

– Przemądrzałym typkiem – wtrąciła Jane.

– Za to Sukie... dobrze, że o niej wspomniałaś. Co tam u niej? Pewnie widujecie się od czasu do czasu, Connecticut jest tak blisko.

– Nie tak blisko, jak ci się wydaje. Dzieli nas Rhode Island. A przedtem dzieliły nas ciężkie do pokonania różnice społeczne. Tamten klaun ze Stamford, za którego wyszła – zajmował się komputerami w czasach, kiedy jeszcze to były takie wielkie skrzynie i tylko rząd było na nie stać, ale potem stały się mniejsze, tańsze i zrobił fortunę na początku lat osiemdziesiątych na jednej z pierwszych elektronicznych maszyn do pisania, ale potem do gry wszedł IBM z groszowymi pecetami i facet znowu musiał walczyć o przetrwanie. Tak czy owak, był zbyt nuworyszowski i zbyt przebojowy jak na gust Nata, dlatego iskrzyło podczas tych nielicznych okazji, kiedy spotykaliśmy się we czwórkę – pamiętam takie jedno sztywne spotkanie na górze, u „Ritza” przy Arlington Street, kiedy jeszcze podawali na górze, i jeszcze jedno w Nowym Jorku, kiedy Nat miał kolejne pompatyczne posiedzenie zarządu, podczas którego jak zwykle przepuszczali pieniądze akcjonariuszy na fantazyjnych kolacyjkach i biletach lotniczych. Lennie – tak miał na imię – wydał nam się agresywny i parweniuszowski, a poza tym podejrzewam, że raczej nie dochowuje wierności Sukie. Ona zaś w ramach ucieczki zabrała się do pisania tych romansów, które są gorzej niż okropne, to tak naprawdę pornografia, kompletna żenada, mimo to stale przysyła mi egzemplarze. Dlatego rozstałyśmy się jak najszybciej.

– Jej mąż jeszcze żyje?

– A niby czemu miałby nie żyć? Powiem ci szczerze: jemu brakuje klasy, żeby miał już umrzeć.

Ta uwaga dopiekła do żywego, bo zawierała domniemanie, że śmierć Jima, podobnie jak śmierć Nata, stanowiła sposób na taktowne wycofanie się. Jane nie chciała, żeby Alexandra kogokolwiek kochała. Alexandra, kierując się lojalnością wobec Jima i wobec Joego, zdobyła się na odwagę i oświadczyła butnie:

– Moja droga Jane, jakoś nie wyobrażam sobie, że mogłabym jechać z tobą do Egiptu. Ja się za bardzo boję tam jechać i szczerze mówiąc, mogłabym nie udźwignąć kosztów.

– Ależ co ty wygadujesz! Oni te rejsy po Nilu rozdają niemal za darmo, byle tylko skłonić mieszkańców Zachodu do przyjazdu. Zastanów się nad tym, Lexa, przelot nad Saharą, kiedy w Bostonie jest poniżej zera, a Taos jest pełne hałaśliwych narciarzy i snowboardzistów. Właśnie snowboardziści przegnali nas z naszej zimowej chaty na górze Loon. Nat wykonywał akurat powolny slalom, kiedy dwóch chłopców zrobiło z niego mięsko w snowboardowej kanapce. Przeżył, ale potem już nie było mowy, żeby jeździć tam na nartach. Tamtejsi strażnicy zwieźli go na dół w toboganie, opatulonego jak niemowlę albo raczej mumia – to był cios dla jego godności, z którym już się nigdy nie pogodził, moim zdaniem. Och proszę, Lexa, bądź dla mnie łatwa. Nie zostawiaj mnie na lodzie, praktycznie zamieszkałam w biurze podróży. Powiedzieli, że jeśli zapiszemy się teraz, to uda nam się wstrzelić w ramadan. Egipt jest najbardziej romantyczny podczas ramadanu. Podobno sporo ludzi się wycofało, kiedy wykryli to gniazdo terrorystów w Kanadzie, albo może to było w New Jersey.

– Wierzę – odparła Alexandra. – Jane, co tam jest dla nas? Dlaczego nie miałybyśmy pojechać do Włoch i przez dziesięć dni oglądać dzieł sztuki i małych, górskich miasteczek?

– Tajemnica – odparła Jane podróżniczym barytonem. – Sssnks i sens ukryty w piramidach. Ciebie to nie fascynuje? Największe z wszystkich budowli świata, i to zaraz na samym początku cywilizacji, jak i dlaczego?

– Myślałam, że te tajemnice już wcale nie są takie wielkie. Kamienie wyciągane jeden po drugim z kamieniołomów: oto odpowiedź na twoje „jak”, z kolei zapewnienie faraonowi życia po życiu to odpowiedź na twoje „dlaczego”.

– Lexa, musisz tak szydzić? Celem było uchronienie ciała zmarłego przed uszkodzeniem albo zakłóceniem jego spokoju i pomieszczenie wszystkich zapasów, które on albo, mówiąc dokładnie, jego *ka* miało potrzebować.

– Jego co?

– Jego *ka*. Jego dusza, można tak to przetłumaczyć, choć kryją się za tym kwestie bardziej praktyczne, ale też bardziej skomplikowane. I jest jeszcze *ba*. Jeśli jesteś starożytnym Egipcjaninem, twoje *ka* zostaje stworzone w tym samym czasie, w którym żyjesz, na innym kole garncarskim, przez boga Chnuma – chyba dobrze to wymawiam. To nie dokładnie to samo co *ba*, twój duch, którego wyobraża się w postaci ptaka, bociana. *Ka* pojawia się wśród hieroglifów jako brodata ludzka postać nosząca koronę utworzoną z dwóch ugiętych rąk. A czasami jest przedstawiane po prostu jako dwie ręce.

– Strasznie przygnębiająco to brzmi, Jane. Religie innych ludów często są przygnębiające, nie uważasz? Religie innych ludów sprawiają, że nawet twoja wydaje się

idiotyczna.

– Ja tylko odpowiadam na twoje pytanie, nie staram się ciebie nawrócić. Nie musisz nic wiedzieć ani też nic robić, tam się tylko wsiada na statek, ogląda krajobrazy i schodzi na brzeg przy różnych świątyniach, na dzień albo dwa. Klimat będzie boski, podobnie jedzenie, pod warunkiem że nie tykasz sałaty czy innych surowych warzyw i myjesz zęby jedynie z użyciem butelkowanej wody.

Im więcej Jane mówiła, tym prawdziwsza stawała się wizja tej podróży, o którą się człowiek nie prosił. Alexandrze spodobała się idea naszego istnienia tworzonego na kole garncarskim, zataczającego wilgotne kręgi w swych brunatnych sokach. Siła przyciągania pragnień drugiej kobiety, kiedy nikt inny nie potrzebował jej tak bardzo – nawet nie jej czarujące wnuczki, z ich długimi rzęsami, błyszczącymi oczyma, zabawnie rozrastającym się słownictwem i miękkimi jak puch, jedwabście ciepłymi policzkami – skłoniła ją do rozważenia prośby Jane. Rejs po Nilu, ze wspólną kajutą, kosztował tylko 795 dolarów. Kombinacje, jakie Jim uprawiał z mniej lub bardziej autentycznymi indiańskimi wazami i misami, wygenerowały więcej oszczędności, niż myślała za jego życia. I on chował te pieniądze do skarpety, bo chciał, żeby żyła komfortowo – żeby miała dość przestrzeni w swym skurczonym, wdowim życiu, by móc sobie pozwolić na jakieś zachcianki od czasu do czasu.

I tak oto Alexandra zasiadła razem z Jane Tinker do herbaty, w hotelu utrzymanym w brytyjskim stylu, za wielką szybą, za którą majaczył ogromny, trójkątny cień Wielkiej Piramidy Cheopsa. Ten majestatyczny widok był poprzecinany pionowymi, niby-arabskimi paskami z kolorowego szkła, które chwytały w swe jarzmo jaskrawe słońce. Obie kobiety, nie zważając na dobiegające je zewsząd poszczekiwanie srebrnych sztuców i filiżanek, próbowały odtworzyć to, czego się właśnie nauczyły.

– No to sssprawdźmy – powiedziała Jane. – Największa i najwcześniejsza została zbudowana przez Cheopsa, ta odrobinę mniejsza, z wapiennym oblicowaniem, powstała dzięki Chefrenowi, a ta o wiele mniejsza, którą zaczęli budować z granitu, ale potem skończyli ze zwykłych cegieł, została zbudowana przez Mykerinosa. Co mówił przewodnik? – spytała Jane. – Zbudował najmniejszą piramidę, ale był najsympatyczniejszym faraonem.

– O ile się nie mylę, to nie miało znaczenia, czy faraon jest sympatyczny – odparła Alexandra. – Przewodnik powiedział, jeśli dobrze go usłyszałam, że tamci dwaj, ojciec i dziadek Mykerinosa, byli tyranami, ale z woli bogów Egiptem przez sto pięćdziesiąt lat mieli rządzić tyranami i ten limit w zasadzie nie został wyczerpany, dlatego wyrocznia powiedziała

mu, że będzie rządził tylko przez sześć lat. Więc chcąc jak najlepiej przeżyć te lata, pił i jadł po całych nocach. Strasznie to nużące, nie uważasz? – spytała. – Te same znajome przesady i ucisk, i to w takich odległych czasach, kiedy od świata należałoby się domagać większej niewinności.

Na temat piramid obie kobiety dowiedziały się, że zostały zbudowane na samym początku cywilizacji egipskiej, za Czwartej Dynastii, dwa tysiące pięćset lat przed Chrystusem.

– Nie rozumiem, co w tym nużącego – odparła Jane, tradycyjnie się sprzecząc. – Równie dobrze mogłabyś się cieszyć, że piramidy ciągle jeszcze stoją. Pomyśl o tym. Co w Stanach Zjednoczonych będzie jeszcze stało za cztery i pół tysiąca lat od dzisiaj?

Obie kobiet, cierpiące na zmęczenie wywołane zmianą strefy czasowej, czuły się przezroczyście i wykończone. Było gorąco, piaszczysty, pustynny wiatr utrudniał oddychanie. Poprzedni dzień na lotnisku w Kairze dla ich zaspanych zmysłów był istnym koszmarem, przez to targowanie się i wrzaski, a przedstawiciel biura podróży, który ich powitał, wydawał się podejrzany; spojrzenia jego wielkich, ciemnych oczu i skąpy, jadowity uśmiezek miały się we wszystkie strony, omijając jednak ich twarze. A kiedy pracowicie zgarnął jeszcze kilka innych osób należących do ich wycieczki, okazało się, że to osoby francuskojęzyczne, które wsiadły do samolotu w Paryżu; miały na podorzędu mnóstwo niezrozumiałych pytań i pretensji i nie stanowiły oparcia dla dwóch amerykańskich wdów. Ostrzeżone przed szykanami na lotniskach trzeciego świata, Alexandra i Jane rozdrażniły swego pospiesznego konwojenta, bo za nic nie chciały się rozstać z paszportami i biletami powrotnymi. Opieszale zastosowały się do polecenia, że mają podążać jego śladem, kiedy pokonywał jakiś zawiły, szachrajski szlak, naznaczony ukradkowymi łapówkami z papierowej waluty w pastelowych barwach, w stronę pasa bagażowego i potem do autobusu, który warcząc silnikiem, czekał na nich pod terminalem, wśród płątaniny innych, równie zapyłonych pojazdów. Autobus zastygł, a potem gwałtownie ruszył z miejsca, szatkując zakorkowane ulice w sepiowy album egzotycznych widoków, pełnych budynków w kolorze biszkoptowym, albo popadających w ruinę, albo niedokończonych.

W pokoju hotelowym odkryły, że obie wyznają skrajnie różne filozofie zmęczenia zmianą strefy czasowej: Alexandra pragnęła się przespać, choćby tylko godzinkę we własnym łóżku, Jane za to upierała się, że człowiek powinien być dla siebie bezwzględny, udawać, że czas egipski to aktualny czas jego ciała. Zamroczona Alexandra włączyła się razem z nią po ulicach w pobliżu hotelu. W powietrzu tej obcej metropolii unosiło się coś rozkosznego, zaprawionego zapachem gotowania, spalin i korzennego posmaku dymu jadłoszyru, ale

Alexandra miała wrażenie, że strasznie rzuca się w oczy, że wydaje się większa, bardziej obca i kobieca niż drobna, prędką, niewrażliwa Jane. Alexandra przyciągała spojrzenia i czuła, że ją oblepiają, podczas gdy Jane ze złością je odpychała i parła dalej przed siebie. Do tego momentu Alexandra była wdzięczna za towarzystwo: Jane przejęła na siebie konieczność podejmowania natychmiastowych decyzji i dokonywania kalkulacji obciążających samotną kobietę. Teraz jednak czuła ten lęk przed opuszczeniem i zdradą, jaki rodzi się z więzi z drugą osobą. Trudno było nadążyć za Jane, kiedy ta przedzierała się przez popołudniowe tłumy, rozkołysaną masę kaftanów i dżelab, burek i kwefów, zza których jarzył się blask żywych, rzewnych oczu przywodzących na myśl odblaskowe grzbiety żuków schwytych w pułapkę. Uliczki robiły się coraz węższe, coraz ciaśniej obrzeżone towarami wstawionymi na sprzedaż – zdobnie odrobionymi garnkami i półmiskami, suszonymi ziołami w torebkach z pergaminu, miniaturowymi sfinksami i piramidami z lśniącego, lekkiego jak piórko metalu i plastiku w krzykliwych barwach, skarabeuszami wyrzeźbionymi z szarozielonego kamienia mydlanego, a także, na kilku straganach z rzędu, całym spektrum barwionych plastików, elementami wyposażenia gospodarstwa domowego, jak wanny i wiadra, kosze na śmieci i szczotki do szorowania, zmywaki i kosze na pranie z masy imitującej plecionkę z organicznej wikliny. Pokorna prostota bijąca od tych przedmiotów codziennego użytku, niemal takich samych jak te, które można wypatrzeć pod warstwami kurzu w jakimś nędznym małomiasteczkowym sklepiku z artykułami metalowymi w Nowym Meksyku, wzbudziła w Aleksandrze poczucie wspólnoty międzyludzkiej, ale razem z nią również spotęgowaną świadomość samej siebie jako zabłąkanej, rzucającej się w oczy kosmitki. Z tych opatulonych w tkaniny, zakwefionych mrowi dookoła niej mógł błysnąć nóż, tak jak to się stało wiele lat wcześniej z tamtym noblistą, którego powieść zaczęła czytać dla jej klubu książki w Taos, ale której nigdy nie dokończyła. Albo mogła też wybuchnąć bomba, podłożona dla jakichś niejasnych, fanatycznych celów, która rozwałkowałaby i rozerwała na kawałki te wszystkie przeładowane, kruche stragany i jej biedne ciało, poharatane przez odłamki stali, eksplodowałoby razem z nimi.

Na szczęście żaden akt islamskiej przemocy nie zakłócił ich rekonesansowej przechadzki, która zakończyła się w miejscu, gdzie w skupisku straganów zaczęły się pojawiać puste przestrzenie, a kiedy światła miasta pociemniały, zredukowane do kilku błękitnawych latarni, nie tyle oświetlając chodniki, ile raczej rzucając jaśniejsze cienie na pociemniałe cegły, kamienie brukowe i skruszałe tynki, w dzielnicy, gdzie tylko nieliczne ziemiste okienka jarzyły się oznakami ludzkiej bytności, a odziani w blade szaty przechodnie przemykali się obok nich prędko i milcząco. Obie Amerykanki odszukały drogę powrotną do

hotelu i marnując okazję włożenia któregoś z kilku starannie przemyślanych „eleganckich” strojów, które sobie zapakowały, wzięły udział w zapoznawczym koktajl party i kolacji powitalnej w zachodnim stylu. Pozostali turyści, jak się okazało, byli w większości Europejczykami – Francuzi, Niemcy i Skandynawowie plus grupka Japończyków. Kilku układnie sztywnych Niemców wyszło im naprzeciw, by wymienić uprzejmości swoją męcząco poprawną angielszczyzną, a oprócz nich przedstawiło im się kilka brytyjskich małżeństw, zajmujących tę samą bezpieczną niszę wyspiarskiego rozradowania co tamci Australijczycy w Kanadzie. Za to na temat garstki obecnych wśród nich Amerykanów Jane stwierdziła konfidencjonalnie, że to same „dupki”. Zastłyszane rozmowy ich ziomków, pełne szczekliwego, lubieżnego śmiechu ze strony obu płci, zdawały się dotyczyć głównie ich wariackiego bohaterstwa, że w ogóle znaleźli się tutaj, we wrogim, muzułmańskim świecie.

Bezpieczne we własnym pokoju, Jane i Alexandra uzgodniły, że tutaj są paniami samych siebie i że będą ignorowały pozostałych uczestników wycieczki. Jane rozebrała się prędko, wsunęła do tego łóżka, które nie stało pod jedynym oknem w ich pokoju, i pięć minut później Alexandra odkryła w związku ze swą starą przyjaciółką coś, o czym wcześniej nie miała pojęcia, mimo tylu godzin spędzonych razem w Eastwick, na imprezkach, zebraniach komitetu i sabatach, przy kawie, herbacie i koktajlach: Jane chrapała. Alexandra miała za sobą doświadczenia z Ozziem Spoffordem, który okresowo cierpiał na katar sienny i potrafił się dusić podczas snu, a także z Jimem Farlanderem, który zwłaszcza gdy zasypiał pod wpływem whisky i piwa, potrafił chrapać tak głośno, że sam siebie budził, zanim ona decydowała się szturchnąć go z irytacją, co skutkowało uciszającą zmianą pozycji w kokonie jego snów. Mężów szturchać można, a kochankowie opuszczają cię przed zaśnięciem. Jane, poza zasięgiem ręki Alexandry, leżąc w swoim podwójnym łożu, oddychała głęboko z towarzyszeniem słyszalnego tarcia jakichś wewnętrznych membran, które nie znały zmiłowania. Każdy długi wdech osiągał w jakimś tajemnym miejscu pogłos, zanurzał się w nosowym rezonansie o dokładnie tym samym, stanowczym natężeniu, jakie zdaniem Alexandry, Jane stosowała w rozmowach w świetle dnia. Jane, czy spała czy nie, domagała się z nieustępliwym, niewybaczalnym uporem, żeby jej słuchano; nigdy nie potrafiła się pohamować, czy to grała na wiolonczeli, czy to uprawiała gry słowne, czy to rzucała urok. A podczas snu zasysała tlen z powietrza niewzruszonym rytmem mechanicznej pompy, jednostajnej i nienasyconej; każdy oddech zderzał się z czymś w rodzaju muru z papieru ściernego, a potem tam skrobał i gmerał, aż wreszcie zawracał, tym razem w kształcie haka, tak szarpiąc mózg Alexandry, że dodawał jej o jeden karb więcej w czuwaniu; próbowała się usnąć przez liczenie tych oddechów, a potem skupiając się na dryfującym nad nią suficie, na

którym wykwiatało stopniowo coraz mniej migoczących, kołujących światełek rzucanych z ulicy przez taksówki. Nic jednak nie potrafiło dostatecznie odciągnąć jej uwagi od świszczącej obelgi ukrytej w każdym dobitnym chrapnięciu, gdy tymczasem ciało Jane metodycznie torowało sobie drogę przez noc, gromadząc energię przed męczącymi, niezapomnianymi widokami, jakie miał przynieść następny dzień. Ta nieświadoma asertywność zdaniem Alexandry zdradzała bezlitosny animusz; zamroczona z niewyspania i rozwścieczona, zrozumiała z całą jasnością, że Jane zamordowała swojego męża, bo ten w ogóle nie spał, tylko rok za rokiem słuchał jej chrapania. Bezlitośnie wgniotła maleńkiego Nata Tinkera, z jego pieczołowicie zgromadzonymi antykami i członkostwami, w pył grobu.

W końcu, o jakiejś niewiadomej, czarnej choć oko wykol godzinie, pościel Jane zaszeleściła i jej bose stopy podreptały przez posadzkę. Leciwy pęcherz domagał się opróżnienia z wieczornych koktajli i wina, a Alexandra, niczym niegrzeczne dziecko w tym jednym momencie, kiedy nauczyciel nie patrzy w jej stronę, wymknęła się, przy wtórze splukiwanej w oddali toalety, w uzdrowicielską utratę świadomości.

Bynajmniej nie miała w pełni wypoczętego mózgu, gdy próbowała się zmierzyć z zagadką Wielkiej Piramidy przez zaporę ze szkła i pyłu. Najpierw objechała ją w siodle. Autokar zatrzymał się na parkingu i cała grupa przemierzyła płaski teren, po części z kamienia, po części z piasku, który przypominał Alexandrze kosmiczną powierzchnię lodowca Athabaska. Mali uliczni handlarze wytrwale machali jej przed nosem łańcuchami pocztówek składanych w harmonijkę; wyglądiali mężczyźni w brudnych szatach oferowali blondwłose wielbłądy odziane w wymęczone stroje z derek i chwestów. Doszczętnie odurzona, wpadła na pomysł, żeby uciec od tego niegościnnego otoczenia i może raz jeszcze przeżyć uwznioślającą przechadzkę po drewnianej promenadzie do Szczytu Sansona, raz jeszcze triumfalnie zdeptać powietrze nad rozlewiskiem gołębioszarych gór, kiedy natarł na nią jakiś szczególnie żaloszny poganiacz wielbłąda: proponował przejażdżkę dookoła piramidy za kilka egipskich funtów, w przeliczeniu niecałe trzydzieści dolarów amerykańskich.

Niestety, siedzenie na wielbłądzie, na drewnianym siedzisku wymoszczonym twardymi dywanikami, które służyło za siodło, w niczym nie przypominało stąpania po drewnianym chodniku na własnych dwóch nogach, a czworonożne stworzenie pod nią sprawiało wrażenie oddalonego o cały świat od doskonale ujeżdżonych i posłusznych koni, na których jeździła w młodości w Kolorado i potem jako żona swego drugiego męża w Nowym Meksyku. Wężlaste, koślawe kończyny unosiły ją zbyt wysoko, a poza tym brakowało wodzy, których mogłaby się uchwycić. Miotало nią w przód i w tył, jakby ta bestia chciała ją zrzucić, wystrzelić w przestrzeń za pomocą katapulty zada. Wielbłąd miał zbyt wiele stawów,

a jego mózg, podobnie jak jej mózg, uczestniczył w tej pracy jedynie na pół gwizdka. Maleńka, zbielelała twarz Jane w dole stanowiła lustrzane odbicie jej przerażenia, a ona sama miała wrażenie, że posadzono ją na najprawdziwszej turbulencji, cuchnącej i włochatej – na katarakcie ewolucji, która dokonała raptownego zwrotu, żeby wypluć z siebie czworonoga radzącego sobie z pustynią. A jednak powodowana uprzejmością i współczuciem dla poganiacza wielbłąda, który za sprawą licznych ubytków w zębach być może wyglądał na znacznie bardziej godnego litości, niż był w istocie, trwała tak, nie protestując, gdy tymczasem horyzont kołysał się jak rozwścieczone morze, piasek wlatywał do oczu, a ogromne, sześciennie kamienie Wielkiej Piramidy, w tych chwilach, gdy robiły nagły wyskok w przód, zdawały się rozsadzać pęta grawitacji i staczać prosto na nią.

Wreszcie piramida została okrążona, a poganiacz kilkoma gardłowymi rozkazami i machinalnymi gestami bata nakazał wielbłądowi uklęknąć. Alexandra zrobiła dosłownie wszystko, byle nie pokoziołkować do przodu i nie utracić ostatnich cząsteczek godności; stanęła na stabilnej ziemi z trzęsącymi się nogami, jakby miała je obłożone lodem. Wielbłąd, którego pofragmentowany, miękki jak aksamit pysk znalazł się zniecka blisko jej twarzy, pokazał długie, żółte jak kukurydza zębiska i wyniośle trzepocząc podwójnymi rżęsami, wydał swymi absurdalnie giętkimi wargami odgłos pierdnięcia, równie zadowolony, że się jej pozbywa, jak ona jego. A po chwili dotarło do niej, że dała zbyt suty napiwek, bo poganiacz przyjął zapłatę z podejrzeniem unizonym *salam*. W poszukiwaniu jakiejś międzynarodowej formy reklamacji, wymamrotała: *Pas de quoi* i czując, że jest przegrzana i rozczochrana, uśmiechnęła się sztucznie niczym umizgująca się panienska, ale mężczyzna już się rozglądał gdzieś poza jej plecami, omiatając wygłodniałym wzrokiem innych wielbłądofobów, w poszukiwaniu następnej ofiary.

Jane wcale się nie spodobała jej odwaga i nie oklaskiwała faktu, że Alexandra wyszła z tej przygody bez szwanku.

– Ty się nie czujesz brudna? – rzuciła jej na powitanie. – Jak myślisz, ile pcheł i innych zarazków żyje w sierści wielbłąda?

Po wielu bezsennych godzinach wypełnionych torturami, które zadała jej Jane chrapaniem, Alexandra nie była w nastroju do dalszych zniewag.

– Nie przypuszczam, że jest ich tu więcej niż gdzie indziej. Jeśli zamierzasz ulegać obsesjom na punkcie zarazków, Jane, to ja nie wiem, po co przyjechałaś do Afryki. – I żeby złagodzić ten karcący ton, spytała: – Jak wyglądałam?

– Nie przypominałaś Lawrence’a z Arabii, jeśli na tym ci zależało.

– Zrobiłaś mi zdjęcie? – Zanim powierzyła siebie wielbłądowi, dała Jane swój aparat,

niewielkiego, przedcyfrowego canona. – Na tle piramidy?

– Tak, chyba tak, ale ja naprawdę nienawidzę cudzych aparatów. W środku coś trzaskało i terkotało. I nie mam pewności co do piramidy. Nie bardzo umiałam złapać właściwy kąt, a ty nawet przez sssekundę nie siedziałaś nieruchomo.

– Musisz mi to mówić? Naprawdę mam nadzieję, że tego nie schrzaniłaś, Jane. Miałabym zabawną fotkę do posłania wnukom, a bez piramidy wyjdzie z tego banał jak z pierwszego lepszego ogrodu zoologicznego.

– Daj sobie spokój z tymi wnukami. My dla nich jesteśmy nudne i żenujące. Tylko nam samym zależy na nas.

Później, kiedy już siedziały przy herbacie i popatrywały przez zasłonę z migotliwych paciorków na piramidę, zapragnęła jakoś spacyfikować to negatywne nastawienie ze strony Jane, które prędko się zakradło do ich wspólnej przygody, i dlatego spytała:

– Co myślisz o tej piramidzie? Co ona ci mówi?

– Ona mi mówi, że ludzie są i zawsze byli idiotami – odparowała Jane. – Pomyśl tylko, jakiej to wymagało ciężkiej pracy i myśli technicznej, żeby jeden człowiek mógł sobie wmówić, że przechytrzy własną śmierć.

– A nie udało mu się? Znamy jego imię, choć minęło tyle lat. Cheops. Albo Chu-fu. Jane, musisz przyznać, to coś baśniowego. Co mówił przewodnik w autokarze? Że to ponad dwa miliony bloków, ważących od dwóch do piętnastu ton? Archeolodzy do dziś nie wiedzą, jak oni postawili tutaj te kamienie.

– Bardzo prosto. Z rampy. – Kiedy Alexandrę ponosił entuzjazm, Jane zazwyczaj się nabzdyczała.

– Ale weź się sama zastanów: do zbudowania takich ramp byłoby trzeba strasznie dużo budulca i co by potem z nimi robili? A tu efekt jest taki prosty, taki elegancki – w rzeczy samej skromny. I ta druga, zbudowana przez jego syna, jest prawie taka sama duża. I jeszcze jest ta malutka, jak małe niedźwiedziątko, zbudowana przez wnuka. Uwielbiam je. Tak się cieszę, że tu jesteśmy. Czuję się mądrzejsza. Czemu ty się tak nie czujesz?

– Nie wiem – wyznała Jane. – Mnie często nie rusza to, co rusza innych ludzi. I to mnie przeraża. Jestem jak ci ludzie, którzy się rodzą bez niektórych nerwów i zjadają własne języki, bo nie czują bólu.

Alexandra poczuła impuls, żeby dotknąć Jane, natychmiast, w nagą skórę na wierzchu jej dłoni. Agencja turystyczna poprosiła je, by zakrywały ręce i nosiły długie spódnice; na całe szczęście turystki nie musiały ukrywać włosów na głowach. Wskrzeszona wiara religijna, równie monolityczna jak piramidy, była wciąż trzymana na połowiczny dystans przez

rządowe siły zbrojne.

– Nie mów tak, kochanie – poprosiła ją Alexandra. – Masz dokładnie te same nerwy co my wszyscy. Wielka Piramida nie musi ci się podobać, po prostu postaraj się czuć do niej szacunek. To był twój pomysł z tym przyjazdem do Egiptu, pamiętasz?

Na tle ostrego, pustynnego światła Jane wydawała się stara, skurczona. Na jej dłoniach wiły się niebieskie żyłki.

– Od przeszłości bije sssmrodem magii, która przestała działać – odparła. – Choć oczywiście nigdy nie działała. Jedynie dawała kapłanom więcej władzy, niż to było dla nich dobre.

– Jeśli wierzyli, że działa, to może działała. Dzięki niej mieli w sobie mniej lęku. W Eastwick, tak jak nas zapamiętałam, wierzyliśmy, że istniała kiedyś pradawna religia, zanim do akcji wkroczyli mężczyźni i przejęli ją tak samo, jak przejęli akuszerstwo i *haute couture*. To była religia natury, która nigdy nie zamierała: kobiety krzewiły ją, nawet gdy je torturowano i zabijano.

– Co ty wygadujesz? Że to kobiety zbudowały piramidy?

– Nie, ale akceptowały, przynajmniej królowe. W tych dawnych Egipcjanach jest coś delikatnego i łagodnego. Kochali naturę, przyjrzyj się malowidłom z grobowców, są na wszystkich pocztówkach, które stale nam tu wciskają: przedstawiają trzciny, kwiaty i jedzenie, bo oni chcieli, by towarzyszyły zmarłym. Dla nich życie pośmiertne było tym życiem, które miało trwać wiecznie. To właśnie mówią piramidy: Dajcie nam więcej życia. Więcej, więcej, prosimy. Budowali je takie ogromne, żeby wszyscy je widzieli – żeby widzieli, że faraon wierzy w drugie życie i że zabierze ich wszystkich ze sobą do tego życia.

– Moim zdaniem nie na tym polegał układ – stwierdziła wyniośle Jane. – Faraon był przypadkiem szczególnym. Żeglował samotnie.

– Oni byli tacy jak nasi prezydenci – obstawała przy swoim Alexandra. – My nie wybieramy ludzi, którzy nie wierzą w Boga, albo tylko udają, że wierzą. Wierzą w imieniu wszystkich. Sprawiają, że czujemy się lepiej, tak samo jak kiedyś sprawiali to jacyś okropni papieże.

Jane westchnęła.

– Dojdę do siebie, Lexa – zapewniła. – Kiedy już dotrzemy do rzeki. Nat uwielbiał przebywać na wodzie. Ja za to nie znosiłam i zniechęcałam go do żeglarstwa. Mam to na sumieniu, łącznie z całą resztą.

Niestety, na razie nie mogły wejść na pokład samolotu lecącego do Luksoru, gdzie miały się przesiąść na pokład *Horusa*, statku turystycznego, bo plan wycieczki przewidywał

jeszcze jeden dzień w bezsensownie rozległym, niszczącym Kairze; autokar powiózł je po zatkanych ulicach do rojnego dziedzińca przed wielkim muzeum zabytków faraonów. Ich grupa, tutaj skarłowaciała, przeczłapała potulnie przez zabezpieczone elektronicznie wejście, a potem przez kolejne wnętrza pełne kolosalnych bram, belkowań, sarkofagów. Oglądały faraonów o szerokich licach i obnażonych ramionach, z wysokimi kośćmi policzkowymi i niejako kocimi uśmiechami, wyobrażonych w granicie, albo różowo-szarym, albo jednolicie czarnym, wydobytych, przeniesionych, poddanych obróbce rzeźbiarskiej i pracowicie wypolerowanych przez ludzi, których oczy, ręce, a nawet kości dawno temu wyparowały z kotła czasu. Ulotny czar życia, który domaga się *więcej, więcej*, tu został uciszony przez uroczystą zadumę towarzyszącą śmierci. Parter miał najwyższe sklepienia i mieścił największe posągi. Tuż przy wejściu stał ogromny Ramzes II, kolos z rękoma przymarzniętymi do boków, ze wzrokiem utkwionym w czystym niebie własnej boskości. Gdzie indziej biodrzasty, obdarzony pociągłą twarzą Echnaton, zastygły przelotnie w spektakularnej i odstręczającej androginii, kroczył w szeleszczącej procesji faraonów, dynastii i bóstw w stronę monoteizmu i kultu słońca. Jego szerokie biodra, obwisłe, tłuste wargi i brak męskich genitaliów wtrącił Alexandrę w rozważania nad płcią – nad monstualną, ekstatyczną wymianą genów płci, które właśnie odkryto nawet w bakteriach. Głęboki i słodki sekret natury, dla niej wspomnienie już mętniejące. Na piętrze, oderwawszy się od reszty grupy, uległa niskiej pokusie obejrzenia pilnie strzeżonej sali z mumiami, jak ktoś, komu nadarza się okazja obejrzenia jarmarcznego gabinetu osobliwości. Tabliczki z tekstem po angielsku i arabsku nakłaniały do szacunku dla zmarłych. Małe, brązowe, zasuszone ciała, o dłoniach i twarzach na zawsze rozdartych ostatecznym spazmem, były opatulone jak niemowlęta, z obnażonymi maleńkimi stopkami – tak węzłastymi jak suszona wołowina, tak ciemnymi, jakby były spalone. Wzrok Alexandry spoczął na tabliczce przy szczególnie skurczonej, żalostnej mumii, z wargami wywiniętymi w grymasie i czaszką wygiętą w tył jak u astronoma. RAMZES II, informowała tabliczka. Ten od wielkiego posągu na dole. Ta sama osoba. Człowiek-bóg, który nie potrafił uratować samego siebie. Otchłanie historii, zrozumiała, są równie straszliwie zdradzieckie jak otchłanie natury.

Na górnym piętrze muzeum turyści o zmęczonych nogach i oczach oraz ich mało rozumiały, lekko kulejący przewodnik znaleźli skarby nastoletniego króla Tutanchamona, którego grobowiec, niemalże jako jedyny w Dolinie Królów, uniknął grabieży aż do czasów nowożytnych. Były więc hebanowe posągi naturalnej wielkości, które pełniły straż w komorze grobowej, oraz wachlarz króla ze strusich piór, jego gry planszowe i sprzęt myśliwski – bumerangi, pałki, puklerz – modelowe motyki, kosze i inne amulety, które miały

zapewnić chłopcu, zmarłemu w tak młodym wieku, wszystko, czego potrzebował w życiu pozagrobowym.

– Nie cierpię zbierania kłopotów, a ty? – spytała Jane u boku Alexandry.

– Jest taki moment, kiedy myślisz, że ci się przydadzą – odparła szeptem Alexandra.

Kuśtykający przewodnik tłumaczył sztywnym, piskliwym angielskim:

– Bezcenne skarby z grobowca Tutanchamona zostały odkryte przez Anglika Howarda Cartera w 1922 roku. Carter znalazł je w nieładzie, porozrzucane w różnych miejscach, jakby przez rabusiów, którym przeszkodzono w akcie przestępstwa, albo przez kapłanów, którzy wypełniali swoje obrządku w nieprawdopodobnym pośpiechu.

Kolejne duszne sale zawierały osobiste przedmioty młodego króla Tutanchamona: hebanowe posągi, zwyczajne i pozłacane, przepięknie wykonane stolce i trony, w tym ten najsłynniejszy, złoty, alabastrowe wazy, miniaturowe łódki ze z mumifikowanym jedzeniem i magicznymi symbolami, różne łoża, w tym składane łóżko polowe i dwa wielkie używane do balsamowania, który to proces przebiegał pod nadzorem miniaturowych głów bogini Hathor wyobrażonej pod postacią krowy i Tawaret, w ciele hipopotama. W jeszcze innej sali z wysokim sklepieniem dwie Amerykanki zatrzymały się przy alabastrowej kanapie zawierającej zabalsamowane wnętrzności chłopca-króla. Zakurzone skrzynie kryły zetłale tkaniny; ogłupiali turyści obejrżeli realistyczne popiersie Tutanchamona z drewna i gipsu oraz „łoże Ozyrysa”, w kształcie profilu faraona, wypełnione ziemią, na lnie naszytym ziarnem i zwilżonym, dzięki czemu miało wykiełkować w jego grobie, symbolizując zmartwychwstanie. Kolejne sale kryły sarkofag z litego złota oraz sławną i piękną złotą maskę, która pokrywała głowę mumii, skarabeusze, czerwono-złote sprzączki, kolczyki, pierścienie oraz intruza z innego, bardziej okrutnego przyszłego świata – nóż z żelaznym ostrzem. W ostatnich salach eksponowano teksty zaklęć wspierających zmarłego króla, zaczerpnięte z *Księgi Umarłych*, oraz wyobrażenia rozmaitych bóstw, które się spotyka w zaświatach. Obie kobiety niczym na widmach własnych ciał obejrzały dokładnie resztki magicznego systemu równie skomplikowanego jak bezużytecznego.

– Egipcjanie wierzyli – tłumaczył przewodnik, głosem coraz to bardziej piskliwym i zirytowanym – że osobowość każdego człowieka składa się z pięciu sfer: z imienia, z *ka*, z *ba*, serca i cienia. Przy bramie do życia pozagrobowego ważono serce zmarłego, kładąc je na jednej szali, a na drugiej kładziono pióro, pióro prawdy i sprawiedliwości. Jeśli szale się nie zrównoważyły, to serce padało łupem Pożeracza, który był hipopotamem z paszczą krokodyla.

– Jak się bawisz, laluniu? – spytała z troską Alexandra. Tej nocy chrapanie Jane nie

było aż takie głośne – nie tyle procesja wkurzających haczyków, ile monotony, chrypiący odgłos w tle, a poza tym Alexandra padała ze zmęczenia i nerwowy szok związany z podróżą powoli już wyciekał z jej organizmu, stopniowo ustępując miejsca przyzwyczajeniu i akceptacji, dlatego przyjęła z pokorą tę skazę na ciszy ich pokoju hotelowego, stwierdzając, że tu przynajmniej nie przeszkadzają jej, tak jak w Kanadzie, jakieś cichutkie dźwięki i czerwone światełka od różnych systemów alarmowych. W Egipcie najwyraźniej nie znali systemów alarmowych z czerwonymi światełkami.

– Kompletnie mi się ćmi w głowie – odparła Jane. – Ile jeszcze śmieci kryje to poddasze?

– Jane, to wszystko wykonano tak pięknie. Z takim oddaniem. Dla nich śmierć była wyprawą na Trzciniowe Pole.

– Powiadasz? Skoro tak, to po co wkładali trupa do kamiennej skrzyni, a potem tę skrzynię ukrywali w innych skrzyniach? Nie chcieli, żeby się kiedykolwiek wydostał.

– Mościli mu gniazdko – fantazjowała Alexandra. – Chcieli, żeby jego *ba* mogło wykorzystać jego ciało. Czy może to było *ka*?

To ona zainteresowała się Egiptem, to ona pragnęła teraz ratować tych kruchych starożytnych ludzi przed nimi samymi, mimo że z tą wycieczką to był ostatecznie pomysł Jane. Ale z kolei Alexandra owdowiała dobre dwa lata wcześniej, podczas gdy Jane miała zaledwie dziesięć miesięcy na adaptację. Stale wspominała Nata Tinkera, jakby mogła go przywołać swoimi zaklęciami. Jednak on też był zamknięty w kamiennej skrzyni ukrytej w innych skrzyniach.

Kiedy następnego dnia poleciały wreszcie do Luksoru, a tam wsiadły na pokład *Horusa*, było, jak zapewne z góry przewidywałyby Nat, czyli niebiańsko. Nocami, kiedy statek sunął dziarsko w stronę kolejnej przystani przy kolejnej świątyni, łomotanie silnika prawie całkowicie zagłuszało chrapanie Jane, mimo że z powodu ciasnoty w kabinie łóżka musiały stać blisko siebie. Za dnia mijały brzegi Nilu niczym zwój, który nie przestawał się rozwijać i nigdy się nie kończył. Woły dreptały w kieracie, a żurawie studzienne unosiły się i opadały niczym drewniane wiertła zaprężone do nawadniania zielonych pól, pod niebem tak jednolicie błękitnym, że sprawiało wrażenie malowanej kopuły, gdy tymczasem pasażerowie *Horusa*, ślący uśmiechy i kiwający głowami zza licznych barier językowych, pływali w niewielkim, kwadratowym basenie, który dawało się pokonać zaledwie dwoma wymachami rąk, wylegiwali się na leżakach, pili drinki, skubali orzeszki zwane tutaj *sudani* i stopniowo brązowieli na umacniającym się słońcu.

- Dlaczego Egipcjanie są tacy szczęśliwi? – spytała Jane Alexandrę ze swojego leżaka.
- Nie wiem. Dlaczego?
- Nie dotknęła ich zg-nil-izna tak jak nas.
- O matko.

Dopłynęły do Esny, na południe od Luksoru, położonej w niecce obok targowiska, na którym wystawiano na sprzedaż tak nieapetyczne części zabitych wołów jak na przykład podniebienia. Ich przewodnikiem była teraz kobieta, szykowna muzułmanka nienosząca kwefu, za to w obszernych spodniach z czarnego jedwabiu, szerokich srebrnych bransoletach i naszyjnikach, które znakomicie podkreślały oliwkowy odcień jej cery.

– Wielka tama w Asuanie – wyjaśniła – podnosi poziom wody w dolinie Nilu. Fundamenty Esny upodobniły się do warstwy rozmokłych ciastek.

Mówiła prawdę, grunt pod ich stopami był miękki, niemal błotnisty. Następnego dnia wysiedli przy położonym na urwisku spalonym słońcem Edfu, gdzie znajdowała się najlepiej zachowana z wszystkich świątyń Ostatniej Dynastii.

– Zwróćcie uwagę na tyłki, cycki i pępki – tłumaczyła im przewodniczka, migocząc upierścienionymi palcami w stronę delikatnych reliefów – po których rozpoznajemy styl śródziemnomorski. Rzeźbiarze próbowali stosować dawne konwencje, ale ich dłonie i oczy im na to nie pozwalały. Zaokrąglali kończyny, pokazywali kolana i małe palce u stóp. W dawnym stylu, zawsze dążącym do ideału, obie stopy były identyczne, z wielkim palcem wycelowanym w stronę patrzącego. Artyści starożytnej Grecji i Rzymu nie mogli tego robić, to było niedorzeczne. Ukazywali jedną stopę z małym palcem w stronę patrzącego, tak jak to jest. Herezja!

Zaśmiała się, błyskając olśniewającymi zębami spod wielkich okularów słonecznych i wywiniętego runda słomkowego kapelusza, który spoczywał idealnie poziomo na jej głowie. Następnego dnia trafiły do uroczego Kom Ombo, podwójnej świątyni Sobka, boga-krokodyła, i Haroerisa, czyli Horusa Starego, przedstawianego z głową sokoła, który toczył bój ze swym stryjem Setem po tym, jak ten zabił jego ojca, Ozyrysa. Przewodniczka, z połyskującymi bransoletami i giętkim srebrnym kołnierzem, zaprowadziła je do sali, której sklepienie zdobił wizerunek bogini nieba Nut, rozciągniętej na nieboskłonie i jednym końcem rodzącej małego Horusa, czyli Harpokratesa. Następnego dnia statek dopłynął do świątyni File, przeniesionej kamień po kamieniu na wyspę, by uchronić ją przed wodami podnoszących się wód Jeziora Namera.

– To było ostatnie miejsce, gdzie praktykowano dawną religię – powiedziała im przyciszonym głosem przewodniczka. – Jako świątynia przetrwała do szóstego wieku naszej

ery, przez dwieście lat po edykcie chrześcijańskim wydanym w 378 roku przez Teodozjusza Pierwszego. Potem utworzono tu kościół. Tutaj – wskazała swymi oberżynowymi paznokciami niemal nieczytelną, małą rzeźbę – Izyda karmiąca piersią Horusa stała się Matką Boską karmiącą Jezusa. Kult Izydy szerzył się w całym cesarstwie rzymskim. Była doskonałą wdową, która zebrała czternaście z piętnastu części ciała swego męża, ukrytych przez złego Seta w sarkofagu zatopionym w Nilu. Piętnastej części nigdy nie znalazła. Panie zapewne się domyślają, cóż to mogła być za część.

Statek dowiózł je do Asuanu, gdzie znajdowała się wielka tama zbudowana przez Rosjan, grobowiec Agi Khana i ogrody lorda Kitchenera, przy których cumowała malownicza feluka, z obwisłym zgrzebnym żaglem na tle krwistego zachodu słońca. Kiedy obie wdowy usadowiły się na pokładzie i czekały, aż dzwonek wezwie je na kolację, po ciemniejszym niebie fruwały nietoperze. Jane wyciągnęła rękę w ich stronę i głosem ostrzejszym i głębszym niż zwykle wygłosiła śmiercionośne słowa:

– *Mortibus, mortibus, necesse est. Tzabaoth, Elchim, Messiach i Yod: audite!*

Na tle optymistycznego rumieńca zachodniego nieba – niebo od wschodu było już czarne i pocętkowane wschodzącymi gwiazdami – Alexandra zauważyła, że jedno z tych maleńkich, czarnych stworzeń, które fruwały tam i z powrotem, polując na insekty, nieruchomieje podczas gwałtownego ruchu i spada niczym mała, popsuta parasolka do nieruchawej, srebrzystej rzeki.

– Jane! – wykrzyknęła Alexandra. – Czemu to zrobiłaś?

– Żeby sprawdzić, czy jeszcze potrafię. Ciutkę mnie wkurzyły te wszystkie sztuczne czary na murach świątyń.

– Biedny, niewinny nietoperz. Dla niego to nie było jakieś tam „ciutkę”.

– Nie bądź taka sentymentalna, aniele. Dobrze wiesz, że natura to gulasz bez serca. Pomyśl o wążkach, które właśnie uratowałam przed śmiercią w paszczy nietoperza, pełnej obrzydliwych, ostrych zębów.

– Och, Jane. Po tym, co zrobiłyśmy biednej Jenny, nie mogę znieść myśli, że coś w tym jest. W klątwach, zaklęciach i tak dalej. Strasznie chcę wierzyć, że nic nie zrobiłyśmy.

– Weszła na teren prywatny – stwierdziła Jane, z tym samym złowieszczym poświstem, z którym wypowiadała frazę *necesse est*. – Naruszyła granice przyzwoitości.

– Ona nic nie zrobiła, prócz tego, że powiedziała „tak”, kiedy Darryl jej się oświadczył. I powinniśmy się cieszyć, że nie oświadczył się żadnej z nas, biorąc pod uwagę, jak się na końcu rozsypał.

– Gdyby się oświadczył jednej z nas, to może jednak by się nie rozsypał.

– Powiedziałam, że się rozsypał, ale tak naprawdę to nigdy nie wyglądał na dobrze poskładanego. Był chodzącą blagą – stwierdziła Alexandra lekko zadufanym tonem.

– Darryl był, a Horus nie był? Naprawdę, moja miła, ci dawni egipscy kapłani pewnie pękali ze śmiechu na myśl o tym, jakie kity udaje im się nam wszystkim wciskać, nie na jeden dzień czy tydzień, ale na całe tysiąclecia! Co mówiła przewodniczka w Edfu, pamiętasz? Że tylko sam Ramzes III ofiarował tysiąc pięćset kilometrów kwadratowych świątyni Amona w Tebach! Dziesięć procent całej ziemi uprawnej w tamtych czasach? Nic dziwnego, że pchali się tam wszyscy, Nubijczycy, Hyksosi i kto tylko. To była wyjątkowo chora sytuacja.

Ta myśl zawisła tam, w idealnie nieruchomym powietrzu, przez co Alexandrze się zdało, że słyszy piskliwe, wysokie zawodzenie pozostałych przy życiu nietoperzy, wściekle pracujących swymi sonarami. Czarnowłosa Jane mocno się opaliła nad Nilem i jej twarz zlewała się teraz z mrokiem. Jej obecność na skrytym w głębokim cieniu tylnym pokładzie zdradzał jedynie uśmiech, błysk biżuterii na szyi i lśniący półksiężyc kieliszka z daiquiri.

– Ciekawe, co też czują barmani i kelnerzy – powiedziała Alexandra – kiedy tak cały czas pompują w nas alkoholowe drinki?

– Brzydzą się nami – zgodziła się z nią Jane. – A jednak przyrządzają je znakomicie. Moje daiquiri jest wyśmienite. A jaka jest twoja whisky sour?

– Faktycznie niezła. Ciekawe: tu jest cała populacja muzułmanów żyjących z obsługiwaniami mieszkańców Zachodu, którzy zostaną bezrobotni, kiedy Al-Kaida przejmie władzę. Czy raczej zostaną zgładzeni jako niereformowalnie nieczyści?

– Al-Kaida nie przejmie władzy. Znajdź mi kogoś, kto by chciał tego, co mają do zaoferowania?

– Nie ty i nie ja, ale może... prosty lud? Biedni, nieszczęśliwi i tak dalej. Oni potrzebują religii, niezależnie od kosztów. Dlatego się zastanawiam, czy ty nie jesteś zbyt surowa dla starożytnych egipskich kapłanów.

– A mnie to zastanawiają ci Żydzi – oświadczyła Jane, zaczynając już mówić od rzeczy, bo nad jej językiem przejął władzę rum. – Jak to się stało, że po uszy utonęli w religii? Niby tacy przemyślni, sprytni, a tymczasem Abraham omal nie poderznął gardła własnemu synowi, bo Bóg mu tak kazał. Co za idiota!

– Czytałam gdzieś, że ta cała Niewola i Exodus wcale nie były zdarzeniami historycznymi. Mojżesz, morze trzciny, „wypuść mój lud”... nie znajdziesz tego w egipskich dokumentach.

– Ja i tak nigdy w to nie wierzyłam – odparła Jane. – W ani jedno słóweczko. Nawet jako małe dziecko. Nat był religijny, należał do Kościoła episkopalnego jak jego durna matka,

ale ja z nim chodziłam tylko na śluby i pogrzeby, bo ta hochsztaplerka doprowadzała mnie do szału. Chcę być skremowana, zakopana w ziemi i niech się inni w to nie mieszają, tylko cieszą, że to nie oni. Nie będzie żadnego głędzenia, Lexa. Obiecuj.

– Jane – powiedziała jej przyjaciółka – za dużo od nas wymagasz. Od nas wszystkich.

Jane może coś by jej odparowała, ale akurat rozbrzmiał dzwonek na kolację, piękną melodyjką, której pierwsze sześć nut brzmiało jak *Oh Come, All You Faithful*, choć prawdopodobnie melodyjka bynajmniej nie nawiązywała ani do tej kolędy, ani do żadnej innej.

Tamtej nocy, z towarzyszeniem terkotania silników i kotłowania się wody, które wybudziły Alexandrę z jej pierwszego głębokiego snu od wieków, statek odbił od przystani, zawrócił i popłynął do Luksoru, spiczastych obelisków i zaokrąglonych świątynnych kolumn Karnaku, skąd kult lubieżnego Amona, „wielkiego boga”, rozciągał swe macki na całą żyzną dolinę Nilu. Turyści z pokładu *Horusa* zdążyli już wcześniej złożyć niejaki hołd cudom wschodniego brzegu znajdującym się pod gołym niebem. Alexandra nawinęła na szpulkę swego przedcyfrowego canona wiele ujęć masywnych ruin, głęboko rzeźbionych hieroglifów i królewskich kartuszy, które mimo że długo bombardowane przez fotony zsyłane z pustego, niebieskiego nieba, zachowały ostre jak nóż reliefy i rzucały zdecydowane cienie w uwiedłym powietrzu. Turyści dla odmiany mieli teraz zwiedzać drugą stronę Nilu, stronę zachodnią, stronę śmierci, Dolinę Królów, Dolinę Królowych, Kolosy Memnona i cudowną świątynię królowej Hatszepsut, wdowy po swym przyrodnim bracie Totmesie II; po jego śmierci stała się regentką nieletniego pasierba Totmesa III i sprawowała pełnię władzy faraona, dlatego na pomnikach ubierano ją w męskie szaty, a nawet ozdabiano brodą, mimo że w poświęconych jej inskrypcjach opatrywano ją etykietką płci żeńskiej. Po jej śmierci do władzy dostała się reakcja, na czele z jej niewdzięcznym siostrzeńcem; kartusze zostały poniszczone, pomniki przyćmiono innymi, a okres pokojowego, inteligentnego panowania królowej został wykreślony z oficjalnych rejestrów.

– Biedna, stara czarownica – uzaliła się nad nią fane.

Budowanie piramid wypadło z łask, kiedy Stare i Średnie Państwo przeszły do historii. Władcy Nowego przez cztery stulecia szukali zabezpieczenia, gdy ich *ka* podróżowały do Trzinowego Pola, poprzez wykopywanie sobie grobowców wśród Wzgórz Tebańskich, w wielkim skalnym zakolu w Dajr al-Bahri. Oświetlenia w tych jamach dostarczały lampki na olej Iniany i lustra, dzięki którym blask słońca rykoszetował do niegdyś litego wapienia; właśnie przy tym pożyczonym świetle robotnicy kuli, ryli i wywozili na wózkach gruz. Artyści, którzy szli ich śladem, malowali procesje – głowy i nogi oglądane z profilu, pierś

oglądana od frontu – sług niosących zapasy owoców, napojów i świec, dzięki którym zamknięci w grobowcach mieli przetrwać wyprawę przez świat zmarłych. Sceny z uczt, żniw i wypraw na ryby ilustrowały życie, które zostawili za sobą, i podobne życie, do którego mieli dotrzeć. Te sceny zostały upodobnione do zapisów nutowych, które zagrać mogli tylko zmarli, bo oni tylko mieli właściwe instrumenty. Pierwsze malowidło po lewej stronie tradycyjnie przedstawiało ofiarę składaną Amonowi w jego aspekcie jako Re, boga Słońca z głową sokoła, który pojawiał się ponownie zarówno w swej wiekowej, jak wstępującej postaci – byk i żuk – w dysku słonecznym, wpisanym między dwóch jego wrogów, węża i krokodyla.

Turyści człapali w dół przy świetle nie zwierciadeł, tylko mętnych żarówek zawieszonych na wapiennym sklepieniu pełnym niezliczonych śladów dłuta, po łagodnie opadających drewnianych chodnikach, które przeprowadzały ich nad dołami wykopanymi jako pułapki na rabusi grobów i obok zaślepionych, fałszywych portali, które miały ich wprowadzić w najwyższe zdumienie, przez korytarze udekorowane scenami z udziałem kapłanów odprawiających ceremonię otwarcia jaskini, przed posągiem faraona, aż do kolumnadowej sali, z której wchodziło się do samej komory grobowej, gdzie w prostokątnej niszy był zatopiony sarkofag.

– Zabawna rzecz – poinformował ich przewodnik, mężczyzna z kocią bródką, w postrzępionym, przykurzonym garniturze i okularach w drucianych oprawkach, naukowiec zgarbiony i zasuszony po wielu latach spędzonych w grobowcach – antropoidalny sarkofag Merenptaha, wykonany z granitu, najwyraźniej okazał się zbyt ciężki, by dało się go wnieść do samej komory grobowej, dlatego stoi tutaj pod kątem, przekrzywiony, porzucony od trzech tysięcy lat! – Tu zachichotał sucho, zdjął okulary, chusteczką otarł szkła z kurzu, schował chusteczkę do kieszeni na biodrze, po czym wprawnym ruchem nasadził z powrotem okulary (ich wygięte zauszki były oplecione w rękawki cielistego koloru) na nos i zwierzył się garstce przyduszonych słuchaczy: – Grabarze nie byli nadludźmi, tylko ludźmi, leniwymi, zdeprawowanymi i roztrzepanymi. Popatrzcie, tu w tej bocznej komorze malowidła zostały naszkicowane szarym tuszem, ale nigdy ich nie ukończono, nigdy nie wypełniono kolorem! Moim zdaniem są urocze, że takie niedokończone. Czuć tutaj rękę malarza, widać jego niecierpliwie pociągnięcia wykonane tysiące lat temu. Miał przed sobą tyle czasu, a jednak się spieszył. Nie wiedział, że tu przyjdziemy i będziemy krytykować jego dzieło!

Alexandra walczyła o oddech. Udając, że to niechący, w mrocznej, przekrzywionej przestrzeni, specjalnie otarła się o Jane, chcąc poczuć inne ciało, ciepłe i wciąż żywe. *Nie uciekniesz*, głosiło całe jej otoczenie. Nie uciekniesz, choć przecież wszystkie religie

energicznie i nadzwyczaj zmysłowo demonstrują, że przynoszą nam ratunek przed śmiercią. Nie istnieje żadna magia, świat jest materialny, dostatecznie wyrazisty, tak jak te pokłady wapienia nad jej głową.

Po wyjściu z grobowca Merenptaha turyści, ślepi jak nietoperze na bezlitosnym słońcu, pomaszerowali do grobowca Ramzesa VI, jednego z większych, a potem do grobowca Tutanchamona, jednego z najmniejszych, do którego wejście zagięło na trzy tysiące lat, pod gruzem powstałym podczas drążenia tego pierwszego.

– Są wzruszające, nieprawdaż? – spytał ich przewodnik. – Te malutkie, puste komory pospiesznie wyznaczone dla zmarłego króla-chłopca. Wydają się za skromne jak dla króla. Istnieje domniemanie, że mogły powstać z rozkazu jego głównego ministra, A ja, który przejął władzę faraona po Tutanchamonie i prawdopodobnie go otruił. Na domiar złego, jak mawiacie wy, Anglicy, Aj rzekomo później ukradł dla siebie grobowiec wyznaczony dla Tutanchamona w Dolinie Zachodniej, w pobliżu grobowca jego dziadka, Amenhotepa III, który mógł w rzeczywistości być ojcem Tutanchamona. Tak mówią, ale poważny naukowiec traktuje to jak zwyczajne plotki. Wydaje się jednak bezsporne, że Tutanchamon był instrumentem, jeśli nie sprawcą odrodzenia kultu Amona, tym samym doprowadzając do obalenia rewolucyjnych pomysłów Amenhotepa IV, który nazwał siebie Echnatonem. Bez wątplenia nasłuchaliście się wiele od innych przewodników na temat Echnatona, radykała religijnego, szaleńca być może, który chciał znieść kult Amona i wielu innych bogów na rzecz Atona, tarczy słonecznej. Przeniósł stolicę Egiptu z Teb do miasta, które zbudował i nazwał Achetatonem. Tutanchamon, kolejny następca Echnatona po jego zięciu Semenechkare i również jego zięć, bo poślubił trzecią córkę Echnatona, kiedy oboje byli dziećmi, był małym, smutnym chłopcem, który miał dziesięć lat, kiedy wstąpił na tron, i dziewiętnaście, kiedy umarł. Pierwotnie nazywano go Tutanchaton, czyli tarcza słoneczna. Potem jednak zmienił barwy – to odpowiednia fraza? – i przywrócił kapłanom Amona, którego imię oznacza „ukrytego boga”, ich dawną dominację. Gdyby nie zmienił zapatrywań, to kto wie? Być może Egipt przyjąłby monoteizm przed inwazją islamu. Podejrzewam, że wszyscy widzieliście skarby Tutanchamona, perłę muzeum w Kairze. Czy wyobrażacie je sobie upchane byle jak do tych komór? Bardzo to smutne, prawda? Ten mały człowieczek został wykorzystany przez kapłanów, żeby sprowadzić z powrotem Amona, a potem pozbyto się go, może nawet go otruto. Polityka w starożytności wcale nie była bardziej budująca, niż jest dziś.

Nagrodzono go za to uprzejmym, zmęczonym chichotem zaskoczenia. Jeżeli czynił aluzje do Mubaraka, to igrał z ogniem, Jeżeli miał na myśli Busha i Szarona, był to tandetny

chwyt. Tak czy owak, zamkniętym w grobowcu turystom chciało się pić i w ogóle nadszedł już czas, żeby wsiąść z powrotem na pokład statku, wrócić do baru na *sudani* i arak z lodem, a następnego ranka polecieć do Kairu i stamtąd do Paryża, Frankfurtu, Tokio, Nowego Jorku. Na lotnisku Kennedy ego, tym obskurnym, starym porcie nad oceanem powietrza, Jane i Alexandra, które przebywały w swoim towarzystwie przez bite dwanaście dni, bez zmiłowania, które dzieliły z sobą łazienki i nocny mrok, zdążyły wszystko sobie obgadać i prawdę powiedziawszy, miały już siebie lekko dosyć, były gotowe się rozstać – Alexandra leciała do Dallas Fort Worth, a stamtąd do Albuquerque, a Jane na LaGuardię i stamtąd czarterem do Bostonu.

– To była wspaniała zabawa – zagruchała Jane tonem wskazującym, że nie do końca tak myśli. – Twoje towarzystwo to kapitalna zabawa, moja ty piękności.

– Rozkoszowałam się każdą minutą – skłamała Alexandra. – Ten Nil, ten upał, statek, piramidy i grobowce. Freski przedstawiające brunatnych ludzi o prostych włosach i wielkich oczach przy wykonywaniu codziennych czynności, jak kucanie, jedzenie, noszenie, zbieranie papirusu. Granie na harfie, pamiętasz to malowidło? Oni uwielbiali życie. *Anch*, tak chyba brzmi to słowo?

– Masz rację. Koniecznie musimy wybrać się znowu na jakąś wspólną wycieczkę. I to jak najszybciej.

– Co to znaczy jak najszybciej? Ja to nie ty. Muszę zaoszczędzić i odpocząć.

– Za rok albo dwa?

– A czy nie byłoby zabawnie, gdyby Sukie pojechała z nami? – zaproponowała nieśmiało Alexandra. – My obie potrafimy być depresyjne. Jak jedna ma humor, to druga wpada w dołek. Ale nie Sukie. Ona jest stabilna. Tylko że ona jest ciągle jeszcze mężatką – przypomniała sobie.

Jane obdarzyła ją dziwnym, ukośnym spojrzeniem swych szylkretowych oczu.

– Na pewno jest jeszcze? – spytała. Wetknęła ślad uśmiechu do lewego policzka, po czym obie nikczemne kobiety prawie się pocałowały, objęły i rozstały na samym środku ruderowatego lotniska międzynarodowego.

Suzanne Mitchell, bo właśnie tak się teraz nazywała w wyniku małżeństwa z energicznym, płowowłosym Lenniem Mitchellem, była podrzędną pisarką – małomiasteczkowy żurnalizm, paperbackowe romanse – niemniej była nią, a oprócz tego żoną wyszczezanego sprzedawcy komputerów, dlatego jej drugą naturą stało się zasiadanie przed szumiącym, oślepiającym ekranem i wstukiwanie do maszyny własnych myśli, zgodnie z rytmem, z jakim przelatywały

przez jej mózg. Alexandra rozprostowała przed sobą kilka arkuszy gładkiego papieru pokrytego laserowym drukiem i zaczęła czytać:

Moja kochana, kochana Lexo!

Jane, którą dość często widuję od tamtego smutnego zdarzenia, które opiszę za chwilę, naciskała, żebym do ciebie zadzwoniła, ale minęło tyle czasu, odkąd ostatni raz miałyśmy z sobą kontakt, więc oczywiście zabrakło mi odwagi. Ten rodzaj bliskości, który łączył nas trzy w Eastwick, naprawdę opierał się na tym, że byłyśmy tam codziennie i wpadałyśmy na siebie przypadkiem na Dock Street, z czego rodził się spontaniczny pomysł, żeby wskoczyć na kawkę do „Nemo”, poza tym nasze dzieci chodziły do jednej szkoły, toteż psioczyłyśmy na tych samych nauczycieli, i wszystkim nam dokuczała ta sama zła pogoda, te same nudne przyjęcia i wszystkie trzy słyszałyśmy jednocześnie, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, tę samą miejską syrenę pożarową, która odzywała się zawsze w południe, rozcinając dzień na połowy, i jeszcze to, że dzieliłyśmy to samo poczucie przytulnego odizolowania, od Bostonu i Nowego Jorku skrytych za horyzontem, choć położonych w innych kierunkach, i od Providence, które mimo że bliżej, zawsze jakoś, być może z powodu tej swojej odstręczającej, religijnej nazwy, było miejscem, od którego człowiek trzymał się z daleka.

Connecticut okazało się kompletnie inne. Tutejsze miasta są położone bliżej siebie, aczkolwiek nie są tak stłoczone, by nachodzić jedno na drugie, tak jak to się dzieje w północnym New Jersey – to jest naprawdę odstręczające – i wyglądają też na bogate (nie podoba mi się, że piszę coś takiego, to brzmi strasznie snobistycznie), nawet te dzielnice, gdzie mieszkają wyłącznie złote rączki i opiekunki do dzieci. Nie ma tu żadnych rozkosznych, niezamieszkanymi zakamarków, bagnistych wysypisk śmieci pełnych niechcianych żaluzji i gnijących pasiastych materaców, których pełno w malutkim Rhode Island. A skoro już mowa o śmietniskach, to tutejsze są niesamowicie dobrze zorganizowane pod kątem recyklingu – papier wrzucasz do jednego pojemnika, białe szkło do drugiego, kolorowe szkło do trzeciego, puszki do czwartego, przy czym wszystkie są tak ustawione, że wystarczy tylko podjechać samochodem i wrzucić swoje przyjemnie posortowane śmieci do dziury na samej górze – i nawet te lasy, które wyznaczyli na naturalne siedliska natury, sprawiają takie wrażenie, jakby powyrywano w nich chwasty, wybrano walające się drewno i

wysprzątano poszycie, przez co wyglądają jak te angielskie laski bukowe z filmów o Robin Hoodzie, po których się chodzi jak po dywanie, dlatego nawet my, naiwne dzieci, wiedzieliśmy, że to hollywoodzkie studia. Małe centra miast mają jednolite, staroświeckie szyldy i wywieszki (uwielbiam to słowo, brzmi równie pięknie jak „zadyszka”), a szkolne boiska i place zabaw są sprzątane od A do Z. Żeby zobaczyć śmietniskowy krajobraz, musisz się wybrać do Bridgeport, ale tego nikt nie robi. Jak pewnie pamiętasz, przyjechałam z północy stanu Nowy Jork, gdzie wszystko wyglądało jak nie z tego stulecia, przy czym oczywiście mam tu na myśli dawno temu już zapomniany, stary, poczciwy dwudziesty wiek. Na północy było zupełnie jak w dziewiętnastym. Kiedy Lennie Mitchell ściągnął mnie tutaj, nie potrafiłam się nadziwić, że wszyscy tu są tacy zakompleksieni, że w głowach nie mają nic prócz Nowego Jorku, nawet w takim Stamfordzie, kiedy było tylko ubogim kuzynem Greenwich, dopóki wszystkie firmy uciekające przed wielkomiejskimi podatkami nie zaczęły otwierać tu swoich filii i budować kolejnych drapaczy chmur z niebieskiego szkła, niemal z takim samym koszmarnym zapałem, jak robią to w stolicy stanu. Naszej okolicy, której skraj biegnie wzdłuż Alei Merritt, jeszcze to nie dotknęło – z tą „naszą” to mi się wymknęło, nie nasza, ale już tylko moja, muszę wziąć się w garść. Pociągam nosem i drapie mnie w gardle, kiedy pomyślę o Lenniem. Ale wracając do suburbiów obszaru metropolitalnego, to powiem, że z życiem w dużym mieście, w naprawdę dużym w kategoriach USA, wiąże się to, że z jednej strony musimy stale stać na baczność, a z drugiej dość nas to demoralizuje, bo my nie żyjemy tu tak do końca, a tylko żyjemy w jego aurze, że się tak wyrażę. Restauracje, sklepy i salony piękności nie dorównują całkiem standardom Manhattanu, ale się starają, i nawet ci, którzy nie kursują tam i z powrotem, mówię o lokalnych handlowcach i im podobnych, mają to samo nowojorskie podejście, są nietaktowni, chodzą nadęci i tak dalej; podobnie wyobrażam sobie Anglików, kiedy najpierw mieli swoje imperium, a potem dopadł ich blitz. Ale ludzie nie znają się tak blisko, jak znali się w Eastwick; przyjeżdżają i odjeżdżają, przenoszą się do lepszych domów albo miast i podskórnicy wszyscy strasznie rywalizują, oceniając siebie nawzajem według standardów Nowego Jorku. Dla mnie to była lekcja i chyba właśnie dlatego odniosłam sukces ze swoim pisaniem, którego nie odniosłabym gdzie indziej. Mój agent mieszka o rzut kamieniem, w South Norwalk, i bez niego nadal pisałabym do małomiasteczkowych rubryk plotkarskich, tyle że te małe, lokalne gazety zamierają, bo zabijają je błogi i e-maile, zresztą w jakiś dziwny sposób małe miasteczka też już przestają istnieć, są tylko

centra handlowe, pasażerów usługowe, a między nimi chronione osiedla i nawet nikt już nie plotkuje, tak jak w czasach, kiedy wszyscy silnie wypierali potrzeby seksualne. Moim zdaniem właśnie wyparcie stanowiło klucz do tej energii, którą kiedyś mieli ludzie; my nie byliśmy tak wypaleni jak dzisiejsze dwudziestolatki, które tak chętnie sypiają wyłącznie dla sportu. Czy to, co tu wypisuję, nie brzmi przypadkiem pruderyjnie? Ale ty wiesz, że nie.

Jeśli się zastanawiasz, dlaczego do ciebie piszę po tylu latach, to wiedz, że Lennie zmarł dwa miesiące temu, dość niespodziewanie, i Jane uznała, że powinnaś się dowiedzieć. Pojawiła się znowu w moim życiu, niemal tak, jakby przewidziała, że do tego dojdzie. Tylko jak mogła to przewidzieć? Cieszył się doskonałym zdrowiem, nigdy nie przytył, zawsze był aktywny i rzucił palenie mniej więcej w tym samym czasie, kiedy go poznałam, podczas gdy ja głupia kopałam na okrągło, choć przeważnie tylko na imprezach i wtedy, kiedy starałam się coś napisać, dlatego mówią mi teraz, że moje płuca mają wydolność poniżej pięćdziesięciu procent. Wciąż lubił chodzić na potańcówki, kiedy w styczniu jeździliśmy na Florydę, grał w tenisa, zawsze tylko w debla, uprawiał jogging na miejskich ścieżkach (miejscowe rady miasta mają plany na wszystko), grał też w squasha i paddleballa, całutką zimę. No i padł na korcie do squasha po tym, jak uznał, że to, co akurat powiedział jego partner, było kapitalne. Po prostu tam padł jak ścięty, na tę ścianę pełną brudnych śladów po piłce, i wprawdzie jego partner był lekarzem, ale niestety ginekologiem, i nawet nie umiał poprawnie zrobić sztucznego oddychania. Zanim pojawiło się pogotowie, Lennie praktycznie był już na tamtym świecie. Po ośmiu minutach, powiedzieli mi, nieodwołalnie dochodzi do uszkodzenia mózgu; za nic nie chciałabym żyć z czymś takim. To znaczy tak podejrzewam, ale skądinąd wolałabym, żeby pozwolili mi podjąć decyzję. Wcale mi się nie spodobało, kiedy usłyszałam to od nich po fakcie, i wciąż jestem oburzona, że tak zwany przyjaciel Lenniego, lekarz z dyplomem i komórką w kieszeni, nie ściągnął pomocy prędzej. Te korty do squasha znajdują się w podziemiach nowiutkiego biurowca, wielkiego i brzydkiego; trudno je znaleźć, jeśli wcześniej tam nie byłaś.

Ostatnio Jane i ja wpadamy do siebie nawzajem od czasu do czasu – to znaczy ja do niej częściej niż ona do mnie. Jej wiekowa teściowa jest całkiem miła, ale Jane uważa, że zniszczyła jej małżeństwo z Natem Tinkerem. Uważa też, że to by mi pomogło, gdybym wybrała się razem z nią na jakąś wycieczkę. A już najlepiej z wami dwiema, jeśli ci nie podeszła wyprawa do Egiptu z samą tylko Jane. Z jej relacji

zresztą wynika, że to było coś bardzo suchego i dydaktycznego, ale też wymagającego nie lada odwagi, bo nie nosiłyście kwefów i muzulmanie gapili się na was lubieżnie, ale pojęcia nie mam, jak ty sobie poradziłaś z tą obsesją Egipcjan na punkcie śmierci. Te długie, głębokie korytarze: osobiście wątpię, czy ja bym to wytrzymała, i nie rozumiem, jak ty to wytrzymałaś; przecież zdecydowanie wolisz przebywać na otwartych przestrzeniach. Jane opowiadała też, że jeździłaś na wielbłądzie i że poparzyłaś sobie skórę na statku, podczas gdy ona pięknie się opaliła. Nie wiem, jak wysokie pokonywałyście schody, ale ja nie mogę wchodzić zbyt wysoko z moją rozedmą. Właśnie na schodach zauważyłam po raz pierwszy, że już nie jestem swoją dziewczęcą wersją. Gdybyśmy kiedyś miały pojechać dokądś razem – nie jestem do końca pewna, czy to dobry pomysł, może wszystkie nabawiłyśmy się już do syta – chyba to powinny być Chiny. W Stamfordzie niemal wszyscy, których znaleźmy na stopie towarzyskiej, byli w Chinach, ale kiedy namawiałam Lenniego na taką wycieczkę, mówił, że woli iść do knajpy na chińszczyznę, zapłacić i wyjść. Nie lubił komunistów, mimo że przecież wygraliśmy zimną wojnę, a poza tym każde dziecko wie, że Chińczycy są komunistami tylko z nazwy. Ja sobie wyobrażam ten kraj jako takie miejsce otwarte na przestrzał, pod ogromną kopułą nieba, z mnóstwem wielkich, miejskich placów i ludzi, którzy w malutkich uliczkach jedzą makaron. Hutongi, tak się chyba nazywają te uliczki? Ja mam takie romantyczne podejście do Chin od czasu, kiedy widziałam Ingrid Bergman w tym filmie o tym, jak ona ratuje grupkę dzieci, prowadząc je do jakiejś gospody. *Gospoda Szóstego Dobrodziejstwa*, właśnie mi się przypomniało. Przemyśl to, złociutka. Jane też będzie z tobą w kontakcie. Ona najwyraźniej chce pożreć cały świat, zanim go opuści, albo może chodzi jej tylko o to, żeby trzymać się jak najdalej od swojej teściowej, która niby taka leciwa, a jednak raczej widzi i słyszy wszystko. Zna każdy krok Jane, takie przynajmniej odnoszę wrażenie, kiedy czasem chwilkę z sobą pogadamy (tzn. starsza pani i ja).

Cóż mogłabym ci powiedzieć na temat wdowieństwa? Sama przez to przechodzisz. Wciąż mi się roi, że Lennie wróci do domu na noc, a kiedy nie wraca, to mi się roi, że to dlatego, że jest taki uparty albo robi mi jakiś kawał, i wpadam w szal. Oczywiście zostałam uwolniona od wielu wkurzających męskich nawyków i lenistwa – na przykład podłoga w kuchni obok tostera nie jest cała zasypana okruskami – ale na co ci wolność, jeśli nikt nie patrzy, czy ją masz? Lennie był handlowcem, a żona potrafi się zmęczyć, jeśli jej wciskają rzeczy, których wcale nie chce. Na przykład uparł się na tę chatę w południowym Vermoncie, żeby mieć gdzie jeździć na nartach,

mimo że od chwili, gdy dzieci zaczęły się buntować przeciwko pakowaniu ich do samochodu w każdy weekend, prawie tam nie jeździliśmy, a zresztą potem góra straciła renomę – bo z górami jest podobnie jak z restauracjami – i ceny tamtejszych gruntów i nieruchomości poleciały w dół. Albo inny przykład: kupił mi taką modną, nowoczesną kuchenkę z gładką, czarną płytą i palnikami, których prawie nie widać, przez co chodziłam wiecznie poparzona, a warzywa były surowe, bo źle stawiałam garnek. A kiedy jego komputerowy biznes znowu się rozkręcił dzięki temu, że tyle firm przenosiło się z Nowego Jorku do Stamfordu, kupił mi pancerne, granatowe bmw, bo kiedy mnie poznał, ciągle jeszcze jeździłam tamtym szarym corvair, z dachem, który się opuszczało i przypinało ręcznie. Uwielbiałam ten samochód, pamiętasz? Tak się czułam, jakbym na oczach całego miasta siedziała w wannie, z włosami frunącymi z tyłu i Hank (mój piękny wyżeł weimarski, pamiętasz go?) siedział obok mnie, na przednim siedzeniu, z uszami tak rozplaszczonymi, że było mu widać to różowe. Lennie uważał, że nie powinnam jeździć tym corvair, bo jest mikry i na dodatek niebezpieczny. To bmw, które mam do teraz, na mnie zawsze sprawia wrażenie męskiego marzenia – z podłogi sterczy ten falliczny kijek od ręcznej zmiany biegów, z którym wiecznie robię coś źle, a jeździ tak, że czujesz każdy garb na drodze. Wszystko przez tę męską ingerencję. Na samym początku mojego pobytu w Stamfordie – właściwie to nie w Stamfordie, tylko w osadzie przyległej do północnej granicy, która się nazywa Rocky Ridge – miałam wygodnego, starego czerwonego taurusa, którego wprost ubóstwiałam; do jego bagażnika dawało się zapakować zakupy na cały tydzień i jeszcze sprzęt do golfa. Ale Lennie musiał mi kupić to drogie bmw, żeby ludzie wiedzieli, że znowu mamy pieniądze. Zmuszał mnie, żebym kupowała ostentacyjne ciuchy – „zabawne futerka”, w których wyglądałam jak nadmuchiwana piłka, i wieczorowe kiecki bez pleców, od których całymi tygodniami chodziłam przeziębiona. Okazało się, że to przez jego kolejne przyjaciółki z biura, które oczywiście były coraz to młodsze i tak się właśnie ubierały. Jednego razu ja i taka przyjaciółka pojawiłyśmy się na tej samej imprezie firmowej, na trawniku jego szefa w Old Greenwich, w dokładnie takim samym lejącym się jedwabiu, w identyczny wzorek, z szarfą zamiast paska. Na sam koniec objęłyśmy się, bo to było takie upokarzające. I wciskał mi też opowieści o swoich romansach, po tym, jak już się o nich dowiedziałam, przekonując mnie, że to wszystko było przeze mnie. Ale ten jego tupet, ten wszechobecny, wkurzający, absorbujący tupet handlowca – już go nie ma, droga Lexo. Martwi znikają w taki sposób, że niemal wierzysz, że gdzieś sobie poszli. Kiedy tak błąkam się od

pokoju do pokoju w tym naszym beużytecznym, za dużym domu, czuję się jak tamta dziewczeczka kołacząca się po zamku, w którym Bestia nigdy się nie pokazuje we własnej osobie. Ta cisza o tej porze, kiedy wjeżdżał na podjazd – można się do niej przyzwyczaić? Tak się cieszę, że go poznałaś wtedy, na Manhattanie, w „Roosevelt Grill”, na wypadek gdybym kiedyś zapomniała, że on w ogóle istniał, albo uwierzyła, że był prawdziwym świętym.

Teraz, kiedy mam odrobinę dystansu do niego, widzę, że mocno przypominał Monty’ego – elegant i męski szowinista. Pociąg seksualny sprawia, że wciąż popełniamy te same błędy. Dość z tym sarkazmem! Lennie nigdy nie sprawiał, że czułam się głupia, tak jak to czasami próbował robić Monty. Ale z kolei byłam taka młoda, miałam ledwie dwadzieścia lat, kiedy za niego wyszłam (za Montyego). Odnoszę wrażenie, że dzieci przyjęły jego śmierć (Lenniego) trochę zbyt letnio. Co ja się zresztą dziwię: są w średnim wieku, nawet mały Bob, nasz jedyny wspólny twór (Lenniego i mój), oprócz trójki, którą przyniosłam ze sobą od Montyego. Dla dzieci jego śmierć jest tylko częścią naturalnego cyklu natury, dla mnie to koniec życia, w którym byłam dla kogokolwiek ważna.

Zadzwoń, jeśli nie chce ci się pisać. Wiem, że dla wielu ludzi to większy wysiłek niż dla mnie. Cały problem z edytorami tekstu tkwi w tym, że można pisać i pisać, bo to takie łatwe; jak już opracują rozpoznawanie i transkrypcję głosu, to pewnie zaczniesz się horror czystego, niczym niepojętego bełkotu – dokładnie taki świat był kiedyś, kiedy istniały tylko plemiona, szamani i przekazywane ustnie opowieści. Bardzo chętnie odwiedziłabym cię w słonecznym Taos, ale niestety, zamiast dostawać uroczych piegów tak jak dawniej, teraz od słońca dostaję obrzydliwej wysypki. O radości tamtych lat z zachodami słońca! Czy w Chinach w ogóle świeci słońce? Mam nadzieję, że nie. Na scenkach na ich imbrykach do herbaty i parawanach nigdy nie ma żadnych cieni, wiem to z całą pewnością.

Przesyłam mocno spóźnione *Mucho love*,
Sukie

I tak oto we wrześniu Alexandra spotkała się z pozostałymi dwiema na lotnisku w San Francisco i po jedenastoipółgodzinnym uwięzieniu w gigantycznym szumie silników wysiadły na lotnisku Narita w Japonii. A że leciały zgodnie z kierunkiem, w jakim obraca się planeta, przybyły trzy i pół godziny później następnego dnia. Z na wskroś rozszalałymi zegarami wewnętrznymi wstały po kilku godzinach prób wyspania się w tranzytowym hotelu,

po czym zagnano je do samolotu linii Air China lecącego do Pekinu. Po hipernowoczesnych udogodnieniach Narity chińskie lotnisko wydawało się wieśniackie i prymitywne, z tymi posadzkami wyłożonymi nierównym linoleum i wszechobecnym echem chrapliwego, donośnego śmiechu tragarzy w workowatych ubraniach. Do trzech umordowanych kobiet dotarło, że Chiny to taki radosny kraj, gdzie o przeszłości mówi się w czasie teraźniejszym, i że gości z zewnątrz nie spotka żadna krzywda, pod warunkiem że przestrzegają wszystkich zasad.

Obecność Sukie w zdecydowany sposób wpłynęła na dobre samopoczucie Alexandry. Nie widziała tej najmłodszej i najbardziej pogodnej członkini ich skromnego sabatu od zeszłego milenium, kiedy prezydentem był jeszcze Bill Clinton, wijący się żałośnie w szponach skandalu z Lewinsky. Jim Farlander niechętnie zgodził się na ich ostatnią zimową wyprawę na Karaiby, a ponieważ dzięki biletowi kupionemu w promocji mieli lecieć przez lotnisko Kennedyego, Alexandra zaproponowała, żeby zarezerwowali dwie dodatkowe doby i odwiedzili jakieś muzea, nie tylko Metropolitan, Modern Art i Guggenheima, lecz także Cooper-Hewitt, które ma fantastyczną kolekcję ceramiki amerykańskiej. I żeby scementować ten przyływ natchnienia, wykręciła numer do Connecticut – wciąż był aktywny! – i zaprosiła swoją dawną przyjaciółkę z Eastwick, żeby przyjechała na Manhattan na kolację. Nie byli w stanie załatwić rezerwacji w „21”, gdzie jadali sławni ludzie, dlatego spotkali się z Mitchellami na grill-barze w hotelu „Roosevelt”.

Lennie sprawiał z początku wrażenie lekko rozkojarzonego i nerwowego, ale po drugiej rundzie drinków zaczął prezentować siebie jako chełpliwego gadułę, równie krzykliwego jak dwurzędowy garnitur z tweedu Harrisa, w który był wystrojony. Przy drugiej butelce wina podanej do posiłku, kiedy Jim stał się coraz to bardziej milczący, Lenniemu zebrało się na zwierzenia, jakby już udało mu się sprzedać to, co chciał im sprzedać, coraz częściej mrugał, kiedy opowiadał anegdotki ilustrujące, jakim to uroczym głuptaskiem jest Sukie, że tak pichci te romansidelka dla sfrustrowanych, stukniętych babsztyli. Zaliczał się do tych mężczyzn o płowych włosach, równych zębach, małych uszach i niebieskich oczach, którzy na początku życia wbili sobie do głowy, prawdopodobnie wzorem swych zauroczonych matek, że są zniewalający. Stale kładł dłoń na przedramieniu Alexandry, kiedy zbliżała się puenta jakiejś opowieści, i kiedy już zabierali się do deseru i kawy po irlandzku, ta sama dłoń zniknęła nagle, niby od niechcenia za skrajem stołu, po czym emigrowała na jej udo, gdzie spoczęła niczym bardzo ciężka serwetka. Alexandrze w Lenniem Mitchellu nie podobało się szczególnie to, że w jego obecności Sukie robiła się jakaś taka myszowata, wręcz zahukana, że lekko się jąkała, a do jej wypowiedzi wkradała się defensywna,

przeintelektualizowana nuda. Jej włosy barwy marchewki, które kiedyś nosiła długie jak dziecko kwiat, były teraz przycięte dużo krócej i prześwitywały z nich siwe pasma; jej pulchne wargi skubały siebie wzajem, jakby Sukie próbowała coś sobie przypomnieć, a może to był tylko grymas krótkowzroczności, który pojawiał się u niej zawsze, kiedy nie nosiła szkieł kontaktowych. Próby wspierania męża i jednoczesnego wciągnięcia Alexandry w konspiracyjne rozweselenie sprawiały wrażenie wymuszonych w wydaniu tej zestresowanej i spranej wersji Sukie, dawniej takiej beztroskiej i seksownej.

Później, w ich pokoju w „Roosevelcie”, po tym, jak tamci wybiegli pospiesznie, by zdążyć na pociąg o dwudziestej drugiej siedemnaście, tak zdenerwowani, że stawili jedynie słaby, symboliczny opór wobec rycerskiego uporu Jima, że to on zapłaci rachunek, mąż Alexandry powiedział do niej:

– Mamy tu do czynienia z oślizgłym naciągaczem. Ale Suzanne to urocze kobieciątko.

Tamte słowa do teraz wcinały się do jego kaplicy nagrobnej w jej umyśle: *Suzanne to urocze kobieciątko*.

– Cieszę się, że to zauważyłeś. Była naszą pięknością, wtedy, za to dzisiaj wyglądała jak duch – odparła mu na to.

Teraz, za sprawą sztuczki skromniejszych oczekiwań albo nowego kontekstu, Sukie jakby odzyskała swoje dawne ja, była wesoła, barwna, a nawet wręcz połyskiwała, przez co znakomicie pasowała do chińskiego dekoru. Włosy miała ufarbowane na ich stary odcień, a usta malowała błyszczkiem. Jej dobiegające siedemdziesiątki ciało, zdaniem Alexandry, było szczuplejsze o kilka funtów w porównaniu z tamtymi rozedrganymi, mięciutkimi kształtami, gibkimi, piegowatymi i piersiastymi, które po trzydziestce wystawiała na pokaz w wyłożonej ciemnymi panelami łaźni Darryla Van Horne’a, pozwalając, by pokrywało się powłóczką z kropelek skondensowanej pary. Tamto zjawisko Alexandra pieściła nie tylko czubkami palców, ale także spragnionymi wargami. Usta Sukie, teraz już nie takie wydatne od naturalnego kolagenu, nadal rozchylały się z niedowierzaniem niczym utrzymujący się powidok przeżytego zdumienia.

Wszystko w Chinach było mniej lub bardziej zdumiewające, poczynając od tego, że się tam znalazły, po drugiej stronie świata, w kraju wielkości Stanów Zjednoczonych zamieszkanym przez cztery razy więcej ludzi. W całym spektrum ich pamięci Chiny przybierały rozmaite formy: osławiona kraina pełna głodujących dzieci, chłopcy od Pearl Buck,

smocze damy³, riksze i piraci z historyjek obrazkowych; przyjazna demokracja udolnie sterowana przez Czang Kaj-szeka i jego uroczą żonę, jedną z sióstr Song; cierpiąca ofiara podstępnych Japończyków i zagorzały sojusznik prezydenta Roosevelta; powojenne, zimnowojenne pole wojny domowej, kiedy to prezydent Truman sprytnie nie chciał interweniować i kiedy to zagorzali nacjonaści przegrali z komunistami; szczelnie zawarowany bastion wrogiego politycznego credo; źródło hord wrogich „ochotników” masowo przenoszących się na południe Korei; ciężka masa zrobotyzowanej ludzkości, która mogłaby nas pochłoniąć, gdyby ją zaktywizować na wyspach Kinmen, Mazu albo Formosie; banda Czerwonych Strażników skandujących „Mao, Mao” podczas „rewolucji kulturalnej”, brutalnie parodiującej kontrkulturę lat sześćdziesiątych Zachodu; potem po podróży Nixona i niezdarnych toastach wznoszonych przy kolacji znowu sojusznik przeciwko Związkowi Radzieckiemu; po śmierci Mao i obaleniu Bandy Czwojga, wrażliwy rozsądek kielkującej wolnej przedsiębiorczości; po triumfie pragmatyzmu Deng Xiaopinga, żarłoczny konsument amerykańskiego rynku pracy i odbiorca amerykańskich dolarów, teraz natomiast groźne supermocarstwo dwudziestego pierwszego wieku, miliard trzysta milionów robotników fabrycznych i konsumentów, wierzyciel kulejącego kapitalizmu amerykańskiego i uczestnik rywalizacji o zmniejszające się światowe dostawy ropy. Tu właśnie, na lotnisku, Sukie zawołała swym piskliwym, lekko zadyszczonym głosem:

– Ale się będziemy świetnie bawiły!

Ich bagaże miały się dopiero pojawić na skrzypiącej taśmie. Powoli dostrzegały innych Amerykanów, niczym żaby, których ślepia i nozdrza wyłaniają się z blocka obrzeżającego płytki staw. W miarę potęgującego się zamieszania związanego z przybyciem pilot ich wycieczki, ziemisty, drobny Nowozelandczyk, którego rodzice byli członkami misji medycznej na Tajwanie i który z codziennymi dawkami ryżu pochłaniał mandaryński, kantoński i japoński, zjawił się za umówioną bramką i miotając strzępkami języka w prawo i lewo, żeby oczyścić drogę, poprowadził zebraną przez siebie grupę w stronę czekającego na nią autokaru. Trzy kobiety wdychały podniecające, mętnie oświetlone powietrze, powietrze Chin, przyprawione niedocieczonymi aromatami i niezrozumiałymi komunikatami, przepastne zaświaty wybijające się na powierzchnię w domenie turystyki. Autokar okazał się

³ Amerykański negatywny stereotyp Azjatki jako kobiety dominującej, podłej lub zakłamej, który powstał w oparciu o postać z komiksu *Terry and the Pirates* popularnego w latach trzydziestych XX wieku i był potem wielokrotnie powielany w innych dziełach amerykańskiej kultury popularnej. Amerykański negatywny stereotyp Azjatki jako kobiety dominującej, podłej lub zakłamej, który powstał w oparciu o postać z komiksu *Terry and the Pirates* popularnego w latach trzydziestych XX wieku i był potem wielokrotnie powielany w innych dziełach amerykańskiej kultury popularnej.

niemal zbyt przytulny, tętnił zadowoloną, zbyt zrozumiałą paplaniną – apatycznych, przetaczających się gładko amerykańskich głosów, uwodzicielsko przeciąganego „No co ty powiesz!”, przepełniającego samozadowoleniem akcentu supermocarstwa z poprzedniego stulecia, którego emeryci z satysfakcją sadowili się teraz na miejscach, jakby w oczekiwaniu na mroczny początek jakiegoś długiego filmu.

Na drodze z lotniska ruch był jakby niewielki; obrzeżały ją młode drzewa, całymi milami, i latarnie rzucające migotliwe, mętne światło przypominające lampki przy stopniach wiodących na scenę. Miasto stopniowo osaczało autokar rozjaśnionymi uliczkami i niskimi budynkami z dachami z czerwonych dachówek.

– Hutongi – obwieściła Sukie z fotela przed nimi.

Pod jedną z latarń, na zwykłym krzeselku fryzjer strzygł mężczyznę, który pod brodą miał zatknięty ręcznik, jakby to miejsce to był prawdziwy zakład fryzjerski. Na Alexandre ten widok, tchnący spokojem i niczym nieupięszony, sprawiał wrażenie magicznego: prostota pomysłu wykorzystania uliczki w charakterze zamkniętej przestrzeni, emanacja systemu ekonomicznego, który nie wymusza konieczności opłacania czynszu i pozwala na redukcję profesjonalnego sprzętu do ręcznika i nożyczek.

Musiało już być po północy. Siedząca obok niej Jane zasnęła, w jej oddechu chrobotą dalekie echo chrapania w Egipcie niczym małe, pochwycone w klatkę zwierzątko, które wyzbyło się wszelkich realnych nadziei na ucieczkę. Jane, będąca wśród nich trzech najbogatszą wdową, wykupiła sobie jedynekę, nie przejmując się tym, że pozostałe dwie będą musiały dzielić z sobą pokój. Na wieść, że Jane chce się odizolować w taki sposób, Alexandra przestraszyła się, że może ona sama też chrapie; była to myśl budząca zażenowanie. Jim nigdy się nie skarżył, ale z kolei często bywał na nią głuchy, kiedy siadywał za swym rozśpiewanym kołem, zatopiony we własnych monotonnych, męskich myślach. Jakiemu ciekawemu sprawdzianowi poddaje nas natura, że tak codziennie przymusza świadomość do kapitulacji, wystawiając ją na Bóg wie jakie oniryczne przejścia i powody do wstydu.

Hotel sterczał nad okolicą pełną niskich, ciemnych domków niczym wielki statek pyszniący się rzędami płonących światełek ponad posepnymi falami. Na wysokim podeście pianista, mimo późnej pory, grał melodie z broadwayowskich rewii dla grupki azjatyckich gości baru: refleksyjny *Blue Moon*, skoczny *Mountain Greenery*.

– Och, jak mi się podoba to zwariowane miejsce! – wykrzyknęła Sukie. – Lexa, cieszymy się tutaj życiem!

Sukie zastąpiła Jane u boku Alexandry, bo Jane oddaliła się sennym krokiem i padła jak nieżywa na wypchany, klubowy fotel, separując się tym samym od tej niezapomnianej

chwili, nie pozwalając, by została przeżyta w trójnasób.

Wspólne przeżywanie: to właśnie, co było takie trudne w ich własnym kraju, z jego prywatną własnością i intelektualnym zapatrzeniem w siebie, umożliwiały im Chiny. Jadały lunch, a potem kolację przy okrągłych stolikach z półmiskami pełnymi jedzenia na obrotowych tacach, które ruchliwe kelnerki wymieniały całymi naręczami. Dwunastu albo czternastu Amerykanów usadzonych do każdego takiego stolika było zmuszonych atakować kopce makaronu, jarzyn, kawałków mięsa, pierożków (pierożków nad wyraz smakowitych i bardzo niestety śliskich), a nawet ryżu, nie dysponując niczym bardziej poręcznym prócz pałeczek. Podczas porannego, a potem popołudniowego zwiedzania, bez możliwości zjedzenia czegoś w trakcie, bardzo głodnieli i dlatego z tego polowania, ze stopniowo nabywaną cierpliwością i zręcznością, na cząstki raptownie kurczących się, kołujących przed nimi dań, czerpało się niemalże duchowy zysk. Alexandra ponadto przeżywała wspólne chwile z Sukie w pokoju hotelowym, chwile wypełnione rozmowami, czytaniem i praniem bielizny, dopóki nie zmorzył ich sen, jakby były niewinnymi dziećmi, które cały dzień zapamiętałe oddawały się zabawom. Oddech Sukie, przy jej pięćdziesięcioprocentowej wydajności płuc, nie był hałaśliwy; przeciwnie, był tak cichy, że podczas pierwszych nocy Alexandra wstawiała z łóżka, zginała się wpół i nasłuchiwała, chcąc się upewnić, że jej przyjaciółka wdycha tlen i wydycha dwutlenek węgla. Opierała się pokusie, by pogłodzić ją po włosach albo dotknąć połyskujący fragment wystającego ramienia, ale czasami poprawiała pościel, jeśli skręcona w kłębek Sukie zaplątała się w nią. Gdyby zdobyła się na coś więcej, Jane w pokoju obok natychmiast by to wyczuła, zrobiłaby się zazdrosna i ich drogocenna trójca uległaby rozpadowi. To jest właśnie takie niedobre w trójcy, że dwie mogą zasadzić się na jedną.

Już pierwszego dnia, zanim jeszcze uporały się ze zmęczeniem spowodowanym zmianą strefy czasowej, zobaczyły Mur Chiński, dla którego pokonały taką daleką drogę. Autokar z trzema oknami podskakiwał i kołysał się na wąskich, krętych drogach wytyczonych wśród gór, które stopniowo pięły się w stronę Muru, znajdującego się znacznie bliżej stolicy, niż to sobie wyobrażały, bo oddalonego zaledwie o godzinę jazdy. Ich grupie wycieczkowej towarzyszyła świta złożona nie tylko z wykształconego na Tajwanie pilota oraz dwóch uśmiechniętych, acz generalnie milczących młodych funkcjonariuszy partyjnych, ale także z amerykańskiego przewodnika, który stał na przedzie autokaru i walcząc o równowagę, przemawiał do mikrofonu.

– Za każdym razem, gdy w Chinach rodzi się jakiś problem – powiedział, zataczając

się na boki, bo autokar pokonał właśnie kolejny stuosiemdziesięciostopniowy zakręt – rząd mówi: „Urządźmy jakąś uroczystość!”

Coś jeszcze potem mówił, ale Alexandra usłyszała dokładniej dopiero taki oto miniwykład:

– Pierwszy cesarz zjednoczonych Chin – Shi z dynastii Q-I-N, wymawia się „Czin” – człowiek, o którym jeszcze dużo usłyszymy podczas tej wycieczki, zatrudnił około miliona ludzi, czyli mniej więcej jedną piątą całej siły roboczej Chin, do wzniesienia muru wzdłuż całej północnej granicy świeżo utworzonego cesarstwa. Już wcześniej istniały tam podobne mury, budowano je nawet w siódmym wieku p.n.e. Na pustyni [Alexandra nie dosłyszała nazwy] można znaleźć fragmenty datujące się z drugiego stulecia p.n.e., wykonane z gałązek, słomy, ryżu i piasku. W przypadku większości pozostałych preferowanym budulcem była ubita ziemia. Spory fragment, który zaraz zobaczycie, zbudowany z cegieł związanych zaprawą, dostatecznie szeroki, by mogło po nim przejechać pięciu jeźdźców w jednym szeregu, z załogowymi wieżami sygnalizacyjnymi, tak wyposażonymi, że mogły dawać sygnały dymne albo odpalać sztuczne ognie w razie ataku wroga, powstał za dynastii Ming, panującej od czternastego do siedemnastego wieku, i został odrestaurowany do swego znakomitego, obecnego stanu dwadzieścia pięć lat temu przez ekipę niemieckich budowniczych, inżynierów, archeologów i egzystencjalistów.

W autokarze odezwały się śmiechy, kilka zawilgoconych rac nerwowego, przymilnego śmiechu, i Alexandra zastanawiała się, czy prelegent rzeczywiście użył słowa „egzystencjaliści”. Jej słuch bynajmniej nie poprawiał się z wiekiem. Niemniej przewodnik, wytrwale ćwiczący naprężanie kolan, żeby w ten sposób amortyzować kolebanie się autokaru, krzywił się i trwał na swym stanowisku w stylu, który jej zdaniem można było określić mianem egzystencjalnego, podszytego rozpaczą. Mężczyzna znowu się skrzywił i przystawił mikrofon bliżej ust.

– Fakt jest taki, że mur w ogóle nie spełnił swojego zadania. Ani za panowania dynastii Qin, ani dynastii Ming. Mandżurowie przedarli się przez mur i utworzyli następną dynastię. Cesarz Shi wrzucił do muru całe pokolenie – myślcie o tej budowli jako o konstrukcji z krwi, połamanych grzbietów i długich nocy spania w zimnie, na gołej ziemi. Tak czy owak, jego cesarstwo rozpadło się, a sukcesję przejął jego syn, ale nie potrafił utrzymać jej dłużej niż cztery lata. Shi był taki jak Cromwell, stworzył jednoosobową dynastię. Przyjął tytuł Pierwszego Cesarza, kiedy miał trzydzieści osiem lat, i zmarł jedenaście lat później, a jednak nadał Chinom ich trwały kształt. Zestandardyzował pismo, miary i wagi, system monetarny – ten mały kwadracik na środku monety to pamiątka po nim

– i średnice kół rydwanów. Podzielił cesarstwo na jednostki administracyjne i podporządkował sobie potężne rody w stolicy. Nie był wyznawcą konfucjanizmu ani taoizmu, ale był za to legalistą; wierzył, że ludzie są zasadniczo źli, albo w każdym razie głupi, i trzeba ich okiełznać za pomocą skodyfikowanego prawa, wprowadzanego bez litości. Stosował totalitarne metody, nie na wszelki wypadek, tylko opierając się na dogmacie, doktrynie. Żaden człowiek się nie liczył, tylko on jeden. To był taki piękny absolutyzm, który po jego śmierci uległ rozbiciu i przyjął postać wojujących z sobą państw. W dalszym ciągu tej wycieczki zobaczymy glinianą armię, z którą go pochowano. Był megalomanem o morderczych skłonnościach, ale tego nie wystarczyło do obrony granic Chin. Historia dowodzi jasno, że nie ma jak bronić się przed barbarzyńcami, że oni zawsze ostatecznie zwyciężają. Energia napływa z dołu, od strony wykluczonych i uciemżonych, tych, którzy nie mają nic do stracenia. To jest jak z wodą w garnku postawionym na ogniu: najgorętsza warstwa, ta przy samym dnie, wybija się na górę.

– On pije do Arabów – mruknęła Jane do ucha Alexandry.

Kierowca Chińczyk, być może tracąc cierpliwość dla tego niezrozumiałego, sztucznie wzmocnionego amerykańskiego głosu, pokonał zakręt szczególnie prędko, nie hamując. Przewodnik zachwiał się i omal nie upadł na stopnie, po których się wsiadało do pojazdu.

– Za pół godziny dojedziemy do celu – obwieścił przez mikrofon i usiadł na fotelu na samym przedzie.

Początek dnia przyniósł niebo osnute perłowymi chmurami, ale kiedy autokary zatrzymały się już na parkingu, a turyści powlekli się po stromym zboczu, słońce przedarło się i zaraziło wszystko w zasięgu wzroku swym oślepiającym blaskiem. Droga wiodąca do Muru była obrzeżona z obu stron straganami, na których sprzedawano jedwabne szale, bawełniane T-shirty z napisami chińskimi albo w alfabecie łacińskim i rozmaite drobiazgi – malowane bąki, figurki akrobatów, ptaki z plastiku i drewna, które trzepotały i ćwierkały na patykach, rzeźbione kulki zamknięte w kulkach, miniaturowe pagody, obrazki przedstawiające Wielki Mur na porcelanowych owalach albo odcisnięte na okrągłych medalionach – a wszystkie one iskrzyły się w słońcu. Właściciele straganów pokrzykiwali nachalnie do człapiących turystów, a kilku z nich wtargnęło na drogę, desperacko podtykając jakieś kolorowe, bezużyteczne przedmioty pod każdą twarz, która wyglądała na zachodnią. Alexandra nie zatrzymywała się, odtrącając natrętów z pełnym żalu półuśmiechem. Jane nie zadawała sobie trudu żadnym uśmiechaniem się, tylko stale wykonywała gwałtowny ruch ręką, jakby odganiała komary krążące jej przed twarzą. Sukie uśmiechała się nieśmiało, robiąc okrągłe oczy i minę świadczącą o wzbudzonej zainteresowaniu, przez co sprawiała,

że sprzedawcy osaczyli ją gromadnie, pokrzykując i wymachując nad jej głową swymi towarami. Jej dwie towarzyszki uznały, że najbardziej politycznie będzie wspinać się nieprzerwanie, aż do szczytu Muru. Kiedy lekko zadyszana Sukie dogoniła je wreszcie, na głowie miała stożkowaty kapelusz ze słomy, zawiązany pod szyją miękką czerwoną wstążką. Mało tego, w rękę trzymała jeszcze dwa takie kapelusze i zaraz wręczyła je przyjaciółkom, zachęcając, żeby je włożyły.

– Sssuzanne Mitchell – upomniała ją Jane, dobitnie wymawiając każdą sylabę. – Pomyśl tylko o zarazkach i brudzie, które osiadły na tych kapeluszach. Nie powinnaś ich dotykać, a już na pewno nie kupować. Oni tu mają gruźlicę. Ludzie wszędzie tu plują; widziałam, jak to robili na lotnisku.

– Och, Jane, nie bądź taka – odparła lekkim tonem Sukie. – Jak często zamierzamy przyjeżdżać do Chin? Lexa, no dalej, bierz swój kapelusz. Chcieli po pięćdziesiąt za sztukę, ale dali mi trzy za sto juań. To jakieś dwanaście dolarów. Przecież są takie klasyczne. Może nie jest mi ładnie? – Zalotnie obróciła głowę w lewo i prawo, po czym zsunęła kapelusz do tyłu. Barwa jej długich włosów, założonych za zgrabnymi, małymi uszami, znacznie bardziej przypominała teraz ich dawny, miedziany odcień; grzywka połyskiwała w słońcu, kontrastując z granicą cienia rzucanego przez Wielki Mur.

– Ależ bardzo, Sukie – zapewniła ją Alexandra. – Ale chyba bardziej dzięki tobie niż kapeluszowi.

Nasadziła swój kapelusz na głowę – robiono je w rozmiarze pasującym na każdego – i zawiązała sobie czerwoną wstążkę pod brodą. W nieważkim cieniu kapelusza poczuła się bezpieczniej. Przez rondo przesączały się rozbiegane drobinki słońca. Jane z wyraźnymi wątpliwościami poszła w jej ślady, lekko spóźniona wobec swych sióstr.

– Jak go włożyłam, ci handlarze przestali mnie wreszcie nagabywać – powiedziała im Sukie z lekkim zdumieniem. – Jak za sprawą magii.

Alexandra zauważyła, że Sukie tężeją wargi, że po tak krótkiej wspinaczce stara się złapać jak najwięcej powietrza. I że jej usta pozostają otwarte przy wydechu, że próbują oczyścić płuca przed kolejnym wdechem. Aż jej się serce ścisnęło ze współczucia dla przyjaciółki.

– Jeśli słuchaliście przewodnika – powiedziała Alexandra – cały Mur jest magiczny: to taka długa na dziesięć tysięcy mil bransoletka z amuletami przeciwko barbarzyńskim najeźdźcom.

Z samego szczytu Muru, na który wchodziło się po kamiennych stopniach, Cała ta konstrukcja jawiła się niczym tłusty smok z brązowych cegieł pełznący po górskiej grani, od

jednej przysadzistej wieży do drugiej; widok ten wzniecił w Alexandrze to samo poczucie lekkości, odlotu, które naszło ją w Kanadzie, na deptaku wiodącym do Szczytu Sansona. Wielki Mur, wyczytała w dzieciństwie w gazetowej rubryce *Wierzcie albo nie wierzcie Ripleya*, że to jedyne dzieło człowieka, które da się zobaczyć z Księżycą.

Kawałek dalej na szczycie Muru stała budka telefoniczna z tabliczką, która w licznych językach i alfabetach informowała, że można stamtąd zadzwonić do dowolnego miejsca na świecie. Budka była pusta, mimo że w jej najbliższym otoczeniu kłębiły się tłumy ludzi.

– Mogłybyśmy zadzwonić do naszych dzieci – zaproponowała Alexandra.

– Nie zrozumiałyby, że mają do czynienia z prawdziwym cudem – stwierdziła Sukie. – Żyją w świecie, w którym wystarczy wykręcić numer na informację dowolnego lokalnego lotniska, żeby zdobyć połączenie z kimś w Indiach, kto czyta z kartki z akcentem, którego nie rozumiesz.

– Mój starszy syn – powiedziała Jane – grywa w brydża przez Internet z grupą, do której należy mężczyzna z Ułan Bator i kobieta z Albanii. Rozmawiają wyłącznie za pośrednictwem kart.

Alexandra próbowała sobie przypomnieć dzieci Jane – był jakiś otyły chłopiec, chuda dziewczynka i jeszcze dwójka innych. Dziewczynka chodziła z brudną buzią, a za aparatem ortodontycznym zawsze miała resztki jedzenia. Żadna z nich, trzech czarownic, nie była idealną matką – w każdym razie nie według dzisiejszych standardów obsesyjnych rodziców, którzy na moment nie spuszczaają oka ze swych dzieci, nawet gdy te stoją na przystanku autobusowym po drugiej stronie ulicy – ale nawet według bardziej luźnych standardów ich mniej troskliwej ery Jane była skandalicznie niedbała.

– Ale przecież nie jesteśmy nimi – upierała się Sukie, starając się podtrzymywać w nich grupowego ducha. – Jesteśmy przedelektroniczne i zachwycone, że znajdujemy się tutaj w realu. Dla nas ziemia wciąż jest ogromna, mam rację? – Ujęła obie swe towarzyszki za ręce i pociągnęła je za sobą; wszystkie trzy najpierw pomaszerowały, a potem pobiegły, w dół zbocza, ramię w ramię, po szczycie Muru, do następnej wieży, gdzie kiedyś żołnierze cesarza pełnili wartę, spali i gotowali, pozostawiając po sobie plamy od dymu widoczne wiele stuleci później. Niemieccy konserwatorzy stracili zainteresowanie do odcinka, który znajdował się za tą wieżą, i Mur tam był gorzej naprawiony, a kolejne sto jardów dalej, widziały to ze swojego miejsca, piął się w postaci niedającego się przejść zwałowiska gruzu, otoczonego barierkami ochronnymi. Zadyszane od biegu i chichotania, bo przecież mknęły, tupocząc, pod obstrzałem krzywych spojrzeń innych turystów i strażników o kamiennych twarzach, wdowy obejrzały sobie dokładnie między blankami Muru teren rozciągający się poniżej, dawniej należący do

osławionych barbarzyńskich nomadów. Pasma niebieskich gór, każda kolejna coraz to ciemniejsza od poprzedniej, cofały się w stronę zamglonego nieba, nie dając z siebie ani jednego śladu ludzkiego domostwa albo uprawianego poletka. Po drugiej stronie, od wschodu i południa, skąd tu przybyły, każde zbocze było poprzecinane zalanymi wodą tarasami, każda dolina tuliła w sobie wioskę, a od fundamentów Muru w dół spływała kolorowa gęstwa sklepików i prędkich jadłodajni. To były Chiny, tętniące życiem pod mandatem Nieba.

Rozbawiona swoimi harcami na skraju cywilizowanego świata Sukie poprosiła otyłego Amerykanina, groteskowego barbarzyńcę w bermudach, czapeczce baseballowej z daszkiem jak kaczy dziób i adidasach, żeby zrobił im zdjęcie jej małym, cyfrowym nikonem, najnowszym modelem kupionym specjalnie na tę wyprawę; mężczyzna zrobił prędko kilka ujęć i potem pokazał im na podglądzie, jak wyglądają w Chinach, w kapeluszach kulisów, które zsunęły na tył głowy, by było dobrze widać ich dzielnie uśmiechnięte, postarzałe twarze. Trzej królowie obramowani absurdalnie wielkimi, słomianymi aureolami.

– To będzie nasza kartka bożonarodzeniowa – obiecała ze śmiechem Sukie.

Jak prędko, przyszło na myśl Alexandrze, z powrotem stały się triem, trójcą, która zesłała się, by stworzyć stożek mocy. Nie szło o to, że lubiła te dwie kobiety bardziej niż swe twarde jak skóra, bohemiaste, długowłose, wiecznie paradujące w džinsach przyjaciółki z Taos – w porównaniu z nimi Sukie i Jane miały ciasne, północno-wschodnie horyzonty – niemniej w ich towarzystwie czuła się silniejsza, bardziej doceniana, bardziej lubiana. Te dwie znały ją w czasie, gdy była u szczytu swojej atrakcyjności, należąc przy tym do społeczności, która odizolowawszy się wprawdzie od miejskiego narcyzmu, współuczestniczyła jednak w podszytej seksem burzy swojej epoki i ceniła atrakcyjność ponad wszystko inne. W porównaniu z Sukie nie była rozwiązła, tylko raczej leniwie lojalna wobec swojego beznadziejnego męża i długoletniego kochanka, niedoszłego drugiego męża, Joego Marino. W porównaniu z Jane była macierzyńska i konwencjonalnie wierna tradycyjnym zasadom. Mimo to w jakiś sposób górowała nad tamtymi dwiema, bo ucieleśniała szerszy kanał do podziemnego strumienia natury, tego mrocznego antyprądu patriarchalnej tyranii, z którego brała się magia. To wszystko to była chemia: bez Alexandry w roli katalizatora niebezpieczna, zbrojąca w siłę reakcja nie zachodziła.

Na następny dzień przewidziano wycieczkę autokarem do Pekinu. Oczyszczone dzięki temu, że stanęły na Murze i obejrzały z jego szczytu niezamieszkaną, błękitną majestat barbarzyńskich królestw, których żaden mur nie jest w stanie odseparować, i odświeżone po całej nocy mocnego snu (Sukie nie chrapała, tylko wciągała oddech do uszkodzonych płuc z łatwością małego kotka, z towarzyszeniem ledwie słyszalnego odgłosu, który mieszał się z

ciepłym powietrzem nawiewanym przez system grzewczy ich hotelu urządzonego w zachodnim stylu, a poza tym obecność drugiej osoby w pokoju odprężała Alexandrę, jakby ta słaba wdowa mogła ją przed czymś ochronić), trzy turystki zostały przeprowadzone przez imponujący labirynt Zakazanego Miasta. Zostało zbudowane, wyjaśnił im przewodnik w rozkołysanym autokarze, przez trzeciego cesarza z dynastii Ming, w celu wzmocnienia zawsze podatnej na atak północnej granicy, która przebiegała w pobliżu.

– I jak tu nie rozmawiać o urządzeniu uroczystości! – powiedział do mikrofonu. – Dwieście tysięcy robotników skleciło je w zaledwie czternaście lat, czyli do roku 1420. Z początku nazywano je Purpurowym Zakazanym Miastem. W owych czasach Gwiazdę Północną nazywano „purpurowym pałacem” i uważano ją za centrum wszechświata; cesarz przez skojarzenie miał być boskim narzędziem uniwersalnej mocy. Cesarze z dwóch dynastii panowali tutaj aż do 1911 roku, kiedy to abdykował Puyi, cesarz-chłopiec – biedny, mały Puyi. Bez wątpienia wielu z was widziało ten film, jego fragmenty filmowano właśnie tutaj. Zakazane Miasto to prawdziwy zwycięzca. Przetrwało pożar, wojnę, wojnę domową i „rewolucję kulturalną”, w odróżnieniu od wielu innych zabytków. Mao uważał, że przeszłość Chin wisi martwym ciężarem nad całym krajem, i to od wieków. Zakazane Miasto zostało wytyczone według zasad wymyślonych za dynastii Shang, przed trzema tysiącami lat, w którym to czasie nasi biali przodkowie malowali się na niebiesko i obrabiali krzemień na groty strzał.

Kierowca autokaru, któremu po wielu nagłych zwrotach na ulicach miasta nie udało się pozbawić przewodnika równowagi, zahamował tuż przy placu Tiananmen. Turyści wysiedli. Przewodnik wywalczył sobie miejsce w powodzi innych grup turystycznych przy Bramie Tianan, Bramie Niebiańskiego Spokoju, a potem znów zaczął pokrzykiwać:

– Wszystko jest symetryczne, jak sami państwo widzicie. Wszystkie dziedzińce i ceremonialne pawilony zbudowano wzdłuż osi północ-południe. Marmurowy chodnik jest przeznaczony wyłącznie dla lektyki cesarza. Pozostali ludzie bez wyjątku, niezależnie od rangi – ministrowie, skrybowie, konkubiny, sama cesarzowa – korzystali z bocznych przejść i drzwi. A teraz przyjrzyjcie się nam – turystom, barbarzyńcom, *jengin* – którzy stoimy sobie tutaj, na samym środku placu, któreśdy dawniej mógł przejść tylko tron cesarza! Kiedy Starbucks wystąpił o pozwolenie na zbudowanie swojego lokalu tuż obok Bramy Niebiańskiej Czystości, to je otrzymał! Żegnaj *feng shui*, witaj cafe latte!

Alexandra przyglądała się przewodnikowi: niski, ze sflaczałym brzuchem i ziemistą cerą, bezoprawkowe okulary, rzędzące włosy sterczące suchymi kępkami – typowy rozmamłany pracownik naukowy na półwakacjach, bez krawata i marynarki, z zawiniętymi

mankietami białej koszuli, bo wciąż utrzymywał się upał późnego lata, a jednak była pasja, a nawet buta w tym jego głośnym, nieznośnie mentorskim głosie i tych krzaczastych, czarnych brwiach. Lubiała przyglądać się mężczyznom i zadawać sobie pytanie, czy w czasie, kiedy osiągnęła pełnię swej kobiecości, dany mężczyzna spodobałby jej się dostatecznie, by iść z nim do łóżka. Seks odpadł od jej życia ileś lat wcześniej; pociąg seksualny przestał się odzywać ze swymi pilnymi roszczeniami jeszcze za życia Jima, a mimo to odruchy, punkt widzenia, pozostały.

Bramy, dziedzińce, pawilony – Najwyższej Harmonii, Zachowania Harmonii, Kształtowania Charakteru, Doskonałej Harmonii, Muzeum Zegarów i Zegarków – następowały jedno po drugim, wprawiając w ogłupienie. Podwójne krokwie wyłożone lśniącoymi płytkami barwy cesarskiej żółci zakrzywiały się na końcach na tle nieba. Nawet najbardziej zaufani ministrowie cesarza nie mogli przejść przez Bramę Niebiańskiej Czystości, a jednak musieli gromadzić się przed nią o świcie ze swoimi raportami. Czy on ich słyszał? Czy podejmował działania na podstawie tych raportów? A kto wysłuchiwał jego edyktów, odczytywanych ze skrajną pompą przy Bramie Niebiańskiego Spokoju? Szkatułki w szkatułkach, paraliż harmonii. Życie musiało się pewnie gromadzić, wywnioskowała Alexandra, w jakichś małych kieszonkach, w mrukliwych, ukradkowych dryfach. Przy zwiedzaniu malutkich, drewnianych izdebek, klutek niemalże, w których cesarskie konkubiny przędły swój żywot, uśmiechnęła się z niejakim zrozumieniem: pojmane w niewolę kobiety, znudzone, wypełniające nieskończenie długie minuty klótniami z innymi zazdrościami i rozpaczliwie rzucanymi czarami, maleńkie serduszka drzące z bojaźliwej nadziei, że kaprys cesarza doceni gorliwość.

Długi poranek przeobraził się w popołudnie. Przewodnik poprowadził ich obok ważącego dwieście ton marmurowego reliefu przedstawiającego dziewięć smoków, obok żurawi z brązu symbolizujących długowieczność, obok tronów z drewna sandałowego wyściełanych jasnym jedwabiem, emaliowanych parawanów, bezcennych, acz zniszczonych przez czas świeczników, naczyń na wino, serwisów do herbaty, cesarskich pieczęci, rzeźbionego jadeitu i koralu, po kolejnych posadzkach wyłożonych złotymi płytkami i wreszcie wypuścił ich na wolność przez Bramę Niebiańskiego Spokoju, na przepastną przestrzeń placu Tiananmen, największego takiego publicznego placu na świecie. Zwrócił im jeszcze uwagę, że olbrzymi portret Mao zawieszono nad bramą w idealnej zgodności z cesarską osią; nawet asymetryczny pieprzyk na twarzy Wielkiego Sternika został umieszczony centralnie. Sternik ich wycieczki, który nazywał się pan Muir, zerknął na swój zegarek, wielki i tani, i krzyknął:

– Proszę wrócić do autokaru za godzinę. I proszę się nie zachowywać jak barbarzyńcy.

Podczas gdy chińskie dzieci i sprzedawcy tandetnych suvenirów gapili się na nich jak na egzotyczne zwierzęta ludzkiej wielkości, Alexandra, Jane i Sukie debatowały, czy stanąć w kolejce do mauzoleum Mao, na przeciwległym krańcu placu.

– To oni go wciąż uwielbiają? – spytała Alexandra. – Myślałam, że obalił go ten drugi, Deng jakiś tam.

– Widać nie do końca – stwierdziła sarkastycznie Jane. – Tu ciągną nowożeńcy i w ogóle ludzie z całego kraju. Biedni go nadal uwielbiają, a jakże. Z nim jest tak jak ze Ss Stalinem w Rosji; uwielbiają go ci, których nowy system skazał na przegraną.

– Och, koniecznie musimy tam iść! – podnieciła się Sukie. – Już nigdy więcej nie będziemy miały takiej okazji. Ja chcę zobaczyć nowożeńców!

Rzeczywiście, dwie długie kolejki w sporej mierze współtworzyli młodzi nowożeńcy, wruszająco starannie ubrani i dyskretnie trzymający się za ręce. A oprócz nich były tam również dzieci, po jednym na każdą parę rodziców, starszkwowie w piżamach oraz tajwańscy biznesmeni w lśniących, ciemnych garniturach, którzy palili papierosy i wymieniali się dowcipami. Kolejki, w których porządku strzegli strażnicy bez mundurów, przemieszczały się prędko; Alexandra nawet nie zauważyła, kiedy znalazła się w tętniącym ciszą wnętrzu, ze wzrokiem naprawdę utkwionym w twarzy sławnej na cały świat, w nieprzejednanym Innym, we władcy absolutnym, który przez dwadzieścia siedem lat rządził jedną czwartą ludności świata, cesarzu, do którego ludzie nareszcie mieli dostęp. Ciało spoczywało w kryształowej trumnie, nakrytej czerwoną flagą. Twarz była mniejsza, niż Alexandra się spodziewała, i wcale nie przypominała twarzy Mao. Wbrew zaprowadzonemu przez siebie kultowi jednostki Mao wydawał się pozbawiony osobowości; jego twarz, jednolicie umalowana pomarańczowym pudrem nie całkiem podobnym do barwy prawdziwej skóry, była zapadnięta i niczym się nie wyróżniała: to mógł być ktokolwiek, a w każdym razie dowolny, skamieniały Chińczyk unieruchomiony za pomocą dermoplastyki, z włosami zaczesanymi na tył czaszki. I kiedy tak Alexandra gapiała się na ten pomarańczowy profil, oczy Mao otworzyły się; czarne tęczęwki wyraźnie się przesunęły, jakby chciały ją sobie obejrzeć, a zaraz potem, tak prędko jakby tylko mrugnęły, powieki zwarły się na powrót niczym dwa kawałki papieru powleczonego klejem.

Serce jej podeszło do gardła, a z ust wyrwał się cichy pisk; stojąca tuż obok para młodożeńców zerknęła na nią z oburzeniem, że oto jakaś osoba dopuszcza się aktu barbarzyństwa podczas ich świętej chwili z trupem. *Proszę się nie zachowywać jak barbarzyńcy.* Widoczne po drugiej stronie kryształowej trumny Sukie i Jane, w drugiej

kolejce, już przechodziły dalej, z minami wyrażającymi głęboki szacunek. Oba ludzkie sznury minęły oficjalny sklep z pamiątkami, po czym wyszły na uliczny zgiełk, pośród którego sprzedawcy namawiali do kupowania zdezaktualizowanej *Czerwonej książeczki* i przycisków do papieru z wizerunkami Mao.

– Wy to zrobiliście? – spytała Alexandra swoje dwie towarzyszki.

– Co?

– Kazałyście Mao mrugnąć do mnie. Ze strachu omal nie padłam tam trupem. Gdybym zemdląła albo wrzasnęła, to wszystkie trafiłybyśmy do więzienia za zakłócanie spokoju.

Sukie roześmiała się radośnie. Jane wyraźnie nie zamierzała przeproszać.

– Nie byliśmy w stanie stwierdzić, czy to działa – odparła bez uśmiechu. – Po naszej stronie nic się nie wydarzyło.

Sukie próbowała załagodzić sytuację.

– Po prostu zauważyłyśmy, że masz na twarzy tę udawaną powagę, jak ateista uczestniczący we mszy, dlatego postanowiłyśmy trochę się z tobą podroczyć – wyjaśniła.

– Ja się tylko starałam nie wyróżniać – zaprotestowała Alexandra. – Przecież widzą, że nie jestem Chinką, ale mogą myśleć, że jestem zwykłą turystką, jak wielu innych.

– Lexa – powiedziała do niej czule Sukie – jesteś słodka, kiedy tak się wszystkim podlizujesz. Ale naprawdę to zadzierasz nosa. Czemu miałby mrugać akurat do ciebie? Leży tu od lat i przechodzą obok niego miliony.

– Oni wiedzą, co robisz w tej kolejce – dodała Jane dość gniewnie. – Zwykła, durna ciekawość. Nie wierzysz, że ci ludzie są zaawansowani, mimo że są. Mają teraz Internet, wiedzą o Zachodzie wszystko. Wiedzą, że koniecznie chcemy oglądać ciało Mao, bo jesteśmy infantylni. Wiedzą, że kiedyś wieszaliśmy jego zdjęcie w akademikach, choć przecież obiecał, że nas pogrzebie.

– To był ktoś inny – powiedziała Sukie. – Tamten śmieszny, łysy Rosjanin z samymi spółgłóskami w nazwisku. Uwielbiałam go, kiedy się tak wydurniał w Hollywood. Pamiętacie?

Alexandra wciąż protestowała.

– Ale on naprawdę zamrugał – zapewniała. – Zastanawiałam się, czy ta para za mną to zauważyła, ale nie wiedziałam, jak ich spytać. Sprawiali wrażenie lekko wkurzonych. – Prawdę mówiąc, była zazdrosna, że pozostałe dwie kobiety zawiązały spisek przeciwko niej, że rzuciły na nią urok, nieważne, że tylko na sekundę.

A z kolei tamte dwie wyczuły, że popełniły wykroczenie, nieważne, że w żartach, przeciwko ich trójcy. Odkąd znowu się zeszyły, ich moce powracały w postaci drobnych

szpilek, podsuwania sobie znaków, dziewczynskiego rozkoszowania się złośliwością, *maleficia*. Zgodziły się, przy otumaniającej śliwowicy w hotelowym barze, że ich następny akt iluzji – to najłagodniejsze, najskromniejsze ćwiczenie, noszące niewiele bardziej nadprzyrodzony wymiar niż hipnoza i kobieca intuicja – będzie pochodził od wszystkich trzech, zjednoczonych pod stożkiem mocy przeciwko komuś z zewnątrz.

Następnego dnia grupa wycieczkowa pokonała dwugodzinny lot do Xi'an, stolicy cesarza Shi. To tam odkryto matriarchalną osadę neolityczną datowaną na 4500 p.n.e., tam narodziła się chińska porcelana i znacznie później chiński komunizm. Na północy i zachodzie miasta znajdowało się wiele cesarskich grobowców, w tym również grobowiec Shi, dotąd jeszcze nieodnaleziony, ale według pogłosek miał on w sobie kryć takie cudowności jak na przykład rzeka rtęci. W 1974 roku milę dalej odkryto jego armię żołnierzy z terakoty, kiedy chłopcy kopiący tam studnie wygrzebali jakiś posąg. Wszystko to powiedział im pan Muir (pan Mur, żartowała oczywiście Jane), chwając się i prawie przewracając na przedzie autokaru. A potem zaprowadził ich do wielkiego pawilonu, wyposażonego w dotykowe ekrany komputerowe i film 3D, wyświetlany nad rowami zawierającymi szeregi żołnierzy z terakoty; tych żołnierzy były tysiące, ale archeologom udało się scalić jedynie około tysiąca.

– Odkrywka pierwsza – powiedział im pan Muir, kiedy otoczyli go ciasnym wiankiem, żeby coś słyszeć ponad hałasem innych turystów i przewodników w przejściach między rowami – składa się z jedenastu równoległych korytarzy wrytych w ziemi. Pierwotnie były nakryte drewnianym dachem pokrytym matami ze słomy i gliną. Dach zapadł się od upływu lat i przygniótł żołnierzy. Ich nogi są wypełnione, ale torsy puste. Ręce i głowy dodano później, a na samym końcu rzeźbiono indywidualne cechy, jak uszy i brody. Podobno nie ma dwóch takich samych twarzy, ale ja w to wątpię. Myślę, że opracowano cztery podstawowe typy i cały system polegał na miksowaniu. Podkreśla się tutaj różnorodność typów etnicznych, być może w ten sposób cesarz chwalił się zróżnicowaniem swojego imperium. Żołnierze piechoty nie nosili zbroi i hełmów; z punktu widzenia militarnego miało to sens, bo mogli się prędko przemieszczać. Łuczników wyposażano w rydwany. Królowa Elżbieta II, jedna z niewielu mieszkańców Zachodu, którym pozwolono zejść tutaj na dół, otrzymała w prezencie replikę takiego rydwana. I co jeszcze mogę dodać? Interesujące są te próby indywidualizacji, gdy dokonuje ich tyran legalista, nieprawdaż? Ci, którzy byli w Egipcie, mogą to porównać ze sztuką egipskich grobowców – wszyscy oprócz faraona i jego żony są wymienni, typowi. Z tymi żołnierzami cały hit polega na tym, że wyglądają tak naturalnie. Oprowadzałem po tym miejscu niejedną kobietę, wdowę, która mi mówiła, że chętnie wzięłaby takiego do domu w charakterze męża. Nie chrapałby, obiecuję.

Wdowy, chrapanie – Alexandra poczuła, że mrowi ją w czaszce i karku. Tak to zabrzmiało, jakby ten człowiek wdarł się do jej głowy, zanim one zdążyły wdrzeć się do jego głowy. Wybrały go sobie na ofiarę, w razie gdyby chciały spłatać jakiegoś figła. W tym momencie posłuszny śmieszek ze strony bliskiego kręgu jego słuchaczy wywołał w panu Muirze poczucie, że powinien powiedzieć jeszcze jakiś dowcip; jego policzki wydeły się nieznacznie, jakby bezskutecznie starał się coś wymyślić.

– Przejdźcie się, państwo, dookoła – powiedział głośno przewodnik, jakby chciał ich wszystkich przegnać. – Nie stójcie tu w miejscu. Idźcie na tył, gdzie wciąż wykopują kolejnych żołnierzy. Same kawałki, to nie jest łatwe. Odkrywka druga to obecnie czynne wykopalisko; mrówcza robota, tak to zawsze jest w Chinach. Możecie też porobić zdjęcia. Dziesięć lat temu nie było wolno, wrywali ci aparat z rąk. Ten, kto przyjeżdża do Chin tak często jak ja, jest w stanie poczuć, że paranoja stopniowo słabnie. Niedługo my będziemy większymi paranoikami niż oni. Pochodźcie tu sobie, oglądajcie i się ucicie. Spotkamy się przy pawilonie rydwanów, za czterdzieści minut.

Mimo że pan Muir – Alexandra dowiedziała się, że ma na imię Eric – chciał być sam, Alexandra i kilku innych turystów, w tym również Sukie i Jane, trwali przy jego boku, przy balustradzie, spoglądając w dół na lekko nieregularne szeregi glinianych żołnierzy maszerujących w ich stronę, w szyku bitewnym, z twarzami zwróconymi ku wschodowi, bo cesarz Shi uważał, że jego wrogowie mogą przyjść właśnie stamtąd. Od biernego milczenia i nieruchawości żołnierzy powiało dziwną grozą. Na oczach Erica Muira zaczęli się poruszać – ot, ułamek ruchu na skraju pola widzenia, skaza niczym banieczka powietrza w starym szkle, nieuchwytnie drgnienie. Zapięły go oczy, jak po zbyt wielu godzinach czytania, więc zdjął okulary i uszczypnął się w nos, żeby oczyścić umysł.

Alexandra wdychała woń gliny z wielkiego dołu; towarzyszył jej odór bijący od tęgawego ciała przewodnika, od jego pach i tych ukrytych fałd, w których zbiera się pot. Niektórzy mężczyźni, nawet ci nieumyjni, nie wydzielają zapachu, tak było z jej pierwszym mężem, Oswaldem Spofforden, inni zaś wzmacniają swoją męską obecność wonną mieszaniną skóry, konia, tytoniu, whiskey i gliny, jak Jim Farlander. Pan Muir zaliczał się do tych, których ciało, zepchnięte na ubocze w zmaganiach intelektualnych, otaczała woń zastarzałych wydzielin i nieprzespanych nocy spędzonych na czytaniu. Był to budzący niesmak, a jednak męski zapach, przypominający jej utracony półświatek fizycznej intymności, bezwstydu podszytego wdzięcznością i wzajemnej penetracji.

Eric Muir włożył z powrotem okulary i tym razem już nie miał wątpliwości: żołnierze z terakoty naprawdę się poruszali – nie wykonywali zamasztych ruchów rękami i nogami,

nie wykrzykiwali pieśni marszowej, ale przybliżali się niczym fale oceanu, które osiągały szczyt, opadały i dawały się wsysać w głęb, nie wpływając na zasadnicze rozmiary zimnych, podmorskich głębin. Ich broń, sierpy wykute z brązu, których drewniane drzewca zdążyły już dawno temu zbutwieć, trzęsły się, jakby ktoś je ostrzył, a teraz jeszcze słyhać było śpiew, kiedy tak maszerowali w stronę rzezi, zarzynając innych i sami będąc zarzynani, rytmiczne zmarszczki w zgiełku tłumu pochwyconym pod dachem wielkiej, nowoczesnej szopy wzniesionej nad nieodkrytymi dołami. *Da, sha, xie, si*: tak brzmiały słowa skandowanej pieśni. Walczyć, zabijać, krew, śmierć. Tak właśnie postrzegał Chiny – tysiąclecia rzezi, wojen, głodu, potopów, tortur, grzebania i obdzierania żywcem ze skóry, śmiertelnej harówki, a jednak nigdy tam nie było dość śmierci, by odciążyć te ziemie z jej ludzkiego brzemienia. Armia wciąż szła, zbliżała się, symbolizując okrutną historię ludzkości.

Zastanawiał się, czy przypadkiem nie traci zmysłów, albo sam z siebie, albo w uścisku grupowych halucynacji. Zwrócił się do osoby, która akurat stała najbliżej niego, do tej najwyższej i najobszerniejszej z trzech starszych pań, wdów, które trzymały się razem z jakąś taką złowieszczą bliskością. Ta mogła być kiedyś wielką pięknoscią; było w kształcie jej ust coś wyrażającego samozadowolenie, z czym z kolei droczył się uśmiech między jej osobliwie rozdwojonym podbródkiem i czubkiem nosa, rozdwojonym jeszcze bardziej subtelnie. Sprawiała takie wrażenie, jakby z zainteresowaniem przyglądała się armii, podczas gdy przyjaciółki, stojące za jej plecami, nieopodal, miały oczy zamknięte, jakby się skupiały na jakiejś swojej wewnętrznej wizji.

Zauważywszy jego pytające spojrzenie, jego wyraźne podniecenie, kobieta spytała:

– Czy coś się stało, panie Muir?

– Nie – skłamał, ale wychrypiął tę monosylabę.

Zlitowała się.

– Widział pan, jak się poruszali? Bo ja tak.

– Widziała pani?

– Tak mi się wydawało, przez chwilę. Teraz stoją spokojnie. Pewnie nad czymś tu pracują. Wie pan, hologramy.

– O tak – zgodził się z ulgą. – Ci nowi Chińczycy. Uwielbiają supernowoczesne zabawki.

Kolejne cztery dni wycieczki spędzili na rzece Jangcy, z jej malowniczymi przełomami, które niebawem miały zostać zatopione w wyniku nieubłaganego postępu ludzkości, stamtąd udali się do Chongqing, gdzie oglądali budzącą grozę wojenną ponurością i skromnością kwaterę swego sławnego rodaka, generała Josepha Stilwella, zwanego Józio

Oceł, a potem pognano ich nad rzekę Li, gdzie ogromne skalne lica zdawały się ukrywać w swych fałdach kolumny starożytnych inskrypcji i gdzie przykucnięci wynędzniali rybacy popychali tyczkami delikatne łódki, a na koniec zwiedzali Szanghaj i Hongkong, przeludnione, gwałtownie rozrastające się miasta przyszłości, przyszłości, w której świat będzie się składał z samych miast, z miast i pustyń wprawiających powietrze w drgania i roztopiających lodowce w procesie niszczycielskiego globalnego ocieplenia.

Trzy kobiety były zachwycone Chinami. Każdy dzień przynosił jakąś nową błyskotkę, jakiś nowy widok, albo i kilka widoków, w kolorach równie świeżych jak mokra farba. Ta wielka kraina sprawiała wrażenie zniszczonej i cierpiącej, ale – wyjąwszy kilka kontrolowanych kościołów, które pozostały tam jako pamiątka po wzgardzonych parusetletnich wysiłkach misjonarzy – wolna od chrześcijaństwa, chrześcijaństwa, które prześladowało czarownice furią własnych, wypartych żądź. Tutaj powietrze wydawało się nieskażone tą szczególną historią, tymi tyrańskimi duchami, które prawią kazania o grzechu i zbawieniu, i dlatego przekłete kobiety w ramach swej zuchwałej turystyki czuły się tam wolne.

CZEŚĆ
DRUGA

MALEFICIA
PO RAZ DRUGI

Piętno szatana ciąży na naszych przyjemnościach, w przeciwnym razie nie kusiłoby nas, żeby je wciąż sobie fundować, do przesytu, póki same nas nie pożrą. Wyprawa do Chin powinna była wzbudzić w trzech wdowach wolę podwiązania dyndających luźno końcówek ich dawnego małżeńskiego życia i przygotowania się ze skrucą do grobów, a potem na sąd, tymczasem te trzy współniczki w czynieniu zła, podekscytowane ponownym odkryciem swojej mocy, jakie sprowokowała zagraniczna wyprawa, i nie chcąc, by ich wzajemne stosunki znowu ochłodziły, co doprowadziłoby w rezultacie do rozstania, pozostały w kontakcie, za pośrednictwem e-maili i tradycyjnych listów, a przede wszystkim staroświeckiego medium, jakim posługiwały się na co dzień, gdy mieszkały w jednym małym miasteczku, a mianowicie telefonu. W ciągu trzydziestu lat solidne, bakelitowe przyrządy z lat siedemdziesiątych, z lutowanymi, kolorowymi drucikami, skurczyły się do postaci srebrnych telefonów komórkowych, które odzywały się zaprogramowaną ulubioną melodyjką albo cichutko wibrowały w kieszeni kuchennego fartucha. Wygórowane stawki, które jeszcze wcale nie tak dużo wcześniej zmuszały klientów AT&T do skrupulatnego liczenia minut paplaniny, zmalały do ledwie zauważalnych opłat w sieci Verizon albo Sprint, a nawet i jeszcze mniejszych, kiedy darmowe minuty stały się nieodłącznym elementem umowy z operatorem. Do Nowego Meksyku dzwoniło się teraz równie tanio jak do Nowego Jorku; wystarczyło wystukać ciąg cyfr świeżo wyćwiczonym, przeciwstawnym kciukiem.

– Lexa? – Sukie prawdopodobnie z góry spodziewała się odmowy na pytanie, bo jej głos miał w sobie niepewny zaśpiew.

– Tak, kochana, no co tam?

To wcale nie było tak, jakby życie Alexandry, tu w Taos, było całkowicie puste. Zaczęła używać koła Jima, na którym robiła własne garnki, żeby mieć czym uzupełniać zapasy sklepowe, powoli, acz nieuchronnie malejące podczas zimy, jako że wakacjusze ze Wschodu i Środkowego Zachodu urządzali obecnie swoje nowe domy w stylu, który w ich wyobraźni uchodził za autentycznie zachodni. Próbowwała podrabiać styl Jima, ale coś kobiecego w jej dotyku ścieniało gliniane ścianki i przytłumiało malowane paski do łagodniejszych barw niż te, które preferował jej mąż. Ponadto jej życie towarzyskie nabrało tempa: poproszono ją, żeby wstąpiła do kolegium doradczego Domu Mabel Dodge Luhan, i jeden z członków tegoż kolegium, Ward Linklater, autor wielkich rzeźb z brązu

przedstawiających faunę Zachodu, głównie kojoty, zające i mustangi, rosły wdowiec o ogorzałej twarzy z siwymi wąsami i wymuskaną plamką wyhodowanego zarostu pod dolną wargą, łypał na nią uwodzicielskim okiem. Kilka razy zaprosił ją na kolację i Alexandrze spodobało się, że rozmawiają z czułością o swych zmarłych współmałżonkach, suto podlewając te rozmowy czerwonym winem, a potem rozchodzą się do swych domów, zbyt zmęczeni, by zrobić coś jeszcze. Seks po siedemdziesiątce – nawet nie chciała wiedzieć, czy coś takiego istnieje. Kiedy spytała go żartobliwym tonem, czy taki zarost pozostawiony pod dolną wargą jakoś się nazywa, zaczerwienił się i odparł: „Szczotka miłości, tak chyba mówi na to młodzież”, ale nie pociągnął tematu.

– Jane i ja jesteśmy ciekawe, co byś powiedziała na Machu Picchu – wypaliła Sukie.

– Machu Picchu w Andach?

– Tak, bo przecież tak ci się podobało w Górach Skalistych w Kanadzie. I nie byłyby to same ruiny, bo na trasie jest też Lima i Cuzco, a potem jeszcze Boliwia i Ekwador. I jest jeszcze jeden dodatkowy walor, który Jane kazała mi specjalnie podkreślić: nie zmieniamy strefy czasowej.

– Dlaczego Jane sama do mnie nie zadzwoni, skoro tak się do tego pali?

– Uważa, że z moich ust przyjmiesz to lepiej. Jej się wydaje, że jesteś na nią wkrewiona za coś, co zaszło między wami w Egipcie, ale ona nie wie, co to takiego.

– Gada głupoty. W Egipcie czułam się z nią całkiem nieźle, tyle że chrapała. Ale raczej nie mogę sobie pozwolić na taką ambitną wyprawę tak od razu po Chinach. Mur i piramidy w zasadzie mi wystarczają, jeśli idzie o cuda świata. Powiem szczerze: nie stać mnie na jeszcze jeden cud. Ty i Jane, zdaje się, zostałyście dobrze zabezpieczone, ale my z Jimem ledwie wiązaliśmy koniec z końcem, a teraz ja ledwie wiązę koniec z końcem. Przykro mi, kotuś.

– Nie przepraszaaj. Domyśliłam się, że powiesz coś w tym guście. I właściwie to czuję ulgę. Nie byłam pewna, jak się poczuję na takich wysokościach z moją rozedmą, choć zdaniem agentki z biura podróży nie ma problemu.

– Wolno jej tak mówić. Dla niej nie ma problemu.

– Otóż to.

Chwila milczenia, podczas której rozkoszowały się tym, że są takie zgodne.

– A jednak – podjęła Sukie tonem zadumy – byłoby miło pojechać gdzieś razem, zanim za bardzo się zestarzejemy. Jane ma jakieś problemy zdrowotne, ale nie lubi o nich rozmawiać.

– Jakie problemy?

– Gdzieś w środku. Nie chce o tym mówić. Byłoby cię stać na Meksyk?

– Jim i ja zwiedzaliśmy Meksyk. I to nie raz. Mówią, że na niektórych autostradach, po których jeździliśmy w pierwszych latach małżeństwa, najpierw z moimi nieszczęsnymi dziećmi, które umierały z gorąca i narzekały za naszymi plecami, a potem tylko we dwoje, podczas drugiego miesiąca miodowego, grasują bandyci, którzy porywają Amerykanów dla okupu. Świat staje się dla nas coraz mniej przyjaznym miejscem, nie powiedziałaś?

– A co ty na Irlandię? Oni tam są wciąż przyjaźni, aczkolwiek słyszałam, że tam już nie jest tak tanio jak dawniej, zanim weszli do Unii i zostali celtyckim tygrysem. Faceci z firmy Lennie jeździli do Irlandii na tydzień golfa. Nie chciałyś zobaczyć Hebrydów i Pierścienia Kerry? Tam są takie małe, kamienne ule, w których kiedyś mieszkali mnisi. Czy Lennie nie był jakby trochę Irlandczykiem?

– Och, Sukie. Jesteś taka młoda. Mnie męczy już sama myśl o wsiadaniu do samolotu. Żle ci tam, gdzie teraz jesteś? Bo ja u siebie czuję się świetnie. – Dobiegała piąta po południu i mroczniejące promienie suchego, pustynnego słońca padały ukośnie na stolik ze szklanym blatem i lakierowane książki poświęcone amerykańskiej ceramice, tej prehistorycznej i tej współczesnej, i na gruby kilim Nawahów. Posadzka miała ten sam blady odcień co piaszczysta ziemia, na której rósł jej kaktusowy ogród za drzwiami patio – komiczne, kolczaste, podobne do pęku różdżek obrośniętych mysimi uszami ocotillo, które kwitły dzięki temu, że dostawały tak mało.

– Ale przecież ty nie jesteś tu, gdzie ja jestem – obstawał przy swoim daleki głos, który, na ile Alexandra coś z tego wszystkiego rozumiała, wskoczył jej do ucha z trzewi jakiegoś satelity oddalonego o wiele mil od świata i jego cudów. – Czuję się taka samotna, odkąd Lennie odszedł.

– Chcesz powiedzieć „umarł”.

– Jak zwał, tak zwał. „Odszedł” nie brzmi tak ostatecznie. Miał swoje za uszami, ale dostarczał towarzystwa. Wszyscy nasi dawni znajomi wciąż próbują okazywać przyjaźń, ale ja czuję, że męczą się ze mną. Po prostu już nie pasuję. Wyjąwszy moje książki i listy od fanów, które piszą ci popieprzeni, za bardzo identyfikujący się z moimi bohaterami ludzie, stałam się totalnie nieważna dla otoczenia. Rozumiem teraz, dlaczego hindusi wymyślili sati.

– A co z twoimi dziećmi? I wnukami? Dla nich na pewno jesteś ważna. – Słyszała własny głos i wiedziała, że traktuje Sukie zbyt obcesowo, jak znękana obowiązkami matka. Woląta zagapić się na meszek porastający miniaturowy kaktus w kwadratowej misie: ten meszek tak się mienił w słońcu, że tworzył najprawdziwszą aureolę. A zaraz potem jej umysł zaczął obrabiać zagadkę, dlaczego Ward, który miał autentycznie piękne, sympatyczne usta,

wyhodował sobie tę durną plamę szczeciny pod ustami. Bała się, że któregoś wieczoru czerwonego wina poleje się za dużo i wtedy ona powie coś na ten temat, po czym on albo stawi jej opór i zachowa szczecinę, albo zgodzi się z nią i ją zgoli, co ostatecznie, niezależnie od tego, co zrobi, przymusi ich oboje do aktu intymności, na który wcale jeszcze nie była gotowa. Nie miała ochoty na jakieś bezsłowne utarczki z mężczyzną, na licytowanie się, które któremu coś dało albo zabrało, które miało gest, a które wzięło odwet.

– No cóż, traktują mnie uprzejmie – powiedziała Sukie o swoich dzieciach – ale bez przesady. Są takie rzeczy, które wiesz teraz, że mogłaś zrobić lepiej, kiedy byli mali, rzeczy, których żałujesz i które z wielką ochotą byś odkręciła, ale oni, tak czy owak, żyją dalej; tak już po prostu musi być. Próbujesz przeproszać, a oni patrzą na ciebie tym pustym wzrokiem: zapomnieli o wszystkim. Po odejściu Lenniego – przepaszam cię, kochana, po jego śmierci – zrozumiałam, że również moją śmierć potraktują lekko. Pocziwa, stara mama, powiedzą. Niech spoczywa w spokoju. Jeśli w ogóle to powiedzą. Czy jedno z twoich nie zostało przypadkiem w Eastwick?

Ten ostatni zwrot w strumieniu świadomości Sukie zaskoczył Alexandrę.

– Marcy – odparła. – Moja najstarsza. Nie chciała się przenieść na Zachód, kiedy pobraliśmy się z Jimem. W szkole średniej miała chłopaka, w którym była strasznie zakochana, a jak skończyła szkołę, oświadczyła, że chce iść do Rizdee⁴ i zostać prawdziwą artystką – przypuszczam, że miało to być całkowite przeciwieństwo mnie. Za wszelką cenę chciała się ode mnie oderwać. Zarabiała na życie jako kelnerka w „Słodkim Zakątku”, a kiedy wyleciała z Rizdee – wcale jej się nie spodobało bycie artystką, twierdziła, że jest za mało egocentryczna – została kelnerką w „Nemo”, bo miała już wtedy dość lat, by móc podawać alkohol. Sypiała z kim popadnie, tak sędzę, ale ostatecznie wyszła za miejscowego, mężczyznę kilka lat od niej starszego, zwykłego elektryka – dasz wiarę? – mimo że jej ojciec był właścicielem fabryczki urządzeń kuchennych w Norwich.

– „Nemo” – powtórzyła Sukie głosem jak w transie. – Ależ to był przytulny lokal. I te maślane placki kukurydziane. Pieczona wołowina w bułce. Kiedy pracowałam w „Słowie”, codziennie jadłam tam lunch. Pamiętasz „Słowo”?

– Jasne. Na początku było „Słowo”. Niewykluczone, że „Nemo” zostało kupione przez Dunkin’ Donuts, Marcy mi to powiedziała jakiś czas temu. Nie mówi mi wiele, odnoszę wręcz wrażenie, że w pewnym sensie jesteśmy z sobą skłócone. Marcy nie życzy sobie, żeby ludzie wiedzieli, że jest moją córką. Wciąż nas tam trochę pamiętają.

⁴ Potocznie stosowany skrót od Rhode Island School of Design.

- Jak uroczo. Ktoś nas pamięta – powiedziała Sukie marzycielskim głosem.
- Może jest tak, może siak. Kochanie, ktoś stoi za drzwiami. Pomyślę o tych wszystkich miejscach, do których mogłybyśmy pojechać razem. Czy Karaiby są zbyt banalne? Kiedyś uwielbiałam St. Croix, nawet po tamtej strzelaninie na polu golfowym.
- Słońce, kochanie. Zapomniałaś. Mam straszną alergię na słońce. Dostaję plam na całym ciele. – I z tymi słowy Sukie odwiesiła słuchawkę, nic więcej nie mówiąc, jakby się obraziła. Nawet ona robiła się drażliwa.

Dla Alexandry minęło dość czasu, by mogła sobie roić, że dwie inne czarownice zniknęły gdzieś w odmętach przeszłości. Już wcześniej wiodła bez nich dostatecznie dobre życie i również teraz nie miała powodów do narzekań. Uważała, że jej garnki są coraz lepsze. Kiedy do jej sklepu zachodziła jakaś para, to często się okazywało, że wystawa wzbudziła ciekawość w kobiecie i że to ona dokonywała zakupu. Alexandra nie tylko siadywała teraz za kołem, ale także znowu lepiała maleńkie figurki, z nogami i rękami, ale bez dłoni i stóp, które w Eastwick nazywała swoimi „paczuszkami”. Pewna kobieta, która przyszła raz do jej sklepu, przyjrzała im się i powiedziała: „Są urocze, ale nieszczególnie typowe dla Południowego Zachodu, mam rację?” Alexandra zgodziła się z nią, ale i tak lubiła je kształtować z resztek gliny, z tymi pustymi zadartymi buziąmi, jakby wystawiały je ku słońcu albo stawiały czoło jakiejś zaskakującej wizji, z tymi ciężkimi biodrami, dzięki którym z przyjemnością ważyła je w dłoni i mogła je stabilnie postawić na półce. Mężczyźni byli nimi rozbawieni; z kobietami działo się coś więcej – były albo oczarowane, albo wzruszone, bo rozpoznawały siebie.

Ward Linklater systematycznie zapraszał ją na kolację, a jednak moment, w którym ich znajomość mogła osiągnąć kulminacyjny szczyt, jakoś przemknął niezauważenie; Ward ani razu nie wykonał wobec niej ruchu o charakterze seksualnym, dlatego czarująca odmowa, którą naszkicowała sobie w głowie, pozostała ukryta w jej wnętrzu. Letni żar bił bezlitośnie w jej dach; kaktusy dopominały się listopadowej burzy, która nie nadeszła, mimo że na zachodzie budowały się przezroczyte chmury o ostrych krawędziach, a pustynne szcury robiły sobie gniazda w martwych, kolczastych gruszkach. Pojechała na północ, do Kolorado, z sentymentalną wizytą. Otwarty krajobraz, który poznała w młodości, zmienił się nie do poznania; nieogrodzone pola porośnięte trawą, po których w tamtych czasach jeździła konno, ustąpiły miejsca morzu bliźniaczych domów i polu golfowemu z dziewiętnastoma dołkami, nawadnianemu ze sztucznego jeziora. W grudniu zadzwonił telefon i to była Jane Smart Tinker, która kontynuowała tamtą ostatnią rozmowę Alexandry z Sukie, jakby odbyła się ona poprzedniego dnia.

– Z Sssaint Croix to głupi pomysł – wysyczała. – Karaiby są dla członków Club Med⁵, którzy lubią się szprycować prochami i cudzołożyć w świetle księżycy na śnieżnobiałej plaży koralowej.

– Wcale nie taka zła perspektywa – stwierdziła Alexandra.

– Lexa, musisz dorosnąć. My takie rozkosze życia mamy już za sobą. Nawet Sukie zrozumiała, że dla niej to się skończyło.

– A zatem co zostało, Jane?

– Zostało bycie mądrymi, kochaniutka. Zostało zwiedzanie świata. Używanie oczu i uszu. Tylko pomyśl: masz świadomość! Czy to nie zdumiewające, te wszystkie neurony? Jesienią byłam na ogrodniczej wyprawie w Himalaje. Sssikkim. Bhutan. Z części Nepalu musieliśmy zrezygnować z powodu powstania maoistów. Ale i tak są tam przepiękne, wręcz bajeczne posiadłości, a Kaszmir to naprawdę raj, kiedy już człowiek przestanie się przejmować ich beznadziejną polityką.

– W takim razie został raj. Z kim tam byłaś? – Spodziewając się, że usłyszy, że Jane była tam z Sukie, Alexandra przygotowała się na przyływ zazdrości.

– Z nikim ci znajomym, kochanie – odparła Jane. – Z ludźmi z Klubów Ogrodniczych Brookline i Dedham. Byli z nami jacyś mężowie, dwóch czy trzech – żalosne ludziki, wiecznie wchodzili w drogę. Jak się okazuje, uwielbiam kobiety. Wiedziałaś to o mnie?

– No cóż, wiedziałam to mało powiedziane. Jane, moim zdaniem wszystkie kobiety, w mniejszym lub większym stopniu, czują się lepiej w towarzystwie kobiet. Bo wiesz, czego się spodziewać po kobietach, i nie oczekujesz za wiele. Dzwonisz dlatego, żeby o tym pogadać? Wychodzisz z szafy? Na ile się orientuję, prawo twojego stanu dopuszcza małżeństwa homoseksualne. Pozostałe stany patrzą na to wyjątkowo źle.

– Możesz się przestać wysilać z tymi żartami. Sukie i ja mamy dla ciebie poważny pomysł.

– Antarktyda. – Złowieszcze zdecydowanie w głosie Jane sprawiło, że Alexandra miała ochotę bronić się za pomocą żartów.

Jane ta Antarktyda bynajmniej nie rozśmieszyła.

– Nie, ale ludzie, którzy tam byli, przysięgają, że nie dasz wiary, jak tam pięknie. Ale nie, Sukie mówi, że jesteś za biedna, żeby jechać gdzieś, gdzie jest drogo, więc co ty na powrót do Eastwick?

– Do Eastwick? Teraz?

⁵ Mowa o Club Mediterranee, organizacji turystycznej funkcjonującej na zasadzie członkostwa, która oferuje swym klientom pobyty w luksusowych kurortach połączone z ponadstandardowymi atrakcjami.

– W następne lato, Lexa. Na miesiąc, może dwa, w zależności od tego, co tam się uda wynająć. Nie zauważałyśmy tego, bo tam mieszkałyśmy, ale nie zapominaj, że to miejscowość letniskowa. Plaża, zatoka, małe sklepiki z kiczowatymi akwarelami, witrażami i świeczkami przy Dock Street. Na pewno miałabyś ochotę oderwać się od tego upiornego upału w Nowym Meksyku.

– Normalnie tu nie jest aż tak źle, bo Taos jest położone wysoko. Teraz akurat ziemię zalega śnieg, ale zeszłego lata, przyznaję...

– No więc sama widzisz. I dobrze wiesz, że kolejne lata będą coraz gorętsze. Nie jesteś ciekawa, jak zmieniło się miasto?

– Wiem, jak się zmieniło, a raczej jak niewiele się zmieniło. Marcy i ja wciąż się komunikujemy, poniekąd. Jest tam teraz więcej fikuśnych knajpek i galerii sztuki, które powstają i upadają. A tamte nędzne drzewka w centrum są przez cały rok na okrągło obwieszane białymi lampkami bożonarodzeniowymi; mają tam jakieś stowarzyszenie od ulepszania miasta i na tym według nich polega ulepszanie.

Niesiona natchnieniem Jane nie chciała dopuścić, by Alexandra swoim depresyjnym nastrojem podcinała jej skrzydła.

– Sssmutne, ale i tak nie wierzę. Albo nie wierzę, że tylko to tam jest. Tam coś jest, zawsze było. Duch Anne Hutchinson, być może. Bo to coś wyzwalało, dodawało sił. Tam byłyśmy niezależne i wszyscy nas znali. Źle zrobiliśmy z tym szukaniem sobie mężów i wyjeżdżaniem na zawsze.

– Och, Jane, jak możesz tak mówić po tym, co zrobiliśmy?

– Co takiego zrobiliśmy? – Twardy głos Jane dudnił teraz. – No co? Przeleciałyśmy kilku miejscowych palantów, czyniąc im zresztą wielką uprzejmość. Grałyśmy w tenisa z tym, no jak mu tam było, Van Home'em i korzystałyśmy z jego wanny. Bawiłyśmy się.

– Zabiłyśmy Jenny Gabriel, oto, co zrobiliśmy. A najpierw rzuciłyśmy zaklęcie na żonę Clyde'a, który przez to zabił ją pogrzebaczem, a sam się powiesił.

– Kochanie, to są tylko niepotwierdzone plotki. Tego się nie da udowodnić. A jeśli nawet, to co z tego? Minęło trzydzieści lat z okładem. Większość ludzi, którzy mogliby nas pamiętać, już nie żyje.

– Ja nie chce wracać – oświadczyła Alexandra z takim przekonaniem, że na moment przestała widzieć zimowe słońce odbijające się od śnieżnej powłoczki i te krzepiące dzieła Południowego Zachodu o przygaszonych brązach i rdzawych czerwieniach pożyczonych od ziemi przez ich twórców – przemyślnych ludzi, którzy nie znają grzechu i jego przyćmiewającej wszystko czerni. Pierwsi Ludzie, tak ich nazywano w Kanadzie.

Śmiałkowie, którzy zwalczali i torturowali innych śmiałków, kobiety, które meły kukurydzę na mąkę. Wszystko było takie pierwotne, milczące, niewinne.

– Marcy z początku ciągle mnie prosiła, żebym ją odwiedziła, a ja zawsze się wymawiałam, więc przestała zapraszać. Nie naciskała na mnie. Pamiętaj, że w czasie, kiedy to wszystko się działo, nie była już dzieckiem. Miała siedemnaście lat. Zdawała sobie sprawę z różnych rzeczy. Wiedziała, czym jest zło.

– Och, moją ty chodząca dobroci, jaka ty jesteś upierdliwa. Zło, ja nie mogę. Dlaczego nie chcesz porozmawiać o rzeczywistości? Czy życie nie wydaje ci się potwornie płaskie, zupełnie nie takie, jakie było w Eastwick?

Mogła to być prawda? Alexandra zmieniła temat rozmowy na wdowieństwo przyjaciółki.

– Dlaczego chciałabyś tam jechać latem? Czy rodzina Nata nie miała jakiegoś dużego domu w Maine, w pobliżu Bath albo Bar Harbor?

– Staruszka go sprzedawała. Powiedziała, że trzymała się go tylko dlatego, żeby Nat mógł sobie żeglować w sierpniu.

– Jest w stanie robić takie rzeczy? Kupować, sprzedawać i tak dalej w wieku stu czterech lat?

– Pogrzeb Nata dodał energii staremu nietoperzowi. Zaczęła nawet jeździć na piątkowe popołudnia symfoniczne ze swoim wielkim czarnym szoferem. Przez jakiś czas, kiedy Nat ciągle jeszcze tu był, nie miała pojęcia, kim sama jest i gdzie jest, tylko tyle, że nie podoba jej się ta tapeta, na którą gapi się cały dzień, i była przekonana, że pielęgniarka ją truje. Utrzymywanie domu w Maine stało się monstrualne. To była jedna z tych olbrzymich stodół z gontami i tabunami myszy, a z gontami tak już jest, że wysychają, wypaczają się i odpadają. Nie cierpiałam tam mieszkać. Ogrzewało się to-to wyłącznie za pomocą kominków, ocean był zawsze zbyt lodowaty, żeby w nim popływać, nawet w sierpniu. Widać ludzie, którzy jeździli do Maine latem, mieli w sobie purytańską krew i domagali się kary za swoje bogactwo. Tak więc dziękuję, wolę pojechać na Rhode Island i zrobić to z rozkoszą. Ale nie do Newport ani Jamestown, bo latem jest tam pełno turystów, którzy łążą z wybałuszonymi gałami. Tylko Eassstwick. Nikt nie jeździ do Eastwick oprócz starych ekscentryków.

– Och, Jane, jak możesz? Jak możesz o tym mówić z takim entuzjazmem? Jestem pewna, że Sukie zgodzi się ze mną, że to potworny, naprawdę potworny pomysł. To jak rozmawiać o scenie przestępstwa.

– Powtarzam, nie było żadnej zbrodni. To była zdrowa eksploracja naszego kobiecego potencjału. Sukie jest zachwycona tym pomysłem. Aż jej oczy jaśnieją i robi się różowa na

twarży, kiedy o tym rozmawiamy. Nie zauważyłaś w Chinach, że czasem była zatrważająco ziemista? Albo wręcz jak wyprana, z tymi żalonymi, farbowanymi włosami. Przecież biedactwo ma tylko dwie połówki płuc.

– Widujesz się z nią? Gdzie się spotykacie?

W głosie Jane rozbrzmiały teraz ochronne zasieki lapidarności.

– Przyjeżdża do Bostonu. Lennie miał tam jakieś interesy. Raz spotkałyśmy się w New Haven, bo jeden ze stryjecznych wnuków Nata studiuje w Yale. Masz coś przeciwko, Lexa? To nie nasza wina, że mieszkasz tak daleko. Nie zapraszasz nas do siebie.

– Zapraszałam, ale wy mnie olałyście. Powiedziałaś, że Zachód jest pełen religijnych grubasów. – Alexandra czuła jednak, że nie ma ochoty zabagniać suchej czystości Taos miazmatami swojej karygodnej, grząskiej przeszłości. – Dlaczego Sukie chciałaby wracać do Eastwick?

– Och, znasz ją. Dziennikarska ciekawość. Może będzie szukała tematu do swojego kolejnego debilnego romansidła. Może chciałaby spotkać jakiegoś dawnego lubego albo dokonać nowego podboju. W Connecticut tak zdaje się być, że w towarzystwie brylują męzatki, natomiast wolni mężczyźni, jeśli w ogóle jacyś tam są, posiadli wielkomięską umiejętność unikania związków.

Pod wpływem tej ostatniej frazy Alexandra zadała sobie pytanie, czy przypadkiem Ward Linklater nie miał takiej umiejętności. Raz przy czerwonym winie wyniknęło, że w poprzednim życiu jego weekendowym hobby było rzeźbiarstwo; jego prawdziwą pracą i źródłem wygodnego majątku było deweloperstwo, wypełnianie nieludzkich pustynnych terenów między Albuquerque a Santa Fe kolejnymi akrami tych tanich domów dla emerytów, którymi Alexandra serdecznie gardziła.

– Cóż, ja nie mam takich złudzeń – powiedziała. – Nie jadę. Nie ma mowy. Eastwick było tylko jakimś etapem i cieszę się, że mam go już za sobą. I kropka, moja droga.

Kiedy kilka wypełnionych udręką dni później Alexandra zadzwoniła wreszcie do Sukie, ta wyrażała się mało jasno; przypominało to rozmowę z uczestnikiem przyjęcia, którego wzrok bezustannie błąka się gdzieś ponad naszym ramieniem.

– Sukie, nie potrafię uwierzyć, że chciałabyś spędzić lato w Eastwick.

– Ja chcę? Jane wpadła w zachwyt, nie bardzo potrafiłam jej przetłumaczyć. Ale to może być zabawne, sama nie wiem. Nie przydałaby nam się odmiana, nam wszystkim? Nie jesteś ciekawa, co by się stało? A w ogóle to nie rób z tego takiej afery, Lexa. To tylko taki pomysł, powód, żebyśmy się znowu zeszły.

– Odrażający pomysł, jeśli chcesz wiedzieć. Ja się rozstałam z tym miastem raz na zawsze. Wisi nad nim klątwa.

– A kto ją rzucił? – spytała Sukie.

– Nie tylko my. Była jeszcze Brenda Parsley, Marge Perley, Greta Neff i Rose Hallybread i chyba trzeba też zaliczyć Felicię do tej kategorii. – Jej język zabobonnie zawahał się przy wymawianiu imienia Felicii, zamordowanej żony Clyde’a Gabriela – Clyde’a, który oszalał, po części od alkoholu, po części od miłości do Sukie. To właśnie w tym punkcie *maleficia* spotęgowała się do stopnia, od którego nie były w stanie uciec, i Alexandra za nic nie chciała wymawiać tego imienia, bo Felicia nie żyła. Tamte pozostałe prawdopodobnie też już nie żyły.

Sukie zaczęła się śmiać; Alexandra wysłyszała, że jej śmiech pokrył się z ziewnięciem.

– Felicia godzinami paplała o Wietnamie, dostając od tego piany na ustach – przypomniała Sukie, wyczuwszy jednak, że ten nostalgiczny ton nie dostaje do obecnych potrzeb Alexandry, dodała bardziej żwawym tonem: – Kochanie, jesteś taka uroczo zabobonna. Klątwy nie trwają wiecznie. Tamta zatruta atmosfera musiała mieć coś wspólnego z epoką, z tym, że lata sześćdziesiąte degenerowały się w siedemdziesiąte, i z tym, że byliśmy młode, jeszcze pełne ikry, a jednak dałyśmy się pochwycić w pułapkę drobnomieszczaństwa.

– No cóż, to, co dzieje się teraz, raczej nie przypomina *Szczęśliwych dni*⁶ - zwróciła jej uwagę Alexandra. – Ludzie są równie nieszczęśliwi z powodu Busha jak kiedyś z powodu Johnsona i Nixona. To znowu bagno bez wyjścia. A infrastruktura, szkoły publiczne i parki narodowe już zupełnie idą na dno.

Sukie milczała chwilę, jakby ważyła w głowie ten wywód, po czym podsumowała go wkurzająco:

– Coś mi się nie wydaje, żeby ci ten pomysł przypadł do gustu, a szkoda, bo my po prostu nie możemy tego zrobić bez ciebie.

– Czemu nie? Ty i Jane ni stąd, ni zowąd chyba nadajecie na dokładnie tych samych falach, we wszystkich kwestiach.

– Nie bądź zazdrosna, kochaneńka, nie ma o co. Jane nie jest łatwa. Ale jak już mówiłam, szwankuje jej zdrowie i chyba czuje się bardzo samotna w tym wielkim, ciemnym domu, nie tylko dlatego, że Nat umarł, ale także dlatego, że jej teściowa ma w sobie tyle życia. A co do mnie, to nie wiem, Lexa. Po prostu od śmierci Lenniego czuję się taka

⁶ Amerykański sitcom nadawany w latach 1974-1984, który prezentował wyidealizowany obraz Ameryki przełomu lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych.

wyprana, taka nierzeczywista. Uznałam, że Eastwick mogłoby mnie przywrócić do rzeczywistości. W Chinach stale myślałam o tym, jakie to miłe, że kiedy twoje życie zaczyna dobiegać końca, masz przy sobie dawne przyjaciółki, które cię znają, które potrafią śmiać się z tych samych rzeczy i pamiętają tych samych okropnych ludzi. Ale może byłam głupia. – Westchnęła za pomocą swych wrażliwych połówek płuc. – Zapomnijmy, laluniu, po prostu zapomnijmy.

– Wzbudzasz we mnie poczucie winy, Sukie, ale i tak nie pojedę. Obie możecie tu przyjechać, jeśli chcecie, i pozwiedzać rezerwaty indiańskie, są fascynujące. Oni tam dalej mają szamanów, którzy potrafią robić niewyobrażalne rzeczy. Z ręką na sercu, sama widziałam. Możesz mnie nawet namówić na rejs na Antarktydę i oglądanie pingwinów na żywo.

Milczenie. Żadnego śmiechu. A po chwili:

– Lexa, muszę wracać do pracy, zanim zapomnę, w jakim kolorze są oczy mojej bohaterki. Właśnie stanęłam na scenie rozrywania jej gorsetu. Ale naprawdę rozumiem, Jane i ja nie chcemy cię namawiać do niczego. Po prostu oferujemy ci możliwość.

Był kiedyś taki jeden dzień, kiedy w pewnym sensie zostały kochankami w czarnej, zaparowanej łaźni i dlatego Sukie wiedziała, jak dać do zrozumienia, że czuje się urażona; wciąż zirytowana Alexandra odwiesiła słuchawkę.

Kiedy jakiś czas później, ale jeszcze tej samej zimy, znowu zadzwonił telefon, a na wyświetlaczu pojawił się napis, że osoba dzwoniąca jest spoza jej strefy numerowej, Alexandra podniosła słuchawkę z sercem trzepoczącym się między chęcią naprawienia stosunków z dwiema innymi wdowami a potrzebą stawienia im stanowczego oporu. A jednak głos, który odezwał się na drugim końcu linii, nie należał do żadnej z nich.

– Mamo? – zagaił głos.

Jedna z jej dwóch córek, Linda, ta młodsza, mieszkała w Atlancie ze swoim drugim mężem i przez te wszystkie lata jej głos dorobił się nikłego nalotu z południowego akcentu i piskliwego ciepłka regionalnie zaimplantowanej kobiecości. Ten głos tak nie popiskiwał – był niski, neutralny płciowo, agresywnie monotony, z typowymi dla Nowej Anglii otwartymi „a” i opuszczanymi „r”.

– Marcy! – wykrzyknęła Alexandra. – Co za miła niespodzianka!

Żadna z jej córek nie dzwoniła częściej, niż tego wymagała uprzejmość, a Marcy nawet jeszcze rzadziej.

– Słyszałam, że podobno przyjeżdżasz tu latem – wyrębała Marcy swoim

charakterystycznie mułowatym, rzeczowym tonem.

Marcy przytyła od tamtego krótkiego, nastoletniego epizodu ze smukłą, dziewiczą kobiecością, i pociemniała, zwłaszcza w gęstych brwiach i ponurych, głęboko osadzonych oczach.

– Gdzieś ty to mogła usłyszeć? To nieprawda, moje dziecko! – Alexandra w tym swoim natychmiastowym przejściu do defensywy wymuszonym przez starszą córkę słyszała jakiś cień podobieństwa do młodszej córki, trzpiotowatej Lindy. Jej głos, napięty od udawania, zdawał się błagać: – Jane i Sukie – pamiętasz je, Jane nazywała się kiedyś Smart, a Sukie Rougemont – próbowały mnie namówić na powrót do Eastwick na wakacje. Stale im powtarzam, że tego nie zrobię. Tłumaczę, że przede wszystkim tobie by się to nie spodobało.

– Dlaczego tak mówisz? To przykre, mammo. Przecież dzięki temu spędziłybyśmy trochę czasu ze sobą, co nam dotychczas nie było dane, i mogłabyś poznać lepiej Howiego i chłopców.

Marcy wyszła za miejscowego elektryka, Howarda Littlefielda, kiedy się już zanosilo, że na zawsze zostanie kluchowatą starą panną, i urodziła mu dwóch synów, dobiegając czterdziestki – typowo dla jej upartego, późno rozkwitającego pokolenia, uważała Alexandra, której własne pokolenie wcisnęło rodzenie dzieci do interwału wieku postnastoletniego, robiąc w ten sposób przestrzeń dla dorosłego życia nieobciążonego pobytami w szpitalach i całodobowego harmonogramu karmienia.

– Chłopcy... chodzą jeszcze do liceum?

– Mamo, dobijasz mnie. Ciebie nic nie obchodzi. Roger ma dwanaście lat, a Howard Junior właśnie skończył dziewięć. Przysłałaś mu grę komputerową, pamiętasz?

– Oczywiście. Mam nadzieję, że nie była pełna przemocy i wulgaryzmów.

Alexandra ani trochę nie lubiła mierzyć się z faktem, że jej córka ma ponad pięćdziesiąt lat, siwe włosy, których nijak nie próbowała kamuflować, i brodawkę na nosie, której jej się nie chciało usunąć. Z Benem, jej drugim z kolei dzieckiem, sprawa wyglądała jeszcze gorzej – Ben był bardziej łysy niż Oz w jego wieku, koszmarne nadęty i konformistyczny; mieszkał w Wirginii, ale robił coś w Waszyngtonie, o czym nie chciał rozmawiać szczegółowo. Był republikaninem jak jego ojciec, ale u syna to się wydawało o wiele gorsze niż u męża. W przypadku męża można się spodziewać czegoś takiego. Zdaniem Alexandry w byciu matką osobników gatunku męskiego kryło się coś niesamowicie dziwnego – przez to, że w pewnym momencie nosi się we własnym wnętrzu ich penisy i jądra, razem z genetycznymi predyspozycjami do zabałaganionych pokojów i telewizyjnych transmisji sportowych – dlatego z synami łączyły ją swobodniejsze relacje, oparte poniekąd

na przeświadczeniu, że gdzieś u podłoża ich związku leży jakiś żart, niż z córkami, które traktowała tym samym szacującym spojrzeniem co siebie samą.

– One wszystkie są takie – mówiła jej Marcy. – Tu bardziej idzie o koordynację dłoni z okiem niż o socjopatyczne treści. Tak czy owak, gra mu się spodobała i stale się nią bawi. Dostałaś od niego kartkę z podziękowaniami?

– Dostałam – skłamała Alexandra. – Była urocza.

– A co ci napisał? – namolnie drążyła temat Marcy.

– Te same słodkie, chłopięce bzdurki co zawsze. Chciałabym jednak wiedzieć, kto ci powiedział, że przyjeżdżam do Eastwick.

– Jane Tinker nawiązała ze mną kontakt. A tak nawiasem, czy ona nie jest zabawna? Bardzo dziarska staruszka, w odróżnieniu od...

– Ode mnie, chciałaś powiedzieć.

– W odróżnieniu od matek wielu moich przyjaciółek, to zamierzałam powiedzieć. O tobie nie da się powiedzieć, że nie jesteś dziarska, mamó. Ty po prostu zachowujesz dystans.

– Kochanie, ja tu staram się przeżyć, sprzedając gliniane garnki. Nauczyłam się je robić na kole garncarskim Jima. Pod koniec dnia kręci mi się w głowie.

– Poprosiła mnie, żebym się rozejrzała za domami do wynajęcia.

– Jane? Mimo że jej odmówiłam?

– Powiedziała, że szuka domu, niekoniecznie na pewno, dla siebie i jednej albo dwóch innych kobiet.

– Jednej albo dwóch. Nie wierzę, że mogłyby mi to zrobić. Tak knuć za moimi plecami!

– Ona mnie tylko prosiła, żebym się rozejrzała, co jest dostępne. Właściwie to znalazłam niewiele. Eastwick raczej nigdy nie było miejscem, do którego się jeździ; takie miejsca są na wyspowej stronie zatoki. Przy drodze do plaży East Beach jest motel, zaraz za tamtą zamkniętą pizzerią...

– Co? Zamknęli ten lokal? Tamtejsza pizza była taka dobra. Cienka i chrupiąca, a nie taka gruba i zaserowiona.

– Ten człowiek, który je tam piekł, przeszedł na emeryturę sto lat temu i przeniósł się na Florydę. My też byśmy się tam przenieśli, gdyby nas było stać. Howie i ja już wybraliśmy sobie miasto. Nad samą wodą, po stronie zatoki. Jeździmy tam w każdą zimę, na dwa tygodnie. A tutaj jest kilka domów do wynajęcia, ale na pełne trzy miesiące letnie i zazwyczaj dla tych samych rodzin, które tu zawsze wracają. Kilka mil na północ jest „Days Inn”, przy drodze numer jeden, ale nie poczujecie tam małomiasteczkowej atmosfery.

– Nie – zgodziła się z nią Alexandra, po czym pożałowała, że powiedziała aż tyle; dawała się wciągać.

– Jedyne, co udało mi się znaleźć, i właśnie dlatego do ciebie dzwonię... czy masz jakieś negatywne odczucia wobec starego dworu Lenoksów? Bank, który musiał przejąć tę posiadłość, przerobił ją na oddzielne mieszkania i wygląda to naprawdę nieźle.

– Dwór Lenoksów. Tak to znowu nazywają? – Obie z córką przeniosły się na terytorium budzące nieprzyjemne uczucia – skandaliczną przeszłość – ale nie było stąd łatwego wyjścia. – Chyba nie nazywano go długo dworem Van Horne’a. Owszem, mam negatywne odczucia.

– Kort tenisowy ciągle tam jest, ale bez tej wielkiej bańki, którą nakrył go pan Van Horne. Z tymi mieszkaniami jest ciągła mordęga, bo mieszkańcom nie podoba się, że bród jest zalewany kilka razy w miesiącu, dlatego niektóre, te bez widoku na morze, znajdują tylko sezonowych najemców. Trzy kobiety, powiedział mi zarządca, mogłyby wynająć dwa sąsiadujące z sobą mieszkania na pierwszym piętrze. Oni przedzielili starą łaźnię – pamiętasz ją, z tym rozsuwanym sufitem – tworząc w niej dodatkowe piętro. Jest to zbudowane chyba dość tandetnie – zarządca pokazał mi jeden z pokoi, sufit wydawał się naprawdę niski – ale jak się człowiek wychyli z okna, to widzi bród, i inaczej niż w centrum miasta, nocą jest tam chyba cicho.

– Jak może być cicho w mieszkaniu? A jeśli sąsiad po drugiej stronie ściany jest telemaniakiem?

– Mamo, przestań. Nie bądź taką snobką. Pewnie, że tam nie jest tak cicho jak na pustyni w Nowym Meksyku. W rzeczywistym świecie niemal każdy mieszka z cudzym telewizorem po drugiej stronie ściany.

– Powiadasz? Nie miałam pojęcia, że tyle wiesz o rzeczywistym świecie. Nie miałam ochoty przyjechać do mnie i Jima do Nowego Meksyku, bo miałam tego chłopaka, poza którym nie widziałam świata, a potem koniecznie chciałam jechać do Rizdee i pokazać mi się jako artystka, a potem stamtąd wyleciałam po roku i zostałam kelnerką w nędznej knajpie w tym samym mieście, w którym się urodziłam. Ile razy wyjeżdżałaś z Rhode Island? Z malusienieczkiego Rhode Island?

– A ty niedawno zwiedziłaś cały świat, mam rację? Mamo, bardzo cię Kocham, ale zawsze byłaś strasznie rozpieszczona. Twój rodzic cię rozpieszczali, potem biedny tatuś i w końcu Jim. Nigdy nie musiałaś się borykać z prawdziwymi kłopotami ani prawdziwą samotnością.

– To nieprawda, moje dziecko. Samo bycie człowiekiem oznacza zmaganie się z tymi

rzeczami.

– Nie mów na mnie „moje dziecko”. Za późno na to. Przepraszam, nie chciałam być jędzą. Tak po prostu wyszło, że moja matka jest królową pszczół, która spija z życia sam nektar, a ja jestem zwykłą pospolitą robotnicą, nędznym kwiatkiem z tapety.

– To nieprawda, moje dzie... Marcy. Jesteś bardzo ładna. Byłaś prześlicznym dzieckiem.

– To tylko sposób na powiedzenie, że od tego czasu wszystko potoczyło się po równi pochyłej. Z tym wyjątkiem, że możesz w to wierzyć albo nie, Howie i ja mamy swoje radości. Skromne, ale jednak. Z chłopcami i bez nich. I któregoś dnia, już na emeryturze, przeniesiemy się na Florydę i kupimy tam sobie łódź.

– Łódź, z której będziecie łowić ryby? To wspaniale, moje dziecko.

– Już sam ton, jakim to mówisz... jesteś taką snobką, jesteś taka ponad to wszystko. Skąd ci się to bierze? Wszyscy chcą ci służyć. Jane i ta cała Sukie chcą ci służyć, ja ci próbuję służyć, a ty zadzierasz nosa wobec tego pomysłu z mieszkaniem, choćby tylko na miesiąc czy dwa.

Alexandra nie miała nic przeciwko tej kłótni, teraz, kiedy wkradła się do niej pewna specyficzna tonacja. Przynajmniej była to jakaś rozmowa, coś się działo: Marcy wylewała z siebie potoki tych absurdalnych pretensji, jakby jej matka była bogiem i stworzyła wszechświat. W Nowym Meksyku, od śmierci Jima, a nawet i wcześniej, Alexandra zmagala się z napadami depresji. Suchość starzejącej się skóry, lichota pustynnej roślinności w szczelinach skał i minerałów, monotonia dni wypełnionych słońcem, wyjąłwiające ją górskie wiatry, wielka, bezlitosna pustka natury: wszystko to sumowało się w straszliwy ciężar, który należało pchać od rana do nocy. W Eastwick zasługiwała na wiele epitetów – przestraszona, zawstydzona, rozradowana, pełna nadziei – ale nigdy nie miała depresji, na ile sięgała pamięcią.

– To ty – powiedziała swej córce zimnym tonem – jesteś głównym powodem, dla którego nie chcę przyjechać. Uznałam, że mogłabym przysporzyć ci wstydu.

– Teraz? O mój wstyd trzeba się było martwić, kiedy miałam piętnaście lat. Obgadywali mnie w szkole, musiałam patrzeć w oczy Evie Marino, choć obie wiedziałyśmy, że rznieś się z jej ojcem, wszystkie te wieczory, kiedy wracałaś dopiero po północy...

– Bardzo cię przepraszam, ale ja też musiałam mieć jakieś życie. Rodzic to osoba, a nie tylko funkcja. – *Fikcja*, wymyśliła Jane. Och ta zła Jane, Jane-żółta, jej prawdomówny, ostry jak brzytwa język. Ich roztańczona trójka, tamtego wieczoru, kiedy Darryl i Jenny ogłosili swoje małżeństwo: *Har, har, diable, diable, saute ici, sautela, joue ici, joue la,*

złączone dłonie usmarowane weselnym tortem. A teraz ta dorosła kobieta-dziecko, która ośmiela się je oceniać, przedstawiać wszystko w jak najgorszym świetle. Alexandra ciągnęła, starając się mówić spokojnym, macierzyńskim tonem, jednocześnie zawierającym przyganę: – Nie obawiaj się, nie będziesz musiała się wstydzić. Nie przyjadę. Powiedz swojej nowej przyjaciółce Jane, że dla mnie nie musi wynajmować żadnych mieszkań.

– Mamo, wszyscy, których obchodziły tamte sprawy, już nie żyją! – wybuchnęło jej dziecko. – Myślałam, że ja cię obchodzę dostatecznie, żebyś zechciała przyjechać. Mogłybyśmy się lepiej poznać. – Marcy zaczęła płakać.

– O mój Boże, Marcy – pospiesznie powiedziała Alexandra, przepelniona poczuciem winy, spanikowana. – Jaki cudny pomysł! I to po tej tyradzie, którą dopiero co wygłosiłaś?

Być może tamte łzy tylko sobie wyobraziła, bo Marcy odparła całkiem spokojnie:

– Chyba dobrze to było z siebie wyrzucić. To, co czuję. Ale nie oddałam sprawiedliwości całej historii. Potrafiłaś być całkiem dobrą matką. Przynajmniej nie byłaś zakłamana i nie opieprzałaś za byle co. Uwielbiałam, kiedy gotowałaś sos pomidorowy i brałaś nas do ogrodu na odchwaszczanie. Uczyłaś nas, czym jest natura.

– Naprawdę? Kiedyś myślałam, że natura jest po mojej stronie. Teraz w to wątpię.

Marcy jej nie słuchała, ciągnęła swoje.

– Howie i ja mamy mały ogródek, który nas żywi, same łatwe uprawy: dwa rzędkie sałaty, trochę pietruszki i brukselki. Czy to nie jest niesamowite, że te kapustki na brukselce rosną i rosną, coraz liczniejsze, aż do przymrozków? Hodowałabym pomidory, ale Howie ich nie cierpi. To jedyna rzecz, której nie chce jeść.

W trakcie tego drobnego wyznania ochrypl jej głos, a także zapachniało nawrotem łez. Czy Marcy była rzeczywiście stabilna nerwowo?

– Tak, to zdumiewające – zgodziła się Alexandra. Już samo wysłuchiwanie o swoim matkowaniu ją wymęczyło. To poddawanie się nakazom natury, to ohochoze rozmnażanie się, to *w bólu będziesz rodziła dzieci, ku twemu mężowi będziesz kierowała swe pragnienie, on zaś będzie panował nad tobą*, całe to patriarchalne bredzenie. Co wcale nie znaczy, że Adamowi było łatwiej: *przeklęta niech będzie ziemia z twego powodu: W trudzie będziesz zdobywał z niej pożywienie dla siebie po wszystkie dni twego życia. Cierń i oset będzie ci ona rodziła. W pocie więc oblicza twego będziesz musiał zdobywać pożywienie, póki nie wrócisz do ziemi, z której zostałeś wzięty; bo prochem jesteś*⁷. A potem było jeszcze gorzej: *Kain uprawiał rolę...*

⁷ Rdz 3,16-19; wszystkie cytaty z Biblii za: Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, wyd. V, Wydawnictwo Pallottinum, Poznań 2003.

lecz Pan *na Kaina i na jego ofiarę nie chciał patrzeć*⁸. Wizja Marcy hodującej jakieś nędzne warzywka na kamienistej, ubogiej, kwaśnej glebie Eastwick, sypiącej przez zaciśnięte palce nasiona sałaty niewiele większe od ziarenek piasku i zagrzebującej je z nadzieją w ich tymczasowym grobowcu, rodzącej dwóch synów mocą straszliwego wysiłku swych niewymownych części ciała i kochającej potem tych chłopców, mimo że okazali się tylko Amerykanami żarłocznie pochłaniającymi śmieci, wyniosła Alexandrę na zawrotne wyżyny rodzicielskiego smutku. – Czuję się trochę skołowana, moje dziecko. To wszystko jest takie zaskakujące. Pozwól, że jeszcze raz to wszystko trochę przemyślę, skoro uważasz, że nasz przyjazd latem miałby pozytywny aspekt.

– Och naprawdę tak uważam – padła niemalże melodyjna odpowiedź. – Dla chłopców to by naprawdę bardzo wiele znaczyło.

Wieść, że przekłeta trójca wróciła do miasta, sączyła się kropelka po kropelce, od jednego ucha do drugiego, niczym woda deszczowa ciurkająca przez tunele kolonii mrówek. Betsy Prinz, wnuczka Herbiego Prinza, usłyszała ją z ust Amy Arsenault, w dawnym sklepie żelaznym Ormian, który teraz był kiepsko zaopatrzonym, zdemoralizowanym marketem sieci True Value – żadną miarą niedorównującym Home Depot przy drodze nr 102 ani ogromnemu, nowemu Lowes, wzniesionemu w jedną noc, jak się zdawało, przy drodze nr 1 na Warwick. Betsy, lat dwadzieścia siedem, zbyt młoda, by kiedykolwiek widzieć na własne oczy rzekome czarownice, przekazała plotkę Veronice Marino, z niewinną minką, w zawołowany sposób dając do zrozumienia, że w odległej przeszłości były jakieś skandaliczne związki z rodziną Marino. Veronica, lat trzydzieści dziewięć, najmłodsza z piątki dzieci Joego i Giny, wciąż mieszkała z matką w wąskim, drewnianym domu swoich rodziców, kilka przecznic za Kazmierczak Square. Oprócz niej mieszkał tam również jej mąż, Mike O'Brien; był niereformowalnym alkoholikiem, ale wyszła za niego zaledwie sześć lat wcześniej, a zatem miała szczęście, że w tym wieku w ogóle złapała jakiegoś męża. Nie spłodzili potomstwa, opędzali się dwoma pokojami i łazienką z dala od ulicy. Niektórzy traktowali ich bezdzietność jako naturalny efekt niedopasowanego związku Włoszki z Irlandczykiem; inni zrzucali to na karb bliskości wszechmocnej matki – Joe umarł na atak serca tego samego roku, kiedy jego najmłodsza córka wyszła za mąż. Kiedy Veronica powiedziała matce, że taki autorytet jak Harry Perley z Biura Nieruchomości Perleyów powiedział Amy Arsenault, że te trzy kobiety na lipiec i sierpień wynajęły dwa mieszkania w

⁸ Rdz 4,2-5.Rdz 4,2-5.

Nadmorskich Apartamentach u Lenoksów, Gina, poruszająca się z bólem w biodrze, które powoli dojrzewało do wymiany, ledwie raczyła oderwać wzrok od pierwszej wiązki miejscowych szparagów, które płukała i obierała, by je potem wsadzić do mikrofalówki.

– Wracają do swojego gnoju – mruknęła.

– Co takiego, mamó? – spytała Veronica, odrobinę za głośno, z oczyma zognionymi jakby ze strachu. Matka przerażała ją swoją aurą zapożyczoną ze Starego Świata – ołowianym zdecydowaniem, męskimi, czarnymi, sznurowanymi butami i rzadkiem ciemnych włosów nad górną wargą.

– Stare porzekadło. Nie zrozumiesz, zbyt brzydkie.

– Mamó, nie jestem dzieckiem – odparowała Veronica, z mdlącym uczuciem, że jednak jest dzieckiem, bo nie ma własnego. – Mike mówi mi różne rzeczy. – Poczzerwieniła, czując się jeszcze bardziej głupio.

– Twój ojciec mawiał: „To wolny kraj”. A ja mu wtedy na to: „Niektórym ludziom tak się chyba wydaje, bo nie płacą podatków”. Tamten człowiek, który kiedyś kupił dom Lenoksów, był jednym z najgorszych drani. Był winien twojemu ojcu fortunę za tę wymyślną hydraulikę, którą mu tam zainstalował. Policja nigdy go nie złapała.

– Opowiedz mi dokładnie, co się tam wtedy stało. Wszystko, co dotąd słyszałam, jest bardzo niejasne. Amy strasznie się podniecała, kiedy mi o tym szeptała u Ormian.

– Lepiej, żebyś nie wiedziała – odparła matka, podchodząc ciężko do lodówki; wsunęła plastikowy pojemnik na półkę, bo jego zawartość miała być ugotowana dopiero na kolację.

Joe był hydraulikiem, dlatego mieli zawsze nowocześnie wyposażoną kuchnię. Zaliczali się do pierwszych w mieście, którzy kupili kuchenkę mikrofalową, zgniatarkę do śmieci, zlew z rozdrabniarką i kurki nie z gumowymi uszczelkami, tylko z zaworami kulowymi z twardego plastiku, niewiele się różniącymi, wyobrażała sobie Gina, od plastikowej kulki i tytanowej panewki, którymi zamierzali zastąpić maltretujące ją biodro. Na razie jednak żyła z nim. Żeby przeżyć niektóre przedmioty, musisz z nimi żyć. Od śmierci Joego kuchnia znieruchomiła, a nawet się uwsteczniła; stare emaliowane garnki we wzorek z rozbryzgów, odziedziczone po matce, przywiezione z Neapolu statkiem, przywędrowały z piwnicy, żeby zastąpić miedź i nierdzewną stal. Makaron gotowany w miedzi i stali nigdy nie smakował tak dobrze jak ten z niebieskich, emaliowanych garnków. Świadoma, że jej córka nadal tam stoi i czeka na oświecenie, Gina powiedziała:

– Sama nigdy się nie dowiedziałam, co dokładnie zaszło.

– A papa wiedział?

Gina nie zastanawiała się nad odpowiedzią.

– Nie znosił do domu opowieści o ludziach, dla których pracował, bo uważał, że to mu zaszkodzi w interesach. – Ciężko stąpając, obeszła dookoła córkę, jednocześnie wycierając dłonie w ścierkę, i dodała: – Chyba nie rozpoznałabym żadnej z tych kobiet, gdybym je spotkała na ulicy; teraz wszystkie już jesteśmy starymi *streghe*.

A jednak kiedy na początku lipca natknęła się na Alexandrę, obie natychmiast się rozpoznały. Do spotkania nie doszło w centrum, przy Dock Street, ale przed nowym supermarketem sieci Stop & Shop na obrzeżach miasta, pół mili za dawnym domem Alexandry przy Orchard Road. Słońce pełni lata odbijało się drżącymi falami żaru od asfaltu, którym wylany był parking, i wzniecało iskry poziomych refleksów od drucianej plecionki wózków zgromadzonych pod wiatą, gdzie ludzie mieli je odstawiać po tym, jak już załadowali zakupy do samochodów.

– Słyszałam, że wróciliście do Eastwick – zagaiła Gina i odkaszlnęła. Sam sposób, w jaki wymówiła nazwę miasta, sygnalizował jej poczucie własności terytorialnej. Uważała, że jako stałej mieszkance i niesprawiedliwie potraktowanej żonie (o czym jednak nie opowiadała swoim dzieciom), to jej wypada odezwać się jako pierwszej.

Obie kobiety – Gina w ciemnej sukni, Alexandra w białych dżinsach i obszernej, bawełnianej koszuli z rękawami trzy czwarte – były przy kości i pocily się w słońcu.

– To tylko w ramach eksperymentu, Gina – zapewniła swą dawną rywalkę Alexandra.
– Do końca sierpnia, jeśli dotrzymy. Mieszkam teraz w Nowym Meksyku i mimo że tam często panują upały, nie jestem przyzwyczajona do takiego parnego powietrza.

– Od waszego wyjazdu zrobiło się tu raczej nudno – powiedziała jej Gina.

– Liczymy na to. Jesteśmy już wdowami, Jane, Sukie i ja. Nuda to jedyna rzecz, która nas interesuje. Współczuję z powodu Joego, jeśli pozwolisz. Sześć lat temu, mam rację?

– Masz – odparła Gina, choć zapało jej dech, kiedy ta stara, tłusta ladacznica bezczelnie wymówiła jego imię.

– Wiem, jak to jest – wyznała Alexandra, ośmielając się dotknąć gołego przedramienia drugiej kobiety.

Gina wzdrygnęła się zabobonnie. Kąt, pod jakim padało słońce samego południa, był w tym miejscu taki, że obie stały na ostrej jak nóż granicy między płonącym światłem a cieniem rzucanym przez budynek Stop & Shop. Po tym swoim akcie odwagi z dotykaniem Alexandra cofnęła się do względnego chłodu panującego za spryskanymi wodą półkami, na których czekały na nabywców supermarketowe petunie i nagietki. Gina poczuła się zmuszona pokuśtykać jej śladem.

– Był dobrym człowiekiem – powiedziała Alexandra ściszym w cieniu głosem.

Gina na tyle odzyskała oddech, by dać radę odparować:

– Był dobrym, rodzinnym człowiekiem. – Jej czarne oczy błysnęły, wpijając się w twarz Alexandry, jakby rzucając wyzwanie, by ta jej zaprzeczyła.

Alexandra zgodziła się z nią, jednak, jeszcze łagodniejszym głosem, roszcząc sobie prawo do pozycji osoby wtajemniczonej.

– On cię kochał. Kochał swoje dzieci. – Tak jak zapamiętała tamten romans, to ona zawsze odtrącała propozycję Joego, że odejdzie od Giny i ożeni się z nią.

– I kochał swoją pracę – dokończyła wyliczankę Gina, wybijając tor ich rozmowy z tych niedocieczonych głębi. – Jak ci piecyk wysiadł o drugiej nad ranem, wstawał z łóżka i przyjeżdżał. A teraz, żeby zdobyć hydraulika, musisz zadzwonić do tej podejrzanej firmy przy centrum handlowym Coddington Junction; nigdy nie przysyłają dwa razy tego samego człowieka. – Czują, sądząc po zaciśniętych wargach, niejaki triumf, że wypowiedziała tak agresywnie długie zdanie. – I jak tu komuś zaufać?

Biedaczka, pomyślała Alexandra, widząc, że ani chodzenie, ani rozmawianie nie przychodzi Ginie łatwo. Ją samą to spotkanie bawiło, bo przypominał jej się Joe: masa i ciepło jego ciała, futerko na plecach, powłoczka potu na brzuchu, podniecająca siła, którą jego dłonie nabyły dzięki zmaganiu się z tyloma skorodowanymi złączkami i zamarzniętymi zaworami. Kochała też męską wstydlivość Joego, kiedy tak zakradał się do jej małego, żółtego domku rozwódki przy Orchard Road, pół mili od miejsca, gdzie teraz stała razem z wdową po nim – jego zawstydzenie, że upadł aż tak nisko, bo zdradził swe święte przysięgi, bo ryzykował utratę domowego ogniska, dobrobytu swych dzieci i teściów, sporej części swego lokalnego prestiżu.

– Był dobrym fachowcem – zapewniła ugodowo Ginę. Pełen zapалу w seksie, nazywał ją swoją białą krową, *mia vacca bianca*, kiedy brał ją od tyłu. Miał w sobie całe pokłady wstydu – wstydział się swojej łysej głowy z delikatnymi, kościstymi falkami i swych władczych genitaliów, które spłodziły piątkę dzieci i miały się z poczuciem winy i nieczystości w bezpiecznej fortecy jej łona skrywającego sterylizującą wkładkę, ponieważ w tamtej epoce oświecone kobiety zadawały sobie odrobinę tego trudu, by uczynić się zawsze dostępnymi dla seksu. Ona z kolei rozkoszowała się tym, tym darem grzechu i świętokradczej kontroli urodzin, którymi wzbogacała nudne, wypełnione ciężką pracą i zepsutymi zaworami życie Joego, gdy tak kuciała biernie na kolanach i łokciach, na swoim skrzypiącym łóżku i pozwalała się grzmocić od tyłu i napełniać po brzegi.

Gina zdawała się zaglądać zezem do jej myśli, bo przymknęła złowieszczo jedno oko.

Drugie oko lśniło, borując sobie drogę.

– Pamiętasz Veronicę? – spytała.

Przestraszywszy się, że Gina naprawdę coś wyczytała w jej myślach i na dodatek naoglądała się obscenicznych obrazków, Alexandra wypaliła z wdzięcznością:

– Ależ oczywiście! Twoja najmłodsza.

Joe był wstrząśnięty i wściekły, kiedy Gina poinformowała go o swej ostatniej ciąży, w wieku czterdziestu jeden lat; twierdził, że ledwie dotyka tej zabobonnej suki. Pobożna Gina za nic nie chciała słyszeć o wkładce.

– O ile wiem, ciągle mieszkasz z tobą – dodała Alexandra.

– I jej mąż też – wyznała Gina, wciąż nie otwierając oka. – Jeszcze nie mają dzieci. Po sześciu latach starań.

Alexandra ukryła zdumienie. Przez ileś lat ona i ta kobieta dzieliły się jednym mężczyzną; niewykluczone, że ten właśnie niewypowiedziany sekret skłonił Ginę do podzielenia się taką intymną informacją.

– Jeśli Veronica pragnie mieć dzieci, to współczuję.

– Pragnie, kto by nie pragnął?

Pytanie padło tak bezceremonialnie, że Alexandra wyczuła w nim groźbę i działając w obronie własnej, nic na to nie powiedziała.

– Umiałabyś coś z tym zrobić? – ciągnęła Gina.

– Ja? Gina, co ja mogłabym z tym zrobić?

Drugie oko otworzyło się; w obu coś zamigotało.

– Wiesz co.

– Wiem? Przecież nawet nie znam Veroniki. – Tyle że Joe zwykł jej się zwierzać podczas ich schadzek przy Orchard Road. Kiedy już ta niechciana dziewczynka przyszła na świat, dostał fioła na jej punkcie – miała w sobie ikrę jak chłopak, była mądrzejsza niż wszystkie jej siostry.

Gina wyraźnie się zirytowała własną głupotą, przez którą tyle jej się wymknęło.

– Niektórzy mówią, że ona nie może z powodu... nie wiem, jak to jest po angielsku... *unfascino*. Magia.

– Ach. Masz na myśli jakiś urok?

– Tak. Niektórzy tak mówią. Kiedy była jeszcze mała, a ty tu mieszkałaś. Z zazdrości.

Oślepiający blask słońca zalewający parking drwił z cienistości tej rozmowy, podczas której języki obu kobiet przywarły do tego, co je dzieliło.

– Czemu miałabym być zazdrosna o małą dziewczynkę?

Usta Giny zacisnęły się, zamiast uświetnić takie wymijające pytanie jakąś odpowiedzią. Zrobiła krok w tył, ku słońcu; w tak niemiłosiernym świetle bardzo rzucały się w oczy czarne włoski nad jej górną wargą. Alexandra brnęła dalej, sama sobie odpowiadając.

– Chcesz powiedzieć, że mogłam rzucić urok, bo...? Ale przecież ja nigdy nie potrafiłam robić tych rzeczy, o które posądzali mnie ludzie. Byłam zwykłą gospodynią domową. I to nieszczęśliwą, dopóki nie rozwiodłam się z Ozziem.

Gina znowu zaczęła zezować; powieka jej przymkniętego oka drżała już z wysiłku, a jednak pozwoliła drugiej kobiecie, zmorze jej małżeństwa, mówić.

– Zrobię, co będę mogła – obiecała Alexandra. – Nie mam nic przeciwko Veronice ani tobie. Bo jak mówię, Joe kochał i ciebie, i ją.

I tu być może się zagalopowała, zanadto zbliżyła do punktu, w którym obie musiałyby się wzajemnie zdemaskować. Gina, jakby się obawiała tego, dokąd dalsza rozmowa mogłaby je zawieść, odwróciła się i razem ze swą workowatą, czarną suknią z krótkimi rękawami, stopiła się z wściekłym słońcem, pozostawiając Alexandrę w letnim stroju, zwalczającą dreszcz na skraju pachnącego kwiatami cienia Stop & Shop.

W latach, kiedy wszystkie trzy tu żyły, tylko Sukie, wówczas reporterka lokalnego „Słowa”, mieszkała w centrum: jadła lunch w „Nemo”, wtykała głowę do zakładu fryzjerskiego Paula La-Rue, radośnie rzucając: „Jak leci, chłopcy?” (czekali na to z niecierpliwością), i przechadzała się sprężystym, wysportowanym krokiem, w którejś ze swych beżowordzawych, tweedowych garsonek, odrobinę zbyt eleganckich jak na Eastwick, obok okna wystawowego „Głodnej Owcy”, prezentującego praktyczne kaszmirowe swetry i obszerne wełniane spódnice, obok „Zajadłego Lisa”, który oferował nieco modniejsze ciuchy dla licealistek, obok mrocznego sklepu żelaznego prowadzonego przez Ormian i minimarketu „Nad Zatoką”, obsługiwanego przez dotkniętych trądzikiem licealistów i sprzedającego przedrożone towary typu mleko, sok żurawinowy i rozdęte torebki ze szkodliwymi przysmakami, obok cukierni „Słodki Zakątek”, czytelnicy Towarzystwa Biblijnego, lokalnej filii banku Old Stone oraz Biura Nieruchomości Perleyów z wystawą pełną pomiętych, płowiejących fotek niesprzedanych posesji. Wdychała woń miasta, z jego słonym powietrzem, wyboistymi, popękkanymi chodnikami, drewnianymi fasadami sklepów, którym zdecydowanie brakowało świeżej farby, zbierając plotki i wrażenia do cotygodniowego wydania „Słowa”, którego redaktor naczelny, zmęczony, sfrustrowany, żyłasty Clyde Gabriel miał się w niej zakochać na swoje nieszczęście. Teraz, dobre trzy dziesięciolecia później, szła tym samym chodnikiem, smakując wspomnienia. Nie tym samym, prawdę powiedziawszy – pęknięcia wypełniono,

plytki wyrównano, ocieniające go drzewa opleciono bożonarodzeniowymi światełkami, które świeciły cały rok. Dock Street została poszerzona i wyprostowana, a tam, gdzie kiedyś betonowa wylewka wtopiła się w asfalt, zamontowano wysokie, granitowe krawężniki, które prawie wcale się nie pochylały; niegrzeczni chłopcy kiedyś wskakiwali rowerami na chodnik i gwałtownie wycofywali się z niego z powrotem na jezdnię, beztrąsco terroryzując przechodniów. Poidło dla koni, wykute z błękitnego marmuru, wciąż stało na środku skrzyżowania Dock Street z Oak Street, ale już nie było obsadzone sezonowymi kwiatami, tylko jałowcem i karłowatą jodłą kanadyjską, która zrobiła się taka wysoka i krzaczasta, że całkowicie zasłaniała widok kierowcom.

Ale też miasto, które powstało razem z powołaną do życia kolonią zwaną Plantacjami Opatrzności⁹, na podstawie karty praw nadanej przez parlament brytyjski w 1644 roku, było pełne zamaskowanych widoków: nie widziało się z ulicy malowniczych domków z początku osiemnastego wieku, całkowicie zagarniętych przez świerki, których zwisających gałęzi nikt nigdy nie przycinał; w niektórych zrujnowanych wiktoriańskich kamienicach z za srogo wyglądających boazerii wyzierały strome klatki schodowe, a piwnice otwierały się na tunele wydrążone w litej skale, które wiodły do oświetlonej przez księżyc wody; gnijące pomosty, z których kiedyś korzystali przemytnicy alkoholu, czekały na niewiadomo kogo, na kamienistej plaży, ukryte dla głównego portu za poszarpanymi skałami. Powiadano, że podobnie jak Massachusetts i Connecticut, Rhode Island zostało ufundowane jako przystań dla odszczepieństwa od wiary i piractwa. Roger Williams, współzałożyciel kolonii, powitał kwaków, żydów i antynomian, nie z powodu przekonania, że zbawienie obejmuje wszystkich, tylko dlatego, że brakowało wierzących do zaludnienia wspólnoty. W bok od Oak Street, która wiała się poza granicami osady, długie podjazdy wspinały się do niewidocznych domostw. Z centrum Eastwick jakoś dziwnie trudno było zobaczyć starą posiadłość Lenoksów na wzgórzu, mimo że na mapach odległość między nimi wcale nie wyglądała na dużą. Nawet frontony sklepów w centrum były ukryte: tuż za nimi wody ujścia rzeki srebrzyły się i ze szmerem wpływały do zatoki Narragansett, a stamtąd do morza; w wąskich przestrzeniach między starymi magazynami z dachami krytymi gontem przebłyskiwały połączone iskier. W powietrzu czuło się słoną wodę, inaczej niż w wielkim Stamford, gdzie życie było takie drogie, i Sukie wdychała ją swymi wąskimi nozdrzami, czując, że przesącza się do niej z powrotem jej lubieżne dawne ja.

– Pani Rougemont! – zawołał za nią czyjś głos.

⁹ Oryginalna nazwa Providence Plantations.

Obróciła się jak dźgnięta nożem, zachodząc w głowę, kto też mógłby użyć nazwiska, którego dawno temu się pozbyła. W jej stronę szedł mężczyzna, którego raczej nie знаła, niedźwiedziowaty, brodaty mężczyzna w średnim wieku, ze szpakowatymi włosami związanymi w niechlujną kitkę; policzki i nos miał poczerwieniałe od wystawiania ich przez całe życie na działanie żywiołów. Widząc, że jest zaskoczona i zaalarmowana, uśmiechnął się szeroko, pokazując szczerbę w górnej szczęce, czym jeszcze spotęgował jej awersję.

– Tom Gorton, proszę pani. Robiła pani ze mną wywiad, kiedy zostałem najmłodszym kapitanem portu w historii, pamięta pani?

– Tommy? No przecież! – W owym czasie zrobił na niej wrażenie człowieka nadętego i niedojrzałego, ale to jej nie przeszkodziło w przespaniu się z nim później, ale jeszcze w to samo lato, zanim wyczarowała sobie męża i wyjechała z miasta jako ostatnia z trzech czarodziejek. W prawej ręce niosła torbę ze sprawunkami z „Nad Zatoką” i teraz musiała przemieścić ją do lewej, by móc pospiesznie się z nim przywitać. – Jak się masz? – spytała bodajże przesadnie serdecznie i uśmiechnęła się mężnie, ukazując dziąsła.

Tommy, uśmiechając się trochę smutniej niż ona, ujął jej prawą dłoń swoją lewą. Przez sekundę rozumiała ten gest opacznie, jako wyraz czułości ze strony zadufanego byłego kochanka, ale zaraz potem zorientowała się, że jego prawą dłoń, przyciśniętą do piersi, coś kiedyś brutalnie poharatało, pozbawiając jednego palca i miażdżąc resztę, przez co ta dłoń wygląda teraz jak jakaś spuchnięta łapa. Tommy zauważył, gdzie pomknął jej wzrok, i z nieśmiałym, chłopięcym uśmiechem, który znienacka przywołał w niej wspomnienie tego, jaki był kiedyś, nadmiernie pewny siebie, a jednocześnie nieśmiały i wstrząśnięty, kiedy zaoferowała mu siebie, wyjaśnił:

– Wypadek. Pomagałem załodze trałowca, która natrafiła na ławicę dorsza pod zimowym lodem. Poślizgnąłem się w pożyczonych butach i prawa dłoń uwięzła między liną a krążkiem, który wyciągał ładunek. Najpierw chcieli amputować, w końcu postanowili coś jednak zostawić. Ale nie przydaje się na wiele. – Odsunął dłoń od piersi na kilka cali, żeby jej zademonstrować.

– Och, Tom! – wykrzyknęła, nazywając go imieniem, które wyraźnie teraz preferował.
– Biedaku. Jak ci się z tym pracuje?

– Z trudem, jak to mówią. – Wstydlivość w uśmiechu ustępowała teraz innej jego cesze, którą podczas ich wywiadu uznała za arogancję, ale później, kiedy już zostali kochankami, wyczuła, że jest to jego absolutne przeświadczenie o własnej męskiej urodzie – zmysłowy zachwyt samym sobą, którego pokolenie a nawet tylko pół pokolenia wcześniej chłopak z jego klasy społecznej nigdy by nie osiągnął, bo dopiero lata sześćdziesiąte, dzieci

kwiaty, Beatlesi i kinowa pornografia udzieliły mężczyznom zgody na okazywanie seksualnej próżności. Sukie miała trzydzieści trzy lata, kiedy lata sześćdziesiąte dobiegły końca, ustępując miejsca siedemdziesiątym, i była wtedy na etapie sypiania ze starszymi mężczyznami – niektórzy z nich, na przykład Clyde Gabriel i Arthur Hallybread, zdecydowanie od niej starsi, wionęli smrodkiem od swoich zmarszczek i zawodzili, gdy szło o wzwód – dopóki nie przespała się z Tobym Bergmanem, młodym nowym redaktorem „Słowa”, który zastąpił tragicznie zmarłego Clyde’ a. Toby niebawem wyjechał z miasta, po tym jak złamał sobie nogę w kolejnym wypadku związanym z zimowym lodem. Niemniej zapoznał ją z ciałem młodego mężczyzny i nieznanymi jej wcześniej relacjami władzy w ramach seksu: ona w roli prowokatorki, admiratorki, drapieźnika, wyznawcy kultu. Niczym śmiertelnie wygłodniała wilczyca, cała naga, dosiadała najpierw ciała Toby’ego, potem ciała Tommy’ego, zachwycając się tą doskonałą skórą, czystym zapachem, gładkimi wiązaniem mięśni, pięknymi, obrośniętymi świeżym futerkiem, niezawodnie reagującymi genitaliami. Te lśniące, wyprężone fiuty były takie piękne i takie potworne – obrzezany o Toby’ego, u Tommy’ego nieobrzezany – że po prostu musiała brać je do ust. Nakazywała tym młodym mężczyznom leżeć absolutnie nieruchomo i z prowokującym, torturującym zdecydowaniem, pośród gradu krótkich pocałunków i pomruków, lewą dłonią ściskając wyprężonego członka przy samym korzeniu, a prawą gwałtownie odgarniając swe długie, opadające włosy z ust, połykała nasienie w chwili, gdy energicznie pulsujący w jej dłoni niczym pochwycony w pułapkę ptak Toby albo Tommy osiągał orgazm, tryskając lepka, śluzowatą, półprzezroczystą, strzępiastą białą substancją, tym podobnym do ambrozji, smakującym jajkami pokarmem jakiejś dzikiej bogini, przez co potem ci chłopcy wstydzili się spojrzeć na jej usmarowaną, oszołomioną twarz, kiedy tak kuciała nad nimi, łaknąc więcej.

Tutaj, przy Dock Street, czuła, że zdradza rumieńcem tamto wspomnienie o swoim młodszym ja, niemniej splekane usta Tommy’ego Gortona, wijące się jak blade robaki w jego brodzie, kontynuowały wyświechtaną opowieść o nieszczęściu:

– Zwolnili mnie ze stanowiska kapitana portu, bo trudno dowiosłować dingą do cumy, jak się ma tylko jedną rękę zdrową, ale biorą mnie czasem na dodatkowego pomocnika, że się tak wyrażę, za część udziału w połowie. Bywało ciężiej w czasach, gdy dzieciaki były jeszcze małe, bo Jean nie mogła rzucić posady w banku, choć nie zarabiała tyle, ile była warta, absolutnie nie. Ale teraz już nie siedzą nam na karku – dwaj chłopcy i dziewczyna, wszyscy wyrosli, poženili się i poszli na swoje.

To były jakieś kpiny, dawanie do zrozumienia, że jednak zasłużył sobie na szacunek, mimo że ona traktowała go jak dziwka? Sukie zastanawiała się, czy Jean robiła dla niego to

samo, co kiedyś ona, czy raczej tylko zarabiała pieniądze w banku? Sukie czasami gryzła Tommy'ego w ramię, kiedy miała orgazm, a on zaczął ją naśladować i gryzł tak, że aż bolało. Nie miała nic przeciwko temu: ślady znikwały po dwóch albo trzech dniach, a ból wyostrzał jej zmysły. Patrząc na tego utytego, ogorzałego od wichrów jełopa, który lada moment miał się doczekać problemów z sercem, Sukie nie mogła się nadziwić, że była zdolna do takich niesamowitych wygibasów przez te kilka miesięcy, kiedy się do niego zalecała, kiedy go kochała, kiedy się przed nim ponizala. Tak bywa: mężczyźni czerpią korzyści z kobiecego szaleństwa i skrycie uważają, że na nie zasłużyli.

– To mi wygląda na szczęśliwe zakończenie, Tom – powiedziała, zamierzając zamknąć już tę rozmowę. – Cieszę się, że tak ci się udało.

On jednak jeszcze z nią nie skończył; przyłączył się do wspominków, na samym środku Dock Street, na pełnym słońcu.

– „Szczęśliwe” to raczej złe słowo – powiedział. – Szczęśliwe było to, co było między tobą a mną.

– Szalone – odparła, zastanawiając się, czy on zatarasuje chodnik, jeśli spróbuje go obejść. – Ja bym tu użyła słowa „szalone”.

– Kiedyś uważałem, że ty jesteś szalona. Po tym, jak wyjechałaś z miasta, pomyślałem sobie jednak, że wszyscy powinniśmy być tacy szaleni. Jean jest z tych bardziej praktycznych. Uwielbia liczby. Mówi, że one wyznaczają granice różnym rzeczom.

– Wynika z tego, że jest bardzo inteligentna. – Sukie dała krok w prawo, na jego słabszą stronę.

Przesunął się w bok i znowu zasłaniał jej przejście.

– A tak nawiasem, co cię znowu ściągnęło w te strony?

Inni ludzie na chodniku już im się przyglądali.

– Letnie wakacje – wyjaśniła zwięźle. – Jestem tu z dwiema dawnymi przyjaciółkami, wynajęłyśmy mieszkanie. – Powstrzymała się z powiedzeniem gdzie.

– Z tamtymi dwiema – odparł domyślnie. – Słyszałem. – Już nie sprawiał wrażenie tak przyjaznego.

– A więc pamiętasz je.

– Owszem, zostały zapamiętane.

– Mam nadzieję, że dobrze.

– Zostały zapamiętane.

Sukie zrobiła jeszcze jeden krok, po ukosie, więc gdyby nadal chciał zastępować jej drogę, musiałby ją przyprzeć do okna wystawowego czytelnicy Towarzystwa Biblijnego, na

którym leżała spłowiała od słońca Biblia, otwarta na Mateusza, rozdział 8, z małą, plastikową strzałką skierowaną na werset: *Jezus wyciągnął rękę, dotknął go i rzekł: Chcę, bądź oczyszczony! I natychmiast został oczyszczony z trądu.*

– I co tu robisz przez cały dzień? – spytał Tommy. Pytanie zabrzmiało prowokująco; wiedziony instynktem dawnej intymności podniósł rękę, żeby nie pozwolić jej przejść, ale to była ta chora, okaleczona ręka i ostatecznie opuścił ją bezwładnie.

– Mniej więcej to samo, co robimy u siebie. Zakupy. Jedzenie. Przejazdki. Miło cię było zobaczyć, Tommy.

– Może mnie jeszcze zobaczysz.

Ta ręka, bez mięśni, bez siły: koszmar. Wydatne, włochate brzuszysko, broda jak zdeformowane gniazdo. Zapamiętała, że jego włosy łonowe były jasne, jakby spłowiały od słońca. Łaskotały ją w nosie.

– Nie wiem, jak długo tu zostaniemy – powiedziała. – To zależy od tamtych dwóch.

– Nie polegaj na tamtych dwóch – zaczął ją ostrzegać, cofając się, przechodząc ociężale na bok. – Kiedyś zasadniczo lubiłaś żyć po swojemu.

– Jak już ustaliliśmy, Tommy, byłam szalona. Teraz jestem już starszą panią. Miło mi było cię spotkać. Życzę powodzenia. – Z zadowoleniem się wyrwała.

Kiedy doszła do końca Dock Street, do wielkiego, połyskującego fioletowo, obrosniętego idiotyczną dżunglą końskiego poidła, przy starym, drewnianym doku i łagodnie rozkołysanej przystani tuż obok, kiedy już zamierzała skręcić w lewo, w Oak Street, żeby zabrać z parkingu wytyczonego w sercu tego miasta – o kształcie litery L wymuszonym przez linię brzegową zatoki Narragansett – swoje potężne, granatowe bmw, które wmówił jej zmarły mąż, Sukie z radością spostrzegła błyski słonej wody w wąskich przestrzeniach między budynkami służącymi za magazyny, jakby to odbite światło wysłodziło jakiś strumień jaśniejący w niej samej. Jej dawny dom, tak zwana „solniczka” z 1760 roku, przy Hemlock Lane, krętej, bocznej uliczce odchodzącej od Oak Street, stał niedaleko stąd; w dawnych czasach mieszkała i pracowała w centrum. To wśród tych ulic i domów kochała i była kochana; znano ją tutaj jak nigdzie indziej, nawet nie tam, gdzie się urodziła – w brudnym paznokciu na skraju jeziora Finger¹⁰ w stanie Nowy Jork, gdzie była niewidzialnym dzieckiem – ani w schludnym, satelickim mieście w Connecticut, gdzie została żoną po raz drugi i gdzie trzydzieści lat przeleciało jej jak w grze wyobraźni.

¹⁰ w jęz. angielskim oznacza „palec”.

– Pamiętałaś o serku śmietankowym? – napadła na nią Jane, kiedy wróciła, pokonawszy białą drogę biegnącą wzdłuż plaży, potem bród, pełen kałuż po przyptywie z ubiegłej nocy, i wreszcie szeroki podjazd biegnący dookoła dawnego domu Darryla Van Horne’a, do którego bocznego wejścia miała teraz mosiężny klucz. – Z moim żołądkiem tak już jest, że opieczony bajgiel z serkiem śmietankowym to jedyne, na co mam ochotę. Wszystko inne smakuje jak trociny – narzekła Jane.

– W sklepie „Nad Zatoką” nie mają serków śmietankowych – odparła Sukie. – A w każdym razie nie mają tego, który robi Philadelphia, a tylko on jest jadalny. Zamiast tego kupiłam ci jogurt jagodowy. Przykro mi, moje ty pyszności, że nie zrobiło ci się lepiej. – Ten pieszczotliwy przydomek Alexandra nadała Sukie w czasach łaźni Darryla Van Horne’a i teraz on wykwitł na wargach samej Sukie, rozgrzanych spotkaniem z Tommym. – Powinnaś wyjść z domu i sama sobie zrobić zakupy, jest piękny dzień. Gdzie Lexa? Nie widziałam twojego samochodu na parkingu.

Trzy kobiety dzieliły się dwoma samochodami – białym Sukie i starym, zielonym jaguarem Jane. Nat Tinker bardzo się chełpił tym wozem – stary, klasyczny model, XKE z roku 1963, z podnoszonym dachem, smukłą linią i niskim zawieszeniem, felgami szprychowymi i kratownicą jak rozdziawiona paszcza rekina gromadzącego tlen. Karoseria została pomalowana „Wyścigową zielenią”, tak ciemną, że nocą auto wydawało się czarne, i Jane lubiła opuszczać w nim dach, bo podczas jazdy jej czarne włosy fruwały we wszystkie strony. Dwie kobiety ze Wschodu bez trudu dojechały swymi samochodami do Rhode Island, ale od Alexandry nie można było wymagać, że dotrze tu aż z Nowego Meksyku białym fordem pick-upem, pokiereszowanym i brudnym po wielu latach brutalnego używania go przez Jima. Dlatego dzieliły się. Dzieliły się czterema wynajętymi pokojami, w dwóch maleńkich mieszkankach wykrojonych z dawnej łaźni z basenem i systemem stereo, którą Darryl Van Horne urządził w oranżerii Lenoksów, ogrzewanej rurami parowymi i wypełnionej nie tylko orchideami i roślinami cebulowymi, ale także tropikalnymi drzewami, ogromnymi paprociami, palmami, fikusami a także jednym pachnącym drzewkiem cytrynowym. Ekipa budowlana wynajęta przez bank w ramach przebudowy przejętej posiadłości przecięła poziomo tę wysoką przestrzeń. Sufit, dawniej rozsuwany, dzięki czemu rozanieleni amatorzy kąpiele w ogrzewanym basenie mogli przyglądać się gwiazdom, znajdował się pierwotnie na wysokości osiemnastu stóp, w wyniku czego po zamontowaniu nowych posadzek i podwieszanych sufitów górne pomieszczenia stały się przytulnie ciasne jak pokoje w akademikach. Alexandra, jako najwyższa z nich, mogła wyciągnąć rękę i dotknąć sufitu. Z początku wprawiało je to w radosny nastrój – trzy dziewczyny w podeszłym

wieku, które świetnie się bawią na swoim – ale kiedy lipcowe temperatury podniosły się, w maleńkich izdebkach robiło się skwarne, zwłaszcza nocami, gdy morską bryza pieściła nie ich ścianę budynku, tylko tę drugą.

Dwie młodsze i stosunkowo zamożne wdowy ugadały między sobą, że Alexandra, jako najstarsza, najbiedniejsza i najbardziej oddalona od domu, powinna dostać największą sypialnię, tę z królewskim łóżem. Sukie zajęła sąsiedni pokój, z łóżkiem składanym w ścianie i okrągłym stolikiem, na którym mogła stawiać swojego laptopa; rygorystycznie pracowała godzinę lub dwie dziennie, wspomagając się kawą i miseczką koktajlowych przekąsek zamiast papierosów, które wreszcie rzuciła, tuż po śmierci Lenniego. Jane, która z całej trójki wstawała najpóźniej, często jeszcze spała, kiedy Sukie kończyła pisać i była gotowa zmierzyć się z gotowanym jajkiem na grzance. Na podstawie pozornie słusznego argumentu, że niedostatki przestrzeni i światła zostają tam nadrobione prywatnością, Jane dostała wąską, pozbawioną okien sypialnię po przeciwnej stronie tak zwanego salonu, gdzie zbierały się we trzy, żeby czytać, oglądać telewizję i popijać aperitify przed kolacją, niezależnie od tego, czy jadły ją w domu czy na mieście. Czasami wspominały, jak kiedyś zwykły wznosić stożek mocy nad koktajlami, ale ten rytuał wiązał się z formalnymi przygotowaniami i należał do prześnionych czasów, kiedy były młodsze i bardziej zaangażowane w otaczający je wir życia, bardziej namiętne, bardziej zazdrosne i bardziej przekonane, że są w stanie poruszyć materialny świat swoją życzliwą magią. Ich apartament był wyposażony w dwie łazienki – Sukie i Alexandra dzieliły się tą większą – mnogość niewygodnych szaf i komódek oraz w niewielką, ale za to wygodną kuchnię z szafkami, półkami, mikrofalówką, obrotowym stojakiem na garnki i patelnie oraz zmywarką do naczyń umieszczoną pod zlewem, tak małą, że ledwie mieściła trzy komplety nakryć stołowych. Z okien roztaczał się widok na parking i znajdujący się za nim, po prawej stronie rzadko wykorzystywany kort tenisowy Darryla, ale bez plastikowej bańki, którą Darryl nadmuchiwał gorącym powietrzem.

– Pojechała moim samochodem na plażę – odparła Jane – choć ją ostrzegałam, że będzie się tam roiło od ludzi i że będzie musiała skorzystać z publicznego parkingu. Jedna z nas musi jechać do ratusza i dowieść, że wynajmujemy mieszkanie, dzięki czemu dostaniemy nalepkę, że jesteśmy tu na tymczasowym pobycie. Dziwię się, że jeszcze tego nie załatwiłaś, przecież to ty tak bardzo lubisz małe miściny, więc powinnaś wiedzieć.

– Zapomniałaś, że nie jestem w stanie przebywać na otwartym słońcu, bo od razu dostaję wysypki. Nigdy nie byłam plażowym szczurem jak ty i Lexa.

– Nie winię cię za to, że tego nie zrobiłaś – oświadczyła Jane, jakby niedosłyszała. – Wszystko tutaj stało się takie zawile i biurokratyczne od czasu, kiedy tu mieszkaliśmy.

Faceci na bramce po prostu cię znali i machali ręką, że możesz jechać. Eastwick straciło swój bałaganiarski urok.

– Nie jest tak z całym światem? – spytała beztroskim tonem Sukie, chowając mleko, sok pomarańczowy i żurawinowy, jogurt, mieloną kawę i żydowski chleb ryżowy do lodówki.

– Przybywa ludzi, więc przybywa też regulacji. Dzisiaj musiałam zaparkować przy Oak, a dawniej zawsze znalazło się miejsce przy Dock. Ludzie wszystko korygują, co jest przerażające. Z pokolenia na pokolenie zapominają, co to znaczy być wolnym.

– Wolność – zadumała się Jane. – A co to takiego? Człowiek musi się urodzić, musi umrzeć. Nad tym w ogóle nie masz kontroli.

– Skoro mowa o kontroli, to może następny temat: moim zdaniem powinnyśmy się zorganizować, wszystkie trzy, i zrobić prawdziwe zakupy w Stop & Shop. W „Nad Zatoką” nie mają świeżego mięsa ani warzyw i już zwiedziłyśmy wszystkie lokale na mieście. Poza tym tak wychodzi za drogo – dodała z lekką przyganą. Będąc najmłodsza z nich trzech, czuła się zobowiązana do dyrygowania dwiema starszymi współmieszkankami. Zarówno Alexandra, jak i Jane były teraz jakby mniej zdecydowane, niż je zapamiętała – bardziej pograżone w tym obezwładniającym zubożeniu, które przygotowuje nas do śmierci.

– Myślałam, że Lexa była w Stop & Shop – powiedziała Jane.

– Była, ale prawie nic nie kupiła. Wpadła na Ginę Marino i wróciła ogłupiona.

– Już sama myśl o jedzeniu... – zaczęła Jane. – Nie wiem, co się ze mną dzieje. Kiedyś uwielbiałam jeść, zwłaszcza tłuste, słone rzeczy. Im bardziej mi coś nie służyło, tym bardziej mi smakowało. I do tego ten taniec z własną figurą, to wyobrażanie sobie, że mężczyźni wiecznie oceniają twoje rozmiary. Czekolada, frytki... Na samo wspomnienie dostaję mdłości. Sukie, pomóż mi. Ciągle zapominam, po co tu przyjechałyśmy. Powiedz mi.

– Żeby być razem – przypomniała jej Sukie dość surowym tonem. – Żeby jeszcze raz odwiedzić miejsca naszej młodości.

– Naszych młodocianych zbrodni – poprawiła ją Jane, z przebłyskiem swego wojowniczego, dawnego ja.

Sukie, jeszcze zanim się zestarzała, wyobrażała sobie, że nadejdzie kiedyś taki czas, gdy stanie się wolna od złych cech i nawyków – gdy przestanie odczuwać przymus wywierania wrażenia na płci przeciwnej i gdy z jej myśli zniknie wreszcie seks, bo wtedy dojdzie do głosu jej bardziej autentyczne, bardziej uczciwe ja. A jednak okazało się, że to właśnie seks wiąże nas z ludźmi, przymusza do ciągłej czujności i wymaga, abyśmy pozbywali się naszych bardziej ostrych cech charakteru, by móc wmieszać się w tłum. Bez seksualnej potrzeby negocjowania pozostaje niewiele, dzięki czemu dałoby się okiełznać

neurotyczne roztrzęsienie. Jane swojemu z pewnością ulegała.

– Zapamiętałam Eastwick jako wiochę, w której można się nieźle rozerwać – poskarżyła się Jane – a tymczasem wszystko tutaj się zhomogenizowało, wygładziło; krawężniki w centrum są wszystkie z eleganckiego granitu, a oddział Old Stone Bank jest dwa razy większy niż kiedyś, niby jakiś ogromny, nudny rak, który wszystko pożera. I ci młodzi ludzie, w tym samym wieku, w którym my wtedy byliśmy – są tacy męczący, wystarczy na nich spojrzeć, na te umięśnione młode matki, które wożą tłustych synów tłustymi sportowymi wozami na treningi hokeja dwadzieścia mil dalej, na tych młodych ojców, ugrzecznionych kastratów, którzy pomagają swoim żonkom w gospodarstwie domowym i spędzają całe soboty na ulepszaniu ich uroczego domku. Przecież tu znowu zapanowały lata pięćdziesiąte, tyle że nie ma ruskich jako wymówki. Człowiek się zastanawia, jakim cudem oni zmajstrowali te swoje drogocenne pociechy. Pewnie w ogóle się nie rznęli – teraz wszystko się robi za pomocą in vitro, a porody są wyłącznie cesarskie, bo lekarze nie chcą być ciągnani po sądach. Ludzie noszą żałobę po śmierci Boga, mnie natomiast dręczy śmierć grzechu. Bez grzechu ludzie już nie są ludźmi, tylko bezdusznymi owcami.

– Och, Jane, jesteśmy tu dopiero tydzień. Trzeba się najpierw postarać, żeby się zabawić. Powinnyśmy udawać, że Eastwick to jakaś obca stolica, którą zwiedzamy. Co byśmy robiły w takim miejscu?

– Zwiedziłybyśmy katedrę i pałac. A tu? Kto chciałby się gapić na kościół unitariański i ten ratusz z żelbetonu, z tą pseudorustykalną fasadą z klinkieru?

– Nie nastawiaj się tak negatywnie! Wczoraj wieczorem nawet nie chciałaś iść na plażę na pokaz fajerwerków.

– Lexa zgodziła się ze mną. Co komu przyjdzie z tarzania się po piasku razem z bandą amatorów piwa?

– Posłuchaj tylko, co ty wygadujesz! Nic nie osiągniesz z takim podejściem. Będziesz się tylko czaiła w czterech ścianach, narzekając na motłoch. To my jesteśmy motłochem! Cała Ameryka to motłoch i na tym polega jej uroda!

Nadašana Jane próbowała się bronić.

– Uznałam, że te fajerwerki będzie wspaniale widać stąd. Że wszystkie trzy będziemy je mogły oglądać z parkingu.

– Schowały się za drzewami.

– Tylko częściowo. I dzięki nim wyglądały na większe: takie gigantyczne meduzy, które pojawiały się i znikwały za dębami i cyprysami. To wyglądało jak inwazja z kosmosu.

– Tak, ale ty cały czas wyrzekałaś na komary i zmusiałaś nas, żebyśmy wróciły do tych

norowatych pokoi. Z naszych okien kompletnie nic nie było widać, tylko cienie cyprysów, które podskakiwały w górę i zanikały.

– Wydawały się większe od zwykłych komarów. Ich ukąszenia przypominały iskry, które padają na ciebie, gdy staniesz za blisko ogniska. A zresztą Lexa też się nudziła. Pokazy sztucznych ogni są zawsze za długie. To naprawdę ssskandal, porównywalny z nadmiernymi wydatkami większości rządów. Firmy produkujące fajerwerki wciskają tym małym miasteczkom więcej towaru, niż je na to stać. I dlatego później muszą rezygnować z wychowania muzycznego i plastycznego w szkołach.

– Ty nas zmusiłaś, żebyśmy wróciły do domu przed punktem kulminacyjnym. Pokazy fajerwerków mają swoją fabułę, z punktem kulminacyjnym.

– Zobaczyłyśmy, ile trzeba.

– Ja nie – zaprotestowała Sukie. – Nie widziałam punktu kulminacyjnego.

– Usłyszałyśmy go. To było po prostu mnóstwo hałasu. Bang-bang-bang-bang i BUM! Proszę bardzo. Miałaś swój punkt kulminacyjny.

Przebieg rozmowy wydawał się niebezpiecznie bliski kłótni. Gdzie była Lexa? Obie jej potrzebowały jako brakującego elementu stabilnego trójkąta.

– Dopiero co wpadłam w centrum na dawnego kochanka – zwierzyła się Sukie po chwili milczenia.

– Naprawdę? Ty to masz pecha. Moi już wszyscy poumierali, mam nadzieję.

– Tommy Gorton. Z początku go nie poznałam, zrobił się gruby i zapuszczony, nosi niechlujną brodę i kitkę, jakby to miało z niego zrobić jakiegoś lokalnego ekscentryka. Uszkodził sobie dłoń podczas połowów dorszy i nie ma normalnej pracy, ale na szczęście utrzymuje go żona, istny wół roboczy. Ale – to by ci się spodobało – wyznał, że jest gotów grzeszyć. Powiedział, że liczy na to, że mnie znowu zobaczy. Wydawał się taki młody, kiedy, no wiesz, zadawałam się z nim, ale podczas jazdy powrotnej przeprowadziłam obliczenia i wyszło mi, że ma tylko jedenaście lat mniej! W naszym wieku to jakby tyle co nic. A wtedy uważałam, że jest taki piękny, wszystko jak spod igły i takie idealne. Ten włochaty, jędrny tyłek. Mięśnie jak deska.

– Nic dziwnego, że piszesz romanse – stwierdziła kwaśno Jane.

– Próbuje właśnie nadgonić z jednym, teraz, kiedy już jako tako się tu rozgościłyśmy. Potrzebuję zaledwie godzinki dziennie, zaraz po śniadaniu, przy drugiej filiżance kawy; wszystko samo się ze mnie wylewa.

– A nie uważasz przypadkiem, że z twojej strony to trochę egoistyczne i nużące? No bo co ja i Lexa mamy wtedy robić? Stąpać na paluszkach i porozumiewać się szeptem?

– Nie musicie, po prostu nie wchodźcie do mojego pokoju.

– A czy ty zaglądałaś do mojego pokoju? Wygląda jak cela więzienna. Gorzej: jak komora gazowa.

– Wdowy muszą się czymś interesować, Jane. A co się stało z tobą i twoją wiolonczelą?

– Z wiolonczelą? Straciła swoje właściwe brzmienie po tym, jak ten mój ohydny doberman pogryzł ją podczas napadu zazdrości. A potem koszmarna matka Nata nie mogła ścierpieć, kiedy ćwiczyłam, mimo że nie wiem, jak ona mogła to słyszeć w takim ogromnym domu. Była głucha, tylko kiedy jej to pasowało.

– Tu się odbywają letnie koncerty. Widziałam plakaty na oknie „Nad Zatoką”.

– Boję się wychodzić – wyznała znienacka Jane. – Tu jest coś nieprzyjaznego w powietrzu. Druga strona. Czuję ją. Nie należało tu wracać. Sukie, popełniłyśmy straszny błąd!

– Jane, jakie to niepodobne do ciebie! Coś sobie uroiłaś.

Sukie potrzebowała pomocy, bo panika Jane mogła się udzielić także jej. Wsłuchiwała się w odgłos opon samochodu na zwirowanym podjeździe, myśląc, że to może być Alexandra. Miała taką nadzieję. Ta wroga przestrzeń i czas zupełnie ją przytłaczały. Jednym z odczuć towarzyszących wdowieństwu było dziwne wrażenie, że świat jest o wiele za duży – że ona gdzieś zgubiła to coś, co uczyniłoby go dostatecznie małym, by dawało się nad nim panować.

– Powinnyśmy wyjść z domu – podjęła temat Sukie – i zacząć robić różne rzeczy. W sobotni wieczór ma być koncert muzyki kameralnej, w auli nowego skrzydła biblioteki publicznej. Chłopak z „Nad Zatoką” powiedział mi, że koszty budowy tego nowego skrzydła przekroczyły przewidywany budżet o milion.

Obie kobiety nadstawiły ucha, bo po schodach właśnie wchodziła osoba, która musiała być Alexandrą; jej kroki były teraz cięższe i bardziej powolne niż dawniej. Po chwili rozległo się szuranie klucza na ślepo szukającego dziurki; Alexandra wniosła do tego niskiego wnętrza rumieńce na twarzy i wilgoć w roztarganych włosach, pamiątki po bryzie na plaży. Od jej rozłożystego ciała biło powietrzem z dworu niczym charakterystyczną, acz ulotną wonią załamującej się fali.

– Było cudownie – powiedziała. – Poszłam dzisiaj w prawo dla odmiany, w stronę publicznej części. Tam jest teraz coś w rodzaju laguny, w miejscu, gdzie kiedyś była tylko lacha ubitego piasku. Matki i opiekunki mogą pozwalać dzieciom, żeby się tam taplały, bez strachu, że porwie je fala. – Wyczuwszy, że tamte dwie właśnie odbyły rozmowę i chcą jej coś zaproponować, wbiła swój ciężar obleczony w powiewną, plażową suknię w wielki fotel z

kraciastym obiciem i spytała retorycznie: – Jak mogłam spędzić tyle lat życia z dala od oceanu?

– Z niezadowoleniem – odpowiedziała jej Jane.

– Jane i ja mamy pomysł – poinformowała ją Sukie.

– Czuję to – odparła Alexandra. – I dobrze. Ta grupa potrzebuje pomysłów.

Nowe skrzydło Biblioteki Publicznej Eastwick było większe od pierwotnego dobrodziejstwa z dziewiętnastego wieku, zbudowanego z chropowatego, brunatnego piaskowca, które sterczało z niejako wzruszającym poczuciem wyższości w samym środku łagodnej kopuły miejskich błoni. Szklano-betonowa dobudówka zajęła tyle samo przestrzeni i sprawiła, że spora połać trawy, na której dawniej bawiły się dzieci i psy, została zniszczona, bo wypełniła ją szeroka droga dojazdowa i spory parking. Aula, którą miasto tak się szczyliło, z holem wejściowym i przyległą salą bankietową, mieściła się pod głównym piętrzem, wypełnionym rzędami komputerów ustawionych na stolikach, przy których miejscowi próżniacy grali w gry wideo i wykorzystywali swoją inteligencję do szukania pornografii. Oddział literatury dziecięcej, dawniej skromny zakątek pełen cienkich, kolorowych książeczek, uważanych za przejściowy etap przed książkami dla dorosłych, został znacząco powiększony o wysokie regały z orzechowego drewna, jakby dla upamiętnienia końca czytania dla wszystkich z wyjątkiem garstki stałych bywalców biblioteki. Sala koncertowo-wykładowa, co do której optymistycznie zakładano, że niemal każdego wieczoru coś będzie się w niej działo, zdradzała swój podziemny charakter zduszoną akustyką, która w odczuciu widzów siedzących w tylnych rogach sali nadawała koncertowi zorganizowanemu w ten wieczór widmowy wyraz jak w przedstawieniu pantomimy. Orkiestra kameralna dzieliła się na ambitnych absolwentów pobliskiego college’u oraz starszych adeptów, których umiejętności ustabilizowały się na poziomie beztroskiej kompetencji. Jane, w której niegdyś własna gra na wiolonczeli tworzyła płonące centrum życia emocjonalnego, słuchała z wrzącym zniecierpliwieniem, gdy postaci na scenie uporczywie piłowały i wyginały we wszystkie strony Vivaldiego z jego cukierkowatym zawodzeniem, Beethovena z jego opryskliwą plątaniną bliskich dysonansowi dźwięków i jakiś utwór Ravela podobny do wiotkiej chusteczki znikającej w rękawie z szerokim mankietem.

Potem nastąpił krótki antrak, podczas którego wąski hol wypełniły po brzegi głośnie rozmowy o tych wszystkich ekscytujących rzeczach, które mieszkańcom małego miasteczka udaje się znaleźć, by mieć o czym rozmawiać każdego dnia, podczas każdego zgromadzenia, a niedobitki dawnych rzesz uzależnionych wymykały się ukradkiem na zewnątrz, by

zanieczyścić papierosowym dymem nocne powietrze nad drastycznie zredukowanymi bloniami. Po antrakcie natomiast podjęto próbę zmierzenia się z jedną ze wspaniałych kocich kołysek Bacha, utworu z *Die Kunst der Fuge* zaaranżowanego tutaj na instrumenty smyczkowe, z tematami, które krzyżowały się i podnosiły tercję, a potem kwintę między jego gigantycznymi, upiornymi paluchami, z sędziwą formułą typu *efef, dede* sprowadzoną do ostatecznego i najwyższego paroksyzmu baroku, z budzącym dreszcz kontrapunktem gwałtownie zaciśniętym jak ta luterńska pięść, z *ritardando* i emfatycznym zamknięciem. Jane wykonywała kiedyś tę fugę pod dyktando Raya Neffa i palce jej lewej dłoni podrygiwały na kolanie znajomymi ruchami, choć odciski na opuszkach od sumiennego przyciskania strun przez całe lata prawie już zniknęły.

Przez mgłę irytacji i nostalgii powoli do niej docierało, że osoba, którą wzięła za mężczyznę grającego na pierwszych skrzypcach, który słyszalnie liczył pierwszy takt i milcząco, acz gwałtownie wybijał pierwszy takt – krzepka, lekko zgarbiona postać w okularach w stalowych oprawkach i z włosami barwy siana przyciętymi na krótko, ale za to z kobietą grzywką – to w rzeczy samej kobieta, ubrana w czarne, workowate spodnie, i to nie jakaś tam kobieta, tylko jej znajoma, której gwałtowne, dyktatorskie gesty i pedantyczne, metronomiczne kiwanie głową uderzało w dzwon nawołujący do niezgody: to była Greta Neff, która nie tylko wciąż żyła, ale mniej się zmieniła przez te trzy dziesięciolecia, niż miała do tego prawo. Jane jeszcze raz zajrzała do niewielkiego programu odbitego na ksero, który wręczyła jej nastolatka przy wejściu – dziewczuszka z krągłą buzią i różaną cerą, ani trochę niewyglądająca na taką, która powinna nosić kilka pierścionków na kciuku i mieć brew przebitą maleńkim srebrnym kółkiem – z satysfakcją odnotowała, że Greta Neff jednak nie jest nigdzie wymieniona. Była za to jakaś G. *Kaltenborn, skrzypce*. Niemieckie nazwisko panińskie Grety. Jane знаła jej historię. Ona i Raymond Neff poznali się, kiedy on służył w wojsku i stacjonował w Stuttgarcie. Jane poznała tę historię, będąc w łóżku z Rayem. Jej serce, gdy przypominała sobie Raya w łóżku, stanęło na chwilę. Co też się z nim stało, z dyrygentem orkiestry liceum w Eastwick i liderem dzielnego zespołu kameralnego, w którym Jane grała na wiolonczeli? Pedantyczny, drobny mężczyzna obdarzony miękkim ciałem i wysokim, nosowym głosem małomiasteczkowego dominatora, wydawał się zniewieściał, a jednak spłodził z Gretą sześcioro dzieci i jeszcze zostało mu dość popędu płciowego, by przez jakiś czas spisywać się jako kochanek Jane, a przedtem Alexandry. Dla Alexandry był to pośledni epizod, ale dla Jane tamten romans miał spore znaczenie: przy wszystkich jego wadach, wliczając w to koszmarną, absurdalną niemiecką żonę, wiedział, jak się poruszać po ciele kobiety. Miał dotyk muzyka. Ludzie śmiali się z Raya, ale pod jego dłońmi i językiem

kryła się rozkosz dla Jane. I żadną miarą nie był tak skromnie uposażony, jak to sugerował jego zrzędlawy głos.

Czując, że jej ciemna krew już buzuje, Jane podeszła prosto do Greta podczas przyjęcia urządzonego po koncercie w sali bankietowej. Sukie i Alexandra, zdumione jej nagłym, zdecydowanym ożywieniem, czujnie powędrowały śladem Jane w sam środek gorączkowego gwaru mieszkańców miasteczka składających gratulacje niby muzykom, ale w istocie sobie samym: muzyka klasyczna, Beethoven i Bach, właśnie tutaj, w Eastwick! Tłum rozstępował się przed trio obcych kobiet, które bynajmniej nie były obce dla wszystkich i których ponowne pojawienie się tutaj poprzedziły plotki.

– Greta Neff – powiedziała Jane głosem, który po dwóch godzinach słuchania w milczeniu zabrzmiał jak skrzek. – Pamiętasz mnie?

– Jak mogłabym zapomnieć, Jane? – odparła tamta, okazjonalnie wtrącając głoski ze swego pierwszego języka. – Dotarło do mnie, że wszystkie jesteście w mieście, ale nie wieszylam. – Jej okolone białymi rzęsami oczy, niebieskie jak woda z płynem do zmywania naczyń za grubymi soczewkami okularów w druczianych oprawkach, objęły Sukie i Alexandrę, które sterczały za plecami Jane niczym para zażenowanych ochroniarzy.

– Greta, bardzo nam było przykro, kiedy się dowiedziałyśmy o Raymondzie – odezwała się Sukie.

Czego znowu się dowiedziałyśmy? – spytała się w duchu Jane. Sukie gromadziła nowiny, ale nie dzieliła się wszystkimi. A zatem Raymond nie żył. Ledwie tydzień wcześniej Jane żartowała sobie, że ma nadzieję, iż wszyscy jej dawni kochankowie już nie żyją, ale to było coś zupełnie innego, niż się dowiedzieć, że jeden z nich naprawdę umarł. Biedny Ray, próbował wprowadzić kulturę do tego zadupia, gdzie ludzi interesowały wyłącznie gry, seks, podatki i połów dorsza.

– No cóż – odparła zniecierpliwionym tonem Greta. – Bóg zlitował się nad nim naheście. Długo ciehpieł. Miał haka jelita – dodała.

– Coś straszego! – wykrzyknęła Alexandra. Jej najgorsze lęki zawsze koncentrowały się na raku – który sprawia, że twoje komórki przeobrażają się w samo zło, mnożąc się, czopując organy pozbawionymi czucia, fioletowymi kalafiorami z mięsa, atakując nawet jelita, które przecież ukrywają twoje ekskrementy, razem z ich widokiem i zapachem, dodając do bólu wstyd, sztuczną, zewnętrzną torbę do gnijącego ciała. – Biedny, kochany Ray.

Ten „kochany” wyskoczył zupełnie zniecka, prawdopodobnie jako pamiątka po przelotnym epizodzie sprzed wielu, wielu lat, kiedy jeszcze mało co wiedziała, czym jest radykalne niezadowolenie z małżeństwa i na czym polegają radykalne możliwości seksualne

głoszone przez młodzieżowych proroków lat sześćdziesiątych, na kilka zatrważających chwil potajemnie zeszła razem z Rayem do pozycji horyzontalnej, ledwie zdolna uwierzyć, że to się dzieje naprawdę, ta zdrada, to niezdarne odzyskiwanie wolności, to odnowienie pierwotnej energii. Nie tylko dla niej, ale także dla Raya to było coś nowego, niemniej zrezygnowali z siebie prędko, jako że kolejne, bardziej trwałe romanse zepchnęły ten ich bojaźliwy start na boczny tor. Niebawem zresztą cała amerykańska klasa średnia, od Eastwick po złote wybrzeże, gdzie gwiazdy dużo wcześniej przejęły bardziej swobodny, bardziej uprzywilejowany styl życia bogów i bogiń, wyrzekła się purytanizmu i pognęła niezmordowanie w stronę przygód i wzajemnej eksploracji. Spontanicznie wtrącony „kochany” zabrzmiał dziwnie w uszach trzech kobiet, odpalając w nich, wśród wspólnotowej wrzawy, racę świadomości, że one wszystkie są teraz wdowami, bezbronnymi kobietami, przymuszonymi zniecka do wspominania jakiegoś mężczyzny i stawania się opiekunkami jego płomienia – mężczyzny dość komicznego, a jednak heroicznie oddanego muzyce i pięknu wszędzie tam, gdzie je znajdował, mężczyzny, którego wyczyny w dziedzinie lokalnej organizacji i promocji zaskarbiły mu podziw nawet ze strony Sukie, a wszak ona nigdy nie widziała Raya nagiego i spektakularnie pobudzonego.

– To był niezwykle koncert, naprawdę robił wrażenie – powiedziała Grecie Alexandra, potwierdzając to ciepło wzniecone w nich ukradkiem, starając się uprzejmie zamaskować nietakt ukryty w epitecie „kochany”.

Greta, która już się odwracała, by przywitać się z innymi spieszącymi jej z gratulacjami, przystanąła jak wryta, usłyszawszy te uprzejmości, przyjmując je dosłownie, w swoim topornym, teutońskim stylu.

– Naphawdę tak myślisz? Jane, tobie też się podobał?

Jane, która przetrwała koncert we mgle ultrakrytycznego napięcia, spojrzała swą dawną rywalce w oko i gruchającym głosem, z dwuznaczną kurtuazją właściwą bostońskiej arystokracji, odparła:

– Dla mnie to było doświadczenie obywatelskie, wręcz lekcja demokracji: starzy muzycy, którzy przyprowadzają z sobą dzieci.

Greta zamrugała za okularami, niepewna, jak głęboko została ugodzona.

– Tszeba angaszowacz młodzież – odparła na swój powolny, niemiłosierny sposób. – W psześciwnym hazie ghupa zamieha.

I z tym się odwróciła, porzucając niszczycielskie trio na pastwę rozważań, czy owo mroczne stwierdzenie mogło ich dotyczyć czy też nie. Swego czasu przyjęły do grupy młodszą od siebie kobietę, którą to zabiło.

Z wyjątkiem Grety w tym tłumie mieszkańców Eastwick nie było żadnej twarzy znajomej Alexandrze, acz przez chwilę wydawało jej się, że po przeciwnej stronie sali dostrzegła starą Franny Lovecraft, niebieskowłosą i skurczoną, wygłaszającą tyradę na użytek jakiegoś niewidocznego słuchacza, z głową podrygującą w takt ruchów własnego języka, przywodząc na myśl leciutki dzwoneczek uderzany przez gromkie serce. Ale z kolei Franny była stara, kiedy Alexandra nie miała jeszcze czterdziestki i wciąż rozpieła ją młodzieńcza energia; do tego czasu starowinka zapewne leżała już w grobie, jej żwawe, drobne ciało bez wątpienia spoczywało w trumnie, kruche i wyschłe jak kwiat ususzony między kartkami Biblii. Franny w pewnym sensie zalecała się do Alexandry, próbując ją wciągnąć do kręgów szacownych, lokalnych osobistości, co jakiś czas zatrzymywała się swoim starym, czarnym buickiem, z kratownicą podobną do brony, udając, że interesują ją kwietne rabatki Alexandry, i zapraszając, by przysłała na zebranie tego czy innego klubu ogrodniczego albo na kolację w kościele z udziałem jakiegoś fascynującego mówcy, misjonarza, który spędził wiele lat na południowych morzach, czy wręcz, podczas jednej z takich natrętnych wizyt, namawiając, by została młodszym członkiem Komitetu do Spraw Poidła dla Koni, co stanowiło najwyższy zaszczyt, jakim miasto mogło obdarzyć kobietę – starając się utrzymać Alexandrę w styczności z głównym źródłem norm przyzwoitości obowiązujących publicznie w Eastwick, z szumem niewinnej działalności sublimującej mroczne, anarchistyczne instynkty, których ofiarą mogłaby paść niezwiązana z nikim rozwódka. Bo Franny była kobietą i wiedziała, jakie są kobiety, że kobiety są wulgarne, pełne potrzeb i że trzeba ich pilnować. *Uroczą, starą nudziarą*, tak Alexandra myślała o Franny i jej mężu. Jak on miał na imię? Horace, przypomniało jej się. Pedantyczny, cwany człowieczek, który jeździł znakomicie utrzymanym buickiem wielkości łodzi z wkurzającą ostrożnością, zwłaszcza gdy jechało się za nim z dzieckiem, na wizytę u dentysty albo trening baseballu, i podlewał swój idealnie wyplewiony trawnik przy West Oak Street z chytrą miną i podstępym spojrzeniem kogoś, kto śni na jawie. Lovecraftów nie było na koncercie, rozpuścili się w czasie, jakby nigdy nie istnieli, jak szczypta pyłku kwiatowego porwana przez wiatr – nie mieli dzieci – i do Alexandry równie dobrze to się też mogło odnosić, bo ani jedna osoba z tego trąkoczącego towarzystwa nie podeszła ani do niej, ani też do Sukie czy Jane, jakby wokół nich był wyrysowany krąg tabu. Tuliły się do siebie z papierowymi kubkami wypełnionymi sacharynowym, malinowym ponczem, prowadząc rozmowę wyłącznie we własnym gronie.

– No i co! – powiedziała Jane. – Jakie są wasze wrażenia?

– Na temat Grety? – spytała Alexandra. – Starła się. Nie była wcale taka złowieszcza, jak ją zapamiętałam.

– To nie zapamiętałaś jej jak należy – odparła Jane. – Była gorsza. Ray jakimś sposobem wziął ją pod swój but. Jej żołnierz w lśniącej zbroi, który wywiózł ją z Europy dotkniętej hitlerowskim koszmarem do Ziemi Złota. Ale teraz już nic nie jest w stanie jej zastraszyć. Ta kobieta sieje śmierć.

– Moim zdaniem dobrze zniosła policzek, który jej wymierzyłaś, mówiąc o młodych i starcach mieszkających się z sobą w zespole kameralnym.

– Nie użyłam słowa „starcy” – odparowała Jane – mimo że wiolonczelistka w largo kilka razy nie miała pojęcia, gdzie jest. Wypadła o cały takt.

– A ja czułam – wtrąciła się Sukie – że Greta coś ukrywa. Jane ma rację. Jest bardziej pewna siebie. Nie wyszła za mąż po raz drugi. Podczas gdy my pograżyłyśmy się w byciu kurami domowymi, ona gromadziła siły.

– Co ty pleciesz, Sukie! – wykrzyknęła Alexandra, poruszona do głębi, tak samo jak wtedy w łaźni Darryla, kiedy siedziały obok siebie nagie, i wstrząsnęła nią pogańska naturalność tej młodszej kobiety. Jej słodkie sutki były różowe i sterczały z kropelek pary kondensujących się na organicznym teflonie skóry. – Twierdzisz, że małżeństwo odbiera kobiecie siły?

– Małżeństwo wypacza – odparowała Sukie. Jej wydęta górna warga zacisnęła się na dolnej, tak jak szeroka stopa ślimaka nasuwa się na liść; dawała w ten sposób do zrozumienia, że dla niej ten temat jest niesmaczny i że nie ma nic więcej do powiedzenia w związku z nim.

Był to także sygnał, że powinny już stąd iść, ale kiedy trzy sfrustrowane *personae non grata* ruszyły w stronę podwójnych drzwi wyjściowych, ktoś z tłumu jednak do nich podszedł, pospiesznie, uśmiechając się krzywo, jakby chciał zdezawuować ten swój pośpiech, spowodowany uprzednim zaniedbaniem obowiązków towarzyskich. Ta osoba – kobieta – przemówiła z frenetyczną swobodą wyćwiczonego mówcy.

– Widzę, że już idziecie – zagaiła – ale mimo to chciałam się przedstawić. Jestem Debbie Larcom, pastor wspólnoty unitariańskiej, powinnam chyba dodać. Z przyjemnością witamy nowe twarze na naszych koncertach, które z założenia miały przyciągać letników, a tymczasem pojawiają się na nich prawie wyłącznie miejscowi, stali bywalcy. Zupełnie jak w kościele. – Była zgrabną, niewysoką brunetką o przyjemnie regularnych rysach. Na nosie miała zaróżowiony fragment, w miejscu, gdzie zeszła jej skóra spalona przez słońce. Nie było w niej nic z osoby duchownej, wyjąwszy formalną prostotę szarej sukni z długimi rękawami, sięgającej łokci, mimo że był to sam środek lata. Niemniej ten zawstydzony uśmiech zasługiwał na miano ujmującego, podobnie jak nieodgadniony wyraz inteligentnych, szarzielonych oczu.

Sukie, jakby ją zniecka opętał diabeł, rozsunęła przed sobą wizję, w której ta pełna wdzięku kobieta nie miała na sobie nic, tylko wystawiała na pokaz jędrne, foremne ciało, białe jak sama cnota. Nie wyzbyła się tej wizji, nawet gdy ścisnęła chłodną, wąską, kościstą dłoń tamtej, przedstawivszy jej się z imienia i nazwiska.

– Możliwe, że będziemy przychodziły regularnie – oznajmiła Alexandra. – Przyjechałyśmy tu na całe lato.

– Mieszkałyśmy w Eastwick wieki temu – dodała Sukie z lekką zadyszka w głosie. – Znałyśmy jedną z twoich poprzedniczek, Brendę Parsley. Była pierwszą kobietą pastorem unitarian.

– Byłyśmy z niej bardzo dumne – wycedziła Jane z bostońską ironią.

Prawda była taka, że trzy zbrodniarki bezlitośnie zaczarowały Brendę, sprawiając, że podczas kazań z jej ust wypadały piórka i szpilki.

Twarz młodej kobiety, profesjonalnie czujna i reaktywna, nie zdradziła niczym, że wie, o kogo chodzi.

– Słyszałam to nazwisko – przyznała – ale ona była tu dawno temu, w latach sześćdziesiątych albo na początku siedemdziesiątych.

– Co za precyzja – warknęła Jane.

Alexandra widziała, że Jane znalazła sobie właśnie kogoś, kogo nie będzie tu lubić. I z zazdrością wyczuła podniecenie Sukie, obciążające jej kruchy oddech.

– Było, minęło – dodała śpiewnie Deborah Larcom z ostrożną wesołością. – Mnie jeszcze wtedy nie było na świecie. – Potrójna dawka penetrujących kobiecych spojrzeń pchała ją w pułapkę samowząpienia; pierwotny impuls, żeby powitać trzy rozmówczynie, tracił już impet. – Cóż, tylko chciałam się przywitać. Nie trzeba dodawać, że z radością zobaczymy was w siedzibie wspólnoty w którąś niedzielę. – Nastąpiła ta niezręczna chwila, jak zawsze przy spotkaniach z osobą duchowną, kiedy taka osoba wygłosiła już swoje i teraz, z braku jakichś oczywistych dowodów, czeka na wskazówkę odnośnie do statusu Boga w świadomości drugiej strony. – To nie są tylko nabożeństwa – ciągnęła mężnie wobec ich milczenia – organizujemy także wtorkowe kolacje, podczas których z przyjemnością gościmy nie tylko małżeństwa, ale i osoby samotne. Planujemy też wiec antyracki pod koniec lata.

Zanim ich obojętne milczenie zaczęło się przedłużać, odezwała się Alexandra.

– Szczerze mówiąc, jeszcze nie wiemy dokładnie, co chcemy tu robić.

– Naprawdę przyjdźcie, jeśli będziecie mogły – powiedziała ze swym melodyjnym akcentem Debbie Larcom, żegnając się z wyraźną ulgą, bo już wypełniła swój obowiązek. Środkowymi palcami kształtnych, prędkich dłoni zatknęła sobie za uszami – lekko

sklepienymi jak u Sukie – kosmyki długich, lśniących ciemnobrązowych włosów, po czym z jeszcze jednym ujmującym, ironicznie nieprzeniknionym uśmiechem wycofała się, zostawiając za sobą niemal perfumowany powiew kontrastu między cnotliwą i elastyczną młodą kobietą a trzema starszymi paniami, które skruszały i wyschły w swoim zepsuciu. Jej pojawienie się przed nimi stanowiło karę; kiedyś, właśnie w tym mieście, były takie jak ona.

Ponad gęstwą mroku spowijającego uśpione miasto nad niewielkim, zniszczonym biurkiem z podnoszonym blatem, na drugim piętrze swego zaniedbanego domu, garbiła się krzepka kobieta. Jej cień tańczył na ścianie za jej plecami i na zapadającym się suficie. *One tu są,* napisała, ryjąc w pożółkłym papierze w linie swoim piórem wiecznym. *Wszystkie trzy, bezczelne jak nie wiadomo co.* Słyszała kiedyś tę frazę z ust tych mieszkanek Nowej Anglii, ale tu się zawahała. Nie powinno to być przypadkiem *jak nie wiedzieć co?* W swojej furii zignorowała takie subtelności i pisała dalej, kanciastym, prostym, europejskim pismem: *Wynajęły kwaterę w Nadmorskich Apartamentach u Lenoksów, do których Tobie powinno łatwo być wejść, bo dobrze je znasz. Bez cienia wstydu przyszły na koncert zagrany przez orkiestrę, którą założył mój ukochany mąż. Ta tłusta i sympatyczna, ta ciemna i niesympatyczna, ta seksowna i ładna, nerwowa od tego, że taka jest. Wszystkie stare, bezwstydne i bezużyteczne, robactwo, które nic, tylko zdeptać. Zabić. Zabić je tak, jak one kiedyś twoje niewinną siostrę zabiły.* Sama widziała, że prawdopodobnie narusza zasady gramatyki angielskiej, ale opętana brnęła dalej ze swym metodycznym, prostym pisaniem: *Radzę, żeby ta ciemna była pierwsza – w jej aurze jest już coś niezdrowego, zgnilego. Sam będziesz najlepiej wiedział.* Wyobraziła go sobie, promiennego, wiecznie młodego, z jasnymi, kręconymi włosami jak na jakimś katolickim obrazku ze swej młodości. Dodała, bardziej teraz niepewną ręką, z drzeniem udzielającym się od emocji: *Przyjedź, zatrzymaj się u mnie. Dom jest duży, poważny wydatek z żalosalnej szkolnej emerytury Raymonda. Dzieci na zawsze wyjechały. Przyjedź, bądź moją siłą. Złu nie wolno bez kary odejść. To jest – jak brzmi ta fraza? – Twoja szansa nie do powtórzenia.*

Majątek Nata Tinkera był uwikłany w płataninę funduszy powierniczych i kodycyłów do jego testamentu, a także długoterminowych obligacji, których przez wiele lat nie można było spieniężyć. Jego matce, która wciąż mieszkała na piętrze ogromnego domu w Brookline, wiek bynajmniej nie przeszkadzał w rzucaniu kłód pod nogi w momentach, kiedy człowiek najmniej się tego spodziewał. W tymże samym domu, we własnych pokojach Jane

dysponowała faksem i e-mailem, ale tutaj, w tych skromnych warunkach – jak podczas letniego obozu, ale bez lekcji kajakowania i opowieści o duchach przy ognisku – musiała korzystać z tradycyjnej poczty, by móc korespondować z prawnikami i bankami. Nadawanie przesyłek ekspresowych i poleconych wymagało odwiedzin na poczcie, a parkowanie przy Dock Street latem stało się obecnie znacznie większą dolegliwością, niż było kiedyś; jak już człowiek znalazł wolne miejsce, to było ono oddalone o wiele przecznic, co z kolei wiązało się z długim spacerem na tym koszmarnym słońcu. Nie rozumiała tego, dawniej uwielbiała chodzić na plażę, jej ciemna karnacja pokrywała się opalenizną już pierwszego dnia i nie trzeba było smarować jej potem żadnymi balsamami, chyba że po całym dniu żeglowania, teraz jednak słońce atakowało ją jakby z radioaktywną siłą, przez co czuła się zatruta – bliska mdłości i omdlenia. Nauczyła się nosić słomkowe kapelusze z szerokim rondem, ale w splocie były maleńkie dziurki i miała wrażenie, że w twarz tłucze ją fotonowy śrut. Z kolei jej nadgarstki, kolana wystające z szortów, łokcie, kiedy nosiła krótki rękaw, były nieodmiennie wystawione na podstępny grad z oślepiająco pustego, niebieskiego nieba. I na dodatek osaczały ją nawet tutaj, w sercu miasta tak zakompleksionego i staroświeckiego jak Eastwick, rozmaite osłabiające emanacje: tlenek węgla z rur wydechowych samochodów, radon z granitu zalanego asfaltem, elektrony wyciekające z posklejanych taśmą neonowych rurek reklamujących piwo z Milwaukee w sklepie monopolowym „Szczęśliwe chwile” i stanową loterię w „Nad Zatoką”, promienie gamma z niewielkiej kamery, która ją sfilmowała, gdy korzystała z bankomatu przy oddziale Old Stone Bank, mgiełka wysokiego napięcia spadająca z obwisłych kabli i kondensatorów na słupach. Przed budynkiem poczty, w odległości trzech kroków od skrzynek na listy, na pewnym szczególnie złowieszczym słupie, nabitym metalowymi szczebelkami, po których mogli się wspinać robotnicy naprawiający usterki, i nasiąkniętym spłowiałym kreozotem, wisiał kanciasty, szary transformator, który potrafił ogłuszyć swoim buczeniem kogoś, kto tam stał i go słuchał. Pewnego lipcowego popołudnia Jane stała tam właśnie i słuchała tego buczenia, zastanawiając się, czy przypadkiem zaraz nie padnie zemdlona na samym środku roziskrzonego chodnika, gdy nagle coś przeskoczyło przez jakąś szczelinę i z całej siły dźgnęło ją w bok – taki cios w boksie nazywają „waleniem po nerach”.

– To mnie prawie pozbawiło oddechu – skarżyła się potem Alexandrze, kiedy już wróciła do wynajętego mieszkania. – Jeszcze mnie mrowi w tym miejscu.

– Może powinnyśmy złożyć skargę w radzie miasta albo w firmie energetycznej – stwierdziła leniwym tonem Alexandra. – Mnie to wygląda na spięcie. – Wylegiwała się na swym królewskim łożu, unieruchomiona w mieszkaniu, bo Jane i Sukie wybyły do miasta,

zabierając samochody.

Sukie pojechała swoim bmw do Exeter i muzeum hrabstwa South; robiła kwerendę do swojego kolejnego romansu, w którym bohaterami mieli być przepiękna panna z plantacji i czarny niewolnik. Rhode Island na początku swojej historii przyjął nazwę Plantacje Opatrzności i kultywował gospodarkę w południowym stylu, stąd spora populacja niewolników, która istniała tam prawie do końca osiemnastego wieku; do teraz na terenie stanu przetrwało wiele ruin budynków gospodarczych – wałących się, kamiennych murów grubszych od bel siana – z tamtej nieoświeconej, idyllicznej epoki.

– Drewno nie jest przewodnikiem – zachnęła się Jane. – Dlatego właśnie robią słupy z drewna.

– Zaparz herbatę – zaproponowała Alexandra. A potem, przewyciężając poczucie upokorzenia z powodu swojej zależności, poprosiła: – Czy mogłabym pożyczyć twój samochód na godzinę? Naprawdę muszę pojechać do Marcy i jej chłopców. To okropne; minęły dwa tygodnie, odkąd tu przyjechałyśmy, a jakoś nie udało mi się jej odwiedzić, mimo że to przecież ona pomogła znaleźć nam lokum. Rozmawiamy o tym przez telefon, ale po chwili jedna z nas, być może ja, coś dziwnie zmienia temat. Po prostu jeszcze nie wykrzesalam w sobie tej energii, by znowu być matką.

– Energia – powtórzyła Jane. – Już nie pamiętam, jak to było, kiedy człowiek miał w sobie jakąś energię. Mdli mnie na samą myśl o otwarciu kuchenki mikrofalowej.

Kuchnia była wyposażona w kuchenkę elektryczną, ale wdowy, które już skończyły z cateringiem dla swoich mężów, czuły odrazę do skomplikowanych posiłków i używały mikrofalówki do odgrzewania resztek, rozmrażania lodów i gotowania wody. Wbrew swoim zapewnieniom Jane podeszła do mikrofalówki z kubkiem wody z kranu i otworzyła drzwiczki, drzwiczki z przyciemnianego, grubego szkła, przez które można się było przyglądać, jak jedzenie przechodzi transformację – paruje, topnieje, pryska. Niewykluczone, że tylko to sobie wyobraziła, ale w tym momencie poczuła jakby powiew złowieszczonego smrodu i chłodu – jakby otworzyła lodówkę i prędko ją zamknęła, żeby nie czuć woni zepsutego jedzenia. Miała zresztą jeszcze inne, niemiłe wrażenie, a mianowicie takie, że to ona jest zamkniętym pojemnikiem i że to w jej wnętrzu coś się psuje. Z jej wnętrznościami było coś nie tak praktycznie cały czas od śmierci Nata. Przedtem całą jej uwagę zmonopolizowało jego wiecznie się skarżące, niewdzięczne, chłopięce ego. Tyle pożytku z zaprzędanych egoistów, stwierdziła: zmuszają całe otoczenie, żeby zapomniało o sobie.

Alexandra wprost uwielbiała mknąć starym jaguarem Nata po zdjęciu z niego dachu. Czula swoją obecność w spojrzeniach ludzi, którzy przyglądali się jej, kiedy tak pruła, śmigała przez miasto: ulotne zjawisko w chustce ciasno oplatającej głowę i szyję, od którego było kobiecością. Nad jej głową sunęły konary drzew, kable elektryczne i dachy, a na przedniej szybie rozpryskiwało się słońce. Marcy mieszkała daleko od centrum miasta, przy zaniedbanym odcinku Cocumscussoc Way, która ciągnęła się w stronę ziemi niczyjej pełnej opustoszałych ośrodków kempingowych, porzuconych straganów warzywnych, zbankrutowanych szkółek jazdy konnej i zamkniętych na głucho restauracji, które padły z powodu swych wygórowanych ambicji. Na skrzynce pocztowej, tej nowego typu, plastikowej i przysadzistej, stanowiącej jedność ze wspornikiem i dlatego niepodatnej na działanie wędrownych wandalii, widniał napis z białych, naklejanych liter: LITTLEFELD. Błąd ortograficzny w nazwisku, „Littlefeld” zamiast „Littlefield”, zirytował Alexandre. Howard, który był elektrykiem, pierwotnie prowadził swój warsztat w domu, w piwnicy tuż obok garażu na jeden samochód, z oddzielnym wejściem i skromnym szyldem. Niemniej sukces odniesiony dzięki powszechnej inercji – w Eastwick nastąpiły takie czasy, że nikomu już nie chciało się brudzić sobie rąk rzemiosłem, a jednocześnie awans miasta zwiększył zapotrzebowanie na usługi – sprawił, że stać go było teraz na biuro w górnej części Dock Street, serwis zgłoszeniowy i młodą asystentkę z jednego z krajów południowoamerykańskich, gdzie biednym ciągle jeszcze chciało się pracować. Alexandra nie dostrzegła zbyt wielu śladów zamożności na ich zaniedbanym podwórku, usianym walającymi się zabawkami i z naziemnym basenem w kształcie bębna, ani też w obłazącej z tynku fasadzie wielopoziomowego domu, pamiętce po epoce Levittown¹¹ podobnej do wraku statku wyrzuconego na brzeg morza.

Marcy podeszła do frontowych drzwi, ospale reagując na trzytonowy dzwonek. Wyglądała na swój wiek, który zresztą zbiegał się z wiekiem domu. Jej policzek, kiedy Alexandra go pocałowała, wydawał się lepki.

– Kochanie, nie należy pisać własnego nazwiska z błędem ortograficznym – powiedziała Alexandra.

Marcy nie pojęła od razu, o co chodzi; jej rozum zgrubiał razem z łydkami.

– A tak. Skrzynka pocztowa. To Howard robił ten napis, z gotowych liter do

¹¹ Osiedle mieszkaniowe założone na Long Island w latach 1947-1951 przez Williama Levitta, uważanego za ojca nowoczesnych suburbiów amerykańskich. Obecnie nazwa ta stała się terminem o wydźwięku pejoratywnym, kojarzonym z obszarami podmiejskimi pełnymi jednolicie wyglądających domów, a pozbawionych witalności, odrębnej kultury i więzi społecznych.

naklejania; kiedy zauważyłam, że się pomylił, było już za późno. Czy to ważne?

– Nie wiem, dlaczego to mnie aż tak irytuje. Podobnie jak ci ludzie, którzy mówią, że czekają za czymś zamiast na coś, albo używają pojęcia egzystencjonalizm zamiast egzystencjalizm.

– Język się zmienia, mamó. To rozrastający się, żywy organizm.

– Moim zdaniem rozrasta się w niewłaściwych kierunkach. Na użytek coraz większych durniów. – Jedyne jej dzieci, zwłaszcza to najstarsze, sprawiały, że robiła się z niej taka jędrza. – Co u chłopców? – spytała, żeby zmienić temat, zanim sobie uświadomiła, że to o „coraz większych durniach” mogło zostać zrozumiane, całkiem zresztą podstawnie, jako przejście do kolejnego wątku. – Czy mały Howard wciąż lubi swoją grę komputerową?

– Twierdzi, że krew wygląda sztucznie i że za mało jest zarzynania jakichś osobników, którzy nazywają się „ho”. Wiem, to godne ubolewania, ale oni wszyscy przechodzą przez tę fazę. Nawiasem mówiąc, nie cierpi, jak go nazywać „małym Howardem”.

– Dla mnie „Howard Junior” brzmi jeszcze gorzej. Twój ojciec i ja kłóciliśmy się dosłownie o wszystko, jak zresztą sama wiesz, a jednak zgodziliśmy się co do tej jednej rzeczy: żaden nasz potomek płci męskiej nie zostanie obarczony „juniosem”, bo to byłoby tak, jakbyśmy mu z góry ustanawiali tożsamość. – Słyszac jeszcze echo tych słów we własnych uszach, dodała: – Wybacz mi, moje dziecko. Nie mam pojęcia, co we mnie wstępuje, że wygaduję takie rzeczy.

– Poczucie winy – odpowiedziała jej skwapliwie Marcy. – Czujesz się winna wobec mnie za to, że musiałam zastępować matkę trójce swojego rodzeństwa, kiedy ty się nas wyrzekłaś emocjonalnie.

Jej twarz, bez śladów makijażu, pokrywała agresywna, woskowa bladość; włosy ani trochę nie wyglądały na umyte, a co dopiero ufarbowane, i dlaczego nic jeszcze nie zrobiła z tą brodawką na nosie? Czy w Rhode Island nie było chirurgów plastycznych? W Nowym Meksyku roilo się od nich.

– W tamtych czasach wiecznie się modliłam – nie przestawało tymczasem ujawniać swych pretensji jej najstarsze dziecko – żebyś została w domu, żebyś nie jechała do meliny tego okropnego człowieka. Potrafiłam nie spać do pierwszej albo drugiej, dopóki nie usłyszałam, że wróciłaś, że wtaczasz się chwiejnie. Tamten dom przy Orchard wydawał się taki bezbronny, zdany na samego siebie. Tuż za oknami pohukiwały sowy. I stale słyszałam skrzypienie, jakby ktoś po nim chodził.

– Ano tak... – odparła Alexandra z pałającą twarzą, omiatając wzrokiem bogato, acz prostacko urządzonego salon, z białym, włochatym dywanem i ogromnym, płaskim, czarnym

telewizorem vis a vis dwóch brzuchatych foteli obitych rudą imitacją skóry, wykoślawionych, wymiętoszonych i poplamionych pod wpływem ekstensywnego używania przez dwóch nastolatków płci męskiej. – Ten dom, ośmielę się stwierdzić, nie kryje tak złowieszczych tajemnic. Moje gratulacje.

– I po tym wszystkim – ciągnęła swoje Marcy, nie robiąc nic, by ukryć, że drżą jej wargi, że ma załzawione oczy – traktujesz mnie z góry i mówisz mi takie niemiłe rzeczy, bo boisz się, że mogłabym cię krytykować, i w ten sposób się bronisz. I czy to nie jest ustanawianie czegoś z góry?

– Bogu dzięki, że się tak wyrażę, za córki, które prześcigają się w amatorskiej psychoanalizie. Linda cedzi mi przez telefon, że jestem sztywną Jankeską. Gdyby Północ też przegrała wojnę, tak jak my, twierdzi, to wtedy cały ten kraj w ogóle nic by nie osiągnął, boby mu na tym w ogóle nie zależało. Rzucalibyśmy piach w szprychy. Bóg wie kto ją karmi takimi powiedzonkami, mam nadzieję, że nie jej mąż. Ale za te sowy przepraszam. Uczyłam się, jak zostać czarownicą, i tylko one oferowały nocne kursy.

– Ty sobie żartujesz, mammo, ale ja naprawdę interesuję się psychologią i zastanawiałam się, czy nie zająć się zawodowo psychoterapią, kiedy chłopcy trochę podrosną. Problem polega na tym, że Howie i ja...

– Czy ty musisz nazywać go „Howie”?

– ...postanowiliśmy twardo, że przeniesiemy się do Venice, kiedy chłopcy pójdą na studia, albo może już nawet wtedy, gdy Howie Junior pójdzie do szkoły z internatem, jeśli pójdzie...

– Zakładam, że mówisz o Venice¹² na Florydzie. W przypadku tej drugiej musielibyście nauczyć się włoskiego.

– ...przez co nie miałyby sensu zdobywanie licencji Rhode Island, skoro miałabym praktykę na Florydzie.

– Floryda to taki ponury stan. Same aligatory i starcy. Jest specjalnie taka płaska, żeby ludzie z balkonikami na kółkach mogli się swobodnie przemieszczać.

– Howie uwielbia łowić ryby. – Widząc, że matka nie zamierza się wtrącać do tych deklaracji wiernej żony, Marcy wygładziła przód swoich szortów, w których prawdopodobnie chwilę wcześniej pracowała w ogródku na tyłach, gdzie Littlefieldowie hodowali same łatwe, powierzchniowe warzywa. Jej nagie kolana były brudne, przez co tym bardziej wzruszająco przypominała małe dziecko, tłuste, zawzięte, a jednak urocze. – Mammo, nie zaproponowałam

¹² Po polsku Wenecja.

ci niczego. Może kawy? Albo herbaty? Nie wiem, jaką dietę stosujesz teraz.

– O tak, masz rację z tą dietą, powinnam koniecznie przejść na jakąś dietę, ale nie, dziękuję. Dochodzi czwarta, za późno na pierwsze, za wcześnie na drugie. Z nas trzech tutaj ja jestem tą myszką kościelną, dlatego mogę przyjechać tylko wtedy, gdy tamte dwie nie potrzebują samochodu. Nie narzekam; znam swoje miejsce.

– Jesteś zadowolona, że wróciłaś?

– O dziwo tak, choć wszyscy ludzie, których znałyśmy w tamtych czasach, a którzy jeszcze żyją, najwyraźniej chowają urazy. Jestem zdumiona, że wszystko tu takie zielone i mokre, inaczej niż w Nowym Meksyku. Powrót tutaj przypomina mi o tym, jak się czułam, kiedy zaraz po śmierci matki ojciec posłał mnie na Wschód, do College u dla Dziewcząt Stanu Connecticut, gdzie wszystko było takie bujne i stare. Nie będę tu siedziała wiecznie, kochana, nie będę ci przeszkadzała. Posiedzę jeszcze z pięć minut, pogadamy sobie. Gdzie są chłopcy?

– Mówiłam ci, mamo, kiedy rozmawialiśmy przez telefon. Chłopcy są na trzytygodniowym obozie. W Maine.

– Rany boskie; ty i Howard naprawdę szastacie pieniędzmi! Chłopcom się tam podoba?

– Roger ubóstwia to miejsce. Był tam w zeszłym roku, a w przyszłym będzie się kwalifikował do kajakarstwa górskiego i wspinaczki po skałach. Może zginąć! Howie Junior jest jeszcze trochę nieśmiały, potrzebuje tam swojego starszego braciszka.

– Nic mu nie będzie. Eric był taki sam w porównaniu z Benem, a teraz to on jest miłośnikiem przygód. Kompleks młodszego brata... młodsi bracia często wyrastają na twardych jak skała. Czy wiesz, że kaktus saguaro potrzebuje tak zwanego drzewa opiekuńczego, zazwyczaj jest to parkinsonia, dzięki czemu maleństwo, maleńka poduszczyca do igieł, której z początku prawie nie widać, jest w stanie przeżyć i urosnąć w jego cieniu?

Marcy popatrzyła na nią rzewnie.

– Mamo, jak miło cię słuchać, kiedy coś opowiadasz w taki sposób! – wybuchła ze łzami w oczach.

– Czyli jak? Ja tak zawsze mówię.

– O naturze!

– Tylko mi tu nie rób łzawych scen, błagam. Mam konkretne pytanie, które chciałabym, żebyś zadała w moim imieniu Howardowi. Czy można doznać porażenia, kiedy się stanie obok słupa telefonicznego? Takiego uczucia, jakby coś cię kuksnęło w bok?

Marcy wyprostowała się na fotelu, jej oczy już schły. *Co za pokolenie*, pomyślała

Alexandra. W okresie dorastania byli świadkami naszego buntu przeciwko pobożnemu wychowaniu i zareagowali na to powrotem do dawnych sentymentów, rodziny, domu i innych podobnych źródeł tyranii.

– No raczej nie – powiedziała Marcy. – Nie wydaje mi się. Wszyscy wytaczaliby procesy władzom miejskim i firmom energetycznym, gdyby tak było.

– To się przydarzyło jednej z moich przyjaciółek, właśnie mi o tym powiedziała.

– Spytałem Howarda, ale sama w to wątpię. On rzeczywiście twierdzi, że elektryczność to zabawne diabelstwo; potrafi cię czasami zaskoczyć.

– Moja przyjaciółka nie jest specjalnie wiarygodna, ostatnimi czasy ciągle ma jakieś dziwne odczucia. Znasz ją, to Jane. To ona cię prosiła, żebyś się wywiedziała na temat wynajęcia czegoś na lato. Nazwałaś ją dzielną staruszką. Czasami się boję, że Jane aż za dobrze odrobiła swoje lekcje dla czarownic.

– Mamo, moim zdaniem to nie jest śmieszne. To, co mężczyźni robili kiedyś z tymi biednymi kobietami, było straszne. I robili to całym tysiącom.

– I kto tu żartuje? Do dziewczyn w twoim wieku nie dociera, jak niewielkimi możliwościami dysponowały kobiety w czasach mojej młodości. Naszym zadaniem było rodzić dzieci i kupować amerykańskie towary. A jak nie załapałyśmy się na małżeństwo, to nie pozostawało nam wiele więcej, jak tylko latać na miotle i rzucać czary. Nie rób takiej zszokowanej miny, w tym była siła. Każdy potrzebuje władzy, bo w przeciwnym razie świat cię pożre.

– A co z dziećmi? Czy większości kobiet nie to dodaje sił, że je rodzą i kochają?

– „W bólu będziesz rodziła dzieci” – wyrecytowała gładko Alexandra, bo ten cytat niedawno odświeżyła w pamięci. – „Ku twemu mężowi będziesz kierowała swe pragnienie, on zaś będzie panował nad tobą”. Czy to nie jest odrażające?

– Dla mnie wcale nie aż tak bardzo – wyznała Marcy. – Jest w tym jakaś prawda.

Postawiła swe stopy w brudnych tenisówkach do pracy w ogrodzie na już brudnym białym dywanie (dlaczego te dzieci kupują sobie białe dywany, a potem o nie nie dbają?) i wstała na swych grubych nogach. Dlaczego te dzieci przynoszą tyle rozczarowań? Biorą od nas geny i potem je niszczą.

– Chciałabyś mi pomóc w pieleniu chwastów? – spytała patetycznie Marcy.

– Wyglądam na ubraną w sam raz do pielenia? Aż tak źle? Kochanie, to urocze zaproszenie, ale w moim wieku tak już jest, że jak się pochylisz, to nie masz gwarancji, że się jeszcze wyprostujesz.

Dziecko zamachało bezradnie swymi ciężkimi, poczerwieniałymi dłońmi; wyraźnie

zrozumiało, że jego propozycja to kolejny niewypał.

– Dawniej uwielbiałam, jak szłaś do naszego ogrodu przy Orchard Road, z sadzonkami cynii i pomidorów. Wtedy bardziej czułam, że jesteś moją matką.

– Bardziej niż przy innych okazjach? Może to dziwne, moje dziecko, ale część twoich obowiązków jako rodzica polega na zapominaniu, że nim jesteś. Nie przydajesz się na wiele swoim dzieciom, jeśli jesteś tylko ciamajdą w fartuchu niedającą im przestrzeni, w której mogłyby rosnać. Wspomniałaś naturę. To zabawne diabelstwo, jak mówi Howard o elektryczności. Kiedyś mi się wydawało, że ją kocham, ale teraz, kiedy przeżuwa mnie na śmierć, zrozumiałam, że jej nienawidzę i że się jej boję. W Kanadzie miałam ciężkie przejścia, bo tam jest tyle tej natury, aż za dużo, i dopiero pod koniec wycieczki udało mi się spojrzeć na nią z wysoka w ramach czegoś, co nazwałabym doświadczeniem religijnym. Ale z kolei z takimi doświadczeniami jest problem tego typu, że to coś, ta inna strona czy jakkolwiek to nazwiesz, to miejsce, do którego docierasz, nie jest zbyt wyraźne – ono po prostu jest tylko przez krótką chwilę. A potem już go nie ma. Znika.

Mówiąc to wszystko, powoli wyswobadzała swe wyniszczone ciało z objęć zatłuszczonego fotela, fotela, od którego biło słabą, kwaskowatą wonią młodej męskości; na koniec wyprostowała się, żeby stawić czoło córce. Alexandra była o dwa cale wyższa, trzydzieści funtów cięższa i dwadzieścia trzy lata starsza.

– Jak to przeżuwa? – spytała Marcy z przestraszoną miną.

Pytała o śmierć własnej matki, śmierć, z którą za nic nie potrafiła się zmierzyć, do takiego stopnia, że nie umiała mówić o niej wprost. Alexandra potraktowała uśmiechem smutny fakt, że jednak dla kogoś jest ważna, mimo że nie podejmuje w tę stronę żadnych starań, tylko po prostu istnieje – jako swoista tarcza, bariera ochronna oddzielająca jej dziecko od grobu.

– Och – odparła ze szczerym zawstydzeniem – typowe dolegliwości, poczucie narastającego rozpadu. I jeszcze ten problem z nietrzymaniem moczu, o którym tyle mówią w telewizji; podejrzewam, że przed nastaniem telewizji i toalet w domach ludzie po prostu popuszczali. Natura naprawdę wymaga zbyt wiele od kobiecych wnętrzości. Ale z kolei odkąd przeniosłam się do Nowego Meksyku, moja skóra nie jest już taka wyschnięta i mniej mnie swędzi. Oczywiście panicznie boję się raka, ale lekarze twierdzą, że wszystko tkwi w mojej głowie. No to się postarajcie, żeby tam zostało, tak im mówię. Jak na siedemdziesiąt cztery lata mam się całkiem dobrze. Nie martw się, córeczko. Babcia Sorensen dożyła do osiemdziesięciu ośmiu lat. Kiedy ją widziałam ostatni raz, chodziła po dachu; wypełzła przez okno mansardy, żeby przybić odstającą blachę do komina.

– Matka Howiego już umarła – powiedziała Marcy swym irytująco przybitym tonem – dlatego jesteś teraz jedyną babcią chłopców. Jesteś dla nich bardzo ważna. Koniecznie przyjedź zobaczyć się z nimi w sierpniu, kiedy wrócą z obozu. Oni chcą cię kochać.

– Moje dziecko... – westchnęła Alexandra, mimo wszystko zadowolona. – Nie bardzo wiem, czy w moim wieku jestem w stanie wytrzymać aż tyle miłości. Nie przywykłam.

– Ja...

– Nie mów tego. Ja ciebie też.

– Zaproszę cię na kolację, kiedy chłopcy wrócą. Może przyprowadzisz przyjaciółki?

– Byłyby zachwycone. Eastwick nie okazało się aż tak gościnne, jak się tego spodziewały. Odrobina rodzinnych rozrywek być może uchroni nas przed robieniem bezceństw.

Sukie wypatrzyła Tommy’ego Gortona, w szarej bluzie, na przeciwległym krańcu Dock Street, on natomiast wypatrzył ją minutę wcześniej; nie było dnia, żeby każde z nich nie liczyło, że to drugie się gdzieś pojawi. Do tamtego pierwszego, czysto przypadkowego spotkania doszło pod niebem czystym jak na pocztówkach, tego dnia jednak, w samym środku poranka, z północnego zachodu nadciągnęła groźna masa ułożonych ukośnie chmur i musieli poszukać schronienia, kiedy na chodniku pojawiły się cętki pierwszych kropel deszczu. Bar „Nemo” wydawał się bezpiecznym miejscem; Dunkin Donuts jeszcze go jednak nie kupiło. Ten lokal z trzydziestoletnią tradycją – długie, aluminiowe pudło z zaokrąglonymi narożnikami i szerokim, czerwonym pasem biegnącym dookoła wzdłuż boków – dawniej zwykły relikwiarz modernizmu lat pięćdziesiątych, stał się teraz świadomie staroświecką osobliwością, prezentem z dawnych czasów dla starej gwardii, podczas gdy miejscowych nowobogackich przyciągały modniejsze miejsca jak cukiernia „Słodki Zakątek” i restauracja rybna „Pod Przyjaznym Okoniem”, ulokowana w odbudowanym doku. W „Nemo” wciąż mieli bar i drewniane przegrody, a także małe szafy grające waniliowej barwy, które za ćwierć dolara odgrywały stare szlagiery w wykonaniu Frankiego Laina, Pattie Page, Fatsa Domino, the Chantelles i Beatlesów (późne przeboje). Goście rzadko kiedy wydawali ćwierć dolara; w przegrodach na tyłach mościli się zazwyczaj starszaki, którzy cenili sobie ciszę – w triach i kwartetach popijali stygnącą kawę z filiżanek i rozgrzewali dawne polityczne urazy do stanu głośnego oburzenia. Sukie i Tom, zerknąwszy raz w stronę wypełnionych przegród na tyłach, jednomyślnie poześlowali w stronę małych, owalnych stolików na przedzie sali, blisko panoramicznego okna z widokiem na Dock Street. Krople deszczu rozpryskiwały się na wielkiej szybie i gromadziły w postaci strumyczków, które chybotwały się

chwile, po czym ściekały w dół. To właśnie do jednego z tych stolików, przypomniała sobie Sukie, przyproceedziła Jennifer Gabriel pewnego mroźnego, zimowego dnia niedługo po tym, jak ojciec dziewczyny popełnił samobójstwo, w pijackim szale zamordowawszy najpierw jej matkę. Sukie zapamiętała, że sierota miała na sobie brudną parkę załataną kwadratami z ortalionu i długi, czerwony szal luźno wydziergany z wełny. Za barem musiała wtedy stać Rebecca, flejtuchowata emigrantka z Antigui, która miała wykoślawiony kręgosłup, ale ta czarnoskóra kobieta dawno temu zniknęła z miasta.

Sukie omiotła wzrokiem blat stolika, z politurą startą od wielu lat stawiania na nim nakryć, po czym spojrziała kolejny raz na okaleczoną dłoń Tommy'ego, ale on zdążył ją ukryć między kolanami, a zdrową ręką przywołał kelnerkę: zamiast paskudnej Rebecki teraz na wezwanie stawiała się dziewczyna o krągłej twarzy, z szerokimi, srebrnymi pierścionkami na obu kciukach. Sukie pamiętała ją skądś. Skąd? Na koncercie rozdawała programy. Czy mogła to być wnuczka Neffa? Niepokojąca była ta myśl, że miasto zostało opanowane przez wnuki, podczas gdy jej własne pokolenie zatoneło w subprzestrzeni DNA.

– Dwie kawy – powiedziała Sukie do dziewczyny. – Może tak być, Tom?

Jak zawsze w jego przypadku tak wyszło, że to ona tu dowodziła. Obojętnie przytaknął, wpatrując się w swoje kolana.

– Aha, jeszcze coś – przypomniała sobie nagle Sukie. – Jedna porcja placków kukurydzianych. Zjemy na spółkę.

– Placki kukurydziane? – spytała dziewczyna, czerwieniąc się, jakby ktoś się z niej nabijał.

– Przecież wiesz – zaczęła wyjaśniać Sukie. – Musisz wiedzieć, to specjalność Rhode Island. No takie placki, kruche, maślane. Pycha.

Dziewczyna nadal czerwieniła się ze zdziwienia.

– Mamy bajgle i croissanty – wymieniła, nie gubiąc ani jednej spółgłoski – i sprawdzę, czy może jeszcze zostały jakieś pączki.

– Nie – zaprotestowała Sukie, przekonana, że ta dziewczyna o cienkiej skórze i grubych włosach musi się wywodzić od Neffa. – Nieważne. To nie to samo. Zachowam figurę. – To ostatnie zdanie dodała, bo chciała być miła, ale dziewczyna zaczerwieniła się jeszcze mocniej, wyobrażając sobie zapewne, że to aluzja do jej pulchnej, rozłożystej sylwetki.

– Nic nigdy nie jest takie samo – stwierdził Tom, dość ponurym tonem, kiedy dziewczyna sobie poszła.

Sukie poczuła, że próbuje jej powiedzieć coś nieprzyjemnego, dlatego sama przeszła

do defensywy.

– Wydaje ci się, że mówisz mi coś odkrywczego?

– No bo ty tu sobie wróciłaś wyraźnie przekonana, że wszystko będzie wciąż na ciebie czekało – zaryzykował.

– Wcale tak nie myślałam. A zresztą wiele rzeczy czekało. Temu miastu przydałby się remont.

Zgarbiony na kruchym krzeselku z giętego drewna wzruszył ramionami.

– Stopniowo je odnawiają, po kawałku. Wprowadzają się nowi ludzie. Młodzi, z własnym pomysłem. Na przykład „Miedziana Beczka”, no wiesz, przy drodze do Coddington Junction...

– Wiem, gdzie to jest. Ale nie jeździliśmy tam często. Wolałyśmy bardziej prywatne imprezy.

– ...to teraz lokal, który nazywają barem sportowym. Mają tam trzy wielkie ekrany, na których lecą różne dyscypliny sportowe, przez cały czas, kiedy mają otwarte, czy za dnia, czy wieczorem. Nie wiem, jak ktoś może wytrzymać ten hałas, ale młodzi na to lecą. Oni muszą mieć ten hałas. A tam, gdzie kiedyś była twoja gazeta, jak pewnie zauważyłaś, teraz jest centrum odnowy biologicznej. Maszyny do ćwiczeń i takie tam.

– Owszem, zaglądałam do okien i widziałam ludzi na bieżniach, którzy gapili się na mnie. Ze słuchawkami na uszach, jak pluton zombi. To było przerażające.

– Stare prasy i linotypy musiały stać na wzmocnionej posadzce, dlatego cała przeróbka okazała się łatwa – poinformował ją Tommy, garbiąc się, jakby jego informacja służyła za kiepski substytut tego, co chciał powiedzieć naprawdę. – Po prostu któreś nocy wnieśli cały sprzęt do środka. Ludzie chodzą tam częściej zimą niż latem. Powinnaś wtedy zobaczyć to miejsce. Przychodzą nawet starsze panie, ledwie zipią, ale wyciskają. Dzisiaj każdy chce żyć wiecznie.

Nawet starsze panie. Próbował ją odstraszyć – pokazać, gdzie jej miejsce? A niech mu tam. Niech sobie ma swoje drogie Eastwick, latem, zimą, jesienią i wiosną.

– Czy ludzie tęsknią za „Słowem”? – spytała. – Kiedyś schlebialiśmy sobie, że wprowadzie to tylko tygodnik, a jednak dzięki niemu ludzie mogą zobaczyć własne nazwiska w druku i to nadaje miastu bardziej wyrazisty charakter.

– No cóż... – odparł Tom, krzywiąc się, jakby słowa sprawiały mu ból. – Być może druk nie ma już takiego znaczenia dla ludzi jak kiedyś. Wielu znajduje to, czego chce się dowiedzieć, w Internecie. A zresztą nie potrzebują wiele. Sport, życie gwiazd. A jak ktoś chce reklamować samego siebie, to zakłada blog. Ja tam nie wiem, kto by chciał marnować czas na

czytanie takich bzdetów, ale pewnie komuś się chce. Jedna kobieta, mieszka w zasadzie od niedawna w mieście, próbowała wydawać lokalną gazetę za pomocą ksero, po tym jak „Słowo” zostało zlikwidowane przez to konsorcjum, które je wykupiło, ale ludzie nie przekonali się do niej na tyle, żeby płacić. A poza tym, no wiesz, wybacz, że piję do ciebie, ale to, co się stało w związku ze „Słowem”, kiedy ty tu jeszcze byłaś, trochę odstraszyło ludzi, nadało mu złą sławę.

Jak bardzo do siebie miała to wziąć?

– Fiu-fiu – odparła równie buńczucznie jak głupkowato.

Krąglolica kelnerka, z okrutnie przekłutą brwią, przyniosła ich kawy, nalane do wysokich, brązowych kubków a la Starbucks zamiast w staromodnych filiżankach z grubej porcelany, z uszkami i podstawkami, które Sukie zapamiętała z dawnego „Nemo”.

– Czy ta dziewczyna jest od Neffów? – spytała Tommy’ego, kiedy kelnerka się oddaliła.

Szorstko potrząsnął głową.

– Ona jest z Jessupów. Pamiętasz Mavis? Tę, co dawniej prowadziła „Zajadłego Lisa”?

– Zupełnie nie jest podobna do Mavis.

– Powiadają, że Hank zdążył ją splodzić, zanim wzięli rozwód. – Próbował napić się kawy, ale okazała się za gorąca. Odstawił ją z grymasem, ocierając papierową serwetką usta na poły zagubione w brodzie.

– Tommy – spytała – czy ty czujesz się przy mnie skrępowany?

– Ja? No skoro już o tym mówisz, trudno czuć się tak zupełnie nieskrępowanym, jak tak siedzę za tą szybą, podczas gdy moja żona pracuje w banku za następną przecznicą. Ludzie w Eastwick wciąż gadają, to się nie zmieniło.

– Ale ja jestem starszą panią. Przecież Jean nie może tu mieć nic przeciwko.

Niezdarnie poprawił swój ciężar wbity w kruche krzeselko z giętego drewna, z politurowanym oparciem.

– Ona wie o tobie i o mnie. Powiedziałem jej przed ślubem. Stwierdziłem, że powinienem jej się wygadać ze wszystkiego. Bo wiesz, nie byłaś moją jedyną.

– Jasne, że nie. Byłeś bardzo przystojnym chłopakiem. I wiedziałeś o tym, po części dzięki mnie. Jak sam zauważyłeś, ludzie gadają. Byłe kochanki gadają. Nie dlatego, że chcą zdradzać swoje poprzedniczki, po prostu chcą się oczyścić przed tą nową. To recykling. To wręcz, podejrzewam, odwrócona forma lojalności. Gadanie podtrzymuje przy życiu dawny romans.

Tommy dostrzegł wyzwanie: jakoś to wszystko podsumować. Zniżył głos, przez co oboje musieli się nachylić ku sobie nad małym, owalnym stolikiem.

– Ty mi w pewnym sensie wszystko przypominałaś. Nawet nie myślałem, że to dla mnie takie ważne. Ale Jean daje mi chleb. Bez niej byłbym na zasiłku.

Fakt, że ryzykował utratę chleba, był, stwierdziła Sukie, podniecający dla jego próżności – wrócił znów na morze, włókł sieci, które mogły się pozrywać pod swoim żywym ciężarem.

– Skoro tak mówisz – odparła miękko Sukie. – Musisz coś jeść. Jednak dzisiaj, kiedy tak cię zobaczyłam, poczułam, że oboje się wzajem szukaliśmy. Byłam tego pewna.

– Jasne – odparł nieco głośniejszym głosem, jakby zapraszał otaczających ich mieszkańców miasteczka, żeby to usłyszeli. – Czemu nie? Byłaś luksusem, półmiskiem z delikatesami, który mi podano bez żadnego powodu. Ja byłem durnym, miejscowym kmiotkiem, a ty, mój Boże, wyglądałaś obłądnie, kiedy tak paradowałaś po Dock Street w tych swoich ciuchach z kolorowego zamszu, z pomarańczowymi włosami i w kolorowym szaliku na szyi. Widywałem cię i myślałem sobie: *Za kilka godzin, za kilka dni będę ścigał tę spódniczkę, rozpiął haftki przy staniku i wsadzę jej aż do samych żeber.*

– Ciii.

Musiała dotknąć jego dłoni leżącej na blacie, żeby go uspokoić, tej okaleczonej dłoni, zniszczonej, którą bezmyślnie podniósł z kolan. Prędko ją schował. Do „Nemo” schodzili się właśnie amatorzy wczesnego lunchu; zerkali w ich stronę, dlatego przybliżyła twarz do jego twarzy, z rosnącym przejęciem, z opadającymi wilgotnymi włosami.

– To właśnie chciałam usłyszeć – wyszeptała. – Ile dla ciebie znaczyłam. Czy byłam tylko głupią dupą, starszą od ciebie kobietą, która nie miała ani rozumu, ani wstydu? Czy gardziłeś mną nawet wtedy, kiedy się pieprzyliśmy? Wiesz, że niektórzy mężczyźni gardzą, a jednak kobiety otwierają się przed nimi, bo są takie zdesperowane. Jak zdesperowana ci się wydawałam? Jak brzydka?

– Wcale – odparł natychmiast z czystooskim przekonaniem. Jego zniżony głos zachrypiał od przepelniającej go szczerości. – Byłaś piękna. I zdesperowana. Sprawiałaś wrażenie kogoś, kto szuka, i ja byłem tam, gdzie szukałaś tamtego lata. I nie tylko ja; słyszałem o tobie i Tobym Bergmanie. Ale to się nie liczyło.

– Tobie – powtórzyła Sukie, jakby w życiu nie słyszała tego imienia. – Był nikim w porównaniu z tobą, Tommy.

Jego kawa wystygła już dostatecznie, by nadawała się do picia; wypił ją gwałtownymi haustami, do dna.

– Nie musisz tego mówić. Posłuchaj. To tylko biologia. Oboje byliśmy u szczytu swoich możliwości biologicznych. Ty miałaś... ile?... trzydzieści trzy lata. W przypadku kobiet muszą upłynąć lata, zanim zainteresują się seksem. Faceci zaczynają się podniecać w wieku piętnastu lat. Teraz stale o tym słyszysz w wiadomościach telewizyjnych, o tych nauczycielkach po trzydziestce, które zakochują się w nastoletnich uczniach. Wszyscy są zszokowani – rodzice dzieciaka, rada szkoły, biuro szeryfa, cała społeczność. Oburzeni. Ale to jest biologia. Ty i ja byliśmy, jak to mówią, sobie przeznaczeni.

Kiedy Tom mówił jej to wszystko prędko, spazmatycznie, ze zbytnią pewnością siebie, Sukie nie mogła znieść, że pada ofiara generalizacji, że staje się przykładem ilustrującym bardzo powszechne zjawisko. Za to Tommy, od tego momentu, gdy odprężył się dostatecznie, by móc wygłosić ten wykład, uśmiechał się szeroko, ukazując szczyrby w zębach. Przyszło jej na myśl, że dotychczas uśmiechał się tak rzadko, bo próbował ukryć swoje problemy dentystyczne. Nie dbając o to, czy ją ktoś słyszy, bo teraz wiedziała, że kolejnego spotkania już nie będzie, powiedziała:

– Dla mnie, Tommy, z tym swoim ramieniem smakującym solą, byłeś jak stwór, który wyłonił się z mgły. Kobiety często widzą wszystko jak za mgłą, bo już tak muszą; w przeciwnym razie świat wywracałby im się do góry nogami. Bo nieraz przeżywają tragedię, z powodu rozstania, przez to, jak to się kończy, niezależnie od tego, czy zostajecie z sobą czy nie. Mówię o namiętności. I chciałam powiedzieć, że ty byłeś delikatny. Dziękuję ci za to. Mężczyźni nie muszą tacy być, zwłaszcza młodzi mężczyźni, dla których to tylko zwykłe spełnienie – ten wulgarny żart wcale nie ma być żartem. Kobiety tego pragną. Naprawdę tego pragną. Nie wykorzystales tego i nie byłeś sadystą, mimo że mogłeś. Pozwoliłabym ci. Byłeś słodziutki.

– Hej – odparł prędko Tommy, wyraźnie chcąc już wstać z miejsca i jak najszybciej ustanowić między nimi dystans. – Byłem tylko człowiekiem. Spokojny numerek to spokojny numerek. Ty też mi obciągałaś. W tamtych czasach to była niezła premia.

Oczy zaszyły jej łzami, jakby ktoś ją spoliczkował. Kiedy powiedział „też mi obciągałaś”, tym zdawkowym, nieczułym tonem, jego blade wargi wyzierające z gniazda włosów na twarzy wskoczyły w jej pole widzenia niczym zakreślony kółkiem fragment filmu dokumentalnego, którego celem jest przyciągnięcie uwagi widza do łatwego do przeoczenia szczegółu: ludzkie usta, wszechstronne i perwersyjne.

– Ty już idź – powiedziała, uśmiechając się grzecznościowo, na wypadek gdyby starszycy z przegród na tyłach zerkali w ich stronę. – Ja zostanę i zapłacę. Bądź miły dla Jean. Zresztą wiem, że będziesz.

Tommy omiół ją przestraszonym spojrzeniem ze swej odzyskanej wysokości, jakby to, co powiedziała, było pogrózką; wydęta półkula postarzałego brzucha rozsadała jego brudną bluzę. Odgarnął niechlujne wąsy z zagłębienia w górnej wardze i na jego twarzy, kiedy tak się zastanawiał, czy pozostało coś jeszcze do powiedzenia, pojawił się grymas rozpieszczonego chłopca, grymas, który zapomniała. Stwierdził, że nie ma nic więcej do dodania, i zostawił ją tak, gapiącą się przez okno, które na poły zmętniało od osiadłej na nim warstewki porannego deszczu. Zobaczyła pospiesznie znikającą smugę jego kitki.

– No więc właśnie zostałam skasowana – powiedziała Alexandrze, która siedziała na swym ulubionym fotelu, tym wygodnym, szerokim i kraciatym, biedząc się nad jednym z dodatków „New York Timesa” z ostatniej niedzieli. To był wtorek. „Times” był jak powolny, sycący posiłek.

– Skasowana?

– Pokazano mi drzwi. Posłano na zieloną trawkę. Wpadłam na Tommy’ego Gortona, tego cudnego kapitana portu, którego poznałam pod koniec naszego życia tutaj. Przypomniał mi dość stanowczo, że ma żonę, od której jest bardzo zależny. I której się boi, jak zrozumiałam.

Alexandra, która rozkoszowała się swoją samotnością w otoczeniu nowoangielskiego deszczu bębniącego o dach, odłożyła dodatek poświęcony podróżom i obdarzyła swoją roztrzęsioną przyjaciółkę pełną uwagą.

– A potrzebowałaś, żeby ci to przypominano? Spodziewałaś się czegoś innego?

– No cóż... niekoniecznie. Ale myślałam, że w jego przypadku to możliwe. Zamierzałam mu wskazać, że w moim wieku oczywiście wznowienie naszego związku absolutnie nie wchodzi w rachubę.

– Kochanie, jak ładnie z twojej strony, że coś takiego w ogóle wpadło ci do głowy.

– On mnie pragnął, Lexa. Czułam to, kiedy dzieliła nas cała przecznica i zamiast jego twarzy widziałam tylko maleńką, bladą plamkę nad tym kłębem brody. Jak już wiesz, to już wiesz. Między nami iskrzyło metapsychicznie. Ale potem, w „Nemo”, zrobił się bardzo niemagiczny – wielki, smutny, ogłupiały wół, który zmarnował sobie życie. Musiałam się przymilać, żeby wyciągnąć z niego najskromniejszy komplement.

– Wcale mnie to nie dziwi – odparła Alexandra z ostentacyjną cierpliwością, jakby miała do czynienia z dzieckiem nękającym ją pytaniami. – To było bardzo dawno temu, aniołku. Pragnąłby cię, gdyby dzięki temu mógł mieć znowu dwadzieścia dwa lata.

– Wiesz co? – powiedziała Sukie. – Możemy zmienić tych ludzi.

– Tak? A jak?

– Tak, jak to kiedyś robiliśmy. Wzniesiemy stożek mocy. – Jej górna warga, wydęta jak od stłuczenia, rozplaszczyla się nieznacznie na dolnej w jakby sarkastycznym grymasie, rzucając wyzwanie Alexandrze.

– No tylko nie to. Uważasz, że wciąż dysponujemy tym, co trzeba? I czy jest coś, czego dostatecznie silnie pragniemy?

– Możemy pragnąć w imieniu innych. I dla Jane. Gdzie jest Jane?

– Powiedziała mi, że jedzie do lekarza.

– Do jakiego lekarza? Mój Boże, wyszukała jakiegoś w książce telefonicznej?

– Owszem. Znalazła doktora Patersona. Wciąż praktykuje.

– Niewiarygodne – stwierdziła Sukie. – Przecież on musi już być trupem.

– Dlaczego? Wcale nie był dużo starszy od nas. Ludzie postarzają lekarzy w głowach, bo koniecznie chcą im ufać.

Henry L. Paterson, znany w miasteczku jako „doktor Pat”, był przysadzistym, łysym mężczyzną o dłoniach, które wyglądały jak nadmuchane, bo były takie szerokie i miękkie, takie wyszorowane do czysta. Był nie tylko lekarzem, ale również nieukończonym farmaceutą, którego czarna torba zawierała w większości placebo. Leczył za pomocą dobrotliwego, wyrozumiałego uśmiechu i przyjemnego dotyku tych dłoni. Jeśli nie następowała poprawa, zalecał stoicką rezygnację.

– Nie powinien już leczyć – orzekła Sukie, przypominając swą odpornością na pasywną magię doktora Pata, że sama jest relatywnie młoda. – Gdyby Jenny Gabriel otrzymała pomoc od jakiegoś rzetelnego, nowoczesnego lekarza, wciąż by żyła i nie obciążałaby naszych sumień.

– Paterson może posłać Jane do specjalisty w razie potrzeby. Ma syna, który jest chirurgiem w Providence.

– Pamiętam tego syna, to był taki kurdupłowaty smarkacz, którego podejrzewałam o to, że robi sobie dobrze, szperając w naszych kartotekach.

– Już nie jest smarkaczem. To facet, który bierze twoje życie w swoje ręce.

– Niewiarygodne. – Sukie miotła się z oburzenia, otrząsając krople deszczu z włosów i zrzucając kopniakami mokre buty, tak energicznie, że aż poleciały w stronę kanapy. – Przez takie coś nagle do ciebie dociera, że ci wszyscy ludzie, którym człowiek ufał przez całe życie, jak lekarze, policjanci i doradcy giełdowi, wcale nie są mądrzejsi od nas.

– To chyba nieuzasadniony wniosek.

– Chcę powiedzieć, że są tylko dorosłymi dziećmi.

– Strasznie się gorączkujesz, *cherie*. A czego byś chciała w zamian?

– Nie wiem – przyznała Sukie. – Może mogłyby nas leczyć roboty – zaproponowała. – Są coraz bardziej skomplikowane.

Alexandra nie raczyła odpowiedzieć, tylko znów wzięła do ręki dodatek „Timesa” o podróżach. Przeczytała, że pewne indiańskie plemię z Arizony, które czuło się zaniedbywane, ponieważ kontrolowana przez nie część Wielkiego Kanionu nie była odwiedzana tak często jak część białego człowieka, postanowiło zbudować nad jego skrajem naziemną kładkę w kształcie litery U. Ta kładka miała szklane dno i za siedemdziesiąt pięć dolarów można było nią pokonać sto czterdzieści stóp. Jak się na niej stanęło, człowiek mógł spojrzeć prosto w dół, z wysokości prawie mili do dna kanionu. Alexandra stwierdziła, że spróbuje, jak już wróci do domu. Była pewna, że to ją zachwyci, mimo że wyglądanie przez małe, plastikowe okienko w samolocie wcale jej się nie spodobało z jakiegoś powodu. Kiedy tak czytała o tej kładce i wyglądała przez okno tutaj, na ten ponury, mokry dzień, na liliowo-sadzowe macki wędrujące ukośnie po tle z brudnobiałych nimbusów, naszła ją tęsknota za Zachodem – za jego-suchością, za gniewnymi barwami tego krajobrazu jakby z ceramiki. Miała ochotę opowiedzieć o tym trochę Sukie, ale ona, zrzuciwszy już kopniakami buty, powędrowała na bosaka do drugiego pokoju i usiadła przy swoim małym stolyczku, na którym stał laptop marki Hewlett-Packard. Jej palce bębniły po klawiaturze jak ten deszcz o dach, kiedy tak cwałowała przez jeden ze swoich romansów, rzadko się zatrzymując albo choćby tylko wahając – mógł to być jakiś nowy epizod oparty na jej załamaniu sercowym. Pospieszne, szemrzące stukanie klawiszy obkleiło powietrze wypełniające pokój ledwie uchwytną powłóczką paniki; ta powłóczka wciąż się utrzymywała, nawet gdy odgłos deszczu nad ich głowami ucichł.

Kiedy Jane, której powrót zapowiedziało zgrzytanie opon jaguara na żwirowym podejździe i człapanie kroków na betonowych schodach Nadmorskich Apartamentów u Lenoksów, stanęła wreszcie w drzwiach, miała taką minę, jakby dopiero co widziała ducha. Jej twarz była równie szara jak ten dzień, w niegdyś czarnych włosach prześwitywały białe odrosty, a ciało wydawało się skurczone, jakby skserowano ją z pomniejszeniem. Wyglądała jak ofiara potężnego ciosu.

– Jak tam doktor Pat? – spytała ją Alexandra, niedbałym tonem, żeby zawczasu zmoderować dramaturgię czekającego je spektaklu.

Jane otworzyła usta, by jej odpowiedzieć, ale zaczekała, aż Sukie przestanie bębnić w klawiaturę w drugim pokoju. Po czym dramatycznym tonem przystąpiła do swej opowieści:

– Ten dureń nie wie, co mi jest. Słuchał mojego serca i oddechu, zajrzał mi do uszu,

zbadał dno oka i uznał, że wszystko w normie.

– No to chyba powód do radości – powiedziała Sukie, wciąż się wpatrując w mały, rozjarzony ekran, na którym rozgrywała się jakaś upiorna fabuła. Jej dłoń ukradkiem podskoczyła z kolan i wystukała prędko poprawkę.

– To cudownie, Jane – orzekła Alexandra. – Pewnie ci bardzo ulżyło. – W rzeczywistości przeżyła rozczarowanie w tym ukrytym kwadrancie naszych jaźni, które rozkoszują się złymi wieściami o innych. Jane cały czas wyglądała okropnie i zachowywała się tak egocentrycznie.

– Wspomniałam o tych brzusznych sensacjach, więc chce mnie posłać na prześwietlenie do swojego syna, do Providence – odparła Jane, rozglądając się dookoła. – Została jeszcze jakaś kawa, czy ją wypijecie całą, dwie świnię?

– Po dwunastej nigdy nie tykam kawy – oświadczyła Sukie.

– Potrzebuję czarnej – powiedziała Jane. – Czarnej, czarnej. Może z kapką Jacka Danielsssa po tym, co przesłałam.

– Czy prześwietlenie może wykazać raka? – odważyła się spytać Alexandra, mimo że nienawidziła wymawiać tego słowa. Twoje własne komórki, poza kontrolą, małe maszynki, którym kompletnie odbiło.

– Tak przypuszczam – odparła Jane – ale nie tylko. Powiedział, że każdy po sześćdziesiątce powinien się sprawdzać, czy nie ma... jak to się nazywa?... tętniaka tętnicy brzusznej. Kiedy obmacywał mój brzuch ze stetoskopem w uszach, coś sprawiło, że posłuchał dwa razy.

– Czy to nie idiotyczne – powiedziała Sukie, powracając do głównego pokoju z jaskini fantazji – że lekarze wciąż to robią? Że opukują i słuchają? To się wydaje takie prymitywne. Internista, do którego chodziłam w Stamford, lubił sobie pomacać.

– Prymitywista – zażartowała Jane.

– Ha, ha. A kiedy spoglądałam mu w oczy – ciągnęła Sukie, boleśnie wykrzywiając usta – to robił tę uroczystą, świętoszkowatą minę, jakby absolutnie niczego nie dotykał. Dajcie mi spokój z tymi lekarzami. Naprawdę mam nadzieję, że dostaniemy opiekę lekarską od państwa i pozbawimy ich wszystkich pracy.

– Promienie Roentgena mnie przerażają – wyznała Alexandra. – Mówią, że się odkładają w organizmie.

– Ja w to nie wątpię – zgodziła się Jane. – Ale to nie dlatego potrzebuję drinka. Właśnie przydarzyło mi się coś dziwnego. Obie pamiętacie, gdzie jest gabinet doktora Pata, przy Vane Street, przecznica od Oak?

– Jasne – odparła Alexandra. – Kiedy przeprowadziliśmy się tutaj z Ozem, na Vane Street rosło kilka ostatnich wiązków, zanim i one uległy zarazie holenderskiej. Były obudowane zielonymi skrzynkami, przez co wyglądały jak inwalidzi podłączeni do aparatów tlenowych. – Zerknęła z poczuciem winy na Sukie, przypomniawszy sobie, że to właśnie w tę stronę ciągnęły ją rozedmowe płuca.

Sukie najwyraźniej jednak nie dostrzegła nic osobistego w tym porównaniu.

– Rzucają taki miły, pierzasty cień – wspomniała głośno. – Kiedy wreszcie umarły, miasto zastąpiło je tymi posępными klonami pospolitymi, z wielkimi, nudnymi liśćmi, przez które nie przesącza się słońce. Krążyły pogłoski, że szkółka roślin Herbiego Prinza i Eda Arsenaulta weszła w układ z miastem.

– No więc – powiedziała Jane, zdecydowana nie schodzić jeszcze ze sceny – wyszłam właśnie z gabinetu doktora Pata, kierując się w stronę skrzyżowania z Dock, gdzie zaparkowałam, i tam, w gęstych cieniach, gdzie drzewa jeszcze ociekały wodą po deszczu, który właśnie przestał padać, zobaczyłam idącego w moją stronę mężczyznę, który minął mnie i w trakcie tego mijania rzucił... – Tu dla lepszego efektu umilkła na sekundę, po czym specjalnie zniżyła głos, by zabrzmiał jak męski: – „Cześć, Jane!”

– Co w tym takiego dziwnego? – spytała Sukie. – Rozpoznał cię, mnie cały czas ktoś rozpoznaje w centrum.

– Ja to nie ty. Nikt mnie tu nie zna z wyjątkiem moich dawnych uczniów muzyki.

– Jak on wyglądał? – spytała Alexandra.

– Był młody – odparła powoli Jane, zamknąwszy oczy. – A w każdym razie był młodszy ode mnie. Nie patrzyłam na niego, bo rozmyślałam o prześwietleniu i zastanawiałam się, co doktor Pat mógł wychwycić stetoskopem. Dopóki ten mężczyzna nie wymówił mojego imienia w taki przerażający sposób, nie zwracałam uwagi. Zauważyłam tę sylwetkę idącą w moją stronę i zapewne przeszłam na bok na chodniku, żebyśmy na siebie nie wpadli. – Znowu zamknęła oczy. – Dość wysoki, jakby zwalisty... Bardziej nabity niż otyły... i, sama nie wiem, jakiś taki srebrny.

– Srebrny? – powtórzyła ze zdziwieniem Sukie.

– To nie jest dokładnie to słowo, ale gładki, z połyskiem, jaki mają posągi, i jeszcze... jak to się mówi?... androginiczny.

– Androginiczny! – wykrzyknęła Alexandra. Nie zawsze potrafiła pohamować impuls, by droczyć się z Jane; gdybyśmy wszyscy podchodzili do siebie z taką powagą, świat byłby pogrążony w nieustającej wojnie. – Mój Boże, Jane, faktycznie dobrze mu się przyjrzałaś.

– Staralam się wszystko zrekonstruować, kiedy już mnie wyminął. To „Cześć, Jane!”

które powiedział udawanie aktorskim głosem, przeszło mnie jakby na wylot.

– Androginiczny, udawanie aktorski głos – zadrwiła Alexandra z poważną miną.

– W porządku, śmieję się, jeśli chcesz – odparła Jane z ustami zaciśniętymi, jakby chciała splunąć – ale dopiero będziesz się śmiała, kiedy ci opowiem ciąg dalszy. – Znowu umilkła, domagając się, żeby na nią spojrzwały, na jej przejętą, drobną twarz żółtoszarej barwy, niemal jak u mumii, pod tiarą z siwych odrostów.

– Wypluj to z siebie, nasza kochana zołzo – powiedziała Sukie, kiedy milczenie przeciągało się nieprzyjemnie. Przypomniała sobie o laptopie w drugim pokoju, z wciąż rozjarzonym ekranem, z kursorem jak wykałaczka pulsującym obok ostatniego słowa.

– Kiedy zwróciłam głowę w jego stronę, poczułam wstrząs.

– Wstrząs? – spytała Alexandra. – Taki sam jak obok słupa telefonicznego przy poczcie?

– Nie aż taki silny. Od tamtego omal nie padłam jak długa. Ten był słabszy, takie lekkie otarcie. Zdarzały się też inne, przynajmniej raz albo dwa dziennie, ale wiem, że już pewnie mnie uważacie za męczyduszę, dlatego nic nie mówiłam.

– Wcale cię nie uważamy za męczyduszę – zaprotestowała Alexandra. – Jesteś z natury taka przewrażliwiona.

– O właśnie – zgodziła się z nią Sukie. I starając się, by przyjaciółki nie zauważyły, że jest taka rozkojarzona, spytała: – Wyglądał ci na kogoś znajomego?

– I w tym rzecz! – wybuchła Jane, zadowolona, że ją pytają. – Wyglądał. Tak jakby. Ale nikt mi nie przychodzi do głowy.

– Dlaczego nie? – spytała Alexandra dość rozleniwionym tonem. Fakt, Jane potrafiła być męcząca. Te tajemnice, te cienie – srebrzyste migotanie na poły rozpoznanego zjawiska, wielkie krople wchłoniętego deszczu uwalniane jedna po drugiej z gęstwy klonowych liści w samym środku przygnębiającego dnia. Wypisz wymaluj Nowa Anglia, wypisz wymaluj *Szkarłatna litera*.

– Z nim było tak, jakby ssskrywało go jakieś zakłęcie. Jak tak próbuję wymyślić, kto to mógł być, przesywa mnie strach.

Pozostałe dwie, od dawna konsekrowane na służebnice zła z jego gruboskórnym zaabsorbowaniem samym sobą, postanowiły nie wywierać presji na Jane, tylko dać jej tę satysfakcję, że ją łagodnie ciągną za język.

– Ciekawe, skąd on się tam wziął – dumiała na głos Sukie. – Nikt nie spaceruje po Vane ot tak. To za daleko od sklepów.

Jane pojaśniała.

– Chyba wiem skąd – powiedziała. Nie trzeba jej było ciągnąć za język. – Po tym wstrząsie, który odczułam tak, jakby ktoś mnie złośliwie dźgnął łokciem w brzuch, przez jakąś minutę nie miałam odwagi rozejrzeć się dookoła, ale kiedy już wróciłam do samochodu, zaparkowanego za rogiem, obejrzałam się i stwierdziłam, że ten mężczyzna zniknął! Przejechałam się po Dock, skręciłam w Oak, dotarłam do kościoła unionistów i stamtąd wróciłam na Vane i nigdzie go nie widziałam po drodze! A jednak z jakiegoś powodu naszło mnie, po sposobie, w jaki szedł, że on mieszka w tej dzielnicy. Bo jak same zauważyłyście, po co ktoś miałby tam chodzić? Tam są wyłącznie prywatne domy.

– W co był ubrany? – spytała Sukie, włączając się znów do rozmowy lekko zasapanym głosem.

– W białe spodnie, takie jakie noszą malarze pokojowi – natychmiast odpowiedziała Jane. – I biały T-shirt z jakimś napisem, którego nie zdążyłam przeczytać.

– Czyli jak młody chłopak.

– To był młody chłopak – odparła Jane. – Który się zestarzał.

– I zniknął jak kamfora – próbowała uściślić Alexandra.

– Zniknął w tej dzielnicy – upierała się Jane. – Weź pomyśl. Wiesz, że podwórka na tyłach dolnego krańca Vane nachodzą na te z górnej części Oak. A kto mieszka przy Oak, mniej więcej w połowie pierwszego kwartału, w tej wiktoriańskiej kamienicy z mansardowym dachem, która domaga się odmalowania i ma tę beznadziejną zewnętrzną klatkę schodową prowadzącą do mieszkań, które urządziła na piętrze? – Umilkła raptownie, rozkoszując się uwagą, jaka zaciążyła na niej ze strony dwóch słuchaczek. I sama sobie odpowiedziała: – Greta Neff!

– Greta Neff – powtórzyła Sukie.

– A kto inny! Ona tam siedzi, w tej rozpadającej się stodole pełnej przeciągów, której Ray w ogóle nie powinien był kupować, bo nie było go na nią stać, powiedziałam mu to wtedy i pamiętam, że odpowiedział mi wyniośle, że jej potrzebuje, bo ma sześcioro dzieci i chce, żeby każde z nich mogło ćwiczyć grę na swoim instrumencie, nie przeszkadzając pozostałym. Greta siedzi tam ze złośliwości. To nieotynkowane szkaradziejstwo kłuje w oczy, ciągnąc w dół całą dzielnicę, obniża wartość innych posesji przy Oak Street, wszyscy tak mówią. – Jane powoli wprowadzała się w trans, w szał. – O Boże! – zakrzyknęła. – Kiedy przeszedł blisko mnie, bliżej niż teraz jestem którejkolwiek z was, zrobiło mi się zimno. I powiedział to „Cześć, Jane!” w taki sposób, że równie dobrze mógłby powiedzieć „Dopadnę cię!” Biło od niego chłodem, w taki ciepły dzień. Przysięgam!

– O rany. – Alexandra odczekała chwilę, na wypadek kolejnego wybuchu, po czym

powiedziała do Jane: – Tuż przed twoim przyjściem rozmawialiśmy z Sukie, że powinniśmy sprawdzić, czy jeszcze potrafimy wznieść stożek mocy.

– O tak, cokolwiek. – Na poczerwieniałej twarzy Jane pojawił się grymas, któremu towarzyszyło szlochanie, spazmatyczne szlochanie z głębi duszy zbyt wyschniętej, by mogła wykrzesać z siebie prawdziwe łzy. A między spazmami wykrztuszała słowa: – Przez te wszystkie lata... razem z Natem i jego koszmarną matką... tak bardzo się starałam... do dzisiaj mocno to skrywałam... ale to ja... najgorzej potraktowałam Jenny... to ja najbardziej chciałam jej śmierci... bez powodu, przez tego dupka Van Horne'a... a teraz ona wróciła. Takie miałam przecucie... tam pod tymi drzewami. Nie dokładnie ona... ale ktoś taki sam jak ona... z tą samą potworną aurą, aurą kogoś, kto jest... zbyt doskonały. Nie znosiłam za to tej małej łasicy... że jest taka doskonała, taka dobra i niewinna, nie znosiłam tego obrzydliwego samozadowolenia, które przepełnia dobrych ludzi.

Alexandra i Sukie wymieniły się spojrzeniami. Jane już taka była, że z wszystkiego robiła dramat. Musiała być gwiazdą, mroczną, a jednak gwiazdą.

Jeszcze w lipcu Sukie wymknęła się któregoś dnia na mszę w kościele unitariańskim. Znała budynek – piękny mały budynek w stylu klasycystycznym z płytkim gankiem z doryckimi kolumnami, przy Cocumscussoc Way, w bok od Elm, za Oak, wybudowany przez dziewiętnastowiecznych kongregacjonalistów, którzy przekazali go unitarianom w latach czterdziestych tego samego wieku. Znała to miejsce z lat Johnsona i Nixona, kiedy robiła reportaże dla „Słowa” i szatańsko nękała Eda Parsleya, a potem jego namolną żonę Brendę, która przejęła ambonę, w tamtym burzliwym okresie protestu i kontrkultury, publicznego i prywatnego buntu. Teraźniejszość była bardziej uładzona, tak jak Debbie Larcom była bardziej uładzona, mniej udręczona niż nieszczęśni Parsleyowie. Sukie połapała się, że nie daje jej spokoju obraz tej duchownej o idealnych kształtach. Debbie odprawiała nabożeństwo z surowym, trzeźwym wdziękiem, wymawiając każdą pusto brzmiącą frazę w taki sposób, jakby to był kryształowy kielich po brzegi wypełniony znaczeniem; kiedy głosiła kazanie, to zawsze skrajnie naturalnie i klarownie, ujmując Jezusa i Buddę jako jednakowe wcielenia dobroci, cytując doktora Schweitzera, Mahatmę Gandhiego, Matkę Teresę i Martina Luthera Kinga jako przejawy boskości w ludzkiej postaci. Żeby zilustrować swoje tezy, posługiwała się własnym życiem – normalnej dziewczyny z wyższej klasy średniej z Mount Hebron pod Baltimore, która miała głowę pełną typowych próżnych myśli, dopóki nie wdarło się do tej głowy powołanie (nie istnieje inny sposób na ujęcie tego niż taki staromodny, wyjaśniła z towarzyszeniem trzepotania kształtnych dłoni), powołanie, by być mniej egoistyczną i próżną.

To powołanie nie mogło się zjawić w mniej dogodnym czasie, bo jego adresatka dopiero co wyszła za mąż i urodziła dwoje dzieci, oboje wciąż jeszcze w powijakach; a jednak wiara, determinacja i święty w osobie męża pomogły jej przez to przejść.

Sukie zadrżała w tym momencie dolna warga; ta opowieść przypominała jej własną historię, z kilkoma drobnymi różnicami – niższa średnia zamiast wyższej średniej, północ stanu Nowy Jork zamiast podmiejskiej miejscowości w Marylandzie, magia zamiast unitarianizmu, wrogi rozwód zamiast pomocnego małżonka. Niemniej główna wymowa była identyczna: historia kobiety, która zrobiła karierę i zasłużyła na szacunek do samej siebie wbrew przeszkodom, jakie przed nią piętrzył patriarchalny świat. Deborah Larcom wprawdzie obracała głowę w stronę różnych przedstawicieli swojej trzódki, ale Sukie wiedziała, że wygłasza to kazanie specjalnie dla niej; kiedy oczy tamtej zatrzymywały się, w połowie niezmordowanego omiatania wnętrza, przy tym miejscu, gdzie siedziała Sukie, jej gęste, czarne rzęsy się rozchyłyły, a z tęczówek sypały się iskry.

W następną niedzielę Deborah nauczała o tym, czym jest ja. Wybrała za swój tekst Mateusza 16,25, przerobionego w ten sposób, by nie było w nim dyskryminacji płci: „Bo to z was, które chce zachować swoje życie, straci je, a to, które straci swe życie z mego powodu, znajdzie je”.

– Żyjemy w epoce wielkiego zapatrzenia w siebie – zaczęła kazanie Deborah Larcom.
– Wychodzi czasopismo zatytułowane „Ja”. Ukazała się książka zatytułowana *Nasze ciała, nasze ja*. Pragniemy znajdować nasze ja i być uczciwi wobec naszych ja. Nasz język zawiera całe mnóstwo pojęć, w których zawarte jest odniesienie do naszych ja, poczynając od samopoświęcenia, samouctwa i samopoznania przez samozadowolenie i autoreklamę po miłość własną i egocentryzm, na przykład. Czym jest więc owo ja, ten drogocenny, jedyny w swoim rodzaju byt, który posiada każdy człowiek, niezależnie od tego, czy jest to on, czy ona, czy jedno z pary bliźniąt, czy jedno z trojaczków, czy może niemowlę dopiero co wyswobodzone z łona matki?

Sukie, siedząca na tyłach kościoła, pomyślała o własnych dzieciach, z których troje miała z Montym, a czwarte, małego Boba, z Lenniem, który w ten sposób dodał autentyczności jej drugiemu małżeństwu, o tych dzieciach wydobytych z jej miednicy, śliskich, sinych i duszących się ze zdumienia. Ciepły miecz wstydu przeszył jej wnętrzości, kiedy zrozumiała, że wychowywała je zbyt niedbale, a teraz, kiedy dawno temu bezpiecznie dorosły, rzadko się z nimi komunikowała. Drobną, gibką kobietą na ambonie, w białej komży, złotej pelerynce i kremowym golfie, nigdy nie byłaby łatwo się irtującą i zimną matką; była zbyt dobra – dobro promieniowało z niej jak te lśniące iskry otaczające batonik z reklamy

pokazywanej w telewizji w sobotni poranek. W inną niedzielę, w ramach demonstracji, jak bardzo uniwersalny jest unitarianizm, ostatnie słowa błogosławieństwa recytował umysłowo i fizycznie upośledzony nastoletni parafianin; przyciskając zniekształconą rękę do piersi, wyszedł naprzód, powłócząc jedną nogą, i przemówił monotonnym, pustym głosem, upiornie oderwanym od jego twarzy; w ataku paroksyzmu zaczął się niepohamowanie trząść i wielebna Larcom, mimo że zauważalnie mniejsza od niego, objęła go ramieniem, żeby uspokoić to dygotanie. Oboje zawołali unisono: „Idźcie i dzielcie się miłością!” Nie tylko Sukie, ale także kobiety siedzące po obu jej bokach w ławce przytykały chusteczki do nosów.

– Budda mówi – nauczała Debbie tego dnia – „Zapomnijcie o ja i jego pragnieniach, o jego pragnieniu uwagi, pochwały, miłości, doczesnych dóbr, wakacyjnych pojazdów i atrakcyjnych ubrań”. Mój mąż i ja mieliśmy kiedyś hummera, dzięki któremu moglibyśmy jeździć po górskich szlakach, a jednak prawie nigdy nie dojechaliśmy do żadnych gór. Kiedy przypominam sobie, ile czasu marnowałam na stawanie przed sklepowymi lustrami i deliberowanie: „To wyzywające, ale czy zbyt wyzywające jak na mój wiek czy też zbyt staromodne jak na mój wiek?” i kiedy przypominam sobie te wszystkie rzeczy, które znosiłam do domu, a potem je odsyłałam, to czerwienię się ze wstydu. Budda mówi: „Zapomnijcie o wywyższaniu się, oszukiwaniu samych siebie, wysokim mniemaniu o sobie, miłości własnej. Naszym celem jest nie-ja, *anatman*”. Celem wyznawcy buddyzmu jest bezinteresowność nirwany, uwolnienie od wysiłku i bólu, od egoizmu. Brak uwiązania, *atriszna*, to droga uwolnienia z *duhkha*, cierpienia, i samsary, niekończącego się cyklu inkarnacji. A co mówi Jezus? Jezus mówi: „Zapomnij o prawie. Zostaw umarłym grzebanie ich umarłych. Zaprzyj się swych rodzin. Oddaj wszystko, co masz, biednym. Nie gromadź sobie skarbów na ziemi, bo gdzie jest twój skarb, tam będzie i serce twoje. Ktokolwiek przykłada rękę do pługa, a wstecz się ogląda, nie nadaje się do Królestwa Bożego. Przypatrz się liliom na polu, jak rosną: nie pracują ani przędą”. Jezus i Budda, Brahma i Allah mówią: „Oczyśćcie się”. Czy bowiem jest tak, że kiedy już wyrzekniemy się wszystkiego – naszych wspaniałych samochodów, wypieszczonych domów, pięknie ubranych dzieci i ich znakomitych ocen w szkole, które przynoszą nam taki zaszczyt, naszych członkostw, podbojów seksualnych, sald w banku, wszystkiego, co za naszą zgodą określa nasze ja – czy kiedy już wyrzekniemy się wszystkiego albo kiedy wszystko zostanie nam odebrane, nasze ja przestaje istnieć? Czy znika gdzieś, pozostawiając samą pustkę? Nie: okazuje się, że ja – i na tym polega cały ten cud – nadal tu jest, tylko przeobrażone. Z całkowitej pustki wyłania się nowe ja. Panie i panowie, dziewczęta i chłopcy, my kwitniemy!

Deborah rozpostarła szeroko ramiona w luźnych, białych rękawach; jej włosy otaczały

odchyloną do tyłu głowę niczym czarna aureola, a wysoka przestrzeń nawy wypełniła się niema] elektryzującym uniesieniem.

– Jesteśmy wolni – zwierzyła się dramatycznie teraz ściszym głosem rzadkiemu tłumowi wiernych zebranych w nieruchawej od letnich upałów świątyni. – Wolni w naszej bezinteresowności. Świat wlewa się do próżni, świat innych, piękno i potęga natury, tego wszystkiego, co nie jest naszym ja. Ja, które zapomina o sobie, nie jest bardziej puste, niż był wszechświat w tamtej chwili, zanim owa niewyobrażalna jedyność stworzyła miliardy gwiazd i otaczające je planety. W tym momencie pusty wszechświat stał się pełny, pełen potencjału, i tak też jest z nami, jeśli tylko ulegniemy pogodnemu, rozległemu Innemu, które otacza skurczone, bojaźliwe, zawistne, mordercze ja. Nieskończona energia i nieskończony pokój czekają na nas na rubieżach naszego ja, pod warunkiem że potrafimy dotrzeć do tej zbyt dobrze bronionej granicy i zaufać sobie na tyle, żeby ją pokonać, żeby się oderwać, poddać tej boskiej inności, która przerasta wszelkie ludzkie zrozumienie. *Śanti, śanti, śanti*. Amen.

Siedząca na tyłach Sukie spieszyła się już do wyjścia. W inne niedziele wymykała się podczas ostatniej pieśni, ale tego dnia chciała być powitana przez wielebnią, łaknęła jej dotyku. Powstawszy z miejsca, zauważyła ciastowaty profil i zwalistą, męską sylwetkę Grety Neff; stała w jednej z frontowych ław, z jakimś towarzystwem, dorosłymi dziećmi albo swoimi lokatorami. Był też z nimi jakiś tęgawy, siwowłosy mężczyzna. W unitariańskiej kruchcie, udekorowanej dwiema nędznymi palmami w donicach i tablicą pełną ogłoszeń i apeli w zbożnych celach, Sukie po raz kolejny, tak jak kilka tygodni wcześniej, uściśnęła szczupłą, chłodną dłoń młodszej kobiety; luźna, duchowna szata jeszcze bardziej zbliżała panią Larcom do nagości, która błysnęła w umyśle Sukie tamtego pierwszego razu.

– To było coś wspaniałego – powiedziała. – Uwielbiam cię słuchać. – Czuła się oszołomiona po całej godzinie skupiania się na postaci na ambonie, jej białej szacie i uśmiechu, czarnych włosach i brwiach mrugających w nakładających się powidokach.

– Dziękuję – odparła Deborah Larcom, wciąż jeszcze odrobinę spięta i pochłonięta sobą po wysiłku włożonym w nabożeństwo. Spojrzenie jej pięknych, mądrych oczu pomknęło w stronę następnej osoby w kolejce. A kiedy zamroczona z zachwytu Sukie nie ruszyła się z miejsca, wielebna dodała prędko, żartobliwym tonem: – Skoro tak, to przyprowadź następnym razem swoje dwie przyjaciółki.

Sukie parsknęła krótkim śmiechem, jedną sylabą niedowierzania.

– Przeżyłyby szok, gdyby się dowiedziały, że tu jestem. Chodzi po prostu o to, że... – Zaczęła tłumaczyć, dlaczego się tu znalazła, ale zawiesiła głos. Pod tą szatą, pod jej koszulką i biustonoszem duchownej, piersi tej młodej kobiety były na pewno równie jędrne i gładkie

jak jej dykcja, tak krągłe jak kule jej zielonoszarych tęczówek, a sutki równie różowe i wrażliwe jak te maleńkie plamki wypalone przez słońce na prostym, małym nosie, na doskonałej chrząstce dzielącej wąskie skrzydełka jej nozdrzy. – Chciałabym wiedzieć, czy może kiedyś...

– Tak? – Była w tym odrobina zniecierpliwienia, bo kolejka za plecami Sukie zaczynała pęcznieć.

– Mogłabym cię odwiedzić?

– Oczywiście. – Biznesowy ton. – Zadzwoń do pani Neff, sekretarki wspólnoty, żeby wyznaczyła spotkanie. Do Dnia Pracy biuro jest czynne we wszystkie dni robocze, od dziewiątej do dwunastej. – Rzuciła ostatnie, niepewne spojrzenie na twarz Sukie, próbując rozszyfrować, czego ona właściwie się domaga.

Za plecami matki ubranej w kościelne szaty pojawiło się dwoje dzieci, chłopczyk i dziewczynka w wieku na oko pięciu i siedmiu lat. Chłopczyk bojaźliwie ujął Deborah Larcom za bezczynną lewą dłoń; dziewczynka, która lepiej rozumiała i szanowała jej rolę, stała cierpliwie u jej boku. Rysy twarzy miała mniej idealne niż Deborah, rozmazane bardziej prostackimi genami ojca – rzeźzonego świętego. Ta kobieta miała mnóstwo zajęć. Sukie była natrętem. W tym momencie mogła tylko powiedzieć „dziękuję”. Wycofała się na zewnątrz przez wysokie, podwójne drzwi, na kolumnadowy ganek, a potem zeszła po szerokich, wytartych drewnianych stopniach, zaczerwieniona, odtracona, przysięgając sobie, że już tu nigdy nie wróci.

Trzy przekłete kobiety zgodziły się wskrzesić swoje nadprzyrodzone umiejętności w dniu, w którym Jane była umówiona na prześwietlenie – w przeciwnym razie jej lęki w związku z badaniem mogłyby rzucić ciemną plamę na przezroczysty stożek mocy. Szczęśliwym zrzędzeniem losu był to drugi sierpnia, czyli Lammas, Święto Chleba, pierwszy z trzech dni dożynek, w które najlepiej organizować sabat. Alexandra wyczytała w kalendarzu reklamującym Biuro Nieruchomości Perleyów, że za trzy dni zacznie ubywać księżyc po pełni, co jej zdaniem wcale nie musiało przynieść pecha, acz ostatecznie jednak przyniosło. To jej przypadło w udziale przygotowanie wszystkiego. Jej przyjaciółki przerzuciły ten obowiązek na nią, powołując się na w ich mniemaniu jej potężniejsze moce – jej głębszy kontakt z naturą i tajemnicami Bogini.

– Przygotuję wszystko – obiecała – ale musimy się umówić, że to będzie w stu procentach biała magia. Na razie nie oceniam naszej obecności w Eastwick w kategoriach sukcesu. W lipcu zasadniczo wywoływałyśmy niezgodę. Ludzie nie wiedzą, jak nas

traktować, i odnoszą się wrogo. Chciałabym, żeby sierpień okazał się miesiącem harmonii, uzdrawiania. Przed laty ograbiłyśmy to miasto z tego, co nam się podobało, a potem wyjechałyśmy. A teraz jesteśmy tu znowu, żeby coś oddać.

– Mnie to się wydaje, że ja oddałam całkiem sporo – zaprotestowała Sukie. – To dzięki mnie kilku niezadowolonych mężów trochę się odgięło, po za tym wniosłam odrobinę stylu do tego zapuszczonego zadupia.

– Nie chcę wyjść na egocentryczkę – odezwała się zirytowanym głosem Jane – ale wyobrażałam sobie, że celem stworzenia stożka będzie moje uzdrowienie, a nie Eastwick. Prawie cały czas czuję się okropnie: boli mnie głowa, mam mdłości i zawroty, kiedy się podniosę zbyt gwałtownie, i jeszcze coś mnie wtedy gryzie pod mostkiem. – Przyłożyła tam palce, wsuwając je między swe drobne piersi. – Nie mówię o tym cały czas, bo wiem, że obie uważacie mnie za straszną zrzedę. Przepraszam, ale jeśli w najbliższym czasie nie poczuje się lepiej, to będę musiała wrócić do Brookline i tam załatwić sobie porządne badania. Doktor Pat to dobry przykład, dlaczego szpitale posyłają lekarzy na przymusową emeryturę. Jest sędziwy. Fajnie jest pobyć z wami dwiema, ale mnie jest autentycznie potrzebna pomoc.

– Nie wyjeżdżaj przed prześwietleniem – błagała ją Alexandra. – Zrób tyle przynajmniej z doktorem Patem.

– Ja się tego koszmarne boję – wyrzuciła z siebie Jane. – To na pewno straszny wstrząs dla wnętrzości, kiedy przelatują przez nie te promienie. W powietrzu fruwały całe chmary tych promieni i cząstek, wszyscy o tym wiemy, ale ja je naprawdę czuję. Fale radiowe, radon, neutrino, a jeszcze teraz ta ciemna energia, którą dopiero co odkryli. Podobno ona rozpycha wszechświat, coraz szybciej, aż w końcu nie będzie niczego, tylko jakaś superdrobna kasza, która się wychłodzi do absolutnego zera. Ludzie wierzyli kiedyś w same milutki, nieszkodliwe rzeczy, jak duchy, gobliny, wróżki, jednorożce, a teraz zamiast nich gnębią nas wszystkie te straszne siły. One mają nas gdzieś, nawet nie wiedzą, że my tu jesteśmy.

– Jane – powiedziała do niej Alexandra, z macierzyńską stanowczością – musisz się uspokoić. Musisz się lepiej dostroić albo stożek mocy się roztrzaska, gdy tylko do niego wejdiesz.

– Pojadę z nią do Providence na to prześwietlenie – zobowiązała się Sukie. Jane odseparowała się od nich dwóch do takiego stopnia, że nawet w jej obecności mogły o niej wypowiadać się w trzeciej osobie. – W drodze powrotnej postawię jej lody.

– A ja przygotowuję mieszkanie – obiecała Alexandra, świadoma, że ją też coś gryzie, niepokój, że jej wiara, od tak dawna niepoddawana sprawdzianowi, okaże się niedostateczna i

stożek mocy ostatecznie się nie zmaterializuje.

Handlowcy z Eastwick pragnęli uczynić ze swego miasta pułapkę na turystów i w kilku sklepach przy Dock Street można było kupić aromatyczne świece dorównujące rozmiarami i kształtem puszkom z paliwem turystycznym, kryształki uformowane jak cukier na patyku i bransoletki z jakiegoś taniego metalu z kutymi wzorami z rozmaitych symboli i runów. W dawnym sklepie żelaznym Ormian Alexandra kupiła szpachlówkę, z niezbędnym czarnym uchwytem, która mogła zastąpić obrzędowe athame, oraz dwustronne, przenośne lustro na składanym stojaku z drutu, które miało posłużyć za okno do astralnego świata. Wróciwszy do mieszkania, w miarę jak cienie zauważalnie krótszych, sierpniowych dni zbierały się w kątach niczym pajęczyny, Alexandra, która w młodości chełpiła się siłą fizyczną, usunęła z centralnej części salonu stół do kawy, fotel z obiciem w kratę oraz kanapę, którą musiała wlec za jeden koniec. Nogi mebli pozostawiły wyraźne wgłębienia w dywanie koloru bordo. Odkurzyła ten fragment dywanu, który, gdy po raz pierwszy weszły do tych wynajętych przestrzeni, powitał je jakby przyjemną, ziemną wonią; niewidzialnie wchłaniał brud, nie tylko czerwone plamy od wina, ale także piasek z plaży, drobiny żwiru wnoszone na podszwach butów, zdechłe muchy, żywe mole, drobiny skóry, negatywną energię, obcięte paznokcie i te maleńkie śrubki, które scalają oprawki okularów. Wszystkie te drobniotki śmieci cicho grzechotały i pobrzękiwały w rurze odkurzacza.

Następnie wyrysowała na dywanie magiczny krąg za pomocą granulek proszku do prania, sypiąc go prosto z pudełka; po zakończonej ceremonii zamierzała zebrać je odkurzaczem. Narysowała cztery piąte kręgu wielkości królewskiego łoża albo czarodziejskiego pierścienia grzybów znalezionego w lesie. Kupiła pięć aromatycznych świec – róża, brzoskwinia, malina, lawenda i jakaś tajemnicza akwa – ustawiła je w równych odstępach dookoła kręgu, tworząc ducha pentagramu. W schowku na tyłach mieszkania, obok psującego się odkurzacza i rozpadającej się deski do prasowania, znalazła tanią szczotkę do zamiatania, z trzonkiem z plastiku zamiast drewna – prawdziwego drewna, którego słoje stanowią odbicie corocznego cyklu wzrostu. Umieściła tę szczotkę w charakterze cięciwy na łuku pustego, piątego segmentu, tworząc symboliczne drzwi do kręgu, wyłącznie dla wtajemniczonych.

W samym środku musi być ołtarz. Alexandra ułożyła na bordowym dywanie dębową deskę do chleba, należącą do wyposażenia kuchni, a na niej ustawiła stary, mosiężny kosz, służący w dawnych czasach do ogrzewania wnętrza za pomocą rozżarzonych węgli, pięknie postarzony i okopcony; wypatrzyła go na przydrożnym pchlim targu, na drodze wiodącej do

Old Wick. Pozbierała poduszki z wszystkich pokoi, ułożyła z nich trzy wygodne sterty we wnętrzu kręgu i czekała.

Jane i Sukie spóźniały się, dochodziła już szósta. Alexandra skubała krakersy i ser – goudę koloru dyni i księżycowobiały munster – po które pojechała jaguarem Nata Tinkera aż do Stop & Shop, gdzie kupiła też gotowe curry z kurczaka i sałatkę brokułową, które miały zjeść po wszystkim, pod warunkiem że nie będą zbyt zmęczone albo rozchwiane emocjonalnie, by coś jeść. Klasyczne sabaty odbywały się o północy z udziałem tak licznej ekipy młodych wiccanek¹³ pracujących od dziewiątej do piątej, że ostatecznie tradycja podległa regulacjom i z pewnością nie stosowała się do kobiet w pewnym wieku. Do picia Alexandra wybrała chianti Carlo Rossi, w dwulitrowym dzbanku z zakręcanym korkiem, które miało być rozlane do kielichów imitujących miedziane, inkrustowanych pomalowanymi kamyczkami; wypatrzyła je na zapomnianej półce jednego ze sklepów ze świecami w miasteczku. Były wykonane z powlekanego papieru i prawie nic nie ważyły w jej palcach. Bawiąc się takim pustym kielichem, stwierdziła, że jej dłonie trzymają się całkiem nieźle pod obstrzałem czasu. Odrobina pulchności pomaga zachować sprężystość skóry, w miarę jak się starzejemy. Alexandra zauważyła, że dłonie Jane są odstręczająco wychudzone i pożyłkowane, ich artretyczne stawy lśniły od bolesnych opuchlizn i nawet dłonie Sukie – kochanej Sukie, która zachowywała się tak, jakby wciąż mogła stawać do walki o miłość – w dobrym świetle wydawały się żyłaste. Postanowiła, że odkorkuje chianti i spróbuje odrobinę, żeby ułatwić sobie czekanie. Bogini nie będzie miała nic przeciwko. Ukroiła sobie jeszcze jeden mały plasterk munstera.

Pracowała tak ciężko, żeby przygotować wszystko jak najstaranniej do ich rytuału, że kiedy pozostałe dwie wreszcie wróciły, tuż przed siódmą, chichocząc i paplając o jakichś wspólnych przygodach, Alexandra poczuła, że jest zirytowana.

– Mogłyście przynajmniej zadzwonić – powiedziała.

– Cały czas nam wmawiali, że jeszcze tylko dziesięć minut – wyjaśniła Sukie, niezbyt skruszona. – I żadna z nas nie mogła sobie przypomnieć, jaki jest numer tego telefonu!

Razem z Jane zaczęły się jeszcze bardziej zaśmiewać, zrozumiawszy, że nie bardzo jest się z czego śmiać; cały dowcip tkwił w ich podejściu i w rozdrażnieniu Alexandry.

– Och, jak to wszystko świetnie wygląda! – wykrzyknęła Sukie, przepraszając w ten sposób. – Lexa, jaka ty jesteś sumienna!

– Owszem – odparła lakonicznie, surowym tonem.

¹³ Wicca to pogańska religia misteryjna nawiązująca do tradycji przedchrześcijańskich, założona przez Brytyjczyka Geralda B. Gardnera i upubliczniona w roku 1951.

Jane nie dała się spostponować.

– Byli kretyńsko nieefektywni – powiedziała, na temat obsługi rentgena w szpitalu w Providence. – Syn doktora Pata wygląda dokładnie tak jak on, tyle że ma sześć cali wzrostu więcej i zupełnie brak mu szyku. Naprawdę. Nat mawiał, że teraz to już nikt, kto myśli, nie idzie na medycynę; w finansach można łatwo zarobić i dlatego każdy, kto ma poukładane w głowie, idzie do szkoły biznesu. I jeszcze wpadłyśmy do tej lodziarni przy drodze numer jeden; nie mieli kolorowej posypki, tylko tę brązową, która wygląda jak mysie gówienka.

– A ty wciąż o tym! – wrzasnęła Sukie. – Nie mogłam przestać o tym myśleć, kiedy lizałam swojego rożka!

I tu znowu nastąpił wybuch wesołości. Kiedy później wspominały ten moment, zastanawiały się, czy to przypadkiem nie przez ten śmiech we wnętrznościach Jane coś pękło; ostatnimi czasy śmiała się tak rzadko.

– Rożek z kupki – powiedziała, wciąż się zaśmiewając.

Alexandra czuła się urażona, ale postanowiła za wszelką cenę nie dostarczać tym dwóm radości przez okazywanie tego. Wrobiły ją w rolę matki, więc wolno im było się zachowywać jak niegrzeczne dzieci.

– Nie jestem pewna – powiedziała sztywno – czy jesteśmy w odpowiednim nastroju, by wspólnie wygenerować energię wyniesienia.

– Włożymy buty na platformach, to nas wyniesie – odparła Jane. – Albo zawołamy: „Ściągnij mnie, Scotty!”¹⁴

– Czy wy dwie piłyście coś w drodze powrotnej z Kingston?

– Martini wielkości Kingston – odparła Jane.

– Tylko po jednej margaricie – wyznała Sukie – w tym sportowym barze, który kiedyś nazywał się „Miedziana Beczka”. Pamiętacie Fidela i jego margarity? I jego kulki z marynowanego mięsa kapibary? Darryl żarł je jak świnia.

– Sam był kapibarą – powiedziała Jane. – Oho! Lexa robi się zła.

Jane wyglądała zupełnie jak kundel, kiedy to mówiła, jak postarzały mały kundelek starszej pani, z tymi włosami niefarbowanymi od miesiąca, przez co przezierały przez nie siwe odrosty całowej długości, i dlatego Alexandra zmiękła.

– Bolało? – spytała. – Bałaś się, że będzie bolało.

¹⁴ „Beam me up, Scotty” to funkcjonujące w potocznym języku powiedzonko, zaczerpnięte z oryginalnej serii *Star Trek*. Tak miał się odezwać kapitan Kirk do komandora Montgomery’ego, obsługującego transporter służący do teleportacji, chcąc, by ten ściągnął go z jakiejś planety na statek *Enterprise*. Co ciekawe, zdanie tak dosłownie sformułowane nigdy w serialu nie pada.

– Prześwietlenie? Jasne, że nie. Ale robią przy tym tyle udawanej wrzawy, kiedy tak biegną do tych swoich obitych ołowiem pokoików i odrzucają przełącznik, kiedy ty tam stoisz bez biustonosza i przyjmujesz na siebie cały wybuch. To ludzie, którzy sadzają na krześle elektrycznym. Nie cierpię tych lekarzy: przyglądają się, jak się umieramy, i spodziewają się za to zapłaty.

– Najgorsze są mammografy – wniosła swój wkład Sukie. – Kiedy pielęgniarki rozciągają ci cycki w tę i we w tę, żeby je rozplaszczyc na tej lodowatej szybie. Wynajmują do tego same sadystyczne, umięśnione lesby.

– A po wszystkim – ciągnęła Jane – kiedy spytałam, co wykazało prześwietlenie, powiedzieli, że syn doktora Pata pojechał do domu, ale je potem odczyta i skontaktuje się ze swoim ojcem. Tak czy owak, to wszystko jest takie głupie – czy ktoś kiedy słyszał o tętniaku tętnicy brzusznej? Od tego badania nabawiłam się bolesnych skurczów w okolicy śledziony. A przecież nie jadłam żadnych śledzi i nikt mnie chyba nie śledzi.

– Moje ty biedactwo – użaliła się nad nią Alexandra, ponownie przejmując rolę mistrzyni ceremonii. – Chcecie coś zjeść, zanim zaczniemy? Są sery, gouda i munster, i te smaczne ryżowe krakersy o smaku glonów, robione przez Japończyków; znalazłam je w Stop & Shop, w maleńkim dziale z towarami delikatesowymi. I jest jeszcze curry z kurczaka i sałatka z brokułów, jeśli umieracie z głodu, ale moim zdaniem nie powinnyśmy wznosić stożka mocy z pełnymi brzuchami. Wszystko w nas powinno być czyste. Powinnyśmy wziąć prysznic. Jane, ty użyj swojej łazienki, my z Sukie podzielimy się naszą.

– A może ja chcę się podzielić swoją z Sukie – odparowała Jane z mrocznym spojrzeniem. – Albo z tobą.

– Podzielimy się stożkiem mocy, to wystarczy – stwierdziła Alexandra, poddając swój autorytet sprawdzianowi. – Nie utrudniaj, Jane. Jesteś nadmiernie podekscytowana przez to, że byłaś centrum aż takiej uwagi. Musimy się spieszyć. Ubywa księżyc. Musimy być w stu procentach gotowe, bo inaczej nie uda nam się ściągnąć stożka.

– A jak się potem ubierzemy? – spytała Sukie. – Nie przywiozłam nic czarnego ani nic, co by miało obszerne rękawy.

– Nie ubierzemy się – zadekretowała Lexa. Wypiła więcej chianti, niż myślała. – Będziemy gołe. Jak już powiedziałam, musimy ofiarować siebie w stu procentach.

– Ja nie mogę – zaprotestowała Jane z taką stanowczością w głosie, że zatrwając napięły jej się ścięgna w gardle. – Ja już jestem starą babą. Wy dwie też. Trzy wiekowe babyjagi. Ja tego nie zrobię.

– Mów za siebie, Jane – odparła wyniośle Sukie. – Rób jakieś ćwiczenia, jeśli nie

lubisz swojego ciała. Joga, qi gong. Dwadzieścia minut dziennie czyni cuda. Człowiek od razu robi się jędrny.

– Tu liczy się duch – zapewniła ją Alexandra. – Dla mnie jesteś piękna, bo widzę wszystko, co skrywa powłoka fizyczna.

– To dlaczego wolisz brać prysznic z Sukie, a nie ze mną?

– Powiedziałam, że się podzielimy, a nie że obie wejdziemy pod prysznic jednocześnie. Potrzebujemy przestrzeni, Jane, żeby uwolnić energię naszych czakr. Nagość nas uwolni. Ona rozwiązuje *aiguillette* zahamowań, które zawsze towarzyszą człowiekowi Zachodu. Nasze moce uzdrawiania, uzdrawiania siebie i innych, muszą być wolne; trzeba je oczyścić z takich nieczystości jak zazdrość. No już, moja droga. Weź mnie za rękę. Przyłóż ją do mojego brzucha. Czujesz go? Ja czuję twój ból, czuję, jak wierzga. O tu. I tu. Chce się wydostać. Wypuść go, kochanie. Wypuść go, kochanie. Niech twoje ja będzie wolne. Wolne – powtórzyła Alexandra. – Kuh-leen.

Skóra i woda, ciepło i ciało: wdowy poddały się procesowi oczyszczania – Jane ubrana w plastikowy czepek, w którym wyglądała jak wiktoriańska pokojówka; Sukie, z długimi włosami barwy cedru związanymi i upiętymi, które dodatkowo osłaniała dłonią; Alexandra, która nie bała się zmoczyć sobie włosów, wepchnęła je w sam środek przemożnego żywiołu, po czym jej rozcapierzone palce wytworzyły mulistą pianę na czaszce, którą zaraz potem podstawiała pod ucisk i chłostę parzących, płynnych różeg. Rozigrana Sukie, jeszcze niewytarta do sucha, wyczuła uniesienie swojej siostry w magii czarnoksięskiej przenikające przez zaparowane drzwi i jeszcze raz weszła do kabiny; rozchichotana i znowu cała mokra stała obok drugiego ciała, które bynajmniej nie było dla niej nieprzyjemne; bulwiaste wypukłości i bryły ich obu ocierały się o siebie i zderzały z sobą, śliskie od mydła; ich skóry obmacywane z zamkniętymi oczyma sprawiały wrażenie lśniących i wypolerowanych. Po chwili Sukie, z zaróżowioną pupą i rozgrzaną twarzą, wymknęła się przez oszklone drzwi na zewnątrz, uciekając przed wilgotnymi pieszczotami przyjaciółki, a Alexandra wyszła zaraz za nią, bardziej statecznym krokiem, po czym zaczęła się giąć w ukłonach energicznego wycierania się ręcznikiem, czując już, jak od wyszorowanej głowy po cienką skórę na stopach mrowi ją przecucie mocy, którą trzy megierzy miały lada chwila przywołać.

Wszystkie wstydliwie, bo spowite w krążącą niematerialnie w powietrzu świadomość wspólnej nagości, zasiadły na świeżo odkurzonym, bordowym dywanie w głównym pokoju swej letniej kwatery. Włoski na ich przedramionach sterczały jak naelektryzowane; oczy, chcąc nie chcąc, karmiły się zmarszczkami, brodawkami i bliznami, zrogowaceniami i plamami wątrobowymi, zwiotczalnymi mięśniami i połączeniami pergaminowej skóry

pofałdowanej niczym lustro wody tknięte tchnieniem wiatru, popękkanymi naczynekami i artretycznymi deformacjami, którymi czas naznaczył ich niegdysiejszą urodę. Ta uroda z punktu widzenia natury była przydatna wyłącznie w celu przyciągnięcia przedstawicieli płci przeciwnej, aby ten je zapłodnił. Po osiągnięciu celu, tak jak samice wielu gatunków, oczywiście traktowały swych partnerów jak jakieś obrzydliwe odpadki, współdurniów prokreacyjnego szaleństwa. Ich oczy – metalicznie szare, szylkretowobrazowe, orzechowe ze złotymi plamkami – nie potrafiły się powstrzymać, by nie brać udziału w procesie tej niezwyklej lustracji: ledwie dostrzegalne, mikroskopijne ruchy gałek ocznych wysyłały do ust sygnały, że mają się rozciągać w ironicznych, refleksyjnych uśmiechach.

– No cóż, zaproszenie mówiło: „Przyjdź, jak stoisz” – przerwała milczenie Jane.

– Moim zdaniem, udało nam się, biorąc pod uwagę okoliczności – stwierdziła Alexandra.

– Tobie się udało – natarła na nią Jane. – Tłuszcz wszystko wygładza.

– Najgorzej z tyłkiem, prawda? – spytała z zadumą Sukie, usiłując obejrzeć samą siebie od tyłu. – Na całe szczęście – zauważyła – człowiek go nie widzi. Ale te cycki? Te cholerstwa obwisają. – Ujęła w dłonie swoje piersi i uniosła je na jakieś dwa cale wyżej, do tego poziomu, na którym znajdowały się trzydzieści lat wcześniej. Kiedy oderwała dłonie, było widać, że zeszywniały jej sutki. Pyszności.

– Moim zdaniem obie wyglądacie bosko – lojalnie zapewniała je Alexandra. – Może już nie Botticelli, ale też nie Grünewald.

– Nie powinnyśmy się już do tego zabierać? – spytała Sukie, która, o dziwo, była najbardziej skrepowana w swojej nagości. – Lexa, przypomnij mi, co robić. O co w tym chodzi.

– Uzdrawianie, słodziutka. Uzdrawienie tego, co dolega Jane, cokolwiek to jest, i naprawienie wszelkiego zła, które tu uczyniłyśmy.

– Jakiego znowu zła? – natarła na nią gniewnie Jane. – Kim ty jesteś, jeśli wolno spytać, żeby orzekać, co było złe, a co dobre? Żadna z nas nie lubiła Felicii, ale żadna też nie kazała Clyde’owi obić jej na śmierć pogrzebaczem.

– Pluła piórami i szpilkami, które wsadziłyśmy jej do ust. Za pomocą puszek na herbatniki, pamiętacie? – przypomniała Alexandra.

– Kto tak mówi? Oboje umarli tamtej nocy i nikogo przy nich nie było.

– Policja – wtrąciła się Sukie. – Znaleźli szpilki i pierze na podłodze, obok ciała. Nie wiedzieli, skąd one się tam znalazły, ale ja wiedziałam. Widziałam je, bo byłam tam niby po to, żeby zrobić reportaż. Wszystko było jeszcze mokre od śliny.

– Kto mówi, że to była jej ślina? – wyklócała się Jane. – W tamtych czasach nie robili jeszcze testów DNA.

– W jej ustach wciąż tkwiły szpilka i piórko – poinformowała ją Sukie. – Powiedział mi o tym znajomy gliniarz. Nie sądzę, byście go pamiętały – Ronnie Kazmierczak, brat tego chłopca zabitego w Wietnamie, którego imieniem nazwali Landing Square. Nie był gliną długo. Twierdził, że jego głównym zadaniem było niedopuszczanie, by ci, którzy nic nie mają, okradali tych, którzy coś mają; został hipisem i przeniósł się na Alaskę. Pisywał do mnie przez krótki czas. Twierdził, że zimno mu nie przeszkadza, przestał je czuć. Już tu nie wrócił.

– Tere-fere – zadrwiła Jane. – Pewnie to też nasza wina. Nawet jeśli Clyde'a zirytowało to, że pluła pierzem, raczej mało który mężczyzna zbilby swoją żonę po głowie za coś takiego.

– Jemu przeszkadzało to, że od rana do wieczora gadała jak najęta – powiedziała Sukie.

– Na litość boską, zapomnijmy o Clydzie i Felicii! – błagała Alexandra. – Z całą pewnością zabiłyśmy Jenny. W naszej kuchni, Jane. Ulepiłyśmy lalkę z wosku...

– Ty ją ulepiłaś – przerwała jej Jane.

– Ulepiłam ją z waszych porad i z elementów, które wy dostarczyłyście. Wszystkie wbijałyśmy w nią szpilki i wymawiałyśmy te słowa. Złe słowa. Umarła, nim minęło lato.

– Tere-fere – powtórzyła Jane. – Umarła na przerzuty od raka jajników. Cała była przeryta rakiem, siedział w niej od lat.

– Błagam – mimo woli wydyszała Alexandra. Zaparło jej dech pod wpływem tej myśli, wizji oszalałych komórek z intymnych miejsc.

– Ludziom to się wiecznie zdarza – ciągnęła niezmordowanie Jane. – Nasze zaklęcie prawdopodobnie nie miało z tym nic wspólnego. A zresztą ktoś inny też mógł rzucić zły czar. Brenda Parsley, Greta i Rose Hallybread były równie czarownicowate. W tamtych latach w mieście kłębiło się od wrogich sił.

– Od kobiecych sił – zgodziła się z nią Sukie, widząc, że Alexandrze, pogrążonej w lękach i wyrzutach sumienia, zasznurowało usta.

– Czekajcie! – krzyknęła Jane, która zagapiwszy się w przestrzeń, znienacka jakby coś zobaczyła. – Właśnie mnie coś naszło pod wpływem tego gadania. Człowiek, który powiedział do mnie „Cześć” przy Vane Street, pod budynkiem, gdzie doktor Pat ma swój gabinet, ten domniemany lokator Greta Neff, kilka kroków dalej, przy Oak. Wiem, kim on był. To był Chrissstopher Gabriel. Brat Jenny. Pamiętacie, jakim był przystojnym

chłopakiem? Darryl zaciągnął go do Nowego Jorku i potem obaj zapadli się pod ziemię. To był on.

– To był on – powtórzyła Alexandra.

Oprzytomniała z zapaści i niecierpliwie chciała zabrać się do rytuału uzdrawiania, naprawienia zła. Jane jak zawsze stwarzała przeszkody i była negatywnie nastawiona.

– Co on tu robi? – pytała tymczasem Jane. – Dlaczego wrócił?

– Tylko tobie się wydaje, że wrócił – wskazała Sukie. – Tylko ty go widziałas, albo ci się wydaje, że go widziałas, w tamtej ciemnej uliczce, w deszczu.

A jednak teraz, kiedy się nad tym zastanowiła, przypomniała sobie, że widziała Gretę w przedniej ławie kościoła unitarian, siedzącą w towarzystwie jakiegoś rosnącego mężczyzny, obcego mężczyzny, współnika. Greta wciągnęła piękną i dobrą Deborah Larcom do morderczego spisku.

– Ale ja go naprawdę widziałam – upierała się Jane. – To był on. On. Starszy, grubszy, bardziej pedałowaty, a jednak to był on. Piękny, mały Christopher. Miał te kręcone, anielskie, srebrzyste włosy. To on mi to robi.

– Co on ci robi? – spytała Sukie. – Jane, błagam.

Podobnie jak Alexandra, Sukie była już rozdrażniona tym, że Jane tak egocentrycznie odciąga je od ważniejszych spraw. Całą drogę do Providence i z powrotem coś jadła, a jednak teraz była głodna, ale przecież nie mogły nic zjeść, dopóki rytuał nie dobiegnie końca.

– On mnie morduje! – odparła Jane. – Gdziekolwiek pójdę, kopie mnie prąd! Wiecznie boli mnie brzuch! Może nie dokładnie brzuch, ale gdzieś w okolicach, jakby tam coś się przecierało. O tu, pod spodem. – Dotknęła swojego mostka, między oklapniętymi, drobnymi piersiami; przy jej nagości ten gest w odrażający sposób wywołał wizję mrocznego świata w jej wnętrzu – fioletowych organów poszczepianych asymetrycznie, śliskiego, czarnego wnętrza nasiąkniętego krwią krążącą po nim bez końca. Nie, nie bez końca. Wszyscy mamy swoje końce. Serce odmierza czas. Czas nas dobija.

– To interesujące, Jane – wtrąciła się dość wyniosłym tonem Alexandra. – Możemy w tym pogrzebać, zaczynając od Grety, ale muszę powiedzieć, że zajmowanie się nią nie współgra z wyznawaną przeze mnie ideą miłego spędzania czasu. Niemniej...

– Tu nie chodzi tylko o mnie – ciągnęła Jane, wciąż podminowana. – Nie myślcie wy sobie, że jesteście biernymi obserwatkami. On dybie na pewno również na was. Wini nas wszystkie za śmierć swojej siostry. Darryl na pewno użyczył mu części swoich mocy i teraz przyjechał tu, żeby nas dopaść. On gdzieś tam jest. Czuję to.

– Dziecino, przestań – błagała Alexandra. – Jeśli naprawdę czujesz to, co czujesz, w

takim razie tym bardziej powinnyśmy wznieść stożek mocy. Będziemy uprawiały białą magię. Będziemy się modlić do Bogini w twoim imieniu. Powiemy jej, że żałujemy za to, co zrobiliśmy Jenny.

– Za późno – oświadczyła Jane. – Wcale nie żałuję.

– A ty co myślisz? – Alexandra zwróciła się do Suki.

– Myślę, że powinnyśmy się wreszcie zabrać do tych przygotowanych przez ciebie idiotycznych rzeczy, a zaraz potem porządnie się najeść. Od południa jadłam tylko lody z niedobrą posypką.

– Ja bym sobie chlapnęła martini – oświadczyła Jane. – Naprawdę z wielką ochotą. Tylko nie przesadz z wermutem, Lexa, jeśli mogę cię prosić. – Alexandra jednak nie kwapiła się z powstaniem z miejsca, więc Jane dodała ze zniecierpliwieniem: – Nie ma sprawy, obiboku. Sama sobie zrobię.

– Mam taką nadzieję – powiedziała jej Alexandra. – Ale nie jestem pewna, czy w domu jest jakiś wermut.

– No to pieprzyć wermut. Muszę coś na siebie włożyć albo trzeba będzie zapuścić ogrzewanie.

Głodna Suki odkryła ser i krakersy; jej usta zaiskrzyły się od soli i okruszków. Wielkie zęby wybrzuszały się leciutko, nadając jej pełnym ustom prowokacyjny, subtelnie wydęty kształt.

– Ten munster jest przepyszny – powiedziała na użytek Alexandry. – Za to gouda jest chyba troszkę przesuszona. Gdzieś ty je kupiła? Mówiłaś, że w Stop & Shop? W Jamestown mają lepszy sklep z serami.

Zasypywała okruskami jedzenia magiczny krąg; jej białe stopy nieświadomie rozmazywały linię starannie wytyczoną za pomocą proszku do prania. Kostki Suki, mimo że wciąż szczupłe, były poznakowane pajęczkami, przez co wydawało się, że na stopach ma białe skarpetki zdobione czerwonymi nitkami.

– Błagam – powiedziała Alexandra, rozdrażniona niemalże do łez niesubordynacją swego mikrogo sabatu. – Przywróćmy porządek. Bogini nienawidzi zamieszania. Nienawidzi złego gospodarzenia.

– To ona gospodarzy? – zdziwiła się Suki.

– Mnie za bardzo boli, żeby to robić – oznajmiła Jane, wracając z kuchni. – I faktycznie znalazłam wermut, tam gdzie myślałam, Lexa. Ale ktoś go już pił. Kto? Czy może mamy tu myszy-alkoholiczki? – Upiła łyk i zrobiła kwaśną minę.

Alexandra zignorowała ją.

– Zanim poprosimy Boginię o cokolwiek, musimy wejść do kręgu – wyjaśniła. – Ta szczotka to portal. Przesunę ją na bok. Ale zanim tam wejdziemy, musimy zatoczyć nią krąg od wewnątrz, w stronę *deosil*.

– *Deosil?* – spytała Sukie. – Co to jest *deosil*?

– Jak mogłaś zapomnieć, dziewczyno? Zgodnie z ruchem wskazówek zegara. To jest właściwy kierunek. Jeśli chcesz czynić zło, zataczasz krąg w stronę *widdershins*¹⁵, na opak, przeciwnie do ruchu wskazówek zegara.

– Straszny formalizm – poskarżyła się Sukie. – Mam wrażenie, że kiedyś robiłyśmy to zupełnie naturalnie; bycie czarownicą stanowiło tylko etap w życiu, jak menopauza.

– To było przed menopauzą – powiedziała Jane. – Tuż przed tym, zanim dałyśmy sobie spokój z tymi sprawami. Och, tamto piękne *sang de menstruës*. Kto by pomyślał, że będziemy za tym tęsknić? Te bolesne skurcze, które dopadają mnie obecnie, są o wiele gorsze. I nie ma w tym udziału żadnego jajeczka, żeby rodzić w nas chęć do życia.

– Musisz się rozluźnić. Wszystkie musimy się rozluźnić – mówiła im Alexandra głosem, który miał brzmieć kojąco, swym macierzyńskim głosem. I pozostałe dwie nie zaprotestowały, kiedy poprowadziła je dookoła kręgu, trzy razy *deosil*. Nocny mrok za oknami był dostatecznie ciemny, by uczynić z okien lustra, w których odbijały się ich blade, rozdygotane ciała, podświetlane od dołu przez mrugające płomyki malowanych, przysadzistych świec ustawionych w pięciu miejscach na podłodze, wyznaczających niewidzialny pentagram. Z obawy, że w trakcie schylania się niechcący mogłaby uwolnić jakiś niemiły smrodek z anusa, Alexandra przesunęła na bok szczotkę i weszła do otwartego kręgu. Sukie weszła za nią, a potem Jane. Ich trzy cienie bezszelestnie krążyły po niskim suficie, nakładając się na siebie, powiększając, powielając w światłach pięciu świec. Stały tam, dostatecznie blisko siebie, by mogły się wydawać jednym ciałem – gdyby jakaś zjawa zajrzała do środka przez okno, wytrzeszczonymi oczyma.

Ciszę przerwała Jane, bez wdzięku, ochryłym głosem:

– Co robi ta stara deska do chleba na środku?

– To ołtarz – wyjaśniła Alexandra głosem ostentacyjnie przyciszonym, dopasowanym do misteryjnej atmosfery. – Znalazłam ją w kuchni, pod zlewem, obok tac na filiżanki.

– A ten kosz z brązu? – spytała Sukie, próbując mówić takim samym, pełnym szacunku tonem.

¹⁵ *deosil widdershins* – Oba terminy przyjęte przez wyznawców ruchu Wicca z folkloru szkockiego: *deosil*, lub bardziej zgodnie z pisownią gaelicką *deasil*, to ruch zgodny z ruchem słońca, *widdershins* jest ruchem odwrotnym.

– To mosiądz. Z pchlego targu w Old Wiek. Mały dzwonek pochodzi z innej... ktoś nim przywoływał na kolację w czasach, gdy wszyscy w Newport mieli pokojówki i lokajów. Te kielichy – podała każdej z nich po jednym kielichu – kupiłam przy Dock Street. Eastwick jest o dziwo znakomicie zaopatrzone do uprawiania rzemiosła.

– Rzemiosło – powtórzyła Sukie. – Od lat nie słyszałam tego terminu w tym kontekście. – Obracała w swej szczupłej dłoni kielich, czując, że jest lżejszy od ptaka. – To cynfolia – stwierdziła z lekkim zdumieniem.

– Nie baw się nim, proszę. Nalewam. – Alexandra wyciągnęła rękę, czując przy okazji powiew smrodu spod swojej pachy, i przeniosła zza kręgu ciężki, szklany dzban z chianti Carlo Rossi.

– Ale sikacz – powiedziała Jane, ale i tak podsunęła swój kielich, żeby dodać jeszcze wino do martini i margarity.

W rozdygotanym, mętym świetle czerwone wino wydawało się czarne. Trzy przekłete dusze uniosły swoje sztuczne kielichy – z kruchego, pozłacanego kartonu, z plamkami farby udającymi klejnoty – i stuknęły się nimi.

– Za nas – wzniosła toast Alexandra.

– Za nas.

– Tak. Za nasss.

Sukie wytarła mgiełkę wina z cieniuteńkich włosków nad swoją górną wargą i przyjrzała się uważnie przemyślnej aranżacji przedmiotów na dywanie. Jej głos brzmiał protekcyjnie, a jednak współczująco.

– Lexa, kochanie, tak się napracowałam, żebyśmy mogły połączyć się z Boginią.

– To ona jeszcze nie ma komórki? – zażartowała idiotycznie Jane.

Błuznierstwo zazgrzytało niemile w uszach jej przyjaciółek; rozumiały, że jest objawem złego stanu zdrowia Jane.

– Jej numer jest zastrzeżony – powiedziała Sukie głosem automatu telefonicznego.

Żadna się nie zaśmiała.

Żalobnie czarne okna – termoszczelne okna z plastiku, z pokrętłami, które kiedy były nowe, działały jak magia, ale z czasem gromadziły brud i rdzę, stając się zupełnie odporne – skarciły tę gadaninę milczeniem. Przyglądały się tym podejrzanym aktom magii czarnoksięskiej, odbywającym się w tym pokoju, niczym rząd wdów o kanciastych ramionach, pogrążonych w niemej rozpacz.

– A gdzie talia kart? – spytała Sukie głosem najlżejszym i najmłodszym z nich trzech, napiętym pod ciężarem mocy, które zaraz miały być przywoływane. – Zabawimy się w stare

panny?

Znowu nie odpowiedziano jej śmiechem. Wszechświat kryje w sobie ogrom nicości, a jednak te przeogromne przestrzenie dzielące jedną gwiazdę od drugiej to rodzaj mało poręcznych drzwi, które można otworzyć, przez które można wpuścić do środka niespodziane porywy wiatru i jęki budzących się w ślimaczym tempie zjaw.

– Mam talię kart do tarota – wyjaśniła Alexandra. – Kupiłam ją na mieście. Usiądźmy.
– Jej głos stał się spokojny, łagodny, niewymuszenie zdecydowany. – Czy wszystkim jest wygodnie na tych poduszkach? Macie dość miejsca na nogi?

Po prawdzie z początku było trudno tak się usadowić na tej przestrzeni wielkości zwykłego łóżka, by ich nogi i ręce nie zachodziły na siebie wzajem i żeby nie pokazywać, przez zadzieranie kolan albo ich rozwieranie, dolnych partii ich ciał, owłosionych, cuchnących i od wielu chrześcijańskich stuleci niewymownych.

Alexandra wzięła do ręki mały srebrny dzwonek, brzęczącą pamiątkę po dawnym systemie klasowym, i lekko nim potrząsnęła, jakby chciała wezwać sługi. Pytający kurant rozszedł się perłście poza ich krąg, zagarniając coraz to szersze kręgi zewnętrznej przestrzeni.

– Czy wciąż jeszcze pamiętamy – spytała łagodnie Alexandra – imiona członków jej świty? – I zaczęła litanię: – *Aurai, Hanlii, Thamcii, Tilinos, Athamas, Zianor, Auonail.*

Jane podjęła litanię z żarliwością cierpiącego, tak znękanego przez chorobę, że aż jest gotów popełnić świętokradztwo.

– *Tzabaoth, Messiach, Emanuel, Elchim, Eibor, Yod, He, Vou, He!* Ależ to dziwne, że jeszcze pamiętam!

Sukie zaczęła z wahaniem:

– To było tak dawno... *Astachoth, Adonai, Agla...* to są te trzy na „A”... potem są *On, El, Tetragrammaton, Shema, Ariston, Anaphaxeton...* na pewno wystarczy jej tej świty, Lexa.

Cisza. Czarne okna. Małe, migotliwe płomyki świec wykwitające z bębenków kolorowanego wosku, od których biło mdlącymi, perfumowanymi zapachami, przygłuszającymi wszelkie wonie, którymi wionęło spomiędzy grzesznych, lubieżnych nóg, z gniazd niegdyś gęstych i sprężystych pukli, które z czasem stały się cienkie i zszarzałe, tych łonowych zegarów tykających w ukryciu ich majtek przez kolejne dziesięciolecia.

– Bogini, jesteś tam? – Alexandra uroczystym głosem zwróciła się do tej ciszy. Zadzwonila dzwoneczkiem i po kilku sekundach spytała cicho pozostałe dwie: – Czujecie wibracje?

– Raczej nie – przyznała Sukie.

– Może trochę tak – zaryzykowała Jane, pełna nadziei w swojej sprawie.

– Nie wolno nam jej poganiać. – Alexandra, tak delikatnie, że to zabrzmiało jak przeprosiny, jeszcze raz zadzwoniła i potem jeszcze raz.

– Zdecydowanie to czuję. Czuję ją – skwapliwie zapewniła Jane. – Mam to wrażenie przepełniającego mnie ciepła, które mówi, że wszystko będzie dobrze. Ona mnie wzięła w swe ramiona!

– To dobrze – zagruchała Alexandra, przytulając Jane. – To dobrze. – Zamknęła oczy, żeby lepiej odbierać wrażenie zespolenia, które dawało się przyrównać do stacji radiowej przechwyconej między dwiema innymi stacjami: cicha muzyka, melodia, która usiłuje się przebić przez trzaski i szumy. – Każda z nas – zaintonowała – nosi w sobie przeszkody i hamulce, które nas obezwładniają, które nie pozwalają nam być wolnymi. Bogini, rozwiąż te *aiguillettes*.

Cisza. Zgrzyt opon samochodu na parkingu pod domem. Czyjego? Jakiejś zjawy z minionego czasu.

– No to co teraz? – spytała szorstko Sukie. – Jak długo będziemy musiały czekać i na co?

Dlaczego to Sukie była źródłem niezgody, zwątpienia? Alexandra domyślała się, że jest zazdrosna o Boginię. Wciąż sama chciała być boginią.

– Zamknij się – powiedziała Jane do Sukie. – Daj mówić Bogini.

– Nasze obrączki ślubne – natchnęło Alexandrę. – Jej zdaniem nie powinnyśmy ich nosić. Stoją między nią a nami. Między nami a rzeczywistością astralną. Możecie je zdjąć?

– Mój Boże, oczywiście – odparła Sukie. – I tak stale mi spada, kiedy myję ręce, i potem grzechocze w umywalce. Robi wszystko, żeby uciec do ścieków.

Alexandra przekonała się, że jej obrączka jest najbardziej oporna; zaklinowała się w tłuszczu na jej palcach. Walcząc z bólem, przecisnęła ją wreszcie przez pierwszy staw, przez zbiegające od nacisku, sprasowane fałdki. Obrączka pozostawiła białe wgłębienie na jej palcu jak na korze drzewa, na które kiedyś nałożono opaskę.

– Połóżmy je na ołtarzu – zarządziła. – Lewymi dłońmi, tymi, na których je nosiliśmy.

Trzy złowieszcze dłonie wyciągnęły się, umieszczając obrączki w taki sposób, że stykały się z sobą – grube kółko ze złota należące do Sukie, z wygrawerowanym wewnątrz *Na zawsze* przez jubilera w Greenwich, cieńszy pierścienek Jane przypominający ogniwo z długiego łańcucha przodków Nata Tinkera i obrączka Alexandry, średniej wielkości i noszona najdłużej, która została wsunięta na jej palec serdeczny w jasnym świetle dnia wypełniającym kaplicę z piaskowca, ozdobioną witrażami przedstawiającymi krajobraz pośladowanych,

suchych gór Zachodu. Zaplamione nikotyną palce Jima Farlandera drżały, kiedy wkładał tę obrączkę na jej palec, albo z powodu kaca po wieczorze kawalerskim, albo ze zwykłego zdenerwowania. Ona miała nosić obrączkę, on natomiast miał dźwigać małżeńskie kajdany. Pod jego dotykiem wyczuła, jaki jest zalękniony, i dlatego swoje przysięgi wyrecytowała niczym parobek na farmie, który uspokaja z miłością spłoszonego konia. W oczach zrobiło jej się ciepło pod wpływem tego wspomnienia; niewykluczone, że te napływające łzy były darem Bogini.

– Stało się – oznajmiła na głos. – Jesteśmy wolne. Wszelkie *aiguillette*, które wiążą nasze serca, zostały rozwiązane. Niechaj twoja moc uzdrowicielska wnuknie w nas bez przeszkód. Należymy w całości do ciebie. – A potem zwróciła się do pozostałych wyznawczyń kultu: – Oto, jaka zrodziła się we mnie myśl: naprawimy nasze złe uczynki przez zrobienie czegoś dobrego.

– Dobro, zło – rzuciła z pogardą Sukie. – Liczy się kontekst. To, co jest dobre jednego dnia, następnego jest złe. W miłości i na wojnie wszystko jest dozwolone.

– Przestań – zaskamlała Jane. – Staramy się mnie wyleczyć. Walczymy ze złem, którym nęka mnie Chrisstopher.

Sukie przyglądała się własnej dłoni.

– Podoba mi się bez obrączki. Jest naga. Naprawdę uwielbiam nagość.

– Dla mnie to straszne, że zdjęłam swoją – wyznała Alexandra. Obrączka ślubna, pomyślała, to *aiguillette*: wiąże nas, a jednocześnie pomaga nam pamiętać.

– Lexa, co teraz? Powiedz nam, co mamy robić? – błagała Jane. Ulegała dziwnej regresji, jej głos stawał się coraz bardziej infantylny.

Alexandra wzięła do ręki karty do tarota i rozłożyła je na dywanie, figurami do góry, w ich czterech archaicznych kolorach – Puchary, Denary, Buławy i Miecze – a oprócz tego dwadzieścia dwie karty tworzące grupę Wielkich Arkanów. Były to kolorowe małe furtki do alternatywnej rzeczywistości.

– Wybierzcie sobie po jednej – poinstruowała Sukie i Jane – takiej, która przypomina wam kogoś znajomego, kto jest w potrzebie, kogoś, kto ma kłopoty. Skupcie się na swojej karcie pod stożkiem mocy, a kiedy poczujecie, że dokonaliście transferu do płaszczyzny astralnej, spalcie ją.

– Mamy ją spalić?

Alexandra wzięła do ręki zapalki, które leżały na ołtarzu, te same, którymi zapaliła aromatyczne świece, migotliwie wionące dymnymi perfumami.

– Próbowałam znaleźć takie karty, które nie są zbyt grubo powlekane. Ja będę

pierwsza. – Omiotła wzrokiem nierówny szereg i wybrała kartę dworską, Królową Pucharów, która swą pustą twarzą przywodziła na myśl Veronicę Marino O'Brien, gdyby jeszcze Veronica naśladowała królewski majestat swej matki. Alexandra pochyliła głowę i za pomocą neuronowych wiązań przelała na ten mały, szklisty prostokąt portret osoby, którą ta karta przypominała, portret, który nosiła we własnym wnętrzu. I zwróciła się do Bogini z modlitwą: *Spraw, by stała się płodna. Rozwiąż jej jajowody. Pozwól jej przejąć swoją spuściznę, płodność swych rodziców, Giny i kochanego Joego.* Alexandra czuła, że została wysłuchana, że Bogini wychyliła się z gwiazd, wlokąc za sobą długie, rozwiane włosy niczym kometa swój warkocz. A potem uniosła kartę za jeden róg i przyłożyła zapalną do przeciwległego rogu; kiedy karta zapaliła się niechętnie, suplikantka wrzuciła ją do mosiężnego kosza, gdzie chwilę płonęła niebieskim płomieniem obrzeżonym na zielono; powleczony warstwą chemikaliów papier skręcił się do wewnątrz, a na koniec cieniutki prostokąt z popiołu rozpadł się niczym porcelana z pajęczej sieci. Przyglądała się procesowi utleniania z takim napięciem, że jej czoło, gardło i okolice obojczyka empatycznie pokryły się potem; krąg, który wyrysowała, stał się podstawą stożka mocy niczym tipi z bawolej skóry z wnętrzem rozgrzanym od ogniska z gałązek mesquite usypanego w samym środku.

– Ja będę następną – powiedziała Sukie – mimo że nie jestem przekonana do tego na sto procent. – Wzięła do ręki Giermka Denarów, młodzieńca o profilu zarozumialca. Pokazała go pozostałym zbrodniarkom, zamknęła oczy i za pośrednictwem wiotkiego kartonika wysłała swoje życzenie, swoje najgłębsze pragnienie związane z jej okaleczonym kochankiem, Thomasem Gortonem. *Uzdrów go, rozkazała we własnym wnętrzu. Dokonaj niemożliwego, tak jak to robisz z każdymi narodzinami, z każdym zakochaniem.* Czuła w sobie Boginię, czuła siłę seksu i pokolenia, wstążkę DNA splecioną w Afryce i wijącą się ku rozświetnionej przyszłości, komórki powstające z mikroskopijnych węzłków, tworzące wyprostowanych mężczyzn i kobiety, dziewiczych i pięknych w każdym ścięgnię i żył. Wzięła zapalną; płomyk rozrósł się powoli – czerwony ogień rozlał się po całej karcie niczym hordy dokonujące najazdu na żywą mapę ludzkiej historii, trawiąc czarnymi bąblami profil zarozumialca. Sukie wrzuciła arkusik popiołu do kosza, gdzie skręcił się i słyszalnie zmarszczył na ostatnim etapie swojej molekularnej transformacji. Poczowała pieczenie w palcach lewej dłoni, bo trzymała go za długo. Kiedy oderwała wzrok od spopielonych resztek, zauważyła, że pod sufitem zebrała się niebieskawa mgielka. Zastanawiała się, jak czuły jest wykrywacz dymu w mieszkaniu, i modliła do Bogini, by ta go zdławiła.

– Teraz ty, Jane. Twoja kolej – poinstruowała Alexandra, opiekuńczym głosem matki-czarownicy, pośrednika natury, acz nie była pewna, czy Jane ma w sobie zdolność do dobrych

uczynków. – Weź kartę.

Jane wyciągnęła swą zwiędłą rękę i wydawało się, że sięga po kartę atutową zwaną Diabolo. Karta przedstawiała szkielet we wdzięcznej pozie, ze skrzyżowanymi łydkami, uzbrojony w długi łuk i strzałę wielkości włóczni. Krążąca nad nim dłoń Jane cofnęła się gwałtownie, a potem sama Jane wydała z siebie zduszony okrzyk, który przykuł spojrzenia dwóch pozostałych do jej twarzy; ta twarz wydawała się przekrwiona i dziwnie czymś zaabsorbowana. Oczy wzierające spod męskich, ciemnych brwi przeskakiwały to na jedną, to na drugą z przyjaciółek. Na chwilę na twarzy Jane pojawił się jakby wyraz oburzenia. A potem jej gałki wywróciły się w oczodołach. Otwarte usta szerniały od krwi.

– Dziecinko! – krzyknęła Alexandra, zniecka kochając Jane, pragnąc naprawić to, co tu zaszło, cokolwiek to było.

– O Boże! – jęknęła Sukie.

Bogini wyparowała. Ubywający księżyc płonący za oknami pochylił swą kulę w stronę niewidocznego słońca. Obie kobiety, wciąż całe nagie, mozolnie starały się objąć i wyprostować ciało trzeciej; Jane zwiotczała jak opróżniony bukłak na wino, choć jeszcze skręcała się w atakach oporu wobec tego, co ją opętało.

– Cholera. To boli – wyszeptła skręcająca się z bólu wdowa.

Razem ze słowami z ust lała jej się krew, gdy tymczasem Alexandra wystrzeliła z miejsca niczym błyskawica z roztrzęsionego, nagiego ciała; złapała za telefon, żeby wystukać numer, który nie był zastrzeżony dla nikogo: 911.

CZEŚĆ
TRZECIA

WYBIELONE

Kobieta na drugim końcu linii zapewniła Alexandrę, że pracownicy pogotowia wiedzą dokładnie, gdzie są Nadmorskie Apartamenty u Lenoksów – „W bok od drogi wzdłuż plaży, gdzieś tam schowane po lewej stronie”, pochwaliła się swoją wiedzą dyspozytorka, wpadając w gawędziarski ton. A jednak minął bolesny kwadrans, zanim zawyła syrena ambulansu, najpierw w oddali, potem nadzwyczaj blisko; jej wrzask ucichł jak nożem uciął pośród zgrzytania hamulców i chrupania żwiru na podjeździe. Na samym początku tegoż kwadransa Sukie rozcierała ziębnące dłonie Jane, Alexandra natomiast usiłowała – z upokarzającym brakiem kompetencji i obrzydzeniem – wetchnąć życie w mokre, zwiotczałe usta przyjaciółki i zmusić pięściami jej serce, by znowu zaczęło bić. I mimo że cały czas próbowała sobie przypomnieć, na podstawie wiedzy zaczerpniętej z seriali o szpitalnych dramatach, które zdarzyło jej się kiedyś oglądać jednym okiem w telewizji, co jeszcze mogłaby zrobić, żeby uchronić Jane przed osuwaniem się w otchłań, która znienacka otwarła się pod nimi, to jednak czuła, że te jej niezborne wysiłki są nie tylko przeżarte paniką, ale i kompletnie jałowe. Miała wrażenie, że w jej uszach, kiedy tak je przyciskała do cherlawej piersi przyjaciółki, cały czas bulgocze jakiś podziemny strumień. Jane miała zamknięte oczy, a jej ciało przestało stawiać opór swemu niewidzialnemu oprawcy.

Pierwsza wysoka fala kryzysu wymyła z obu kobiet świadomość, że są w stroju Ewy, ale po chwili, podobnie jak tamta para z Ogrodu, połapały się i przestraszyły.

– Jadą tu już? – spytała Sukie, która Alexandrze wydała się w tym momencie znowu młoda, niemalże znowu dziewczynska, bo panika napięła rysy jej twarzy do stanu idealnej gładzi. – Rany boskie, Lexa, musimy się ubrać! Musimy ubrać Jane! Gdzie ona położyła swoje ciuchy?

– Brała prysznic osobno, pewnie są w jej pokoju.

Potworne zgęstnienie okoliczności zatkało mózg Alexandry; im szybciej biło jej serce, tym wolniej się poruszała, własne kolana i dłonie wchodziły jej w pole widzenia niczym kamera w kadr filmowca amatora. Musiała się zmusić, żeby wejść do małego, pozbawionego okien pokoiku Jane, w którym już panowała martwota krypty. Na wąskim, jednoosobowym łóżku leżały równo złożone czarne spodnie, brązowy sweter i bielizna. Buty Jane, proste, ascetyczne pantofle na niskim obcasie, w bostońskim stylu, stały schludnie pod łóżkiem, z noskami w równej linii. Jakże niewinne i bezbronnie nagle się wydały, jakie bezużyteczne!

Pozostałe dwie lokatorki wcisnęły ją tutaj, jakby Jane była starą, niezamężną ciotką albo trudnym dzieckiem, do tej izdebki, do której słońce wnikało jedynie przez zmętniały, plastikowy świetlik. W ostrym, elektrycznym świetle Alexandra spostrzegła swoje odbicie w wielkim lustrze umocowanym do wewnętrznej strony drzwi: ręce pełne rzeczy Jane, ramiona i dolne partie ciała nagie. Zszokowały ją usta usmarowane jaskrawą czerwienią: to była krew Jane, ubrudziła się nią podczas tych kilku chwil, kiedy usiłowała użyczyć jej oddechu.

Ubieranie ciała, które nie stawia żadnego oporu, przypominało nieprzyjemne przejścia towarzyszące ubieraniu dziecka – te obrażone kończyny, które za nic nie chcą wyginać się jak należy, to przetaczanie się zawziętego, martwego ciężaru. Sukie, która szarpała i pchała razem z nią, podzieliła się w trakcie refleksją:

– A pamiętasz te paski do pończoch, które musiałyśmy nosić jeszcze w latach pięćdziesiątych? Te z żabkami? Czy to nie było barbarzyństwo?

– Były zbrodnicze – zgodziła się z nią Alexandra. – Biodra to aż piekły z gorąca.

– Dzięki Bogu za rajstopy.

– Dzięki Bogini, tak bym powiedziała.

– Tylko nie to! Po tym wszystkim trzymaj tę swoją Boginię z dala ode mnie.

Kiedy wspólnie naciągały spodnie, Alexandra spytała:

– Domyśliłabyś się, że Jane będzie nosiła takie nisko zawieszane gacie? I na dodatek z koronkowym brzeżkiem?

– Miała oryginalnego mężusia, w którym musiała podtrzymywać zainteresowanie. Zwierzała mi się, że podniecenie go wymagało potężnych zabiegów.

– Mi też to mówiła.

– Ale prawda jest też taka, że trudno się wyrzuca majtki, bo człowiek zawsze myśli: „A co tam, upiorę je jeszcze raz”.

Kiedy podźwignęły Jane, żeby włożyć biustonosz i sweterek, Alexandra spytała lękliwie:

– Czy twoim zdaniem ona jest ciepła jak należy?

– No cóż – odparła Sukie – jakoś nie widzę krwi zbierającej się w czubkach palców. W kryminałach to częsta wskazówka.

– Mogłabyś podać mi to przenośne lustro z ołtarza? Przyłożę je do jej ust.

– Lexa, weź się zlituj. Jesteśmy w stanie zrobić coś więcej oprócz tego, co robimy? Możemy tylko sprawić, żeby wyglądała jak człowiek.

– Wiem, wiem. Cholera, wiem, że nie zdziałamy nic więcej, bo ani nie jesteśmy lekarkami, ani choćby lepszymi czarownicami.

– Gdybyśmy były lepszymi czarownicami, to nic by się nie stało – orzekła Sukie.

Zawahala się, zanim weszła do magicznego kręgu, by zabrać stamtąd lusterko, po czym skrupulatnie odstawiła szczotkę udającą miotłę na bok, zamiast zwyczajnie przez nią przestąpić, jakby magia kręgu utraciła już swoje oddziaływanie. W przyłożonym do ust Jane lusterku, które jeszcze kilka chwil wcześniej miało posłużyć za okno do innego świata, podskakiwało odbicie jej powiększonych rysów; Alexandrze trzęsła się ręka, ale mimo to na lusterku zebrały się plamki mgły, oddechu życia.

– Jak myślisz, co to było? – zadumała się Sukie. – Ona tak jakby eksplodowała.

– Stale się skarżyła, że prąd ją kopie – przypomniała Alexandra. – Popatrz. Jak ci ona wygląda?

Ciało Jane leżało rozciągnięte na dywanie, dziwacznie kojarząc się z panną młodą, bo przecież zostało ubrane przez inne osoby. Jeden z kącików ust zapadł się do środka, jak wtedy, gdy ich przyjaciółka wygłaszała jakiś słowny żart, z którego była szczególnie dumna. Ręce miała skrzyżowane na piersi; sprawiały wrażenie za dużych i za mocno pożyłkowanych jak u tak drobnej kobietki.

– Obrączki ślubne – przypomniała sobie Alexandra. – Przynieś je.

Sukie usłuchała, a potem zasugerowała:

– Lepiej posprzątajmy te wszystkie rzeczy, zanim przyjedzie pogotowie.

– Nie nazywaj ich rzeczami. Nazywaj je „narzędziami”. Albo „kanalizatorami energii”.

– I przynieś odkurzacz, trzeba usunąć ten krąg z dywanu.

– Nasz magiczny krąg uległ zwarceniu – powiedziała Alexandra.

– Gadasz zupełnie jak Jane. Jakie to wszystko jest straszne. Nie potrafię uwierzyć, że to się stało. – Sukie przykucnęła na swych tłustiejących udach, kołysząc lekko piersiami, żeby wsunąć obrączkę na niewrażliwą dłoń Jane.

– Lewa dłoń – przypomniała jej Alexandra.

– Prawda, kotuś. Ta z odciskami.

Obrączka Alexandry bynajmniej nie okazała się mniej oporna przy wsuwaniu jej z powrotem przez drugi staw niż przy zdejmowaniu.

– Musimy się ubrać – zauważyła Alexandra.

– Stale zapominam, że jestem gołą. Czy to nie jakieś wariactwo?

– Wyglądasz uroczo. – Alexandra zerknęła z poczuciem winy na ich nieprzytomną partnerkę w grzechu. Czowała potrzebę, żeby odprawić jakiś ceremoniał.

– Kochamy cię, Jane – zawołała ponad wciąż rozrastającą się przepaścią.

– Kochamy cię, Jane – powtórzyła Sukie. – Trzymaj się tam.

Obydwie pospiesznie pobiegły się ubrać i zrobić porządek z włosami, a Alexandra dodatkowo umyła twarz i umalowała usta szminką. Już słyszały syrenę ambulansu, z odległości mili, od strony drogi biegnącej wzdłuż plaży, z tego miejsca, gdzie kiedyś kwitł i rodził owoce stary sad jabłoniowy, zanim przeobrażono go w szeregi produkowanych fabrycznie domków; syrena stawała się coraz głośniejsza, w miarę jak zbliżała się do brodu, a potem okrążyła swym ogłuszającym beczeniem dawny dwór Lenoksów i dopiero wtedy zahamowała na żwirze pod ich oknami. Sukie pospiesznie pozbierała karty, dzwonek, lusterko, świece, deskę do chleba i mosiężny kosz z płatkami popiołu, pamiątkami po dwóch ognistych inwazjach płaszczyzny astralnej; zniosła to wszystko do kuchni i tam trzaskała drzwiczkami szafek, gdy tymczasem Alexandra jeździła ryczącym elektroluksem po świętym kręgu. Drobinę proszku grzechotały najpierw w sztywnej rurze, potem w giętkiej rurze, wsysane do podziemnego świata zaludnionego przez roztocza żyjące w kurzu.

Na dole zazgrzytał dzwonek, Sukie wpuściła gości do środka. Schody zatrzęsły się pod kanonadą kroków; ekipa pogotowia w żółtozielonych kitlach wparowała do mieszkania przez otwarte drzwi. Było ich troje, dwóch mężczyzn i kobieta, wszyscy młodszy od każdego z dzieci wdów. Mężczyzna, który niósł najwięcej sprzętu, powiedział zadyszczonym głosem:

– Mieliśmy kłopot ze znalezieniem tego miejsca. Nikt w mieście nie chciał nam powiedzieć, gdzie to jest.

Kobieta, która niosła najlżejszy sprzęt, zmarszczyła nos, bo wychwyciła słodkawą woń świec i zauważyła na dywanie półkoliste ślady po świeżym odkurzeniu. Niemniej leżał przed nimi ich nagły przypadek; po kilku minutach wynieśli Jane na noszach, ciągle jeszcze żywą, jak zapewniali, opatuloną jednak po szyję w srebrzysty koc termalny i podłączoną do bezbarwnych kroplówek, które odżywiały ją przez nadgarstki.

Umarła w szpitalu Westwick jeszcze tej samej nocy, a raczej nad ranem, kiedy luna ubywającego księżyca, podobnego do rozmiękłego opłatka, ustępowała już miejsca pierwszym herbacianym promieniom świtu. Pękła jej tętnica brzuszna i nie było sposobu na załatanie dziury; krew zatopiła wnętrzności. Doktor Pat miał następnego ranka odczytać zdjęcie rentgenowskie, a jego syn w Providence miał zaproponować jakąś zapobiegawczą operację, która dla kobiety w jej wieku, w nie najlepszym stanie zdrowia, jak wynikało z historii najświeższych badań, niosła z sobą znaczne ryzyko. Nikt, twierdziły autorytety lekarskie na użytek dwóch zasmuconych przyjaciółek, nie był tutaj winien. A co się tyczy samego zgonu, to zgon Jane był prędko i łatwy – w otoczeniu samych przyjaznych dusz. Nie bezbolesny, ale ból trwał zaledwie kilka sekund, zanim jej świadomość przestała

funkcjonować.

Z nich trzech Jane była jedyną czarownicą, która naprawdę potrafiła latać i która po śmierci wyciągnęła pozostałe dwie z Eastwick. Po upływie zaledwie miesiąca miasto jeszcze raz rzuciło ten sam czar, którym zwabiło nieszczęsne trio kilka dziesiątków lat wcześniej – osobliwe poczucie, że na granicach miasta przestaje istnieć jakakolwiek substancjalna rzeczywistość. Ich plany, omawiane telefonicznie i w e-mailach przez całą wiosnę, by wykorzystać Eastwick jako odskocznię do ukulturalniających wypadów w inne miejsca – do Providence i jego muzeów, wybrzeżem do New London i do Newport – okazały się zbyt ambitne. Pod wpływem uwodzicielskiego kieratu codziennych rytuałów, posiłków, spraw do załatwienia i trojakiemu pościgu za lokalnymi atrakcjami, do życia zakradła się inercja.

Teraz jednak, za sprawą śmierci Jane i związanych z nią zobowiązań towarzyskich, zewnętrzny świat rzucił się do niespodziewanego ataku, stymulując i ekscytując dwie pozostałe przy życiu czarownice swoją barwnością i zróżnicowaniem. Brookline, renegacki miejski byt wczepiony w Commonwealth Avenue¹⁶ niczym wielka wesz wysysająca życiodajne siły z bostońskiego społeczeństwa, składał się z samych krętych uliczek i zdobionych sztukateriami kamienic wartych miliony dolarów, otoczonych niewielkimi, acz sumiennie zielonymi trawnikami dźwigającymi brzemię zbyt licznych wypielęgowanych krzewów i starannie wyselekcjonowanych drzew. Dom Tinkerów pysnił się większym ogrodem od frontu niż większość innych posiadłości i miał wyższy, mroczniejszy profil, ukoronowany mansardowym drugim piętrem z wieżyczką równie pustą jak kościelna dzwonnica.

Sukie zdążyła już wcześniej poznać panią tej rezydencji, ale Alexandry nic nie przygotowało na szok magii, która razem z intrygancką iskrą emanowała z tej osoby, która przeżyła całe stulecie. Śmierć najwyraźniej postanowiła ją przeoczyć – Alexandra przypomniła sobie wspólną wyprawę z Jane i olśniło ją, iż jest to dowód na to, że nadzieje Egipcjan na *ankh* przedłużone na wieczność znajdują czasem całkiem konkretne uzasadnienie. Gabarytami ta nadzwyczaj stara kobieta dorównywała trzynastolatce względnie starannie spakowanej mumii. Przywitała je obie w holu wejściowym, u stóp wielkiej, krętej klatki schodowej z drewna orzechowego, która pięła się w górę, stopniowo ginąc w posępny mrok bijącym od ściemniałej tapety. Zjechała na pogrzeb swojej synowej windą, której szyb został zainstalowany obok wejścia na schody i przedzierał się przez jej zakręty niczym

¹⁶ Główna ulica Bostonu.

kaduceusz Merkurego przez oplatające go węże; szkieletowata konstrukcja windy nie stanowiła żadnej materialnej przeszkody dla oka, dlatego zjazd pani Tinker, zasługujący zaiste na miano *dea ex machina*, wywołał najwyższe zdumienie u żałobników zebranych na lastrykowej posadzce parteru. Tak delikatnie, jakby powierzała Alexandrze delikatny skarb w postaci wypchanego przedstawiciela jakiegoś wymarłego gatunku ptaków, wsunęła cztery suche palce do wnętrza szerokiej dłoni młodszej staruszki, mokrej od parnego upału pierwszych dni sierpnia na Wschodzie.

– Więc to ty jesteś Alexandra – powiedziała pani Tinker głosem, który łamał się i szeleścił, a jednak doskonale artykułowanym. – Jane cię uwielbiała. – Zmarszczki na jej policzkach były tak głębokie, że przywodziły na myśl paski barw wojennych na twarzy indiańskiego wojownika; cała jej twarz miała barwę pergaminowej brunatnej żółci, jaką przybierają brzegi stron tanich książek, nawet jeśli nie są wystawione na bezpośrednie działanie słońca. Jej dolne powieki obwisały, obnażając bladoróżowy paseczek ciała po wewnętrznej stronie.

Uwielbiała mnie? – zdumiała się Alexandra. Ciekawe, czy tak rzeczywiście było – osobiście uwielbiała raczej Sukie, a poza tym obie z Sukie zwykle odczuwały lekką odrazę na widok wściekłej aury złości i potępienia otaczającej Jane.

– Kochaliśmy ją – odparła Alexandra bardzo cicho, jakby z obawy, że najłżejszy powiew powietrza roztrzaska zjawę, która przed nią stała. Nawet czarne fałdy jedwabnego, pogrzebowego stroju pani Tinker zdawały się niebezpiecznie kruche.

– Tak bardzo mnie to cieszy – wydobyła z siebie nestorka głosem jak suchy strąk fasoli – że była z wami dwiema, kiedy nadszedł jej koniec.

Jej koniec – zamiast eufemizmów, gadania o „odejściu” i też nie sianie grozy czy epatowanie hałaśliwym, nowoczesnym nihilizmem. Dzięki tak sformułowanej frazie śmierć mogła się wydać czymś, z czym można się pogodzić, czymś zrozumiałym i naturalnym, owocem przeżytych lat, dekad; to była fraza, która spełniała wymogi stoickich manier klasy wyższej z minionej epoki.

– Wszystkich nas czeka koniec – dodała pani Tinker, wyczuwając zainteresowanie Alexandry tematem. A jednak powiedziała to lekkim tonem kogoś, kogo to nie dotyczy, i z uśmiechem zaskakująco elastycznym, który rozciągnął jej poorane policzki, przelotnie udzielając niemal dziewczęcego napięcia tej zmumifikowanej, zbrązowalej twarzy. Jej usta ani trochę nie odróżniały się barwą od otaczającej je skóry, ale za to wypełniało je więcej tkanek. Była kiedyś wielką piękną, spostrzegła znienacka Alexandra.

– Jeszcze to do mnie nie do końca dotarło – wyznała równie znienacka starożytniej

kobiecie. – I nie jestem pewna, czy Jane to zdążyła przyswoić. Jej ostatnie spojrzenie na mnie... chce pani wiedzieć?

– Tak. Oczywiście. Człowiek zawsze powinien wiedzieć.

– ...wyglądała na oburzoną.

– Jane była złością – oznajmiła pani Tinker. – I żyła w ciągłym pośpiechu. Jak metronom. Próbowала pani kiedyś grać na jakimś instrumencie muzycznym przy metronomie?

– Nie – odparła Alexandra nerwowo, bo czuła obecność kolejnych gości za swoimi plecami, wchodzących do wnętrza domu przez wielkie frontowe drzwi. – Jestem muzycznym osłem, zawsze zazdrościłam Jane jej talentu.

– Jane była metronomem, zbyt szybkim dla mojego syna i mojego gustu – podjęła staruszka, zbywając wyznania swej rozmówczyni. – W tym domu ustanowiliśmy tempo *largo* i obawiam się, że to naruszało cierpliwość mojej synowej. A oto i piękna Suzanne – powiedziała, obracając się nieznacznie, na tyle, by móc zmienić kierunek swej uwagi, niczym wykalibrowana figurka na zegarze. Sukie przyłączyła się do nich, przynosząc bijące, zauważalne ciepło, zaciekawienie i determinację, żeby ją zauważono. – Witam raz jeszcze, moja droga. Co za smutek w porównaniu z tamtym dniem, kiedy ostatni raz gościliśmy cię w tym domu.

Ona jest jedną z nas, zauważyła Alexandra. Czarownica, która nie ma serca, ale za to bystre oko. Jest drobna, uszczypliwa, dowcipna i wredna jak Jane. Mężczyźni żenią się ze swoimi matkami. Nat ożenił się z własną matką i oczywiście te dwie kobiety nie mogły znieść, że się powielają w jednym domu. Cała architektura duchowa ich gospodarstwa domowego – dwie kobiety tak się wzajemnie odpychające jak bieguny dwóch magnesów i zawieszony między nimi mały synuś-mężuś, chroniący się wśród swoich antyków, klubów, nieudolnych dobrych uczynków – została obnażona przed Alexandrą w chwili, gdy zamknęła oczy; czuła wciąż unoszące się w powietrzu napięcie, w ciężarze dźwiganym przez wypaczoną, przesiąkniętą pastą stolarkę.

Sukie też postrzegala coś pozazmysłowo.

– Nie potrafię uwierzyć, że Jane naprawdę umarła – wybuchnęła w stronę wdowy Tinker. – Cały czas mam wrażenie, że ona zjawi się tu lada chwila.

– I zepsuje moje przyjęcie – wyskrzeczala starsza pani, promieniując kolejnym ze swych nieoczekiwanych uśmiechów rozciągających wargi; ta dziewczyna, którą kiedyś była, przeświecała przez ten uśmiech z otchłani minionego stulecia.

Przyjęcie powoli się konstituowało, kłębiąc się niespokojnie w cienistym holu z

wysokim sklepieniem. Teściowa Jane obróciła się i przedstawiła Sukie i Alexandrę tęgiemu mężczyźnie w średnim wieku, którego głowa, sklepiona pochyło z tyłu, sterczała ciężko do przodu jak u amerykańskiego bawołu, oraz wynędzniałej kobiecie z rozpaczliwie masywnym makijażem.

– Na pewno pamiętacie cudowne dzieci Jane – powiedziała pani Tinker i ze starczym brakiem manier odwróciła się plecami.

Skazana na tę konfrontację Alexandra przeprosiła tamtych dwoje.

– Nie poznałam was, minęło tyle lat. I oboje jesteście już zupełnie dorośli.

– Tak już bywa – odparł mężczyzna o grubym karku, nie uśmiechając się. – My jednak panią zapamiętaliśmy.

Oczywiście. Gruby chłopczyk i chuda dziewczynka. Natrętnie się plątali po domu Jane, to wbiegając do kuchni, to z niej wybiegając, domagając się uwagi i kolacji tamtego wieczoru, kiedy trzy kobiety rzucały fatalne w skutkach zaklęcie na Jenny. Zajęte eksplorowaniem swoich wyzwolonych mocy miały mało cierpliwości do swoich dzieci. Uważały, że wszystkie kobiety od czasu Ewy zasługujące na miano głupich były potulnymi, kochającymi matkami – a może nie od Ewy, wzięwszy pod uwagę, co stało się z Ablem i Kainem. W każdym razie macierzyństwo zostało gruntownie przetestowane, w smutku i poza nim, i okazało się, że jako takie daje niewiele.

Zapadło milczenie, pełne napięcia i urazy; Sukie próbowała jakoś je wypełnić, wywlekając imiona stojących przed nią dzieci ze swej wyszkolonej pamięci reportera.

– Roscoe i Mary Grace, mam rację? I mieliście jeszcze dwójkę rodzeństwa, zapomniałam już, czy młodszego, czy starszego.

– Młodszego – odparł słoń odziany w dwurzędowy, czarny garnitur, tocząc swym nadąsanym spojrzeniem.

To właśnie on, zorientowała się Sukie, grał w brydża przez Internet; wyobraziła sobie ten wielki łeb przyklejony do ekranu komputerowego podzielonego na cztery części, taki jełop, który pozwala, żeby wszyscy go oglądali w sieci.

– Było nas czworo. Czworo małych Smartów. – Nieoczekiwanie jego wargi rozsunęły się w pozbawionym wesołości uśmiechu, ukazując małe, pożółkłe zęby.

– W tamtych czasach wszyscy mieli po czwórcie dzieci – dzielnie próbowała go ugłaskać Sukie.

– A co z waszym ojcem, Samem Smartem? – spytała Alexandra. – Żyje jeszcze?

– Nie – padła lakoniczna odpowiedź.

Wynędzniała kobieta, z powiekami obciążonymi turkusowym cieniem, postanowiła

przyłączyć się do rozmowy.

– Tatusi umarł – wyjaśniła, ukazując własne zęby; były długie i nienaturalnie proste.

– Bardzo współczuję – odparła Alexandra.

– On i mamusia znowu są razem – powiedział mężczyzna.

– Naprawdę? A co pan Tinker na taki układ?

Imponujące czoło Roscoe pochyliło się w jej kierunku.

– Wszystko jest wyjaśnione w Biblii. – Twarz miał żałobną i szarą.

– Doprawdy jest tam coś takiego? Muszę wyszukać ten cytat. – Alexandra zrewidowała swoją opinię; to nieprawda, że Jane była niedbałą matką, to jej dzieci, i te tłuste, i te chude, były ohydne.

– A wasze rodzeństwo. Też tutaj są? – Sukie interweniowała uprzejmie.

– Nie – padła odpowiedź, rzucona tonem niechęci. – Jed jest na Hawajach. Nora wyszła za Francuza i w sierpniu nie da się z nimi skontaktować. Nurkują i ćpają w Mozambiku.

– Jaki niezwykły jest ten świat! – wykrzyknęła desperacko Sukie. – Odległości stają się coraz krótsze. My jesteśmy już wdowami i uwielbiamy podróżować. Wasza matka podróżowała razem z nami.

– Roscoe nienawidzi podróżować – powiedziała jego siostra. – W samolocie dostaje klaustrofobii, a po wylądowaniu agorafobii.

– Za dużo o tym myślisz. Wypij najpierw dwa drinki w barze na lotnisku, a obudzisz się dopiero na miejscu – poradziła mu Sukie, zadziorna teraz jak dziewczyna stawiająca czoło Minotaurowi.

Rozmowa została miłosiernie przerwana przez trzy ostre łupnięcia laski starożytnej pani domu, która waliła nią o posadzkę holu. Z jedną papierowobrzozową dłonią na trzonku laski, a drugą wczepioną w ugięte ramię pieczystego Afroamerykanina w uniformie szofera, pani Tinker wyprowadziła zgromadzonych żałobników na lepki, biały blask słońca. Sznur samochodów jarzył się i iskrzył oślepiająco na podjeździe, ciągnąc się od bramy wjazdowej do krawężnika i fragmentu ulicy. Pograżona w żałobie teściowa została umieszczona w jadącym na czele cadillacu, za czarnymi szybami; w dalszej kolejności jechała para ponurych dzieci i ich współmałżonkowie, którzy na rzecz tego rodzinnego obrządku skromnie przywdziali czapki niewidki. Sukie i Alexandra jechały daleko w szeregu, w granatowym bmw Lenniego Mitchella. Ukochany jaguar Nata Tinkera został prędko zabrany, razem z żalonym arsenalem ubrań i akcesoriów Jane, jako część jej majątku.

– Widziałam go – powiedziała rozgorączkowanym tonem Sukie w prywatności

samochoду.

– To znaczy kogo?

– Jego. Tego mężczyznę, którego Jane spotkała na Vane Street, przed gabinetem doktora Pata.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Wygląda dokładnie tak, jak go opisała. Jak anioł, który zrobił się nieco przycięzki i zaniedbany. Stał za tłumem w holu, wychodził właśnie z innego pokoju, kiedy my wypełzałyśmy już na zewnątrz. Widziałam go tylko przez sekundę, ale on się wyróżniał. Nie miał na sobie stosownie ponurego ubrania.

Kościół znajdował się nieopodal, ukryty wśród krętych, ocienionych drzewami uliczek – budowla cechująca się skromną elegancją nieodmiennego, episkopalnego stylu, oparta na drewnianej konstrukcji wypełnionej polnymi kamieniami zabarwionymi rudą żelaza. To nie był obrzęd pogrzebowy, tylko pożegnalne nabożeństwo. Ciało Jane, to samo ciało z płaskimi piersiami i krągłym tyłkiem, które skusiło Sama Smarta, Raymonda Neffa, Arthura Hallybreada i Nata Tinkera do coitusu, przeobraziło się teraz w urnę z prochami, których było tyle, że ledwie zapełniłyby sosjerkę: wszystkie kości, ścięgna i płyny ustrojowe, zwiny język, natarczywy, posykujący głos i połyskliwe, wilgotne światło zamknięte w szylkretowych oczach, zredukowane do szarego proszku przemieszanego z drobinkami kalcytu, zostały już wsunięte do małej, kwadratowej dziury na cmentarzu Mount Auburn, dwie mile za Charles. To był jej świat i jej dwie towarzyszki od dawnych złych uczynków słuchały wspomnień o jakiejś Jane, którą ledwie znały.

Dwoje obecnych dorosłych dzieci odczytało na głos wyjątki z listów, które Jane napisała do Samuela Smarta, kiedy ten służył w wojsku i czekał, aż go wsadzą na statek do Korei – to była inna Jane, bardziej zalotna i studencka niż ta, którą Sukie i Alexandra poznały w Eastwick, kiedy to Sam Smart stał się już tylko komicznym wspomnieniem, szczyptą martwej przeszłości dosypywaną do rozmowy, by dodać jej pikanterii. Listy deklarowały, że ona za nim tęskni, że modli się o jego bezpieczny powrót, że żyje nadzieją stania się matką jego dzieci, bo wie, że te dzieci będą piękne i wyjątkowe.

Po nich na ambonę, z wyraźnym zamiarem ustanowienia równowagi między oboma mężami, wszedł sztywnymi ruchami wysoki, kanciasty w barkach, ostentacyjnie szczupły dżentelmen w blezerze i z włosami przystrzyżonymi na jeża. Z początku przemawiał z niezdecydowaniem podszytym nieśmiałością, sprawiając, że siedzący w kościelnych ławach zaczęli się nerwowo wiercić. A potem, kiedy już się przyzwyczaił do wysokości i uświęconej obcości ambony, rozgrzał się i zaczął głosić swoje z dźwięczną łatwością doświadczonego

mistrza wznoszenia toastów; nachylał się w stronę widowni i konfidencjonalnym tonem dzielił swymi wspomnieniami o tym, jak jego stary przyjaciel, Nat Tinker, którego znał jeszcze z tych czasów, gdy obaj byli nieśmiały, mikrymi pierwszoklasistami w szkole imienia Browne'a i Nicholasa, i z którym później całymi latami grał w golfa, żeglował, polował na przepiórki w Karolinie Południowej i na łosie na Alasce, jak również zasiadał wspólnie w rozmaitych ważnych radach – jakże ten jego drogi, stary Nat rozkwitł, czy wręcz „zmienił nie do poznania” pod wpływem swego małżeństwa z „zaiste nieprzeciętną” Jane. Zapewniał, przekrzywiając wąską, siwą głowę to w jedną, to w drugą stronę niczym głodna mewa, że nigdy w życiu nie widział takiej transformacji jak ta, która zaszła w jego ukochanym przyjacielu po tym, jak w wieku lat czterdziestu się wreszcie ożenił – choć wedle wszelkich tabel aktuarialnych był przypadkiem beznadziejnym – z nieodżałowaną Jane, „jedyną w swoim rodzaju pokrewną duszą”.

– Nawet wtedy – grzmiał mówca – gdy w klubie sportowym jednym uderzeniem zdobył dwunasty dołek, który jest krótki, ale wymaga wprawy... chyba nie muszę tłumaczyć większości tu zgromadzonych, czym jest zdobycie trzech na dołku z podwyższonego tee? No więc nawet wtedy od Nata nie było taką satysfakcją i pozwolę sobie stwierdzić, pierwotną radością, którą jego nowo poślubiona małżonka w tajemniczy sposób w nim wzbudziła.

Co za stara szowinistyczna świnia, pomyślała Alexandra. Tu nie było nic tajemniczego: Jane potrafiła być wulgarna, a mężczyźni potrzebują wulgarności, zwłaszcza te zniewolone klasowo przypadki opóźnień w rozwoju i przesadności w kulturze osobistej jak biedny, mały Nat Tinker, zdominowany przez matkę, która do teraz nie chciała się ugiąć i umrzeć. Tymczasem panegirysta okrężnie zasugerował:

– Jak się zdaje, nie będzie przesadą stwierdzenie, że Jane uratowała go przed jego ukochanymi antykami; wniosła do jego kawalerskiego życia konesera i sumiennego altruisty piękny przedmiot, czy też „artykuł”, by użyć tu terminu handlowego, którego mógł dotknąć bez strachu, że go rozbije.

Tym razem szok stłumił usługane chichotanie od strony ław; staromodne dekorum odzyskało część swojej siły oddziaływania utraconej w kościołach episkopalnych – gotyckie łuki i ornamenty roślinne zdobiące ponurą, ciemną stolarkę, tematy biblijne zobrazowane na witrażach, mosiężny krzyż zawieszony wysoko niczym olbrzymie narzędzie kreślarza albo wzorzec prawości. Janeski panegirysta skrzywił się, przełykając rozczarowanie, że jego dowcip nie został odczytany.

– Jane – ciągnął pospiesznie – wniosła do tego małżeństwa swoje swobodne podejście do bostońskich obyczajów, cięty język, olśniewający uśmiech i pokrętne poczucie humoru –

te jej gry słowne! – które wdarły się do zagraconych komnat mojego starego przyjaciela niczym powiew kwietniowego powietrza, wpuszczany w naszej młodości przez pokojówki energicznie otwierające okna przed wiosennymi porządkami.

Tu wyprostował się gwałtownie na ambonie, ściągając łopatki, by ocenić reakcję na taki *bon mot*. Zafascynowana Alexandra przyglądała się temu wytwornemu, starszemu panu, z nosem jak dziób i szczotką świeżo przystrzyżonych, siwych włosów, który radośnie stąpając po granicy między plotką a skandalem, chełpił się faktem, że sam wciąż pozostaje wśród żywych. Łagodniejszym teraz tonem, ufnie opierając się na patentowanej nieprawdzie, opowiadał zgromadzonym:

– Niczym w zamczysku podwójnie bezpiecznym pod rządami dwóch władczyń serce rosło na widok tej harmonii i uczucia, które natychmiast zjednoczyły Jane i jej teściową w ich wspólnym domu. – Tu przesłał ukłon w stronę pierwszej ławy. – Wszyscy ci współczujemy, Iono, twej świeżej, podwójnej straty – ukochanego, jedyne go syna i synowej, którą pokochałaś jak córkę – ale jednocześnie wiemy, iż podczas całego stulecia zaszczytowania tej ziemi swą obecnością nabyłaś dość siły i mądrości, by podtrzymywać nie tylko własną duszę w tej godzinie potrzeby, ale także dusze swych krewnych. Niech cię Bóg błogosławi, moja czcigodna, najdroższa przyjaciółko.

Iona Tinker, której starożytnego imienia Alexandra wcześniej nie znała, twardo wytrzymała przez tę majestatyczną tyradę, siedząc niewzruszenie w pierwszej ławie w swoim ubraniu żałobnym ze spłowiałego, kruche go jedwabiu, obok dwójki zaniedbanych dzieci Jane, ich trzymających się na uboczu współmałżonków, kilku młodszych próbek trzeciego pokolenia i nawet paru wierzących się niemowląt z czwartego. Plemię żyje dalej, nawet jeśli jego poszczególnym członkom to się nie udaje.

A co do Jane, ich wrednej, wiedźmowatej Jane, to im bardziej ją wysławiano, tym bardziej nieobecna się wydawała – mała, kwadratowa dziura w atmosferze kościoła, zawieszona nad ich głowami niczym ten krzyż skonstruowany z samych prostych linii. Niewidoczne druty, na których wisiał, ciągnące się od jego ramion do ściemniałych belek sufitu, przechwytywały przypadkowe strzępki światła niczym ulotne smugi spadających gwiazd. Elokwentny panegirysta zmierzał już niechętnie do końca, na próżno szukając jakiegoś idealnego słowa, by raz na zawsze zamknąć sprawę Jane. Nie lubił jej, dla Alexandry to było oczywiste. Nikt jej tutaj nie lubił. Zaliczała się do ich klasy i jednocześnie do innej, co było jeszcze gorsze niż bycie nieokrzesanym outsiderem, który boi się dostosować i dlatego można go z łatwością usprawiedliwić. Jane mogły lubić tylko czarownice, buntujące się wspólnie przeciwko opresji fundowanej im przez tak zwanych powszechnie szanowanych

ludzi. Poza tym panegirysta zapomniał wspomnieć o jedynej pasji, która potrafiła ją wydzwignąć z wrodzonego egoizmu – nie zająknął się słowem o jej muzyce, o jej wiolonczeli, o bólu w lewej dłoni, tej od przyciskania strun.

Wierni z ulgą zatopili się w Księdze Wspólnych Modlitw¹⁷.

Głosy wzniosły się w modlitwie i wewnątrz świątyni wypełniło się monotonnym warkotaniem bestii skwapliwie chapiącej każdy kąsek fraz sformułowanych przez Cranmera. Pozdrowienie Ludu poprowadziła blada i krucha żona Roscoe, dotychczas niewidzialna. Jej piskliwy głos wwiercał się w uszy z natarczywością szczęk wołka zbożowego:

– Panie, Ty, który pocieszyłeś Martę i Marię w ich nieszczęściu, zbliż się do nas, którzy bolejemy po stracie Jane, i osusz łzy tych, którzy płaczą.

– *Wysłuchaj nas, Panie.*

– Ty płakałeś na grobie swego przyjaciela Łazarza; pociesz nas w naszym smutku.

– *Wysłuchaj nas, Panie.*

– Ty przywróciłeś martwych do życia; przenieś naszą siostrę Jane do życia wiecznego.

– *Wysłuchaj nas, Panie.*

– Ty obiecałeś raj złodziejowi, który okazał skrucę; przybliż naszą siostrę Jane do radości w Niebiesiech.

– *Wysłuchaj nas, Panie.*

Alexandra poczuła, że pieką ją oczy, kiedy jej język i gardło przyłączyły się do tego donośnego, acz daremnego chóru. Jane odeszła; ona, Alexandra, miała być następną. Już od jakiegoś czasu z odległych regionów jej ciała, zdrętwiałych stóp i nieużywanego wnętrza macicy, nadchodziły biuletyny z komunikatami o jej zbliżającej się śmierci; napady zawrotów głowy i mdłości sygnalizowały, że tkanina jej organizmu już się przeciera; mur dzielący wewnątrz od zewnątrz przestał być nieprzepuszczalny. Jej twarz zalala się strumieniami łez.

– Co to jest to wzrastanie „z mocy w moc”? – spytała szeptem siedząca u jej boku Sukie. – Albo co znaczy „W sumieniu tego, który spełnia służbę Bożą”?

Sukie nie miała żadnego religijnego męża; Monty Rougemont i Lennie Mitchell byli nowoczesnymi mężczyznami, konsekwentnie gardzili pociechą płynącą z wiary. Podczas gdy pierwszy mąż Alexandry, Oswald Spofford, był gorliwie wierzący, udzielał się w radach kościelnych i dawał łapówki dzieciom, żeby chodziły do szkolki niedzielnej, a z kolei Jim

¹⁷ Księga liturgiczna opracowana w XVI w. przez Thomasa Cranmera, arcybiskupa Canterbury: zbiorcza nazwa modlitewników Kościoła Anglii i innych Kościołów anglikańskich.

Farlander miał niejaki ciągoty ku zjawiskom nadprzyrodzonym, które to ciągoty pozostały mu z czasów, kiedy był hipisem palącym pejotl.

– Tu idzie o różne aspekty nieba – odparła, gdy tymczasem w otaczającej je przestrzeni zafalował pierwszy wers pieśni *Wstaje nowy dzień*, którą uniesione głosy starszych mieszkańców Brookline zamykały ceremonię. – Życie toczy się dalej. Niebo nie jest statyczne. To miejsce, gdzie dzieją się różne rzeczy, tak samo jak na ziemi.

Po nabożeństwie, kiedy wszyscy wychodzili już z kościoła, Sukie, niczym wkurzające dziecko, zadała kolejne pytanie:

– A co znaczy „Pokój, który przewyższa ludzki umysł”?

– To oczywiste: taki, którego nie da się ogarnąć rozumem, moja droga. Rusz głową, na litość boską.

Czy odtąd tak miały wyglądać ich wzajemne relacje, że będą jak matka i dziecko, które nie przestaje zadawać pytań? Zażenowanie łzami, którymi oplakiwała Jane, a które Sukie z pewnością zauważyła, utemperowało gniew Alexandry.

– Później będzie stypa, w domu parafialnym – powiedziała młodsza, spostonowana kobieta. – Idziesz?

– Nie. A ty?

– Ja tak – odparła Sukie.

– Po co? Nie masz już dosyć?

– Jeszcze nie. Kościoły mnie interesują. – I próbowała jakoś to rozwinąć. – Naprawdę są fantastyczne. A może przyjdzie srebrny mężczyzna?

– Srebrny mężczyzna?

– Ten, którego Jane zauważyła przed gabinetem doktora Pata.

– Kochaniutka, błagam, nie wariuj tu przy mnie.

Mimo to Alexandra pozwoliła Sukie pójść za dryfem tłumu, nie w stronę kruchty, tylko przez wahadłowe drzwi do prezbiterium, przez wyłożony linoleum hol obok szatni chórzystów i biura pastora, aż do sali parafialnej, skąd już dobiegał towarzyski gwar. Było tam więcej ludzi niż tych, którzy dostąpili zaszczytu zebrania się w domu Tinkerów. Pani Tinker, pod czujną opieką energicznego, płatnego sługi, tego samego, który swym smarkatym, telefonicznym głosem obraził swego czasu Alexandrę, wspólnie z Roscoe Smartem i jego chudą jak szkielet siostrą Mary Grace przyjmowała kondolencje od ustawiających się w kolejce uczestników ceremonii pogrzebowej. Alexandra po raz kolejny zadygotała pod wpływem dotyku ciepłej, brunatnej dłoni starszej pani, której cztery palce zaległy równolegle w jej dłoni niczym słone paluszki. W głębi sali, na stole nakrytym białym

obrusem, stały półmiski z ciasteczkami, sałatką z rukoli i kanapkami posmarowanymi pastą z papryczek pimiento, a także kryształowa waza wypełniona ponczem w chemicznej barwie cytrynowej galaretki. Sala parafialna w stonowany sposób przedłużała eklezjastyczny nastrój panujący w samym kościele: na sklepieniu krzyżowały się pociemniałe belki, między którymi zgromadziły się trójkątne skupiska pajęczyn.

Alexandra poczuła, że Sukie sztywnieje u jej boku. Młodsza kobieta przywarła do niej i powiedziała:

– On też tu jest.

– Kto? Gdzie?

– Nie obracaj głowy. Po prostu od niechcienia przesun wzrok w lewo, mniej więcej na drugą.

– Chyba go widzę. Wygląda tu nie na miejscu i nikt z nim nie rozmawia. Kto to jest?

– Lexa, to oczywiste. To Chris Gabriel, Jane miała absolutną rację.

– Kto? Ach tak. Brat. Ledwie pamiętam, jak on wygląda.

– Nigdy się do nas nie przyłączał – wskazała Sukie, szepcząc z gorączkowością spiskowca, na co Alexandrze, starszej i przygniecionej upiękuszonym koszmarem wiecznej nieobecności Jane, było trudno zareagować. – W ogóle nie przychodził do łaźni, nie tańczył do muzyki Darryla i nawet z nami nie jadał.

– Ach te cudowne, ogniste potrawy Fidela... – przypomniała sobie z zadumą Alexandra. – Pikantne tamale, enchilady i salsa, od której lzy podchodziły do oczu.

– Wtedy był leniwym, przerośniętym nastolatkiem – kontynuowała Sukie. Przeciąg wionący od tych drzwi, które otwarły się ekscytująco, ukazując głębokie stopnie prowadzące do przeszłości, słyszalnie podziałął na jej oddech. – Nie tyle bezczelnym, ile raczej znudzonym; zaczytywał się czasopismami i oglądał telewizję w drugim pokoju, głównie ten satyryczny program „Laugh-In”, który nadawali w tamtych czasach. I zjawił się tu dzisiaj. Co za chamstwo. Już ja sobie z nim pogadam.

– Och, odpuść sobie – instynktownie odradziła jej Alexandra. – Lepiej tego nie tykać.

Ta fatalna w skutkach próba przeżycia raz jeszcze tego, co już minęło, dokopania się do magii rzekomo towarzyszącej tamtym czasom – czy nie byłoby dla nich lepiej, gdyby po prostu wzięły swój wdowi grosz, tę odrobinę z tego, co jeszcze zostało im z życia, i wycofały się na zawsze do swoich zakątków w Connecticut i Nowym Meksyku?

Ale Sukie już wędrowała w stronę intruza, lawirując wokół grupek znajomych Tinkerów. Chłopak, bo tak wciąż o nim myślała, wyrósł jeszcze, no chyba że to ona lekko się skurczyła, może jej kości uległy takiej samej erozji jak płuca. Zadarła głowę ku niemu,

niczym ktoś, kto koniecznie chce się opalić w ostatnich promieniach zachodzącego słońca.

– Czy my się przypadkiem nie znamy? – spytała.

– Możliwe – odparł.

Jego głos miał głuche brzmienie, charakterystyczne dla człowieka, który nie znał lepszego uzasadnienia dla swego istnienia niż atrakcyjny wygląd zamiast jakiejś zniewalającej pasji albo profesji. Pod tym względem przypominał jej Darryla Van Horne'a, w taki sam sposób, w jaki ta sala parafialna powielala niczym echo strojne wnętrze kościoła.

– Ty jesteś Christopher Gabriel.

– Prawdę powiedziawszy, pani Rougemont, używam teraz swego scenicznego nazwiska: Christopher Grant.

– Jak ładnie. To po Carym czy po Ulissesie S¹⁸.?

– Po żadnym z nich. Długie imię pasuje lepiej do pojedynczej sylaby, a poza tym miałem dość tego, że ludzie mnie ciągle pytają: „Które z pańskich imion jest nazwiskiem?”

– Ja też już się nie nazywam Rougemont, i to od trzydziestu lat. Wyszłam za mężczyznę, który nazywał się Lennie Mitchell.

– A co się z nim stało?

– Umarł.

– Bywa. A tak nawiasem, współczuję z powodu Jane.

Zaczerpnęła haust powietrza i dzięki temu dała radę wykrztusić:

– Nie wierzę ci. Prawdę powiedziawszy, uważam, że ją zabiłeś.

Zamrugął – jego rzęsy były równie jasne jak kędzierzawe, srebrzyste włosy – ale poza tym nie uzewnętrznił żadnej innej reakcji.

– A niby jak miałbym tego dokonać?

– Dokładnie to nie wiem, ale ona to czuła. Jakiś urok. Stałe kopał ją prąd.

Christopher uśmiechnął się, tak jednak, że nie uszkodził szklistej powłoczki wystudiowanej nieśmiałości, z której wyraźnie był dumny.

– Bardzo ciekawe – powiedział.

Jego wargi, jakby obrzmiałe od ukąszenia przez osę, pasowałyby bardziej do rozpieszczonej kobiety. Czysty jak niebo błękit oczu wydawał się jakby skryty za chmurami, bo te oczy były zbyt głęboko i zbyt blisko siebie osadzone, pod brwiami koloru blond, przyprószonymi już siwizną i zanadto krzaczastymi i splątanymi, jak to się zdarza u mężczyzn w średnim wieku. Mógł być mniej więcej w wieku Tommy'ego Gortona – nie,

¹⁸ Generał, osiemnasty prezydent USA (ur. 1822, zm. 1885).

odrobinę młodszy. Jego cera ani trochę nie przypominała cery Tommyego, zaognionej, zniszczonej przez słońce; była w niej bladość, jak u kogoś, kto rzadko wychodzi na powietrze, kto jeszcze nie zachłysnął się życiem. Zachował za to gładką niewrażliwość, nienaruszalną wrogość młodości. Wyraźnie chciał zrobić wrażenie na Sukie i dlatego dobrowolnie się przyznał:

– Pan Van Horne, zanim popełnił jedną ze swych sztuczek ze znikaniem, nauczył mnie kilku niesamowitych numerów z elektrycznością. Ale gliny nie będą pani słuchały. Dla nich wasza kumpelka zmarła z przyczyn naturalnych. I pani też tak umrze. I ja też.

Sukie znienacka się ubrdało, że długi sopel lodu z jego wnętrza przeszył teraz jej ciało, pobudzając ją, uzbrajając, zaszczepiając w niej beztroskę wojny wobec śmierci.

– Czy to ja będę następna?

Ktoś wśród załobników, kto gapiłby się na nią teraz, na widok jej skwapliwego uśmiechu, ożywionej miny i zalotnego kąta, pod jakim trzymała swą nienaturalnie rudą głowę, uznałby zapewne, że jej podniecenie ma podłoże erotyczne.

Chris zawahał się, po czym spuścił powieki, jakby ze wstydem.

– Nie – odparł. – Ta gruba będzie następna. Z was trzech pani była dla mnie najmilsza. Rozmawiała pani ze mną czasami, zamiast tylko wpadać w zabawowy nastrój Darryla. I była pani miła dla mojej siostry. Zabierała ją pani do „Nemo” na kawę.

– Nie jestem pewna, czy rzeczywiście byłam milsza; jestem po prostu większą ekstrawertyczką niż Alexandra. Umiejętność prowadzenia rozmów weszła mi w krew, bo byłam reporterką.

– Była pani milsza – powtórzył z uporem. Wciąż był młodym mężczyzną pod tym względem, że nie pozwalał, by rozmowa schodziła na inne tory, nie sondował i nie wygłaszał ubocznych żartów, tylko trzymał się tych samych, nielicznych myśli, tego samego wąskiego, bezpłciowego planu. Nie mógł mieszkać długo z Darrylem, tym magikiem od radosnych dygresji, który zszedł na psy.

– Opowiedz mi o sobie i Darrylu – zarządziła Sukie, zadziornym, bezczelnym tonem dziennikarki przeprowadzającej wywiad, z szerokim uśmiechem, w którym ukazała przednie zęby aż po same dziąsła. – Dokąd razem pojechaliście, po Eastwick?

– Do Nowego Jorku, a gdzie by indziej? Miał mieszkanie na West Side, jedną przecnicę od rzeki. Większość dzieł sztuki, które trzymał w swoim domu w Eastwick, nawet nie należała do niego, miał je wypożyczone na okres próbny.

– I co tam robiliście po całych dniach?

Christopher Gabriel wzruszył ramionami i niechętnie otworzył swe użądłone wargi.

– No przecież pani wie. Wyciszaliśmy się. Paliliśmy trawkę. On często gdzieś znikał. Miał mnóstwo szurniętych znajomych. Ja z początku siedziałem w mieszkaniu i oglądałem telewizję, bo się bałem wychodzić. A potem podczas oglądania tasiemców wpadłem na pomysł, żeby zostać aktorem. Skończyłem osiemnaście lat i w tamtych czasach zgodnie z prawem mogłem mieć do czynienia z alkoholem, więc zatrudniałem się jako kelner i w cateringu, żeby móc opłacać szkołę aktorską.

– Biedactwo. Robieś to wszystko bez pomocy Darryla?

– Przedstawił mnie paru gościom, ale oni na ogół chcieli, żebym robił za dziwkę. W tamtych latach nikt jeszcze nie wiedział o AIDS, ale i tak nie chciałem być dziwką. Wiedziałem, że to droga na dno. Darryl w ten właśnie sposób kochał, że robił wszystko, żeby człowiek powędrował do piekła. Miał mnóstwo pomysłów związanych z aktorstwem i godzinami paplał o tym, ile w tym demonizmu, same teorie, ale ja się trzymałem całkiem mocno swojego planu. Szkoła, do której chodziłem, była bardzo praktyczna: trzymaj głowę tak a tak, używaj przepony. Jak tylko zacząłem pracować, próbował golić ze mnie kasę, że niby miałem się dokładać do czynszu. W końcu się wyprowadziłem. Był pijawką.

– Gdzie on jest teraz?

– A kto to wie? Gdzie bądź. Urwał nam się kontakt.

– Więc używałaś czarów przeciwko nam zupełnie na własną rękę?

Christopher wiedział, że ona go podpuszcza; jego wargi tym razem prawie wcale się nie poruszyły.

– Kto mówi, że rzucam na was czary?

– Sam to powiedziałeś. Dopiero co.

– No więc może tak jest.

– No to gratuluję.

– Darryl pokazał mi ogólne podejście do elektromagnetyzmu, ale niektóre szczegóły rozpracowałem samodzielnie. Miał mnóstwo pomysłów, ale nie palił się, żeby dochodzić, jak co działa.

– Powiedz mi – kusiła go Sukie – jakie jest na to antidotum. Jak to odwrócić.

– Niech pani da spokój. Nie powiedziałbym, nawet gdyby takie istniało. Nie ma żadnego antidotum. To jest tak jak z życiem. Bilet w jedną stronę.

Rozglądał się teraz dookoła, z miną winowajcy, jak mały chłopiec, który się nudzi i miota w uścisku dociekliwego dorosłego. Dla niedojrzałych ludzi, pomyślała Sukie, nieopowiadanie o sobie to swoista magia. Jak w przypadku dzikusów i bycia fotografowanym. Zdradzisz coś i świat zaraz wykorzysta to przeciwko tobie.

– Dlaczego ty nas tak nienawidzisz? – spytała. – Po tylu latach?

Stała z boku, zmuszając go w ten sposób, żeby spojrzał jej w oczy; z głębokich oczodołów, spod krzaczastych brwi, wystrzeliły promienie błękitne jak niebo. Zapamiętane przez nią miękkie loki koloru blond stały się teraz gęstymi, sztywnymi falami farbowanymi na platynowy odcień.

– Nie miałem w życiu nikogo takiego jak Jenny – wyznał głosem, w którym wreszcie pojawiło się jakieś uczucie. – Od najmłodszych lat. Była dziewięć lat starsza ode mnie. Była ideałem człowieka. Odkąd nasi rodzice zaczęli się z sobą żreć, a potem się rozeszli, zastępowała mi matkę. – Jego użądłone wargi drżały.

– Ona umarła, jak ty to sam ujmujesz, Chris, naturalną śmiercią – powiedziała Sukie. – Na jakiej podstawie uważasz, że my miałyśmy z tym coś wspólnego?

– Wiem, że to wy – odparował zaciętym głosem, odwracając wzrok od jej żarliwego spojrzenia. – Istnieją sposoby na sterowanie naturą i jej fluidami.

Otoczający ich żałobnicy zaczęli już podążać w stronę wybawienia czekającego za drzwiami wyjściowymi. Alexandra podeszła do Sukie.

– Właśnie się wplątałam w rozmowę z ucieleśnieniem wszelkiego koszmaru, z tym pompatycznym snobem, który wygłosił panegiryk na cześć Jane, jeśli tak to można nazwać – wybuchła. – Opowiadał mi o swoich przodkach łączących go z Tinkerami; był kuzynem Nata i przyszywanym siostrzeńcem starszej pani, jakby to mnie miało podniecić. Miał czelność zaprosić mnie na kolację, po tym jak właśnie nasrał na Jane swoimi kalumniami, ale powiedziałam mu, że musimy wracać do Rhode Island. Bo musimy, prawda?

Nie zauważyła srebrzystowłosego mężczyzny, który stał obok, albo postanowiła go zignorować. Kiedy Sukie zwróciła się z powrotem w jego stronę, żeby ich sobie przedstawić i uczynić z tej rozmowy proces inkwizycyjny, jego już tam nie było – zniknął jak kamfora.

Podczas jazdy na południe, do Eastwick – najpierw drogą numer 9 do 128, potem 128 do 95, 95 przez Providence do drogi nr 1 i zachodniego wybrzeża Zatoki Narragansett – Sukie opisała swoją rozmowę z Christopherem Gabrielem, pomijając jedynie jego zapewnienie, że następną ofiarą będzie „ta gruba”. Niemniej Alexandra coś jakby wyczuła i luka w opowieści Sukie wisiała odtąd między nimi, gdy tymczasem jedna droga przechodziła w drugą, beton ustępował miejsca asfaltowi i na odwrót.

– Elektromagnetyzm? – powtórzyła.

– Twierdził, że Darryl pokazał mu kilka sztuczek, dlatego domyślałam się, że to on stał za tymi wstrząsami, na które skarżyła się Jane. Ale realistycznie mówiąc, to nie prąd ją zabił,

tylko tętniak.

– Zakłęcie wykorzystuje tendencje, którym ciało podlegało już wcześniej – zasugerowała Alexandra.

– Faktycznie mówił coś o wykorzystywaniu natury i zmienianiu jej fluidów.

– Wiem, co by wykorzystał z mojego ciała – powiedziała Alexandra, tak do siebie, jak i do Sukie.

Sukie nie miała ochoty się dowiadywać, co to takiego, a jednak powodowana grzecznością spytała:

– Czyli co takiego, słodziutka?

– Raka. Mój strach przed rakiem. Strach przed czymś sprawia, że to coś dzieje się naprawdę. Na przykład jak wtedy, gdy ktoś z lękiem wysokości idzie po wąskiej kładce i tak bardzo cały się spina, że stawia zły krok i spada. Ciało przez cały czas produkuje komórki rakowe. To oczywiste, że niektóre komórki muszą się psuć, bo są tak liczne, niemniej nasz system obronny – antyciała i makrofagi – otacza je i pożera, przez jakiś czas. Bo w którymś momencie organizm męczy się tą walką i rak wygrywa. Próbujesz przestać o nim myśleć, ale nie jesteś w stanie: cały twój ustroj buzuje tymi złymi komórkami. Rak skóry. Rak piersi. Rak wątroby, mózgu. Rak gałki ocznej, dolnej wargi, jeśli palisz fajkę. Może przeżreć dowolną część ciała. Cała ta sprawa przypomina jakiś ogromny komputer: jeden malutki element, jeden mikroskopijny tranzystor wypina się z sieci i pociąga za sobą całą resztę. Guzy mają zdolność wytwarzania własnych żył i arterii, potrafią brać pod swoje rozkazy coraz większe ilości krwi!

Sukie miała wrażenie, że monolog Alexandry rozrasta się pod nią, tworzy jakąś monstrualną, wilgotną narośl przenikającą do otworów, na których siedziała.

– Lexa, błagam – powiedziała. – Zapowietrzyłaś się. Zaraz się wpędzisz w histerię tym gadaniem.

– Histeria – odparła tamta lekko drwiącym tonem. – Ty za to gadasz jak facet, który uważa kobiety za coś gorszego, bo one mają macicę. Najstraszniejszą rzeczą w raku jest to, że przypomina zajście w ciążę, bo rośnie w tobie, czy tego chcesz czy nie. Pamiętasz jeszcze, jak to wyglądało? To rzyganie, to rozpaczliwe pragnienie snu? Organizm dziecka bił się z naszym o składniki odżywcze. Dziecko było pasożytem, takim samym jak rak.

Sukie milczała chwilę, chłonąc to porównanie.

– Zastanawiam się – powiedziała – czy nie powinnaś przypadkiem wrócić do Nowego Meksyku, gdzie będziesz bezpieczna przed naszym wpływem. Naszym, czyli mieszkańców Wschodu. – Powoli narastało w niej przeświadczenie, że Alexandrę trzeba ratować, nawet za

cenę poświęcenia samej siebie.

Alexandra zaśmiała się, ukazując się tym razem w swej beztroskiej odsłonie.

– Nie pozwolę, żeby jakiś szurnięty chłopaczek mnie nastraszył. Zapłaciłyśmy za dwa miesiące, a poza tym użyczyłam znajomym z Denver swojego mieszkania, na cały sierpień. Uwielbiają operę w Santa Fe.

– On nie jest chłopaczkiem – sprzeciwiła się Sukie. – I wcale nie jestem pewna, czy jest albo był szurnięty. Wiem tylko tyle, że ma nam za złe i że chce nas zabić. Sam mi to powiedział.

– Niech tylko spróbuje. Mężczyźni mają za złe kobietom od zarania czasu, a jednak my wciąż tu jesteśmy. Mogłabyś powiedzieć, że on ma rację, nie powinnyśmy były tego robić z jego siostrą. Jenny nie zrobiła nic złego, tylko wyszła za mężczyznę, który jej się oświadczył. Większość z nas robi tylko tyle. – Umilkła, gdy tymczasem Sukie skoncentrowała się na zjechaniu z dziewięćdziesiątej piątej i skierowaniu się na południe. – Tak czy owak – podjęła Alexandra – nie mogę wyjechać z Eastwick, dopóki nie pogodzę się z Marcy. Kiedy jestem z nią, zamieniam się w nadętą zrzędę. Ona mnie oskarża, że nie interesowałam się nią i pozostałymi dziećmi jak należy. Ma rację. Jestem egoistką. Zawsze bardziej interesowały mnie gliniane paczuszki niż własne dzieci, z mojej krwi i kości. Paczuszki były moje; do urodzenia dzieci zmusili mnie Oz i natura. Od samego początku, kiedy jeszcze karmiłam piersią te bezradne maleństwa, moje dzieci z krwi i kości, czułam, że jestem wykorzystywana. Nie chciałam być czyjąś cysterną z mlekiem.

– Jesteś zbyt surowa dla siebie – powiedziała Sukie, przymykając po tym zapewnieniu wargi na ten swój uroczy sposób, jakby w jej ustach rozpuszczało się coś pysznego. – Obserwowałam ciebie jako matkę. Naprawdę umiałaś okazać sporo czułości. Przytulałaś na plaży swoje zapiaszczone dzieci i tak dalej. Byłaś w tym znacznie lepsza od Jane.

– To jeden z powodów, dla których lubiłam Jane; była taka niedobra, że czułam się dobrze z samą sobą. Ona nienawidziła swoich dzieci. Widziałaś zresztą dlaczego; mówię o tej parce, która się tam dzisiaj pojawiła.

– A ja ci powiem, że mnie się wydawali wzruszający, z ręką na sercu. Budzili odrazę, ale w odróżnieniu od tej dwójki młodszych oni przynajmniej przyjechali i przeszli przez te wszystkie ceregiele. Pochowanie własnej matki: co to za dziwny obowiązek. Społeczeństwo oczekuje, że będziemy to robili; nie wiemy dokładnie dlaczego, ale przedsiębiorcy pogrzebowi i duchowni pilnują, żebyśmy to robili. Nie możemy uginać się wobec tego, co się z nami dzieje, wobec tych kamieni milowych. Ślubów i pogrzebów. Zdobywania dyplomów i rozwodów. Rozstań. Ceremoniały to dla nas ciężkie przejście. Są jak opaski na oczy dla ludzi,

które zakłada się ludziom stojącym przed plutonem egzekucyjnym.

Nawet Sukie się starzeje, pomyślała Alexandra. Przyjrzała się uważnie profilowi młodszej kobiety siedzącej za kierownicą; kiedy patrzyła zmrużonymi oczyma na drogę przed sobą, wachlarz z łukowatych zmarszczek sięgał linii włosów za jej uszami. Jej oczy dorobiły się trwałych, liliowych obwódok, a nad zębami, kiedy uśmiechała się szeroko, uwidaczniały się maleńkie, czarne szczeliny, tam gdzie dziąsła się obniżyły. Mimo to Alexandra kochała ją i dlatego dotknęła teraz jej spoczywającej na kierownicy szczupłej dłoni, naznaczonej nie tylko piegami, ale także plamami wątrobowymi.

– A jak jest z tobą? – spytała. – Nie chciałabyś wyjechać z Eastwick i wrócić do Stamfordu? Śmierć Jane ciąży żalobnym kirem, prawda? Dla mieszkańca Zachodu, takiego jak ja, Eastwick to wariacka przygoda, ale dla ciebie to pewnie niewielka różnica, po prostu znalazłaś się w nieco wyżej położonym punkcie wybrzeża.

– Nie – odparła Sukie, krzywiąc się do oślepiającej plamy, którą chylące się już ku zachodowi słońce rzucało na brudną, przednią szybę. – Zostaniemy obie. W domu nic mnie nie czeka oprócz garniturów Lenniego w szafie. Nie miałam sumienia odnosić ich do Armii Zbawienia. W ogóle się zastanawiam, czy nie przenieść się do Nowego Jorku. W przypadku samotnej kobiety to idiotyzm mieszkać na suburbiach. Czego chciałaby Jane? Chciałaby, żebyśmy zostały. Powiedziałaby: *Pieprzyć tego ssstukniętego Chrissisa. Zawsze był gówniarzem.*

W tym momencie do ust Sukie wtargnął głos Jane, niemal jak podczas seansu spirytystycznego, sprawiając, że obie kobiety zarechotały histerycznie. Dłoń Sukie zeskoczyła z kierownicy na dłoń Alexandry – pogładziła ją w geście pocieszenia, przyznającym jednocześnie, że potępione dusze ich obu, mimo swej brawury, są straszliwie słabe, straszliwie bezradne.

– Nie miałam pojęcia, że wynajęłaś dom w Taos. Kłopoty z pieniędzmi?

– Jim zostawił mi dość, żebym przeżyła, ale niewiele ponadto. Wszystko kosztuje teraz więcej niż kiedyś. Nawet glina.

Niebawem Sukie zjechała swoim bmw z drogi numer 1 na 1A. Minęły Coddington Junction, potem malownicze Old Wick, gdzie domki w stylu federalistycznym tuliły się, jakby w poszukiwaniu ochrony przed swoim nieuchronnym zniszczeniem, do zbudowanej bez jednolitego planu gospody na rozstaju dróg, działającej od jakiegoś czasu pod prężnym nowym zarządem, dzięki czemu pyszniła się teraz świeżym, białym tynkiem, bramkami do krykieta, ogrodowymi krzeselkami porozstawianymi na trawniku oraz cementową tablicą obiecującą złotymi literami WYBORNA KUCHNIA, i wreszcie ukazały się przed nimi

obrzeża Eastwick: najodleglejszy odcinek Orchard Road, dość prymitywny szyld walczącego o przetrwanie Stop & Shop i kilka mało zachęcających sklepików – ramy do obrazów, wideo, zdrowa żywność – niepasujących do aroganckich, narzucających się rozlewisk asfaltu na całych akrach ziemi, która przez ten asfalt nie miała już nigdy rodzić kukurydzy, ziemniaków ani truskawek. Po chwili po lewej stronie pojawił się kościół unitarian, z przysadzistą, ośmiokątną wieżą zwieńczoną miedzianym wiatrowskazem w postaci galopującego konia i jeźdźca w cylindrze na głowie, a po prawej, między drzewami, za porzewiałymi głazami falochronu zaczęła przebłyskiwać świetlista żółć wód zatoki. Zmaterializowały się podwórka na tyłach Oak Street, z huśtawkami i małymi łódkami, a w oddali zamajaczyło poidło dla koni z błękitnawego marmuru, okolone niewielkim zagajnikiem drzew. Strudzone serce Alexandry zaczęło bić szybciej wśród znajomych wystaw sklepowych i drewnianych domów z ubiegłych stuleci; mieszkała tutaj, pełnoprawnie mieszkała, z dziećmi, mężem, kochankami i przyjaciółmi, mimo że męczące obowiązki, sprawy do załatwienia i comiesięczne rachunki do zapłacenia przesłaniały jej błogość tamtych minionych dni. Tutaj, teraz, długie światło czerwca i lipca ustępowało już miejsca sierpniowemu, stopniowemu zamykaniu się. Było już po siódmej, pora kolacji i światła za oknami zdawały się płonąć jakby z głębin tych wnętrz, jakby teraz intensywniej. Długie cienie przecinały Dock Street od krawężnika do krawężnika. Bardziej zdecydowanie letni nastrój ożywiał nastolatków w skąpych, jasnych ubraniach; gromadzili się w grupkach i paplali o czymś przed sklepami, pod wrzecionowatymi drzewami owiniętymi białymi światełkami bożonarodzeniowymi, nieco głośniejszy, nieco bezczelniej wyciskając ostatnie przydziały zabawowej atmosfery z gęstniejącego zmierzchu. Starsi mieszkańcy i letnicy spacerowali samotnie albo w parach, z powolnym statecznym rozleniwieniem po pociemniałych, wiktoriańskich skwerach i chodnikach należących do Oak Street i Vane Street; w momencie gdy zapalały się latarnie, dzienny rozkład cieni natychmiast przeobrażał się w drobne cętki i duże skupiska elektrycznego światła, na które nakładały się koronkowe wzory z liści i gałęzi rozedrganych i rozkołysanych od wieczornej bryzy

– Czego potrzebujemy? – spytała Sukie, kiedy już skręciła na szczęśliwie znalezione wolne miejsce na parkingu przed minimarketem „Nad Zatoką”.

– Mleka? – odpowiedziała Alexandra. – Soku żurawinowego. Jogurtu?

Wydawało się, że zajęte grzebaniem Jane w jednej z podmiejskich dzielnic Bostonu wybyły na bardzo długi czas i w związku z tym wszystko o krótkim terminie przydatności do spożycia w ich lodówce musiało się zepsuć. Tak naprawdę bały się wrócić do mieszkania tylko we dwie.

– A może tak mrożoną pizzę do podgrzania w mikrofalówce? – Nie otrzymawszy

odpowiedzi, Sukie zdecydowała: – Wejdę tam, może coś mnie natchnie. – Wyślizgnęła się z bmw i zatrzasnęła kosztownie brzmiące drzwi. Uwielbiała się popisywać na Dock Street.

Alexandra pozwoliła jej iść do „Nad Zatoką” w pojedynkę, bo sama czuła się bezpieczniej tu, we wnętrzu samochodu, gdzie spływał na nią gwar, którym tętniło centrum miasta. Światła sklepu, fluorescencyjne i neonowe, igrały upiornie na błyskających obok nastoletnich twarzach – twarzach dzieci Eastwick, pyszniących się swoją narastającą mocą, dzieci, które ignorowały starą kobietę siedzącą w zaparkowanym wozie, domagając się uwagi ze strony rówieśników damskimi wrzaskami i zuchwałymi, chłopięcymi żartami, testując granice wolności, wymachując lodami z lodziarni „Ben & Jerrys”, która zastąpiła, w całym szeregu innych lokali usługowych, zakład fryzjerski LaRue. *Tak mało wiedzą o tym, co ich czeka*, pomyślała Alexandra. Seks, uwikłanie, zmęczenie, śmierć. Wołałaby, żeby Sukie przestała paradować ze swoimi wdziękami (błyszczące, miedziane włosy, lśniące, krzywe zęby) po jaskrawym wnętrzu sklepu i odwiozła je dwie, samotne, drogą wzdłuż plaży, tą samą drogą, jeśli nie brać w rachubę około dziesięciu pseudopałaców z widokiem na morze, którą o trzydzieści lat młodsza zwykła pędzić swoim subaru koloru dyni na plażę albo z sercem cwałującym w takt silnika do posiadłości Lenoksów, w czasach, gdy mieszkał tam Darryl Van Horne i gdzie co noc odbywała się impreza, która potencjalnie mogła otworzyć zatkany zamek szyfrowy jej życia.

Eastwick, podobnie jak inne poniekąd śliczne miasteczka rozsiane po całej Nowej Anglii, próbowało przyciągnąć turystów i dostarczyć zabawy stałym mieszkańcom, dlatego wypełniło sierpień różnymi sfabrykowanymi rozrywkami, jakby chciało nadrobić brak oficjalnych świąt w tym miesiącu; spuszczenie dwóch bomb atomowych i wynikłe z tego faktu zakończenie drugiej wojny światowej jakoś nigdy nie dorobiły się czerwonych cyfr w kalendarzu. Miasto organizowało więc mocno reklamowane wycieczki do porzuconych przedalni, przerobionych na muzea z rzędami znieruchomiłych maszyn, gablotami i powiększonymi fotografiami obrazującymi industrialną przeszłość. W dawnych społecznościach rolniczych odbywały się wczesne uczty dożynkowe i targi rolnicze, aczkolwiek liczba uczestników konkursu na największą dynię albo najsmuklejszą świnię zmniejszała się z roku na rok, podobnie zresztą jak zgłoszenia na turnieje strzyżenia owiec i na ciągnięcie mułów. W niegdyś purytańskich osadach, z pierwszego okresu – czyli sprzed 1725 roku – otwierano domy dla płatnych wycieczek, a miejscowe panny na wydaniu i ich babki ubierały się w długie spódnice, fartuszki obrzeżone koronkami i lniane czepki, by móc występować w roli przewodników po własnych staroświeckich siedzibach. Targi antyków,

książek i dzieł sztuki zapełniały wiejskie błonia optymistycznymi straganami i przyjaznym szuraniem stóp amatorów okazji po już i tak stratowanej i zbrązowiałej trawie. W samym Eastwick zorganizowano wyścigi łodzi, w kilku klasach, poczynając od podwójnych łodzi wiosłowych, a kończąc na jachtach wyposażonych w koła sterowe i pływających na pełnych żaglach. Na brzegu, ku pociesze dzieci i szurów lądowych rozbiło się wędrowne wesołe miasteczko, na parceli należącej niegdyś do Kościoła kongregacjonistów, a obecnie unitarian; powiernictwo Kościoła nabyło swego czasu ten teren z zamiarem postawienia na nim dodatkowych budynków, ale jakoś nie potrafiło zrealizować tych planów. Już i tak dostatecznym wyzwaniem było malowanie tego okazałego budynku na biało raz na pięć lat i naprawianie jego butwiejącej wieży, posadzek i parapetów co każde dwadzieścia.

Nie było jak oderwać Sukię od wrzawy i jasnych światła, mimo że Alexandra wróciła z pogrzebu Jane z odrazą do jednego i drugiego. Urządzenia mechaniczne, w które wyposażone było mieszkanie, serwowały jej, kiedy przechodziła obok, jeśli nie wyraźny wstrząs, to przynajmniej łaskotliwy niepokój, który wnikał głęboko w układy jej istoty. Któregoś dnia przystanęła obok słupa telefonicznego przed budynkiem poczty przy Dock Street i próbowała sobie przypomnieć, jakie to sprawy ściągnęły ją do centrum oprócz wysłania kartki urodzinowej i niewielkiego czeku do jej wnuka z Seattle – takie zaburzenia pamięci krótkoterminowej zdarzały jej się coraz częściej, przerażając nagłymi wykwitami pustki w głowie, wymazującej to, co jeszcze pół godziny wcześniej było rażąco oczywiste i absurdalnie banalne – omal nie dała się rozpląszyć jak naleśnik przez niewidoczną iskrę, która jakby wypchnęła wszystkie mięśnie z tej połowy jej ciała. Mimo że nikt z garstki przechodniów, zajętych własnymi sprawami, nie zauważył tego zjawiska, ono ją poraziło niczym wykrzyczana obelga i zakaziło mdłościami, jakie towarzyszą braniu ostrego zakrętu. Prozaiczna, oblana słońcem sceneria wokół niej – rozpalony chodnik, cieleńscy ludzie w kusych, letnich ubiorach rzucający przysadziste, zarozumiałe cienie, wędnące cynie na grządkach obok betonowych schodków poczty, flaga amerykańska zwisająca luźno na słupie – zniecka wydała się niesmaczna, jak kaloryczny deser podany na śniadanie. Ten niesmak towarzyszył jej już do końca dnia. Była roztrzęsiona. Nie miała ochoty nic jeść, ale apetytu brakowało jej od dawna. Kiedy stawiano przed nią jedzenie, jej ciało nie potrafiło sobie przypomnieć, w jakim celu mu je podano. Ślinianki powoli wycofywały się z życia.

Sztuczne podniecenie w wesołym miasteczku – wrzaski od strony karuzeli, kiedy owalne klatki na końcach długich, uchylnych ramion miały w tę i we w tę swymi dobrowolnymi więźniami; bardziej senne okrzyki przestraszenia wymuszane przez spazmatyczne obroty diabelskiego młyna, zatrzymującego się do wymiany pasażerów na

dole, podczas gdy pozostałe gondolki kołysały się, rezonując paniką siedzących na samej górze w otoczeniu chłodnej nocy – napierało na nią, wprawiało w oszołomienie, przeżerało i obskubywało do zera ten rdzeń spokoju, który dotąd zawsze z ufnością witał niespodzianki i nowe doznania. Czowała, że oczy miejscowych zerkają na nią z podejrzliwością; ludzie wyczuwali jej terażniejsze wyobcowanie albo może przypominali sobie o jej złej reputacji sprzed lat.

– Skończ już z tamtym, moja ty piękności – strofowała ją Sukie. – Przyszliśmy tu, żeby się rozerwać.

– Powiadasz. Jakoś wątpię, czy coś mnie jeszcze potrafi rozerwać.

– Nie mów tak. Bierz przykład z tych wszystkich urzeczonych dzieci.

– Dla mnie wyglądają upiornie. Powinny już leżeć w łóżkach i wiedzą o tym.

Dzieci chowały twarze w papierowych tubach wypełnionych watą cukrową i próbowały otwierać usta dostatecznie szeroko, żeby móc się przegryźć przez grubą skorupę jabłek w karmelu. Dorośli powarkiwali na nie, nakłaniając do jakichś przejażdżek rzucających wyzwanie śmierci albo do udziału w grze polegającej na rzucaniu kólkami na tchnący okrucieństwem osprzęt, odmawiając im bezpieczeństwa i spokoju ich własnych łóżek, rzucając na nie czar idiotycznych nadziei, że coś się zdarzy, jeśli będą do późna na nogach. Alexandra też zwykle się tak czuła, w tym samym mieście, ale to się działo wiele lat wcześniej. Jakaś inna osoba, jakaś inna kobieta, z mocniejszym żołądkiem i z bardziej optymistycznym nastawieniem, dzieliła z innymi oczekiwanie w związku z nocą.

– Patrz! – krzyknęła Sukie. – Tam jest Chris Gabriel!

– Szybko! Schowajmy się.

– Dlaczego? Już nie ma po co. Sama powiedziałaś: „Pieprzyć go”.

– Ja tak powiedziałam? To ty tak powiedziałaś, udając Jane.

Mężczyzna w białych spodniach malarza pokojowego i T-shircie z jakimś napisem ruszył w ich stronę, na zachęający znak dany przez Sukie. Wyglądał młodo w blasku świateł wesołego miasteczka, z tą twarzą anielsko gładką, z ustami pulchnymi i wydętymi, z kędzierzawymi platynowymi włosami przerzedzonymi jedynie z tyłu głowy i zaczesanymi dwoma lśniącymi skrzydełkami na skroniach; ze szpaka nad czołem dyndał pojedynczy, starannie ułożony kosmyk. Wyglądał jak taki wyższy James Dean, gdyby James Dean dożył średniego wieku.

– Jak się bawicie, drogie panie? – spytał ze skośnym półuśmiechem gwiazdy kina.

Mimo że przytył w pasie przez lata, a rysy twarzy mu zgrubiały, głos miał lekki i zblazowany jak głos tamtego nastolatka, którego prawie już nie pamiętały. Napis na jego T-

shircie, ułożony w dwie linijki, pierwszą zieloną, drugą czarną, głosił: ZAMIAST ROPY RZEPAK SPALAJ. Jego postać zdawała się mieć dziwne, odblaskowe właściwości, wydało się Alexandrze, jakby otaczała ją mętna warstwa oparów rtęci. Jakoś nie potrafiła uwierzyć, że mógłby kierować się celem tak przyziemnym jak dążenie do jej śmierci. A jednak taka insynuacja stworzyła między nimi coś niemal na kształt erotycznej więzi, podstawy do czulego droczenia się, które Sukie uniemożliwiła zawczasu, odzywając się nerwowym, zazdrosnym głosem.

– Bawimy się całkiem nieźle – odparła, zakładając sobie włosy za uszy i zadzierając głowę, żeby móc spojrzeć mu w oczy.

– To wspaniale – powiedział, lekko zaskoczony jej przejętym tonem.

– Co tu robisz? – ciągnęła Sukie. – Dalej mieszkasz u tej odrażającej Greta Neff?

– Tak. W pewnym sensie.

Chciał w ten sposób powiedzieć, przypuszczała Alexandra, że Greta jest odrażająca tylko „w pewnym sensie”.

– Panie Grant, zostaje pan w Eastwick do końca lata? – spytała nieco łagodniejszym tonem.

Młodo-stary mężczyzna, szczupły chłopiec, który przeobraził się w sflaczałego mściciela, wbił w nią spojrzenie elektryzująco jasnych tęczy z obwódkami barwy ciemniejszego błękitu. Zobaczyła wtedy, że istotnie mógłby jej zrobić dużą krzywdę, w podobny sposób, w jaki mogłoby to uczynić jakieś Bogu ducha winne zwierzę, na przykład niedźwiedź, albo maszyna względnie prawo ślepej natury.

– Mam tu pewne sprawy, które chciałbym dokończyć – odparł niemalże dobrotliwie. – Mogą mi zabrać trochę czasu.

– Tak mi się zdaje, że za mało przebywasz na słońcu – powiedziała z nadzieją, że ukryje uśmiechem wstrząs, jaki zafundował jej ten morderczy, bezduszny wzrok. – Tutaj w sierpniu powinieneś już być opalony.

– Używam filtru numer czterdzieści pięć – wyjaśnił. – Pani też powinna. Rak skóry to nie przelewki.

– W moim wieku – odparowała Alexandra dość beztroskim tonem, biorąc pod uwagę fakt, jak bardzo nienawidziła tego tematu – to prawie przelewki, jest tyle znacznie gorszych odmian.

Spoważniał w tym momencie, uderzając w ton profesjonalisty.

– W telewizji fundują ci tyle opalenizny, ile potrzebują. Reżyserzy nie cierpią, jeśli w poniedziałek przychodzisz strzaskany na mahoń, bo tego nie da się zamaskować. Jeśli chcesz

być opalony, to kup sobie opalenzę w butelce, tak ci radzą, zwłaszcza aktorkom. Przy kręceniu pornosów, w Dolinie, dominowało przekonanie, że ślady od bikini na aktorkach każą widzowi się zastanawiać, jak one wyglądały w kostiumach kąpielowych, z kim poszły na plażę, co miały w koszyku lunchowym, jakimi kobietami są na co dzień, i w ten sposób zabija się cały miraż.

– A może to właśnie wzbogaciłoby miraż? – wtrąciła się Sukie. – Bo dzięki temu dziewczyna wydawałaby się bardziej rzeczywista?

Ona nie powinna mnie chronić, pomyślała Alexandra. *Sama się obronię, jeśli uznam, że warto.*

Christopher miał wyraźne wątpliwości.

– Faceci, którzy oglądają takie rzeczy na ekranie, są dość prymitywni. Nie chcą całego ton rzeczywistości.

– Znasz wiele aktorek porno? – spytała Sukie.

– Kilka. Są miłsze i bardziej przeciętne, niżbyście pomyślały. Wiele z nich uprawia jogę, bo joga wyszczupla i wzmacnia ich duchowość. Pozwala im się zrelaksować między sesjami na planie. Wszyscy mówią, jak trudno jest facetom z graniem w pornosach – powiedziałbym, że trudno im stanąć do wysokości zadania – ale dla kobiet to też nie jest taka bułka z masłem. Te jasne światła, te piekielnie męczące zapasy i jeszcze patrzą na ciebie ludzie z ekipy. Kobiety, które idą do przodu w tym biznesie, to takie, które nie pozwalają, żeby powaliła je nuda.

– Zdarzyło ci się wchodzić w taki rodzaj aktorstwa? – spytała go Alexandra zalotnym tonem, żeby nie ujawnić, jaka jest przerażona, bo zza cichego gwaru i nieokreślonej, chrapliwej muzyki wesołego miasteczka wychynęła nagle wieczność śmierci, konfrontując ją ze swoją niekończącą się, ołowianą realnością.

Jego posępne, niebiańskie spojrzenie, kiedy znowu skierował je na nią, wydawało się tym razem łagodniejsze, kontemplowało ją niczym jakiś uczynek, którego już dokonał w myślach.

– Być może – odparł. – Ale jeśli nawet, to nie byłem w tym najlepszy. Żeby to robić, trzeba bardzo, ale to bardzo lubić dymanko z kobietami. A poza tym to są role, do których leci się nocą, odgrywa je w pokoju w motelu, przed ręczną kamerą, na Zachodnim Wybrzeżu, jak już powiedziałem, w Dolinie. A ja nie chciałem wyjeżdżać z Nowego Jorku. Człowiek staje się bezmózgowcem, jak stąd wyjeżdża.

– W ogóle nie lubisz kobiet? – spytała Sukie z cichym posapywaniem, pod którego wpływem Alexandrze jak zawsze ścisnęło się serce.

– Nie przepadam, powiedziałem. Żeby grać w porno, trzeba albo strasznie je lubić, albo ich nienawidzić. Nienawiść nie jest taka zła, tutaj się przydaje. One są gwiazdami, ty jesteś mięsem. Mnie nie ciągnęło w żadną stronę. Reżyserzy mówili, że to mnie ogranicza. Nie mówię teraz tylko o porno. Mówię o aktorstwie w szerokim sensie. Wszystkie kobiety są takie narcystyczne i pewne swego w porównaniu z moją siostrą.

– Była urocza – zapewniła go prędko Sukie.

– Niesamowicie inteligentna i miła – poparła ją Alexandra. – Spotkało ją straszne nieszczęście.

– Owszem – odparł nieco zdumiony, że one tak się z nim zgadzają.

– Posłuchaj, Chris – powiedziała Sukie. – A może wpadłbyś do nas kiedyś na drinka? Tym razem to Alexandra się zdumiała.

– Założę się, że z przyjemnością zobaczysz, co zrobili z wnętrzem dworu Lenoksów. Zachwycisz się – stwierdziła – albo oburzysz.

– Nie wiem... – zaczął.

– Podamy szampana. Będzie jak w dawnych czasach, z Darrylem.

– Ja nie piję – oznajmił. – Kac to dla mnie średnia przyjemność. Wpływa na cerę. Sprawia, że człowiek wygląda jak zwiędnięty.

– No to wpadnij na herbatkę! – krzyknęła Sukie, zdaniem Alexandry robiąc już z siebie pośmiewisko, bo dostała dziwnie słabego i piskliwego głosu, jakby jej postarzałe ciało kryło w sobie małą dziewczynkę. – Podamy jakieś pyszne napary z ziół, prawda, Alexandro?

– Skoro tak mówisz – odparła, czując, że nieodwracalny fakt śmierci wciąż dławi ją w gardle.

– W przyszły wtorek – nalegała Sukie. – Herbatka dla trojga, o czwartej. O czwartej trzydzieści. Wiesz, gdzie mieszkamy, prawda? Pierwsze piętro, tylne wejście, od strony parkingu.

– Tak, ale... – znowu zaczął Chris.

– Żadnych ale – upierała się Sukie. – Bądźże uczciwy, u Greta Neff jest koszmarnie nudno, mam rację? W końcu ile można zjeść kiszzonej kapusty?

– OK – powiedział do Sukie, poddając się z pozbawionym wdzięku zblazowaniem nastolatka. Jego spojrzenie znów się przeniosło na Alexandrę. – Pani wie, że przy takiej masie aparatury – tu omiółł gestem jedną karuzelę, nadmuchiwany gabinet śmiechu, kolejną karuzelę z parowymi organami i brzemieniem zamroczonych dzieci, sznury nagich, kolorowych żarówek wiszących od straganu do straganu – którą się wiecznie rozkręca, wlecze do następnego miasta i kleci od nowa, przy czym robi to banda pijaków i ćpunów, to zostaje

mnóstwo luźnych przewodów. Czują już pani jakieś wstrząsy?

– Kilka drobnych – przyznała Alexandra. – Staram się nie zwracać uwagi.

– No i masz – odparł z wymuszonym uśmiechem na zlodowaciałych wargach pięknego chłoptasia i powtórzył swój wymach ręką, szeroki, acz niezdamny, przypominając obu kobietom berło swego zaginionego mentora, Darryla Van Horne'a. – Elektryki są wszędzie – powiedział. – Z nich składa się egzystencja.

– Opowiesz nam o tym we wtorek – rzuciła Sukie. – My przygotujemy scenerię.

Tłum już rzedł, odsłaniając boleśnie zdeptaną trawę – rozpląszczoną sałatkę ze śladów stóp utaplanych w sosie z oślepiającego, elektrycznego światła. Na plecach T-shirtu Christophera, zauważyły, kiedy oddalał się w stronę melancholii ostatnich godzin wesołego miasteczka, widniał jeszcze jeden napis, znowu podzielony na dwie linijki, jedną zieloną i jedną czarną: ZAMIAST BUSHA WYBIERZ ALA. To był stary T-shirt.

Obie kobiety trwały blisko siebie jeszcze przez kilka chwil, obok stoiska z watą cukrową. Chude, mechaniczne ramię wystające z pasiastej, plastikowej kadzi, niezmordowanie skręcało kłęby z waty cukrowej, na które już nie było chętnych. Dzieci zagnano wreszcie do łóżek; zostali jedynie znudzeni licealiści i zaplamieni smarami robotnicy, którzy ukradkiem zabierali się już do pakowania wesołego miasteczka.

– Co cię opętało? – spytała Alexandra.

– A czemu nie? To okazja, żeby wejść z nim w bliski kontakt, rozpracować go. To nasza jedyna szansa. – Mówiła to swym dziennikarskim głosem, ostrym, a jednak lekceważącym, a wyraz jej wydętych ust dawał do zrozumienia, że jest z siebie zadowolona.

– On chce nas zamordować.

– Wiem. Tak mówi. Ale to może być tylko takie gadanie, a to z Jane to mogły być same zbiegi okoliczności.

– Złotko, z przykrością muszę ci powiedzieć, że strasznie byłaś wkurzająca, kiedy się tak do niego łąsiłaś. Obrzydliwość. Do czego ty zmierzasz?

Orzechowe oczy Sukie zognomniały niewinnie; odbite w nich światła wesołego miasteczka pływały w mikrokosmosie jej źrenic, pośród złotych plamek.

– Do niczego – przysięgła. – Mam na względzie wyłącznie twoje dobro, kochaniutka.

– Pani Rougemont!

Ten głos mógł ją wołać już po raz drugi, ale idąca po Dock Street Sukie była pogrążona w głębokich rozmyślaniach o możliwości popełnienia cnotliwego czynu i złożenia siebie w ofierze (Czy takie rzeczy są możliwe? Czy raczej to wszystko to hipokryzja, dbanie

wyłącznie o własny interes?) i obracała w głowie wizerunek Debbie Larcom, z jej jędrnym, kształtnym, białym ciałem w prostej szarej sukni niczym blady płomień spowity dymem.

Zła, że ktoś jej przerywa rozmyślenia, obróciła się, spodziewając się zobaczyć Tommy'ego Gortona, grubego i skrajnie rozmamłanego, atakującego ją hipisowskimi włosami i niechlujną brodą, brakami w uzębieniu i okaleczoną dłoń. A jednak tym razem włosy i brodę miał przystrzyżone i nosił się też bardziej prosto. Powiało ku niej tamtym aroganckim młodzieńcem, którego kiedyś знаła, który kochał się w niej, a także we własnej urodzie, o której istnieniu sama go uświadomiła.

– Tom – powiedziała, ze starannie wyważonym ciepłem. – Jak miło. Co u ciebie?

Nie potrafił ukryć swoich dobrych wieści; jego czerwona twarz sprawiała takie wrażenie, jakby zaraz miała od nich wybuchnąć.

– Popatrz – powiedział i podniósł swoją biedną, zniszczoną dłoń. Kilka palców zadrgało powoli. – Ona mi się trochę rusza. Częściowo odzyskałem czucie.

– Ależ to wspaniale! – odparła wstrząśnięta. – Co na to twój lekarz?

– Pani doktor twierdzi, że to cud. Kazała mi robić ćwiczenia.

Uwagę Sukie odwróciło zniecacka to wyjawienie płci lekarza; wśród lekarzy spory odsetek należał obecnie do kobiet, ją samą w Stamfordzie też leczyła kobieta. W średniowieczu mężczyźni przemocą zabrali czarownicom sztukę uzdrawiania, a teraz ją oddawali, bo, jak zauważył Nat Tinker, prawdziwe pieniądze kryły się już gdzie indziej, nie w medycynie. Jej lekarka, choć wyższa i starsza, miała w sobie ten sam radosny spokój co Debbie Larcom, ten sam poskromiony żar, jakby praktykowanie cnoty dostarczało jakiejś nagrody zmysłowej, podobnie jak karmienie dziecka piersią. Kobiety wreszcie obejmowały świat w swoją dziedzinę, pozwalając mężczyznom tonąć jeszcze bardziej gorliwie w ich fantazjach o przemocy i dominacji.

– Bardzo się cieszę, Tommy – powiedziała Sukie, mimo że jej serce już dawno temu przestało marzyć o wspólnym szczęściu z Tommym Gortonem; Tommy, podobnie jak dość rozpaczliwie nęcące swą zawartością sklepy przy Dock Street i ten błysk morskiej wody osuwający się w stronę morza za ich tyłami, stanowił pamiątkę po dawnych przygodach, dla niej drogocenny przedewszystkim dlatego, że je przetrwała, bez szwanku dla swego prawdziwego ja, tego jasnego i czystego. – Kiedy to się zaczęło? – spytała, chcąc być uprzejma, jako że Tommy najwyraźniej próbował wyciągnąć jak najwięcej z takiego rozwoju zdarzeń.

– No właśnie. Jakies dwa tygodnie temu. Siedziałem sobie w domu, oglądałem jakiś dumny teleturniej w telewizji, a Jean kończyła sprzątać w kuchni, kiedy zaczęło mnie

świerzbic w ręce. Natychmiast poderwałem się z fotela, bo nie czułem w niej nic od jakichś dwudziestu lat. A potem, jeszcze tej samej nocy, odezwało się to piekielne swędzenie. Nie dało mi spać, ale w ogóle mnie to nie obeszło. Coś się działo. Rano przyjrzałem się ręce i wydało mi się, że jestem w stanie trochę poruszyć palcami. Stwierdziłem też, że kości układają się jakby lepiej, bardziej normalnie. I tak to już potem było codziennie, z każdym dniem coraz lepiej. Owszem, czuję ból. Ale to jest ból, który prowadzi do czegoś. Już jestem w stanie utrzymać widelec. Popatrz.

Wykonał ruch naśladujący ściskanie czegoś w palcach swojej wciąż odrażającej, czerwonej, kluchowatej dłoni. Sukie zawstydzila się tą rozmową, w samym środku pracowitego poranka przy Dock Street, ale odniosła też wrażenie, że przechodnie ostentacyjnie ich ignorują, bo każdy już słyszał wcześniej, jak Tommy opowiada swoją historię.

– Cały numer polega na tym – powiedział do Sukie, unieruchamiając jej rozbiegane spojrzenie swoimi oczyma, z białkami poczerwieniałymi od upływu lat, alkoholu i użalania się nad sobą – że to wy musiałyście to zrobić. Znaczący się ty i tamte dwie.

– Co takiego mogliśmy zrobić? – spytała. Naszły ją obrazy z dalekiej przeszłości, kiedy Jane jeszcze żyła – one trzy zupełnie gołe, wzywanie Bogini w ramach obrzędku zaaranżowanego przez Alexandrę, usypany z granulek proszku do prania krąg, który tworzył podstawę stożka mocy, karty do tarota niechętnie przeobrażające się w popiół w mosiężnej miseczce, fakt, że wylosowała Giermka Denarów, prostackiego, zarozumiałego, pięknego kmiotka i z braku lepszych pomysłów poprosiła Boginię, żeby dokonała niemożliwego, na minutę przed tym, zanim usta Jane wypełniły się krwią, a ona sama wyszeptała: „Cholera. To boli”.

– Naturalnie czułam się strasznie, kiedy się dowiedziałam, co ci się stało, ale... – wyjąkała Sukie, na poły się wycofując.

– Wiem, że nie możesz o tym rozmawiać – przerwał jej Tommy. – To mroczne sprawy. Ale... kręciłem się akurat koło remizy i usłyszałem najnowsze ploty: ludzie z pogotowia, którzy przyjechali na wezwanie, mówili, że tam dziwnie śmierdziało, że dywan został świeżo odkurzony i że ofiara miała majtki na lewo. Kiedy poskładałem sobie wszystko do kupy, to omal się nie popłakałem. A właściwie to się naprawdę popłakałem. Zawsze byłeś dla mnie taka wspaniałomyślna.

– To była egoistyczna przyjemność, Tommy. Byłeś piękny.

Zrobił w tym momencie coś raczej strasznego, bo dał krok w jej stronę, w samym środku dnia, tak zniżając głos, że nikt przechodzący obok nie mógł nic usłyszeć.

– Jeszcze mogę taki być. Po tym, co dla mnie zrobiłaś... Zapomnij o tym, co powiedziałem o Jean. Ona zrozumie. A jeśli nie zrozumie, to niech się wypcha. To zimna suka. Twierdzi, że to wszystko, czego domagam się od niej w łóżku, jest wbrew jej religii.

Oferował jej siebie i ta arogancja ją wzruszyła, ale nawet z dwiema dłońmi – zresztą do jakiego stopnia takie uzdrowienie, kupione za pomocą jednej lepkiej karty do tarota, mogło być skuteczne? – należał do przebrzmiałej przeszłości. Już wolałaby zejść do dolnych partii Debbie Larcom, do czarnego trójkąta w miejscu, gdzie stykały się jej białe uda.

– Nie, Tommy, nie mów już nic więcej. To, co działo się między nami, działo się wieki temu. To były inne czasy, czasy, w których robiło się mnóstwo rzeczy. Teraz jest inaczej. Jestem starszą panią.

– Nadal jesteś bombową laską. I założę się, że jesteś ciągle... jak myśmy na to mówili?... szalona.

Z jakiegoś powodu ta aluzja ją obraziła. A może dopraszała się o obrazę.

– Nie dostatecznie szalona, żeby rozmawiać z tobą w samym środku miasta – powiedziała. – Do widzenia, Tommy. Dbajcie o tę dłoń, ty i twoja pani doktor.

Odrącony skurczył się w jej oczach, jakby wzbila się w powietrze i patrzyła na dół ze szczytu jakiegoś słupa, na tego żalostnego, łysiejącego rybaka, porzuconego na chodniku pokolorowanym przez malutkich, wyletnionych ludzi w kusych, sportowych ubraniach.

Sukie i Alexandra były takie nerwowe podczas przygotowań przed przyjęciem Chrisa Gabriela na herbacie, że stale na siebie wpadały w różnych punktach mieszkania.

– Zamierzasz go oskarżyć? – spytała Alexandra, po tym jak o mało co znowu zderzyłyby się z sobą w maleńkiej kuchni; Sukie niosła akurat półmisek z ciasteczkami „Pepperidge Farm”, przemyślnie ułożonymi w formie przekładanka z cytrynowych delicji i piernikowych ludzików, a Alexandra szła w przeciwnym kierunku z małą japońską miseczką wypełnioną dipem (majonez z dodatkiem siekanych muszli i mięsa krabów), który miał być podany do krakersów ryżowych o smaku wodorostów, dostępnych wyłącznie w małym uczęszczanym dziale delikatesowym Stop & Shop.

– Już go oskarżyłam – odparła Sukie. – Zaraz po mszy ku pamięci Jane. Nie wypierał się, choć nie powiedział, jak to zrobił. – A jednak przemilczała, że „ta gruba” miała być następna; zatajając to podczas jazdy powrotnej do domu, zaczęła jednocześnie budować konstrukcję z myśli i intencji ukrywanych przed drugą czarownicą, tak jak kiedyś ukrywała się przed rodzicami z masturbacją i decyzją, że ucieknie z domu, z tego ciasnego, ceglano-bliźniaka w małym, nudnym miasteczku, które niczym paznokieć trwało na krańcu jeziora

Finger, w środkowozachodniej części stanu Nowy Jork. Trzymanie w ukryciu faktu swego dorastania wywoływało w niej pogardę do rodziców, że tacy tępi, i choć wprawdzie nigdy nie pozwoliłaby sobie poczuć się lepsza od Alexandry, to jednak prawda była taka, że podczas gdy ona pracowała nad tą wizją, jak czyni dobro i składa siebie w ofierze, starsza czarownica wydawała się coraz bardziej senna, nieobecna duchem i bierna. Przypominała wielką, białą larwę sparaliżowaną przez pająka. Od środka pożerały ją żywcem maleńkie, dopiero wylęgające się pajęczki.

– Nie pytaj, jak to zrobił – poprosiła ją Alexandra. – Nawet nie chcę o tym myśleć. Przecież gdyby udało nam się zrekonstruować jego metodę, mogłoby to nas skusić do wykorzystania jej w praktyce.

To stwierdzenie zabrzmiało tak dziwacznie, że skłoniło Sukie do pytania:

– A tak w ogóle to jak ty się czujesz?

– Zmęczona – wyznała Alexandra.

– Ale chyba sypiasz?

– Z trudem zachowuję przytomność. Z wyjątkiem nocy. Przesypiam kilka godzin, po czym zniecka się budzę. Te żaby drzewne nad stawem są takie hałaśliwe. O czym one tak gadają po nocy? Księżyc za bardzo je podnieca. Od paru dni świeci tak mocno, że ptaki zaczynają ćwierkać już o trzeciej. Wstaję, wyglądam przez okno i widzę go, wysoko nad drzewami, jak jakieś straszne, białe oko w judaszu w drzwiach. Cały świat próbuje spać, a tymczasem on świeci i świeci jak jakiś idiota. Dla mnie to dowód na to, jacy my jesteśmy mało ważni.

– Księżyc jest już prawie w nowiu. Nie wiem, czy pamiętasz, ale właśnie zaczynało go ubywać, kiedy...

– Nie rozmawiajmy o tym, błagam – poprosiła znowu Alexandra.

– ...kiedy modliłyśmy się do Bogini – uparcie dokończyła Sukie, jakby z tą Boginią to był autorski, niefortunny pomysł Alexandry.

– Okazała się straszną świnią – zgodziła się z nią starsza kobieta. – Nigdy się nie dowiemy, o co modliła się Jane, że dostała taką odpowiedź.

– Moja modlitwa została wysłuchana – zwierzyła się Sukie. – W zeszłym tygodniu natknęłam się w mieście na Tommyego Gortona; wychodzi na to, że ta jego okropna dłoń się goi. Odzyskał w niej czucie i już nią trochę rusza. Nie wiem, na ile jej stan może się jeszcze poprawić, niemniej Tommy cieszył się strasznie; aż z tej radości zaproponował, że mnie przeleci.

– No co ty powiesz! Dlaczego nie mówiłaś nic wcześniej? To niesamowite!

Sukie przypuszczała, że zachowała sprawę dla siebie, bo wplotła ją między prywatne wizje. Jakkolwiek by było, więdźmy dysponuję mocami wywoływania halucynacji. Sukie nie chciała przypominać Alexandrze o własnej słabości do młodszych mężczyzn, bo mogłaby w ten sposób ujawnić swoje cienne intencje, sekretne marzenie, w którym pielęgnowała obraz przepięknego efeba, Akteona albo Hiacynta, obnażającego do księżycy swój gładki tors, z cudownymi, czysto ozdobnymi sutkami.

– Nie wiem – odparła wymijająco. – Nie chciałam tego zapeszyć, bo Tommy był taki pełen nadziei. Obawiam się zresztą, że z tego cudu nie wyjdzie wiele więcej, jak to już bywało z niejednym cudem. – Odrętwiała, jakby ta jej mityczna wizja upiła ją lekko, podeszła do okna, z którego rozciągał się widok na parking, i zmieniła temat: – Martwię się, że przyływ będzie za wysoki i Chris nie przedostanie się przez bród.

– Chris miałby się nie przedostać? Kochanie, przecież bank podniósł bród. Nikt nie kupiłby mieszkania, do którego nie można się dostać.

– Gazety rozpisują się o powodziach będących skutkiem globalnego ocieplenia. Też tak tego nie cierpisz? – Przycisnęła policzek do szyby, bo dzięki temu widziała przeciwległy skraj brodu. Owszem, zdawały się go pokrywać stalowoniebieskie wody, ale zmarszczki, które od niego odchodziły, wprawiając bagienne trawy w kołysanie, wskazywały, że właśnie przejechał tamtędy samochód.

– Co powiedziałaś, kiedy Tom zaproponował, że cię przeleci?

– Że mowy nie ma, oczywiście. – Sukie żałowała teraz, że dopuściła drugą kobietę na jakikolwiek dystans do swojej prywatności; wstydziła się nawet tego, że kilka tygodni wcześniej rozebrały się do naga w swojej obecności.

– Brakuje ci seksu? – spytała nagle Alexandra z kanapy, na której się umościła w półleżącej pozycji przed starannie ułożonymi przekąskami niczym Rzymianka na uczenie. – Bo mi wcale. Po co ten cały chaos? My z Jimem z czasem zaczęliśmy to robić raczej z poczucia obowiązku, ale niech będzie błogosławiona jego najmilsza dusza, robił wszystko, żeby seks był dla mnie interesujący.

– Ja też już nie myślę o seksie – skłamała Sukie.

Obie się wzdrygnęły, kiedy zabrzmiał brzęczek z holu na dole klatki schodowej. Rzęził absurdalnie głośno, wręcz chamsko, niczym alarm przeciwłamaniowy, ale nie nauczyły się, jak go przyciszać; bank, właściciel ich lokalu, kasował od nich czek, ale kiedy tam wydzwaniały, ani razu nie odpowiedział im człowiek, tylko nagranie, które oferowało rozmaite kanały komunikacji, ale te z kolei zawsze oferowały wyłącznie obojętne milczenie. Kroki wspinające się po schodach były takie sprężyste i młodzieńcze, że obie przeżyły

kolejny szok, kiedy w drzwiach ukazał się mieszcuchowaty, androginiczny mężczyzna w średnim wieku, który na dodatek ciężko sapał.

– Przepraszam, przepraszam – wydyszał.

– Wcale się nie spóźniłeś – zapewniła go Sukie, mimo że zgodnie z tym, co pokazywał zegarek Alexandry, Christopher spóźnił się mocno.

– Bród był zalany wodą, jak w dawnych czasach – ciągnął, odzyskawszy oddech – i musiałem zdecydować, przeprować się czy nie. Nie chciałem zatopić tego gruchota, którego pożyczyła mi Greta.

– Biedne autko jest już pewnie na ostatnich nogach – zadrwiła Sukie.

– Tym bardziej czule trzeba się z nim obchodzić – stwierdził, uderzając w szarmancki ton i idąc w stronę Alexandry tak, jakby właśnie kroczył przez scenę. Wręczył jej puszkę solonych orzechów nerkowca firmy Planters. – Prezent dla pani domu.

– Dla pań domu – syknęła zazdrośnie Sukie.

– Jasne. Dla pań.

– Czy Greta wiedziała, że wybierasz się tutaj? – spytała Alexandra z kanapy.

– Wiedziała. Wie. I powiedziała, że wezwie policję, jeśli nie wrócę za dwie godziny. Kochana dziewczyna bała się, że coś mi się stanie. – Na krótko zamienił opryskliwość i złe manieri małomównego nastolatka na bardziej sceniczne decorum, wyuczone bez wątpienia w trakcie występów w popołudniowych operach mydlanych, z typową dla nich duchotą zamkniętego studia i starannie zaprojektowanymi wersjami codziennych strojów. Na tę okazję włożył białe dzinsy nabijane mosiężnymi ćwiekami, mokasyny firmy L.L. Bean, niebieski jak listeryna T-shirt ze zdobnym napisem „Mets” i sweter polo z żółtego kaszmiru udrapowany na ramionach, z rękawami zawiązanymi luźno na szyi. Rozejrzał się dookoła i znowu przerabiając się na młodzieniaszka, wykrzyknął: – Ja nie mogę! Faktycznie, tutaj Darryl trzymał swoje głośniki i w ogóle to była tamta łaznia z rozsuwanym sufitem do oglądania gwiazd.

– Trochę jeszcze zostało z dawnych elementów konstrukcyjnych, można je obejrzeć w pokoju, który zajmowała Jane. Przemalowali je na ten sam kolor co ściany.

Wzmianka o Jane zmieniła atmosferę. Sukie przestała paplać, ale usta miała wciąż rozdziawione, jakby utknęła na jakiejś myśli, a Christopher wbił wzrok w bordowy dywan i autentycznie się zaczerwienił.

– Herbata – przypomniała im Alexandra, widząc, że to ona sprawuje opiekę nad tym dwojgiem dzieci. – Christopher, zwykła herbata z kofeiną, to znaczy Lipton albo English Breakfast, czy raczej ziołowa? Mamy rumiankową, „Słodkie sny”, ewentualnie zieloną

„Dobrą Ziemię” z dodatkiem trawki cytrynowej.

– Dzięki, ale w ziołowe nie wchodzę, bo jak dla mnie za bardzo śmierdzą, a kofeina mnie powala o tej porze. Wystarczy kawałek czekolady i już całą noc nie śpię.

– Czyli herbata wykluczona – podsumowała Alexandra.

– Co jeszcze macie do picia? – spytał Christopher.

– Wino? – Głos Sukie brzmiał nieśmiało, niepewnie. – Już było otwierane, ale ma korek z gwintem.

– A kolor? – spytał Christopher.

– Czerwone. Chianti.

– Jaka marka?

– Coś kalifornijskiego. Carlo Rossi.

– O matko. Pewnie w tej wielkiej butli.

– To Alexandra je kupiła.

– Raczej sobie nie dogadzacie, drogie panie?

Alexandra postanowiła w tym momencie interweniować; przemówiła takim tonem, jakby tego mężczyzny tu nie było.

– Dlaczego tak się podlizujesz temu smarkaczowi? Zaprosiliśmy na herbatę, więc będzie herbata. Może się napić wody, skoro jest taki wybredny.

– Kapka szkockiej do tej wody byłaby jeszcze lepsza – ustąpił Christopher, tym silniejszym głosem, którego musiał używać w telewizji.

Kiedy on grał po raz ostatni? – zadała sobie pytanie Alexandra. *Co za żaloszny aktorzyna.* A jednak on tu był, ich gość. Fakt, że zadeklarował się z zamiarem zabicia ich obu, wytworzył nastrój intymności.

– Sprawdzę, czy jest – odparła usłużnie Sukie.

Gdy tak oboje słuchali, jak otwiera szuflady i szafki w pozbawionym okien pokoiku Jane, Alexandra poczuła się zmuszona do poprowadzenia rozmowy.

– Już prawie nie pijemy. Wiem, inaczej niż w dawnych czasach, pewnie jeszcze pamiętasz.

– To był koszmar, jak się was wtedy słuchało – potwierdził rozdrażnionym tonem. – Robiłyście się coraz głupsze i hałaśliwsze, aż wreszcie zaczynałyście się drzeć jak opętane. Te wrzaski, ten obrzydliwy śmiech. Jak ja miałem się wyspać?

– Wybacz, nie pamiętałyśmy o tobie. Teraz już tego nie robimy, alkohol potrafi być pułapką dla wdów. Staramy się przedłużyć sobie życie.

– No to życzę powodzenia – odparł, obdarzając ją teatralnym spojrzeniem z ukosa, jak

na ekranowym zbliżeniu, kiedy jednocześnie organowa muzyka w tle nabiera natężenia, żeby spotęgować złowieszczą atmosferę.

Sukie, zarumieniona, przesadnie skwapliwa i przymilna, przyniosła z triumfem pintową butelkę szkockiej whisky Dewar's.

– Znalazłam! Ta podstępna Jane, wypła prawie całą! W ogóle nas nie poczęstowała!

Mamrocząc nerwowe pytania – „Lodu? Wody? Ile? Wystarczy?” – Sukie niezdarnie sporządziła dwie szkockie z lodem, podczas gdy Alexandra z uporem i niezadowoleniem naląła sobie herbaty. Zdecydowała się na „Słodkie sny”, nie bardzo wiedząc, czym będą smakowały. Smakowały niczym. Smakowały wodą zbyt gorącą, żeby ją pić.

– Zjedz ciasteczko – zachęciła Christophera, podsuwając mu pod nos półmisek ze starannie ułożoną zawartością.

– Tylko nie to. Same węglowodany i cukier. I bez tego muszę zrzucić z dziesięć funtów.

– Moim zdaniem płaski brzuch u mężczyzny jest odstręczający w pewnym wieku – stwierdziła Sukie. – W Stamfordzie widuje się tych wszystkich maniaków siłowni, którym się wydaje, że powinni prezentować się zgrabnie w garniturach, ale po przekroczeniu pewnego wieku zaczynają wyglądać jak zamarynowani albo jak mumie. Nie pozwalają swojemu ciału na naturalną ewolucję.

Alexandra, zirytowana tą lizusowską paplaniną Sukie, odezwała się do Christophera:

– Miałeś nam opowiedzieć o elektronach.

Ten temat go ożywił; porzucił sceniczną inercję i zaczął wykonywać gwałtowne, podekscytowane gesty, ozdabiając nimi swój wykład. Kiedy tak mówił, z każdą chwilą coraz bardziej przypominał Darryla Van Horne'a – te wybuchowe, źle skoordynowane ruchy, ta kanonada słów, tęsknota za teorią, która pozwoliłaby mu zapanować nad światem, wrywanie jej z rąk Stwórcy.

– Są zdumiewające – powiedział. – Wszystko składa się z elektronów, mniej więcej. Weźcie prąd o natężeniu jednego ampera – zgadnijcie, ile elektronów przepływa przez dane miejsce w ciągu jednej sekundy. Jednej nędznej sekundy. No dalej – zgadujcie.

– Sto – odparła zaczepnym tonem Alexandra.

– Dziesięć tysięcy – powiedziała Sukie, starając się wypaść nieco lepiej w tej zgadywance.

– Trzymajcie się mocno, drogie panie: sześć przecinek dwa cztery dwa do osiemnastej potęgi, czyli ponad sześć trylionów. W calu sześciennym miedzi jest ich jeden przecinek trzy osiem pięć do dwudziestej czwartej, czyli z grubsza jeden i jedna trzecia kwadrylion. A teraz

weźcie wodór, ten najprostszy atom, jeden proton i jeden elektron, które idealnie się równoważą, mimo że pod względem stosunku masy proton jest tysiąc osiemset trzydzieści razy cięższy. Ale za to jakie te elektrony są silne! Ich ujemny ładunek elektrostatyczny w jednej chwili rozdarłby na strzępy dowolny kawałek miedzi widoczny gołym okiem, gdyby nie równy mu ładunek dodatni protonu w atomie. – Jego dłonie, pulchne i nieumięśnione, ale za to z tą pomarszczoną, owłosioną skórą bardziej ludzkie niż dłonie Darryla Van Horne’a, pokazały na migi akt gwałtownego rozdierania. – A co powiecie na to? Ta tandetna, stara mosiężna miska na stole nie przetrwałaby nanosekundy bez swoich protonów i neutronów. I my też nie. O tym właśnie mówię. Jesteśmy pełni elektronów, po zęby. Potencjalnie jest w nas dynamit.

Sukie i Alexandra ledwie słyszały, co on mówi, bo tak je poraziło jego demoniczne podobieństwo do Darryla Van Horne’a.

Tryliony, kwadryliony, sralaliony – co po takich niewyobrażalnych liczbach, skoro była tylko jedna Sukie i tylko jedna Alexandra? Jedno życie, jedna dusza, jeden koniec.

– Tak się składa, że proton – ciągnął Christopher, ocierając zaślinione kąciki ust kciukiem i środkowym palcem – elektrostatycznie przyciąga elektron z dokładnie taką samą siłą, z jaką elektrony odpychają się od siebie. Z dokładnie taką samą. I całe szczęście, bo w przeciwnym razie nie zaistniałby żaden wszechświat. Nie powstałaby ani jedna cząstka, ani jeden strzępek materii, tylko mielibyśmy do czynienia z wysokoenergetyczną zupą – nie doszłoby do żadnego Big Bangu, a Bóg mógłby sobie bimbać. Podsumowując, jeśli w danym ciele jest jakiś nadmiar elektronów albo protonów, to ten nadmiar musi się gdzieś podziać i powstaje ładunek elektryczny. Jeśli elektronów jest mniej, niż powinno, to ładunek jest dodatni. Jeśli jest mniej protonów, to jest ujemny. W powietrzu takie wyrównanie nazywamy iskrą; jeśli dotyczy to waszego ciała, to ulegacie wstrząsowi. Ponoć mało przyjemne uczucie. Po jakimś czasie dzieją się z wami różne rzeczy: elektryczność przejmuje władzę nad ciałem, nad mózgiem, sercem, reakcjami mięśni. Wszelka materia składa się z elektronów i jąder atomowych, czyli protonów i neutronów, które z kolei składają się z górnych i dolnych kwarków. Neutrino, owszem, też istnieją, ale tylko słabiutko, są niestabilne. I to wszystko, moje panie. Elektrony są wszędzie, prądy i potencjalności są wszędzie. Tak więc, jeśli zrozumieliście mój wywód, nietrudno jest wpłynąć na określony kierunek przepływu prądu.

Spojrzał na nie wyczekująco.

– To jak z miłością – wypaliła Sukie. – Ona jest siłą, która przenika cały świat.

– Straszna z niej romantyczka – przeprosiła Alexandra.

Christopher zareagował skrzywieniem na te kobiece wtręty w jego dyskurs.

– Miłość to coś innego. Miłość nie istnieje w taki sam sposób, w jaki istnieją elektrony. Nie istnieje niezależnie od naszych zwierzęcych zachowań i pociągu seksualnego.

– Przecież kochałeś swoją siostrę, kochałeś Jenny – wskazała Sukie.

Znowu się zaczerwienił i wbił wzrok w bordowy dywan, ze wstydem, albo przynajmniej tak się wydało Alexandrze, tak samo jak przy wzmiance o Jane.

– Miałem w niej jedyne oparcie – wyjaśnił. – Nasi rodzice byli beznadziejni.

– Twój ojciec był przeuroczym człowiekiem. Strasznie naiwnym. I tak bardzo potrzebował pomocy.

– Sukie. – Alexandra skarciła tonem głosu młodszą kobietę za to, że w taki sentymentalny sposób ujawnia intymną wiedzę o swoim kochanku, którego nieszczęście doprowadziło do śmierci. – Daj mu skończyć o tych elektronach.

– Nie chcę was zanudzać szczegółami – powiedział ich gość i upił łyk swojej szkockiej. – Darryl... pan Van Horne...

– Wiemy, o kim mówisz, Christopher – przerwała mu Alexandra z lekkim rozdrażnieniem. Zauważyła, że szkocka wydatnie wpłynęła na sposób bycia tego mężczyzny, potęgując jego pewność siebie i arogancję, sprawiając, że stał się jeszcze bardziej istic po męsku zblazowany i wyluzowany. Zaprosiły go na herbatę, a tymczasem tylko ona jedna ją piła, mimo że ta herbata w ogóle nie miała smaku i gwałtownie robiła się letnia.

Brwi Christophera, grubsze teraz niż tamte jakby Wyrysowane ołówkiem srebrne kreski z okresu, kiedy był nastolatkiem, podrygiwały pretensjonalnie. Wydatne wargi ułożyły się w krzywą kreskę, jakby chciały zademonstrować, na użytek jakiegoś fantomowego osobnika płci męskiej również znajdującego się w tym pokoju, owo z trudem osiągnięte poczucie wyższości wobec kobiecego towarzystwa.

– Tak więc, biorąc pod uwagę ich wszechobecność i nieskończoną liczbę, można stwierdzić, że nietrudno się pobawić elektronami. Nawet nie potrzebujemy przewodów, żeby przejąć kontrolę nad polami elektromagnetycznymi; już w 1864 roku Maxwell opracował teorię mówiącą, że pole otaczające prąd przesunięcia jest równie silne i wymierne jak to, które otacza przewód, a w latach osiemdziesiątych również osiemnastego wieku Hertz za pomocą swego oscylatora zmierzył prędkość i długość fal. Prędkość okazała się taka sama jak prędkość światła, co dowodziło, że fale to forma światła albo na odwrót. A co do długości, to cóż, jak zapewne nawet wy to wiecie, w przypadku fal dostatecznie długich, czyli takich, gdzie odległości między grzbietami wynoszą nie milimetry, tylko metry i kilometry, mamy do czynienia z falami radiowymi; stąd bezprzewodowy telegraf i radio, radary i telewizja. No

więc przechodząc do sedna – ciągnął teraz z naciskiem, widząc, że kobiety mają zamiar albo zadawać pytania, albo zmienić temat – nasz stary kumpel Darryl Van Horne był zafascynowany centralnym gambitem intelektualnym Maxwella, polegającym na uznaniu elektryczności za ciecz doskonale sztywną. Ale tak nie jest. Mimo to równania opracowane na podstawie tak dziwnej hipotezy pasowały doskonale do realności pól magnetycznych. Ten przeskok od rzeczywistości do fantazji – tu zaczął machać rękoma, szeroko, jak kiedyś robił to Darryl, żeby pokazać trajektorię – i z powrotem naprawdę zachwycał Darryla. I nie tylko to, bo za równie obiecujące uważał dziwactwo ukryte w teorii kwantów. Dualizm korpuskularno-falowy, zasada nieoznaczoności i skorelowana polaryzacja dwóch splątanych cząstek, elektronów albo fotonów, dzięki której pomiar spinu jednej z nich natychmiast gwarantuje komplementarność spinu tej drugiej, nawet jeśli są one od siebie oddalone o całe lata świetlne, stwarzając urzekającą możliwość teleportacji przekraczającej prędkość światła – dla Darryla te pozornie nielogiczne fakty były niczym fastryga pozostawiona na spodniej stronie materii, wybaczenie, że użyję tego słowa, Stworzenia. Były lukami, których Bóg nie potrafił wypełnić. Można je wykorzystywać tak samo, jak można wykorzystywać ułomności ludzkiej percepcji i intuicji na rzecz iluzji w scenicznej magii. A jednak ta magia będzie prawdziwa, tak jak bezprzewodowa elektryczność jest prawdziwa. Kwantowa rzeczywistość cząstkowego splątania odległych od siebie cząstek może być rozciągnięta również na ponadcząstkowy świat. Działo elektronowe, na przykład, potrafi wysłać strumień elektronów z poziomych i pionowych elektrod odchylających. Potrafi sprawić, że materiał fluorescencyjny będzie się jarzył; potrafi także nasączyć jakąś substancję, w tym również istotę ludzką, nadmiarem elektronów, nadając jej ładunek ujemny, w taki sposób, że ten oplecie ją niczym przewód, z którego zdarto izolację.

Obie kobiety załamywały się już pod ciężarem tej kompletnie dla nich bezużytecznej wiedzy, dokładnie tak, jak to przewidział.

– Katody, Katarowie! Herezja u źródeł romantycznej miłości! Ty wciąż mówisz o miłości! – zakrzyknęła Sukie.

– To właśnie zrobiłeś Jane, jakimś sposobem! – dorzuciła swoje Alexandra. – A teraz robisz to nam!

Christopher zaczerwienił się.

– Wcale nie – skłamał. Po czym dodał, zwracając się do Alexandry; – Istnieją pewne przeszkody natury technicznej, ale nie będę zabierał wam czasu szczegółowymi wyjaśnieniami. Pan Van Horne natrafił na nie, ale ich nie zgłębił, bo taki już był. Miał takie góry pomysłów, że żadnego z nich nigdy nie zrealizował do końca. I ciągle się

przeprowadzał, z jednego wynajętego mieszkania do drugiego, porzucając przy okazji swój sprzęt. Dlatego właśnie rozstałem się z nim w końcu, potrzebowalem stabilizacji. Dzwonili do mnie producenci, miałem niewiele ponad dwadzieścia lat i, jak to mówią, byłem telegeniczny; nie mogłem się pojawiać na planie po całej nocy jego pijackich biesiad. Spraszał ciągle tabuny ludzi – bezużytecznych ludzi, ludzi z ulicy, zdeprawowanych osobników, którzy potrafią się przyssać do człowieka jak pijawki, totalnych oszustów. Kiedy się skarżyłem, mówił: „Oni mają dusze”, jakby to dodawało im wartości. Miałem w nosie, czy mają te dusze czy nie. Chciałem tylko regularnie jadać i wysypiać się co noc w tym samym łóżku. On tymczasem nie mógł usiedzieć na miejscu. Koniecznie chciał dokądś jeździć, w im bardziej egzotyczne miejsca, tym lepiej – Albania, Uzbekistan, Zimbabwe, Fidzi. Sudan. Irak. Uwielbiał te nazwy; z łatwością uczył się języków obcych, przynajmniej po łebkach. Liczby, takie słowa jak „tak” i „nie”. Był urzeczony Chinami. „Miliard i ćwierć dusz!”, mawiał. „Dotarli do tej granicy, za którą kryje się zło kapitalizmu, a nie mają żadnego boga, który by ich ochronił!”

– Wszystkie trzy byliśmy w Chinach – pochwaliła się Sukie. – Było zabawnie, ale oni tam wciąż jeszcze są niewinni. Darryl umarłby z nudów.

– Kiedy go poznałyśmy – wskazała Alexandra – był taki znudzony, że nam udało się go rozbawić. A potem to nawet Neffowie i Hallybreadowie potrafili go rozbawić.

– Nikogo nie dyskryminował – stwierdził z wyraźnym niezadowoleniem Christopher, zaglądając do swojej szklanki, pustej, jeśli nie liczyć dwóch na poły roztopionych kostek lodu. – Czy została jeszcze szkocka?

– Dam ci tę resztkę – odparła Sukie, nalewając mu od serca. – Ja się przerzucę na wino.

– To ja też – powiedziała Alexandra. – Z tą ziołową herbatą to jakieś samo się oszukiwanie.

Christopher puścił do niej perskie oko.

– A jak z pani apetytem w ostatnim czasie?

– Nie najlepiej – przyznała. – Trochę mnie mdli, zwłaszcza rano i wieczorem. Ty mi to robisz?

Nie odpowiedział od razu, tylko upił łyk swojego drinka, a potem w zamyśleniu oblizwał wilgotne wargi.

– Sama to sobie pani robi – powiedział. – Ma pani poczucie winy w związku z moją siostrą.

– I również w związku z moją córką – zgodziła się. – Tą, która tu mieszka, w

Eastwick. Ona stąd nigdy nie wyjechała, biedactwo. Utknęła, szukając tego, czego ja jej nie dałam, cokolwiek to było.

– Troska – zasugerował. – I zasady, zgodnie z którymi należy żyć.

– Och, daruj sobie – zaprotestowała Sukie. – Nie bądźmy tacy śmiertelnie poważni. A w ogóle to zrobiłam się głodna. Skończyły się już te wodorostowe krakersy, ale za to został dip. Przyniosę coś z kuchni. Będzie musiał wystarczyć stary chleb ryżowy.

– Ludzie sami dorabiają się raka – powiedział uroczyście Christopher do Alexandry.

– Wiem – odparła Alexandra. – Z poczucia winy albo stresu.

– To dowiedziony mechanizm fizjologiczny – dodał z namaszczeniem.

– Pomyślcie, co by zrobił Darryl, gdyby tu był! – zawołała Sukie z kuchni. – Zagrałby na pianinie!

– Nie mamy pianina – zauważyła Alexandra. – Nie mamy nawet magnetofonu. – I połapała się, że użyła terminu, który ją postarza.

– Mamy radio – zawołała Sukie. – Żeby znać prognozę pogody i przygnębiające wieści ze świata. – Wróciła, przynosząc swój promienny, zębaty uśmiech i na nowo zapelniony półmisek. – Włączcie WCTD – zarządziła. – Dziewięćdziesiąt sześć i dziewięć FM. W porze kolacji nadają standardy jazzowe.

Ciekawe, przyszło na myśl Alexandrze, że kobieta, kiedy obok niej jest jeszcze druga, zawsze stara się o wiele bardziej, żeby przypodobać się mężczyźnie – nawet takiemu mężczyźnie jak ten tutaj, beznadziejnemu okazowi poniżej wszelkich norm, otyłemu pedziowi, który próbuje zemścić się na starszych paniach w imieniu swojej nieciekawej siostry, nieżyjącej od lat. *Nieżyjąca od lat: leżąca* w trumnie, w nowej części cmentarza Cocumscussoc Jenny stała się pustą, wyschniętą łupiną i zarazem bladą, przebiegłą istotą, która systematycznie blakła w pamięci Alexandry: przebiegła, płochliwa panna młoda, która wzięła ślub z wiecznym mrokiem. Przez niecałą sekundę, jakby zniecka rozwarły się przed nią sierpowate płytki migawki jakiegoś ogromnego aparatu fotograficznego albo rozsunął się tamten sufit, który kiedyś znajdował się nad tym pomieszczeniem, Alexandra zaglądała do otchłani własnej śmierci, do wypełniającej ją czystej, wiecznej nicości. A potem migawka zamknęła się litościwie, zwarta teraz niczym anus. Nadal znajdowała się w tym jasno oświetlonym pokoju.

Sukie znalazła WCTD – sygnał nadawany z Ashaway okazał się dostatecznie silny, by włączyć życie w małe radio, którego pierwotna funkcja polegała na wyświetlaniu godziny wielkimi, czerwonymi literami dla tych spośród tymczasowych najemców mieszkania, którzy obudzeni nad ranem pod wpływem presji od strony pęcherza moczowego albo poruszeń

winnego sumienia, zamroczeni człapali przez salon. Tymczasem teraz przetoczyła się po tym wnętrzu muzyka zabrudzona zakłóceniami w eterze – soczyste *stridepiano*¹⁹, szybujący klarnet, porywająca trąbka, perkusja baraszkująca w tle natarczywego, blaszanego pulsowania wyniosłych talerzy; każdy instrument z kurtuazją minionej epoki odgrywał swoją solową partię, po czym usuwał się z towarzyszeniem skąpych oklasków, by wspólnie z resztą zespołu jeszcze raz, triumfalnie przedstawić temat.

– Pamiętacie Darryla i jego boogie o śpiewającym słowiku? – spytała Sukie po chwili milczenia. – Grał to beznadziejnie, ale i tak słuchało się wspaniale.

Radio przemówiło, nie młodzieńczym głosem studenta, tylko pomrukiem jakiegoś miłośnika jazzu, może profesora, a może zwykłego ciecica, któremu przez kilka wieczornych godzin pozwolono udawać, że jest prezenterem muzycznym. Mężczyzna recytował proweniencje (Nowy Orlean 1923, Chicago 1929, Manhattan 1935), nazwy zespołów i nazwiska solistów (King Oliver, Louis Armstrong, Benny Goodman) z żalobną powagą, w pięknym, ale już przestarzałym stylu.

– W jaki sposób się tańczyło do tego rzępolenia, jeśli w ogóle? – spytał Christopher.

– Były tańce swingowe, takie jak *lindy hop* albo *jitterbug*. Pokazać ci?

– Nie, dzięki.

Tymczasem dwadzieścia mil dalej na obrotowym talerzu została umieszczona kolejna płyta – „A teraz, drodzy państwo, zmiana tempa, gładki jak miód przebój z ery swingu, który wszedł na szczyty list przebojów lat czterdziestych, wspaniałe *In the Mood* Glenna Millera!” – i dzięki cudowi, jakim są fale elektromagnetyczne, zatrzeszczała zniewalająco z maleńkiego, brązowego radyjka w Eastwick. Sukie podeszła blisko do kraciastego fotela, do półleżącego na nim chłopaka Gabrielów, który próbował ją ignorować.

– O tak – powiedziała, zapraszająco przemieszczając swój ciężar z jednej nogi na drugą. – Przyjrzyj się, jak ja to robię. Lewa stopa w bok, raz-dwa, potem powrót do prawej stopy, trzy-cztery, palce, pięta, potem lewa stopa robi wymach za prawą i znowu wszystko powtarzamy. Wciągnij się. Wczuj się. Wsłuchaj się w te puzony! *In the mood!* Para-ra-rara! *In the mood!* Para-ra-rara!

Sukie podrygiwała w miejscu i pstrykała palcami, stojąc naprzeciwko nieistniejącego partnera. Zażenowany nią Christopher wstał wreszcie, jakby jakaś niewidzialna siła magnetyczna wydzwignęła go z fotela, i pozwolił jej ująć się za jedną rękę, a drugą, tak jak chciała, objął ją od tyłu w pozycji jak do foxtrota.

¹⁹ Jazzowy styl gry na fortepianie, utrzymanej w metrum czteromiarowym, charakteryzujący się naprzemiennością granego lewą ręką na raz i trzy basu, a na dwa i cztery akordu.

– Tak – powiedziała, kiedy sztywnymi ruchami zaczął naśladować jej balansowanie ciężarem własnego ciała. – Nie bój się, że mnie podepczesz, bo ja ci na to nie pozwolę. Kiedy lekko ścisnę cię za rękę, odepchnij mnie, a ja zaraz do ciebie wrócę. Pamiętaj, dwa wybicia taktu jedną nogą, a potem prędko stawiasz lewą stopę z tyłu. Wspaniale! Nauczyłeś się!

Alexandrę sparaliżował ten nadmiar natury – spektakl z udziałem sztywnego mężczyzny wziętego do niewoli przez rozognioną, giętką staruszkę. Sukie znakomicie się bawiła, pocąc się na potęgę w niskim wnętrzu; Christopher dawał się prowadzić, wcale nie tak do końca wbrew swoim inklinacjom, do świata pełnego pułapek, dokładnie na tym samym obszarze bordowego dywanu, na którym błaganie Jane skierowane do Bogini, niezależnie od tego, jaka była jego treść, spotkało się z odpowiedzią w postaci fontanny krwi.

Nagranie dobiegło końca.

– I to by było na tyle, chłopcy i dziewczęta – powiedział poważny, starczy głos. – *In the Mood*, z jego fantastycznym zakończeniem. Pierwowzorem tego utworu był dwunastotaktowy blues skomponowany przez Joego Garlanda i Andy'ego Razafa, a sam główny temat pojawił się wcześniej pod tytułem *Tar Paper Stomp*, jego autorstwo jest przypisywane trębaczowi i liderowi bandu Wingy Manone'owi. Podobno po tym, jak nagranie Millera stało się wielkim hitem, Manone dostał jakieś pieniądze, żeby nie wytaczał procesu. Kolejną wersję, tym razem już nierozpisaną na dużą wersję, nagrał Jerry Lee Lewis, artysta związany z wczesnym rock and roilem, a ci z was, którym słoń nie nadepnął na uszy, wychwyć zapewne kilka wstępnych fraz w kodzie *All You Need Is Love* Beatlesów.

Alexandra stwierdziła teraz, że prezenter raczej nie jest żadnym ciciem; jego słowa z każdą chwilą brzmiały coraz bardziej profesorsko.

– A teraz jeszcze jeden sentymentalny smakołyk – wymruczał – czy wręcz cały półmisek smakołyków, który wyciśnie łzy z już i tak łzawiących oczu tych z nas, którzy mają swoje lata: Bunny Berigan, który grał w orkiestrze Millera, podobnie jak Paul Whiteman, Dorseys, Benny Goodman i jego własna, efemeryczna grupa – Rowland Bernard Berigan, urodzony w Hilbert w stanie Wisconsin i zmarły w wieku trzydziestu trzech lat w Nowym Jorku, na marskość wątroby, muzyk, który sprawiał nam przyjemność nie tylko głosem, ale i nastrojową, spazmatyczną trąbką, kiedy wykonywał swoją firmową wersję *I Cant Get Started*, melodię autorstwa wielkiego Vernona Duke'a do słów wymienianego już wcześniej Iry Gershwin'a, nagrałą w 1937 roku. Posłuchajcie wszyscy.

Piosenka zaczęła się od sennego tempa, do którego można było tańczyć jedynie powoli, ale za to bardzo blisko.

– Dosyć – zdecydowała Sukie, po tym jak na próżno usiłowała nakłonić Christophera

do kilku kroków w parze.

Rozdzielili się, oboje z zaróżowionymi twarzami i kompletnie mokrzy. Jego T-shirt był zabrudzony plamami potu na piersiach i na łopatkach, gdzie przybrały postać dwóch skrzydeł.

– Opowiedz nam o Nowym Jorku – poprosiła lekko zadyszana Sukie, ośmielona ich nową zażyłością. – Myślisz, że mogłabym tam zamieszkać? Spodobałoby mi się?

– Nie – odparł. – Koszty wynajmu mieszkań są teraz absurdalne.

– Mój mąż nie skazał mnie na biedowanie. W dużym mieście życie zawsze było drogie.

– Teraz jest gorzej. Przez Arabów. Wszyscy ci arabscy i latynoscy bogacze wykupują apartamenty, na wypadek gdyby ich własne kraje wyleciały w powietrze. Stany Zjednoczone stały się dla nich wentylem bezpieczeństwa.

Alexandra przerwała to tete-a-tete, mówiąc do Christophera:

– Czy Greta Neff nie życzyła sobie przypadkiem, żebyś wrócił za dwie godziny? Uda ci się, przy założeniu, że bród wysechł.

– Och, Lexa – zganiła ją Sukie. – Christopher tak ciekawie opowiada. A on sam jest już bliski polubienia nas. – Nalała czerwonego wina ze szklanego dzbanka do jego szklanki po szkockiej i wyłączyła radio, które wciąż szeleściło nieśmiertelnym jazzem. Czerwone cyfry wyświetlały 20.47, kiedy wreszcie sobie poszedł. Podziękowania i pożegnanie wygłosił, jak przystało na korpulentnego, obdarzonego głębokim głosem dżentelmena, ale oczy miał szkliste jak oszołomiony młodzieniec.

– Moim zdaniem nic nam nie powiedział – poskarżyła się Alexandra, kiedy samochód Christophera wyjeżdżał już z parkingu z towarzyszeniem zgrzytania żwiru. – Ty i on wyraźnie świetnie się bawiliście, ale mi ten wieczór nie przyniósł większych korzyści. W całym środku tego wszystkiego przez jedną straszną chwilę czułam, że on chce, żebym umarła, a tymczasem ty udzielałaś mu lekcji jitterbuga i częstowałaś go resztkami szkockiej Jane.

– Potrzebował tego: ten jego gejowski teatralny świątek go tłamsi. Oni tam wszyscy roją sobie, że któregoś dnia będą bogaci i sławni, ale tak naprawdę żyją z dnia na dzień w norach z zimną wodą, biedaczki.

– Tylko nie nazywaj go biedaczkiem; on jest tutaj i w jakiś tajemniczy sposób pompuje w nas elektrony.

– Albo tak mu się wydaje. Właściwie to wcale nie jestem pewna, czy on ma dużo więcej do powiedzenia. Tylko papuguje pomysły Darryla, nie do końca je rozumiejąc.

– Jeśli można je zrozumieć. Nie jestem pewna, czy ja ciebie jeszcze rozumiem. Strasznie się zaangażowałaś w znajomość z tym małym potworkiem.

– Wcale nie jest taki mały.

– Jest, tak jak ja go postrzegam. Chłoptaś porwany przez braciszka Darryla. A teraz wrócił i jest zdecydowany nas pozabijać, jak jeden z tych dzieciaków ze szkoły Columbine²⁰.

– Nas? To znaczy, że mnie też?

– A czemu nie? Byłaś tam. Byłyśmy wszystkie trzy. Ty też się wściekałaś na Jenny.

Sukie zamysliła się, układając swe pulchne wargi w uroczy ryjek.

– To było tak dawno temu, aż trudno uwierzyć, że to zrobiliśmy.

– Pewnie podobnie o sobie myślą ci księża pедераści, przez których Kościół jest bliski bankructwa, bo stale przegrywa procesy. Ale i tak wloką ich pod sąd. Sprawiedliwości staje się zadość. Sukie, powiem ci szczerze: w głębi duszy jestem przerażona.

– Nie przerażaj się, moja ty piękności. Wciąż mamy naszą magię, nieprawdaż?

Alexandra spojrzała na swoje dłonie. Przypominały dwie tłuste jaszczurki. Ich wierzchy były stwardniałe i pokryte plamami od słońca – pamiątkami dni spędzonych na plaży, dni w ogrodzie, dni jeżdżenia po pustyni, trzymania końskiej uzdy, długich spacerów po spopielalej glebie rolniczych wyżyn. Jej wyschnięte paznokcie były mocno spękane; wdał się też artretyzm, który wykręcił kilka stawów w wężlastych palcach wycelowanych w lekko różne strony. To były dłonie kogoś obcego, kogoś, kogo pozostawiłaby za sobą bez żalu.

– Ty może masz – powiedziała. – Ja uważam, że wyczerpałam całą swoją magię. Już sama myśl o rzucaniu zaklęcia wywołuje we mnie mdłości.

– Jak ty schudłaś, mamo! Czy coś ci dolega?

– To chudsza nie wyglądam lepiej?

Alexandra połapała się, że nie to należało powiedzieć. Jej niezdrowy wygląd uzewnętrznił się w postaci błysku przerażenia na twarzy jej córki. *Jesteśmy podobne do siebie*, przyszło jej na myśl – obie raczej przy kości, twarze jakby zbyt szerokie, by dało się je nazwać pięknymi. Marcy miała nawet podobny maleńki dołek na czubku nosa, choć nie taki wydatny. Z drugiej strony jednak to dziecko odziedziczyło słaby charakter po swoim ojcu – Oswald Spofford zawsze żałośnie pragnął, żeby wszyscy go akceptowali, żeby go zaliczali do niewinnych owieczek. Alexandra próbowała mu przetłumaczyć, że większość ludzi nie jest

²⁰ Mowa o liceum Columbine (USA), w którym w roku 1999 dwóch uczniów dokonało masakry, zabijając dwanaście osób i raniąc dwadzieścia cztery.

warta tego, żeby się domagać ich akceptacji. Lepiej nimi wzgardzić, zanim oni wzgardzą tobą. Zaliczyć się do wilków.

Kiedy zaglądała do lustra, umiała zaspokoić swoją próżność – kręciła głową, żeby wygładzić zmarszczki mimiczne, opuszczała podbródek, żeby ukryć te indycze korale na gardle, które stawały się coraz bardziej wydatne w miarę cofania się tłuszczu ukrytego pod skórą – a jednak nie miała jak uniknąć wstrząśniętego spojrzenia swego najstarszego dziecka.

Sierpień z atakami duchoty, pęczniejącymi, zielonymi kulami na drzewkach owocowych i w pełni dojrzałą populacją owadów, które gryzły, kąsały i przeżerały liście na koronkę, zabierał się już do zwijania manatków. Alexandra spełniała obietnicę daną Marcy, że przyjedzie na kolację, kiedy jej wnukowie, Roger i Howard Junior, wrócą z obozu. *Przyprowadź swoje przyjaciółki*, powiedziała wtedy Marcy, ale chłopcy wrócili dwa tygodnie po śmierci Jane, a Sukie od tego czasu miewała jakieś tajemnicze sprawy, które ciągnęły ją do miasta i pochłaniały coraz więcej jej czasu. Nigdy nie było jasne, czy będzie jadła z Alexandrą albo czy Alexandra będzie mogła pożyczyć bmw, żeby załatwić swoje nędzniętkie sprawy – spacer po plaży, po południu, kiedy wiszące nisko słońce nie mogło już poparzyć jej skóry, wizyta w sennej bibliotece Eastwick w poszukiwaniu autorów z Zachodu (Cormac McCarthy, Barbara Kingsolver), których upodobał sobie jej klub czytelniczy w Taos, wizyty w Stop & Shop, żeby kupić mięso i świeże warzywa i móc potem ugotować coś porządnego, jeśli wreszcie udało jej się namówić Sukie, żeby ta zjadła razem z nią w mieszkaniu. Sukie zaczęła teraz odnosić się do Alexandry z arogancją osoby stosunkowo zamożnej, nonszalancko lekkomyślnej i dziwnie niedosłyszającej w odniesieniu do niewyjaśnionej ważności jej prywatnych spraw. Trzy kobiety rozpoczęły wspólne letnie wakacje pełne pomysłów co do eksploracji małego Rhode Island, obiecawszy sobie, że będą pilnie śledziły program letnich koncertów i przedstawień teatralnych w okolicach Zatoki Narragansett, że będą robiły wycieczki do słynnych „kamieniczek” Newport albo pływały promem parowym z Galilee na wyspę Block, że zaliczą jakiś przyjemny lunch w drodze do miejsca urodzin Gilberta Stuarta albo – to sobie zapamiętały z czasów, kiedy były czarownicami – do jednego z najstarszych domów w stanie zwanego Zamkiem Smitha, wruszająco skromnego i melancholijnie idyllicznego reliktu po osławionej, plantacyjnej przeszłości. A jednak kiedy Jane zachorowała i umarła, takie błahe wypadki dla dwóch pozostałych przy życiu stały się niemożliwe do zrealizowania. Alexandra czuła, że upodobniła się do rdzennych mieszkańców Eastwick, że ją też dotknęło opętanie ugrzęźnięcia – ugrzęzła, nie mając prawie nic do roboty, mimo że dni i tak mijały coraz to szybciej, pozerając jej leniwe życie niczym insekty pozerające letnie liście. Któregoś razu, kiedy

narzekała przed Sukie, że jest taka wiecznie nieobecna, jej rudowłosa przyjaciółka – której twarz w chwilach, kiedy się zapominała, niemalże zapadała się w sobie, robiąc się mniejsza, skurczona, jakby zwiędnięta pod wpływem jakiegoś niewidzialnego ognia – warknęła na Alexandrę:

– Czy ty nie widzisz, kretynko? Próbuję uratować ci życie!

Alexandrze jej własne życie wydawało się takie niematerialne i kruche, że nie naciskała na tamtą, by jakoś to wyjaśniła, tylko odwróciła się w milczeniu niczym odtrącona kochanka, która ma nadzieję, że milczenie zaleczy jej rany.

Tego wieczoru okazało się zniecka – ktoś zadzwonił na komórkę Sukie i ona potem oddzwoniła na ten numer, niczego nie tłumacząc – że Sukie potrzebuje po coś swojego bmw, i dlatego wyrzuciła Alexandrę przy domu Littlefieldów, na zaniedbanym odcinku Cocumscussoc Way, dyktatorskim tonem mówiąc, że Alexandra ma przeprosić w jej imieniu i kazać, żeby któreś z „nich” odwiozło ją potem do domu. Kiedy mocno zażenowana Alexandra zadzwoniła do swojej córki, by powiedzieć, że Sukie w ostatniej chwili coś wypadło i nie będzie mogła skorzystać z gościnności Littlefieldów, Marcy odparła stanowczo:

– I dobrze. Lepiej. Będziemy mieli ciebie na wyłączność.

Chłopcy wyswobodzili się ze zniszczonych, zaplamionych jedzeniem foteli, obdarzyli swoją babkę wiotkimi uściskami i pozwolili jej spróbować siebie pocałować. Roger odwrócił głowę z wyraźną awersją, ale Howard, weselszy i młodszy, trwał nieruchomo, kiedy otrzymywał cmoka w policzek. Roger zauważalnie wyrósł i budową przypominał swego żyłastego ojca, a poza tym nad jego górną wargą pojawił się jakby cień, blade ciemne echo szopy kasztanowych włosów opadających bez życia i zasłaniających uszy.

– Ile masz teraz lat? – spytała go Alexandra.

Spojrzał na nią z niejakim zdumieniem.

– Trzyście – odparł.

– Dopiero co miał urodziny – pospieszyła z interwencją Marcy. Alexandrę dziabnęło zimno poczucia winy.

– O matko! Kiedy? Boję się, że je przeoczyłam.

– Przeoczyłaś – potwierdził chłodno Roger. Jego oczy, zadziwiająco ciemnobrązowe, znajdowały się już prawie na poziomie jej oczu.

– Przedwczoraj, mamó – powiedziała Marcy czułym, wybaczącym tonem.

– Jestem przerażona samą sobą. Na śmierć zapomniałam, że w sierpniu zdarzyło się kiedyś coś tak wspaniałego.

– Nie ma sprawy, babciu – znalazł się rycersko chłopiec w obliczu frustrującego

widoku dorosłego, który zbłądził.

– Ale nie możesz mi teraz odpuścić – błagała Alexandra, przyjmując tę nędzną rolę skruszonej penitentki, którą jej wyznaczono – musisz mi szepnąć na ucho, co chciałbyś dostać na prezent. – Mina chłopca nie zdradzała niczego, dlatego uznała, że powinna dodać: – A może zamiast wymyślać, wolałbyś w prezencie trochę gotówki. Choć niestety, to musi być niewiele.

Jej wiedza na temat tego, co można kupić za dolara względnie za dziesięć dolarów, zastęgała gdzieś w latach sześćdziesiątych, mimo że normy wydatkowania pieniędzy podniosły się od tego czasu, a milionerów ucieleśniających wielkie fortuny zastąpili miliarderzy.

– W każdym razie pomyśl o tym – zakończyła, trochę za ostro i zwróciła się w stronę młodszego wnuka.

Howard Junior miał jaśniejszą karnację i delikatniejsze rysy niż brat i w wieku dziewięciu lat jego krągła twarz, z szeroko rozstawionymi przednimi zębami, demonstrowała odpowiednio radosny entuzjizm. Alexandra próbowała sobie przypomnieć jakiś moment w przeszłości, kiedy znajdowała w sobie dość energii, by pragnąć czegoś całym sercem. Kiedy miała sześć lat, strasznie chciała dostać białe figurówki jak te, na których jeździła Sonja Henie, kiedy skończyła dwanaście lat, chciała mieć przekłute uszy i nosić w nich ćwieki z kryształkami, kupione w dziale z biżuterią Denver Dry Goods Company, największego domu towarowego w Chicago, a w wieku siedemnastu lat chciała mieć suknię z brązowej tafty, bez ramiączek, by móc ją włożyć na bal na zakończenie szkoły i uzyskać pozwolenie ojca (jej matka już wtedy nie żyła) na pozostanie poza domem do drugiej w nocy ze swoim chłopakiem, tykawatym rezerwowym rozgrywającym. Dziesiątki lat później jej pragnienia skupiły się na magicznych słowach „wydostać się” – rozpaczliwie pragnęła wydostać się ze swego małżeństwa z Ozem, droгим, obowiązkowym, posiadającym najlepsze intencje Ozem, aczkolwiek skryte za tym jej motywacje stały się blednącą zagadką; zapewne była to nie tyle odraza do tego konkretnego, przeciętnego człowieka, ile raczej nieznośne ograniczenia towarzyszące życiu kobiety.

– Jak ci się podobało na obozie? – spytała młodszego chłopca.

– Było OK – odpowiedział za niego ten starszy, cedząc sylaby, żeby dać do zrozumienia, że wcale nie było OK. Przez jego twarz przeleciał ponury, zagadkowy cień, rzucony jakby przez tę obwisłą szopę ciemnobrązowych włosów.

– Było super – zapiszczał Howard Junior; przerwy między jego zębami sprawiały wrażenie przeciwwagi dla rozpromienionej twarzy. – Chłopak z mojego namiotu złamał sobie rękę, kiedy spadł z huśtawki!

– Opowiedz babci, czego się nauczyłeś na obozie – podpowiedziała mu Marcy.

– Jak trzymać wiosło na płask, kiedy płyniesz kajakiem – radośnie wyznał mniejszy chłopiec.

– Splatanie żyłek – dodał jego brat. – To było głupie. Wychowawcy byli głupi. Nastolatki, którzy chcieli się tylko obmacywać w lesie.

– Ty sam jesteś już nastolatkiem – upomniała go Alexandra i natychmiast się połapała, że nie było to ani zbyt pomocne, ani szczególnie babcine. Z kolei mówienie podłości było jej mocną stroną, nawet w obecności córki, przysłuchującej się wszystkiemu z napięciem.

A jednak Marcy nie była tego dnia w nastroju do niezgody, a powrót jej męża z pracy rozjaśnił dodatkowo atmosferę w tym domu z niefortunnym przemieszaniem rzeczy sfatygowanych z nowymi, brudnym białym dywanem i ogromnym telewizorem plazmowym. I w ogóle ciekawa sprawa z mężczyzną. Howard zaliczał się do tych samych szczupłych mężczyzn o zwinnych ruchach co Jim Farlander, który też miał zaufanie do swoich rąk; Alexandra i jej córka kierowały się podobnym gustem w doborze partnerów. Ubrany w czyste, szare ubranie robocze od razu po wejściu do domu zmienił w nim środek ciężkości. Zmierwił pojaśniałe od słońca włosy Howarda Juniora, który obłapił go za nogi, i nadstawił wnętrze dłoni w stronę starszego syna, by ten mógł „przybić piątkę”; zaskoczył Marcy serdeczniejszym pocałunkiem, niż się spodziewała, i nawet zachował się uwodzicielsko wobec teściowej, dotknąwszy swoim policzkiem jej policzka i jednocześnie ściskając ją w pasie.

– Wspaniale wyglądasz, babciu – powiedział, ledwie się jej przyjrzał.

– Nie kłam – odparowała Alexandra. – Kiedy stanęłam na waszym progu, twoja żona wyglądała na przerażoną. Jestem już stara, Howard.

Czas traktuje mężczyzn tak łaskawie, pomyślała; Howard mógł należeć do dowolnej z nich, i do matki, i do córki.

– A jak tam porażenia prądem?

– Nadal ich doznaję, ale to może być tylko moja wyobraźnia. To zresztą nie są najgorsze rzeczy, jakich obecnie doświadczam w życiu.

– Ach tak? A czego doświadczasz?

Przystanął w samym środku codziennej rutyny: zerknął na roześmianych dziennikarzy omawiających wieczorne wiadomości na płaskim ekranie i pochylił się, żeby podrapać po łbie przyjaciela rodziny, otyłego golden retrievera, który walił ciężkim ogonem w nogę krzesła.

– Co jest takie najgorsze? – zachęcił ją.

Miał nadzwyczaj szerokie i giętkie usta, rzadkość u mężczyzn, a także wydatny nos,

który zdawał się rozciągnięty po bokach, jak na rysunku z lekko zaburzoną perspektywą. Kiedy się uśmiechnął w oczekiwaniu na odpowiedź, jego nierówne zęby zachęciły ją do obnażenia własnych niedoskonałości.

– Trudno to ubrać w słowa – powiedziała jemu i jego przysłuchującej się rodzinie. – Poczucie zniechęcenia. Wrażenie – wyjaśniła – że moje komórki są mną zniecierpliwione. Znudziło im się udzielanie schronienia mojemu duchowi.

– Mamo! – krzyknęła Marcy, z jakby autentycznym przestachem. – Coś cię boli? Byłaś tu u jakiegoś lekarza?

– Jane była u doktora Pata kilka tygodni temu i moim zdaniem ta wizyta po części pomogła ją zabić. To o niej mówiłam, kiedy zasięgałam waszej opinii w sprawie porażen prądem, a teraz idzie o mnie.

– A co z panią Rougemont, czy jak ona się teraz nazywa? – spytała Marcy, bardziej czujna niż zwykle. – Co z jej zdrowiem?

– Mitchell. Nieźle. Jeszcze nie osiągnęła mojego stadium, jeśli idzie o starzenie się. Jest młodsza o sześć lat. I zawsze była bardziej aktywna. Znasz mnie, kochanie... zawsze bałam się... – nie potrafiła się zmusić do wymówienia nazwy tej choroby – ...natury. Tego, że zaczyna cię zabijać, kiedy wszystko w środku trochę się zestarzeje. Nie przejmuj się mną, jestem już starszą panią. Powinam się przyzwyczaić do myśli o śmierci, ten, kto o niej nie myśli, jest bardzo niedojrzały. Ale błagam, nie rozmawiajmy o tym więcej w obecności chłopców. Prawda, chłopcy?

Roger uśmiechnął się, ściągając wargi jak jego ojciec, ale efekt nie był zbyt krzepiący.

– Jest jak w tej piosence, babciu – powiedział. – Życie ci najpierw dopierdala, a potem umierasz. Kurt Cobain nie bał się umrzeć. Chciał to zrobić. To nie jest teraz żadna wielka sprawa. Ci, co podkładają bomby w Iraku, cały czas popełniają samobójstwa. – Mówił to wszystko takim tonem, jakby podawał wiadomości, niczym jedna z tych gadających głów na zbyt wielkim, zbyt jaskrawym ekranie.

– Cicho, dziecko – upomniała go Marcy.

– Tak – zgodziła się Alexandra. – Czasami się zastanawiam, czy ludzi przypadkiem nie jest za dużo, nie wiem, ile miliardów, bo kiedy byłam mała, było ich tylko dwa. Tych ludzi jest tyle, że młodzi, bardziej wrażliwi i mniej egoistyczni niż ja, przyłączyli się do globalnego życzenia śmierci. Nie mówię tylko o szkolnych masakrach i tych islamskich męczennikach, ale także o ofiarach narkomanii i wypadków samochodowych, o których piszą codziennie w gazetach, o nastolatkach, którzy jadą z prędkością dziewięćdziesięciu mil na godzinę i wpadają na drzewa, a potem ich przyjaciele i sąsiedzi opowiadają w telewizji,

jakimi to oni byli pięknymi, radosnymi, znakomicie normalnymi dziewczętami i chłopcami.

– Mamo, zlituj się. Nie zachęcaj go. Nawet jeśli to tylko jeden z twoich żartów.

– A kto tu żartuje? Wybacz mi, moje dziecko. Wiem, jak się czujesz; ja też nie chciałabym patrzeć na śmierć swoich rodziców. Nawet nie musisz ich lubić. Ich śmierć sprawia, że twoje życie mniej znaczy. Już nie stoją na straży.

Mały Howard Junior, który śledził toczącą się nad nim rozmowę okrągłymi, niebieskimi oczami, wybuchnął nagle:

– Wszyscy cię lubimy, babciu.

– Dziękuję ci, Howardzie. A ja lubię ciebie.

– Są w mieście jeszcze inni lekarze, nie tylko doktor Pat, Alexandra – odezwał się ojcowskim tonem starszy Howard. – Pat ma wciąż wywieszoną tabliczkę, żeby łowić pacjentów dla swojego syna w Providence. Dopiero co dwa domy dalej od mojego biura przy Dock Street, na tyłach poczty otworzył gabinet bystry młody lekarz z Centrum Onkologicznego Sloan-Kettering w Nowym Jorku. Jest młody, zna się na wszystkich gadżetach stosowanych w nowoczesnej medycynie. Powiedział mi, że ma dosyć życia na granicy ubóstwa w Wielkim Jabłku, gdzie musiałby płacić trzy razy większe podatki i te niebotyczne czynsze. Pasuje mu życie w małym mieście: dużo zieleni i nikt nie zamyka drzwi na noc. Ma też przyjemną rodzinę. Dwie dziewczynki, śliczne jak malowanie. Chce, żeby chodziły do publicznych szkół aż do dziewiątej klasy, dopóki nie dadzą o sobie znać hormony. Powinnaś do niego iść. Mógłbym tam wpaść i umówić cię na wizytę jeszcze przed Dniem Pracy.

– Howie, wydaje mi się, że mama potrzebuje mniej Eastwick, a nie więcej – interweniowała Marcy. – Ona i jej przyjaciółki wierzyły, że powrót tutaj je odmłodzi, ale oczywiście tak się nie stało. Jestem niesprawiedliwa, mam? Rozczarowałaś się. Myślałaś, że wróci dawna magia, a tymczasem tak się nie stało. Za bardzo psychologizuję?

Ta różowa brodawka na jej nosie, pomyślała Alexandra. Dlaczego ona nie pójdzie gdzieś jej usunąć? Brodawki bywają kancerogenne. Miesiąc wcześniej zlekceważyłaby takie próby analizy w wydaniu swej córki, ale tego dnia czuła się wykończona, dlatego odparła uległym tonem:

– Nie, nie, wcale nie jesteś niesprawiedliwa. Ja tylko nie jestem pewna, czy to prawda. Nie wiem dokładnie, po co tu przyjechałyśmy. Może po to, by zmierzyć się z tym, co tutaj zrobiłyśmy. Żeby to naprostować albo zmniejszyć zło, zanim...

– Umrzecie! – zapiszczał mały Howard, pokazując szeroko rozstawione zęby w radosnym uśmiechu. Musiał być przyczyną niezłej uciechy swoich nauczycieli.

– Howard! – skarciła go Marcy. Mówiła na niego Howard, a jej mąż – Howie.

A jednak w wypowiedzeniu przez to dziecko tego, czego nie dawało się wypowiedzieć, Alexandra dostrzegła, że właśnie tutaj, przed sobą ma jedną z odpowiedzi na śmierć – jej geny żyją dalej. Szamotanina rodzinnego życia, z jego kompromisami i aktami wybaczenia, komedia z członkostwem w klubie, który musi cię przyjąć w momencie narodzin. Kiedy wszyscy poczępali w stronę stołu, wkraczając w ciepło posiłku przygotowanego przez Marcy – kochaną, kluchowatą, skromną Marcy – Alexandra wyobraziła sobie te poziomy i warstwy dziedziczenia i więzi pokrewieństwa, rozwidlających się niewidzialnie, przybierających postać kart rozdawanych nieobecny, zmarłym i tym, którzy dopiero mieli się urodzić. Każdy dostaje jakąś pulę kart. Usiedli: ojciec Howard i matka Marcy na przeciwległych krańcach stołu, a babka naprzeciwko chłopców niczym trzecie dziecko, które potencjalnie może zachować się niegrzecznie – jak to dziecko. Krzesło ustawione obok niej zostało, ale ktoś zdążył wynieść nakrycie przygotowane dla Sukie.

Stół, stary mahoniowy stół na dość ciężkich nogach, wydawał się odległy, a jednak jakby znajomy, i to bardzo. Czyżby pochodził ze spadku po domu w Denver i został u Marcy, kiedy jej matka wyjechała z Eastwick? Alexandra nie do końca umiała to orzec, bo pokrywał go haftowany obrus i podano na nim zdrowy, lekki obiad: kurczaka z makaronem typu kokardki w rzadkim sosie z kwaśnej śmietany, brokuły z rodzynkami, marchewkę pokrajaną w kostkę i sałatkę z pomidorów z ich własnego ogrodu. Pomyślała o swoich pozostałych dzieciach – o Lindzie, wiotkiej imitacji południowej piękności w Atlancie, Benie, przymułowanym republikanie w Montclair, i Ericu, swoim synusiu, a teraz siwiejącym hippisie, z trudem wiążącym koniec z końcem na mętłym skrzyżowaniu muzyki i elektroniki, kierującym sklepem o nazwie „Dobre Wibracje” w Seattle. Eric zapłacił za to, że był jej ulubieńcem, w ten sposób, że stał się zasadniczo taki jak ona, też kultywował swój mizerny talent w artystycznej enklawie ulokowanej w miejscu, gdzie rozrzedzona Ameryka stawała się ziemią niczyją. Spacyfikował swój mózg narkotykami, podczas gdy ona na próżno szukała samospełnienia w uprawianiu czarów. Natura, za jej plecami, wbrew niej, pozwoliła dojrzeć jej prawdziwemu samospełnieniu, jej dzieciom i dzieciom jej dzieci, tym, którzy pośród miliardów ludzi zamieszkujących tę planetę zawdzięczali jej swoje istnienie, tak jak ona zawdzięczała im uwiecznienie swoich genów. Rodziny są głupie, ale mniej głupie i egoistyczne niż jednostki. A jednak pośród swoich krewnych tęskniła za przyjaciółką, za osobą dorównującą jej w niegodziwości i niekonwencjonalności, która miała przecież siedzieć tu obok niej.

– Podoba ci się?

– Podoba – odparł głosem, który pod wpływem napięcia znowu stał się chłopiący.

– Czujesz, że robi ci to kobieta, a nie mężczyzna?

– Nie do końca. Może tak jakby.

– To nieprzyjemna różnica?

Milczał, a ona nie wiedziała, czy dlatego, że się zastanawia nad odpowiedzią, czy raczej odpłynął dokądś myślami. Miała nadzieję, że to nie jest to drugie, bo dobrze знаła ten problem: twoja uwaga gdzieś się błąka, wbrew zaangażowaniu partnera. To, o czym myślisz, staje się takie pasjonujące, że spycha ciało i jego odczucia na dalszy plan. Sama nie miała teraz takiego problemu; jej uwagę zaprzętał kłopot natury intelektualnej, czy może raczej psychologiczno-somatycznej, jawiący się przed nią tutaj, w mroku motelowego wnętrza mętnie rozświetlonego przez księżyc, który dopiero co osiągnął fazę nowiu, a teraz puchł znowu w stronę pełni. Już wcześniej zauważyli ten księżyc, na słonym powietrzu, zanim otworzyli drzwi do swojego pokoju w tym podniszczałym motelu za budynkiem zamkniętej na głucho pizzerii, zauważyli jego przekrzywioną, owalną twarz, smutną i nagą, wiszącą nad własnym rozmazanym odbiciem w nieruchomych wodach zatoki, za bladym półksiężycem plaży, kamienistej i wąskiej w tym miejscu, oddalonej o jakieś dwie mile od szerokiej części publicznej widocznej z okien dworu Lenoksów. Wcześniej, zanim ta schadzka przybrała dla niej tak interesujący obrót, uklękła na łóżku, odsunęła zasłonę zgrzebną jak jutowy worek i wyjrzała na zewnątrz. Na tle piętrzącej się łagodnie wody, lśniącej w promieniach księżyca, było widać cieniste sylwetki młodych ludzi. A po opuszczeniu zasłony było też słychać młode, beztrioskie głosy wznoszące się ponad rytmicznym poszeptywaniem załamujących się fal. Tkanina, z której uszyto zasłony, miała tak nierówny splot, że przepuszczała to radosne powietrze z zewnątrz przez otworki wielkości łepków szpilki, powietrze, od którego w przeciwnym razie byłoby odcięci tak szczelnie, jakby znajdowali się pod ziemią. Zaczęła od całowania, a nawet ssania jego pięknych, czysto ozdobnych męskich sutków, okolonych łaskotliwymi aureolami z włosów. On się śmiał, ale dla niej towarzyszące tym zabiegom odczucia wcale nie były zabawne.

– Nie – powiedział po namyśle. – Wcale nie tak źle. Nawet miło. Twoje perfumy przypominają mi zapach mojej matki. – Jej głowa ześlizgnęła się do podstawy jego torsu i w tym momencie poczuł w nozdrzach jakąś słodkawą woń. – Może zresztą pachniesz tylko szamponem. Ona nie używała perfum, w każdym razie nie w czasach, kiedy ją znałem. Uważała, że w perfumach nie ma niczego naturalnego i że niszczą środowisko.

– Nie myśl teraz o swojej matce. To cię rozprasza.

– A niby skąd ty to wiesz?

– Wiem, bo wiem.

– Chciałabyś, żebym już doszedł?

– Nie miałabym nic przeciwko. Ale na razie mi szkoda. Jeśli skończysz teraz, to czy będziesz w stanie powtórzyć to jeszcze?

– A jak szybko? Ile mamy czasu?

– Oboje będziemy musieli kiedyś wrócić.

– Czy ona...?

– Przejmuje się tym? Tak. Kocha mnie. Nie w ten sposób, ale kocha mnie. A ja ją.

– Czy wy kiedykolwiek...?

– Dotykałyśmy się? Tak. Wydaje mi się, że raz na jakiś czas chyba nas trochę ponosiło.

– Nie pamiętasz?

– Byłyśmy na haju. I kompletnie ululane od przebywania w łaźni. To tak wyglądało, jakbyśmy się z sobą wymieszały.

– Popełniłem błąd, trzeba było wyjść i przyłączyć się do was.

– Byłeś za młody. To by wszystko zmieniało.

Do obojga dotarło, że dryfują po jakichś ubocznych wątkach, więc przez jakąś minutę skupiali się na temacie.

– Czy mogłabyś...?

– Co?

– Zsunąć się trochę niżej?

– Boże! Będę się dławiła.

– Tylko do tego piega.

– Jakiego piega?

– Myślałem, że jesteś krótkowidzem. Tego piega. – Jego wycelowany palec przypominał pysk ryby, który trąca łodygę koralu.

– Skąd ty wziąłeś piega w takim miejscu?

– Od opalania się. Na Long Island.

– I ci faceci, z którymi tam byłeś, potrafili przelecieć tego piega, nie dławiąc się?

Milczał, obrażony tym jej wtargnięciem w jego prywatność. Obserwowała go przez chwilę, żeby sprawdzić, czy zwiędnie. Nie zwiądnął. Trzepnęła go językiem, rozkoszując się tym, że jest taka perwersyjna, że idzie w zawody z tymi wszystkimi facetami z plaż okupowanych przez młodych ludzi.

On tymczasem zdawał się czytać w jej myślach, w świetle księżycy przesączającym się do wnętrza ich pokoju.

– O swoich kochankach też tak mówisz? Że to banda „facetów”? A co do mnie, to wcale nie miałem licznych doświadczeń. Z jednej strony w grę wchodził taki czynnik jak zazdrość, z drugiej człowiek musiał uważać, odkąd zrobiło się głośno o AIDS. Powinnaś wiedzieć, że nie jestem pozytywny. Dbałem o to, do tego stopnia, że uchodziłem za tchórza. Ale ja po prostu brałem przykład z Darryla, który był nad wyraz ostrożny.

– Wiem, z nami też był. Nie lubił tracić kontroli.

– Ty za to lubisz.

– Ja się tego nie boję. Bo to jest tak jak ze snami. Możesz wyjść na drugą stronę, nadal pozostając sobą. Hej. Jesteś gotów. Pycha. Pozwól, że się napiję z twojej fontanny młodości.

– Skuliła się, złączając kolana i stopy, kucając w określonym celu na nieprzyjemnie wilgotnym łóżku.

– Nie – powiedział jeszcze raz, swoim głębszym, bardziej teatralnym głosem, dotykając czubka jej głowy, gdzie szeroki, siwy przedziałek biegł przez środek nastroszonej za pomocą pianki gęstwiny włosów ufarbowanych na ten sam bursztynowy odcień, który dawniej barwił je z natury, tyle że bardziej subtelnie. – Jeśli mi to zrobisz – wyjaśnił – nie jestem pewien, czy dam radę się odwzajemnić.

– Za bardzo ginekologiczne, co?

– To nie jest tak, jakbym nigdy wcześniej nie był z kobietą, ale..

– Wiem. My o tym myślimy podobnie. Obrzydliwość.

– Ale jaka tam obrzydliwość? Na razie to jest dziwne, bo jeszcze się nie przyzwyczailem.

– To znaczy, że chcesz się przyzwyczajać? Twierdzisz, że chcesz mnie rznąć?

Zawahał się. Oczekiwano od niego deklaracji.

– Chcę być z tobą. Odkąd ty postanowiłaś, że chcesz być ze mną, choć nie wiem dokładnie dlaczego.

– Dlaczego? Mam bzika na punkcie młodych mężczyzn.

– Nie jestem młody.

– W stosunku do mnie jesteś.

– Niby tak, ale...

– Podoba mi się twój tłusty brzuch. Jest jedwabisty i galaretowaty jak u małego szczeniaczka. Nie chcę, żebyś rznął Gretę Neff.

– Błagam. Nie zachowuj się tak groteskowo. To przecież straszna lesba.

– Co w tym takiego groteskowego? Wszystko jest groteską, jeśli spojrzysz na to w pewnym świetle. Mamy do załatwienia inne sprawy, musimy doprowadzić to do końca. Chcesz mnie przelecieć od tyłu? Będę robiła za chłopaka?

– To ci się raczej nie uda. I prawdę powiedziawszy, ja byłem na ogół łapaczem, a nie miotaczem, by użyć tu terminologii baseballowej.

– Ach tak. – Musiała się nad tym zastanowić. – Rozumiem. Nie mam odpowiedniego sprzętu do miotania. Jaka ja jestem biedna. Ale mogę sobie coś kupić. Jakies coś. Jakies dildo. Będiesz mi musiał pomagać, kiedy będę je sobie przypinała.

– Posłuchaj. A może tak poleżymy chwilę, obejmując się i rozmawiając? I pieszcząc się? Przecież kobiety lubią pieszczoty?

– Kobiety lubią wszystko oprócz tego, że się je ignoruje. – Uniosła twarz, żeby zajrzeć mu w oczy, ponad wypukłością jego brzucha i porastającym go futrem. – Jestem otwarta na wszystkie twoje zachcianki. Podoba mi się wizja siebie samej z penisem. Nareszcie. Ale też się zastanawiam, czy nie byłoby zdrowiej dla ciebie, dla naszego związku, gdybyś się jednak przyzwyczał do innej roli. Do roli miotacza.

– Chyba masz rację. – Zaszło mu w ustach od tych jawiących się nowych perspektyw, tu, w tym podziemiu.

– Nie mógłbyś sobie wyobrazić, że jestem chłopcem? Byłam taka przemyślna, że zabrałam wazelinę.

Od tego, że to zostało wypowiedziane z taką zimną krwią, poczuł w gardle jeszcze większą suchość.

– Musisz wiedzieć, że czasem boli, nawet jeśli się użyje wazeliny – ostrzegł.

– Ależ wiem. Robiłam to z niektórymi facetami. I dotąd nie miałam pojęcia, jaki jesteś duży.

– Przykro mi. Na to nie ma rady.

– Nie mów takich rzeczy, Chris. Teraz jesteś miotaczem. Masz mówić rzeczy typu: „No weź go, kotku, całego. Weź go, do samego końca, kurwo. Przerznę cię na wylot, ty suko”. Tak się mówi w kontekście waginy, ale ja na razie nie chcę ci się z nią narzucać.

– Mnie by na razie wystarczyły twoje usta. Masz ładne usta. I twoja ręka.

Zaśmiała się wrednie i trzepnęła ziarnistym językiem obrzmiałą żołądź, z oczyma wciąż zwróconymi w stronę jego twarzy. Widział półksiężyc jej białek w świetle przenikającym przez workowatą zasłonę.

– Chciałbyś, co? – droczyła się z nim.

– Opowiedz mi – poprosił, zaczynając udawać miotacza – o tych facetach, którym

pozwalalaś brać się od tyłu.

– Nie bądź zazdrosny – nadal się z nim droczyła. – Jeden z nich był moim pierwszym mężem. Monty. Montgomery Rougemont. Ukrywał się, teraz to widzę po tych wszystkich latach. Gardził kobietami. Jeśli się zachowywały arogancko, nazywał je babochłopami. Ale wychodzi na to, że on był babochłopem. Próbował mi wmówić, że to poręczna metoda antykoncepcji. Na mnie to zupełnie nie działało, ale piekło mnie potem, kiedy robiłam kupę.

– Z tym moim rozmiarem, to Darryl...

– Nie mieszajmy w to Darryla, kotku. Nie możemy miło spędzić czasu tylko we dwoje?

– Tak, ale on...

– Skupmy się na nas. Chcesz zobaczyć moją waginę? Widziałeś w życiu chociaż jedną?

– Oczywiście.

– Dlaczego oczywiście? Wielu mężczyzn nie widziało żadnej. Mówię o heterykach. Boją się. Że ona jest niby jak głowa Meduzy, która zamieni ich w kamień. Oho! Gubisz swoje skamienienie. Podejrzewam, że nie jesteś jeszcze gotów myśleć o waginach.

– A właśnie, że jestem. Będę gotów. Ale...

– Wiem, kochany. Wiem.

A potem nie mówiła już nic, bo usta miała zajęte czymś zupełnie innym. Po jakimś czasie zakrztusiła się i wypuściła go z ust, a potem wytarła nim swoje policzki i podbródek. Chciał krzyknąć, ale nie wiedział, jak właściwie ma się do niej zwracać. Dotąd zawsze ją znał jako „panią Rougemont”. Boże, była taka stara, a jednak znaleźli się oboje tutaj. Jej twarz lśniła w bocznym oświetleniu pokoju, tu na dalekim krańcu East Beach, w otoczeniu szumu morza. Oboje znowu usłyszeli rytmiczne, monotonne chlupotanie rozkołysanego morza. Ona ułożyła głowę na jego poduszce i wyraźnie chciała, żeby ją pocałował. Czemu nie? To, co miała na twarzy, wzięło się przecież z niego. Po wszystkim było mu smutno i wolałby być sam, ale nie miał jak się jej pozbyć.

– Mów na mnie Sukie – powiedziała, jakby czytała mu w myślach. – Zrobiłam ci przecież loda.

– Faktycznie zrobiłaś. Dzięki. Ale super. – Jego głos znowu zabrzmiał chłopięco. Pocałował jej lśniącą twarz; to świństwo już zasychało. Kilka kosmyków włosów było lepkich i zeszywniałych. – Sprawdziłem się jako mężczyzna?

– Jeszcze lepiej.

Wtuliła się głębiej w poduszkę, przyglądała mu się jednym okiem, mając gdzieś to, że

powinna obmyć twarz.

– Opowiedz mi o Nowym Jorku. Nigdy tam nie mieszkałam, będziesz mnie musiał tego nauczyć. Lennie uwielbiał przedmieścia, do miasta jeździliśmy coraz rzadziej. Na pewno znasz mnóstwo jakichś wyjątkowych, intymnych miejsc. Galerie sztuki, kabarety poza Broadwayem. Kluby w głębi West Side. Nadal uwielbiam tańczyć.

– Miejsca się zmieniają. To, co jest modne w jednym roku, w następnym wypada z łask.

– Jestem za stara, żeby ze mną tańczyć? Nie mam jeszcze nawet siedemdziesięciu lat. Boisz się, że narobię ci wstydu na oczach twoich przyjaciół gejów? Dlaczego? Oni powinni zrozumieć. Nikt nie jest wiecznie młody i każdy artysta potrzebuje sponsora. Moim zdaniem będziemy razem dobrze wyglądali. Wszyscy mówią, że nie wyglądam na swój wiek. A co do tego, co zaszło dzisiaj: nie spytam, czy mnie kochasz, ale spytam, czy nie zachwyliłam cię?

– Zachwyliłaś. Fantastycznie obciążasz.

– I czy nie będziesz zachwycony, jeśli zamieszkas ze mną w Nowym Jorku, w ładnym, dużym mieszkaniu, które pomożesz mi wybrać? W zupełnie innym mieszkaniu niż te zarobaczone piwnice, które dzieliłeś z jakimiś świrami.

– Pewnie – zgodził się. – Świetny pomysł.

– Następnym razem – powiedziała, z sennym przekonaniem – to ja dostanę orgazmu.

Przez te wszystkie lata, kiedy była jego kochanką, Alexandra ani razu nie widziała domu Joego od środka. Stał w tej części Eastwick, do której rzadko zaglądała w tamtych czasach, tak zwanej polskiej dzielnicy, mimo że zamieszkiwało ją więcej potomków portugalskich i włoskich emigrantów niż Polaków z pochodzenia – ciasno upakowane, wąskie domki, pobudowane w sporej odległości od wody, pięć czy sześć przecznic za Kazmierczak Square, który Jankesi i letnicy wciąż nazywali Landing Square, mimo że minęło już trzydzieści lat od tamtego zebrania rady miejskiej, kiedy to sporą przewagą głosów zdecydowano, że nazwa placu zostanie przemianowana dla uczczenia chłopca z tej właśnie dzielnicy, który zginął na wojnie w Wietnamie. Wielki, zbudowany z czerwonej cegły kościół katolicki, z fasadą, która byłaby zupełnie pusta, gdyby nie podwójne odrzwia i kilka wysokich pilastrów, górował zzieleniałą miedzią nad rzędami dachów krytych papą. Dom Joego zaliczał się do tych okazalszych, też był wąski, ale za to ciągnął się w głąb akrowej parceli, gdzie Joe włoskim zwyczajem urządził ogród warzywny, z łukiem z polnych kamieni, za którym posadził kilka drzewek owocowych, jabłoni, grusz, brzoskwiń i śliw – nazywał je swoim sadem. Alexandra pamiętała jeszcze, jak to było, kiedy będąc niekochaną przez nikogo rozwódką, przejeżdżała

obok, ukradkiem zerknęła w tamtą stronę i tak strasznie łaknęła takiego samego oddania, jakie odzwierciedlał wielki ogród Joego, zwłaszcza w kwietniu, kiedy jego drzewa zaczynały kwitnąć. Wszędzie widziała jego rękę. Na bocznej, wschodniej ścianie domu pieniała się winorośl; swoją porcję słońca dostawała o poranku, a z kolei popołudniami i wczesnymi wieczorami osłaniała chłodnym cieniem ogrodowy stolik i krzeselka. Joe wniósł swój śródziemnomorski temperament do surowych, amerykańskich warunków. Gdy tylko Alexandra zaczęła pozwalać Joemu, by ją posuwał, rośliny w jej ogrodzie, zwłaszcza pomidory i rabarbar, nabrały wigoru; miał rękę do roślin czy coś podobnego.

Kiedy parkowała samochód przy krawężniku, przy którym stało wiele starych modeli z fabryki w Detroit, a potem odważnie wspinała się po betonowych schodkach, które wylała ręka Joego i po których tak często chodziły jego stopy, czuła, że jej serce dudni i trzepocze się w piersi niczym ćma w gorącym świetle. Schudła tak, że Marcy się przestraszyła, ale doktor Pat, już prawie zupełnie łysy i prawie ślepy na jedno oko, zapewnił, że nic jej nie dolega, że to natura tak chce i tego nie ma jak uniknąć. Na tym polegała korzyść z bycia leczoną przez sędziwego lekarza – nie doszukałby się niczego, co wymagałoby jakichś działań z jego strony. Wstrząsy elektryczne jakby trochę, tajemniczo, ustąpiły od pewnego czasu, ale za to pogorszyło jej się z tymi zanikami pamięci – miała wrażenie, że od rana do nocy chodzi jak we śnie, i często przeżywała zdumienie, kiedy się wreszcie zorientowała, gdzie jest. Nocami, kiedy mościła się do prawdziwego snu, czuła ból w palcach i skurcze w stopach, a całe jej ciało obmywała kwaśna fala wstrętu, jakby wszystko, co zjadła danego dnia, pytało teraz *Tylko po co?* Budziła się załęczniona około czwartej nad ranem i potem już snuła się przez cały dzień. Miała na przemian to zatwardzenie, to rozwolnienie i czuła bóle nad karkiem, jakby miękła jej czaszka. Odnosiła też wrażenie, że jej stopy zamieniły się w dwie bryły, nawet gdy nie miała na nich butów, dlatego jej kontaktom z ziemią brakowało precyzji i bywało, że zataczała się jak pijana. Mroczki w oczach utrudniały widzenie, a szумы w uszach nie pozwalały dobrze słyszeć. Kiedy leżała w łóżku albo siedziała nieruchomo w fotelu, czuła odrazę do monotonii czynności wymuszanych przez codzienne życie – do wstawania, siusiania, jedzenia, odpowiadania na telefony – po przeszło siedmiu dziesięcioleciach, podczas których te obowiązki nie wydawały się aż takie ciężkie, bo łagodziły je niejasne nadzieje na jakieś cudowne zdarzenia. Teraz te nadzieje stały się czymś dokuczliwym, a zobojętnienie wypełniło ją dziwną, jakby przenicowaną odwagą, w przeciwnym razie w życiu nie ośmieliłaby się nadusić na dzwonek przy drzwiach Giny Marino.

Wdowa po Joem otworzyła frontowe drzwi i wyjrzała czujnie przez drzwi siatkowe; Alexandra widziała tylko jej kanciasty cień, wyraźnie ponury i wrogi.

– Czego chcesz?

– Właściwie, Gina, to przyszedłam do Veroniki. Czy ona jest w domu?

– Jak zawsze. Mówię jej, wyjdź z domu, ale ona zostaje w środku. Trzydzieści dziewięć lat, a chowa się jak dziecko. Mike ma tego dosyć, wiecznie przesiaduje w „Beczce”.

– A ja myślałam, że „Miedziana Beczka” to teraz inny lokal, mówią na niego przecież bar sportowy.

– Nieważne, jak na to mówią, idea ta sama: tak się schlać, żeby zapomnieć. – Cień jej głowy przekrzywił się za metalową siatką, podczas gdy dłoń podniosła się do klamki. – Masz sprawę do Veroniki?

– Muszę ją o coś spytać. To zabierze niecałą minutę, ale nie chciałam o to pytać przez telefon, to zbyt osobiste. Jeśli nie chcesz mnie wpuszczać do domu, Gina, to może Veronica przyjechałaby do mnie, do dworu Lenoksów, na samym końcu drogi biegnącej wzdłuż plaży. Będę tam jeszcze cały tydzień.

– A jak ona tam dotrze? Mike trzyma samochód przez cały dzień. Wejdz, niech już będzie. Żadna z nas nie robi się młodsza. – Chwilę majstrowała przy ryglu, a potem przy klamce i wreszcie rozległo się skrzywienie dawno nieoliwionych, siatkowych drzwi. – Ronnie! – zawołała Gina, prawie nie podnosząc głosu, jakby ten dom więził ją i jej córkę od tak dawna, że sygnały, które sobie dawały, potrafiły przenikać przez drewno.

Veronica rzeczywiście odpowiedziała, ponurym, a zarazem bojaźliwym głosem, gdzieś z góry.

– Co jest, mamó?

– Ktoś do ciebie. – Gina omiotła oczami Alexandrę i skinęła głową. – Idź na górę – rozkazała.

Alexandra z trudem, bo na swych nic nieczujących stopach, wspięła się po stromych, wyłożonych wykładziną schodach. Penetrowanie tych wnętrz i ich sekretów okazało się zaskakująco łatwe, niczym nieplanowany akt uwiedzenia kogoś. Ten dom czymś pachniał, czymś, co nie do końca potrafiła umiejscowić, jakby zastarzałym, ale też ciepłym – smrodkiem, który zalega pod poduszkami na kanapie, razem ze spinkami do włosów i zabłąkanymi monetami, specyficzną stęchlizną osłodzoną powiewami życia: woniami płynów do czyszczenia i chleba czosnkowego piekącego się w piekarniku. Joe wniósł z sobą ten zapach do jej domu, zapach, który budził zaufanie, najsilniejszy w zimowe dni – kiedy wszystkie dzieci były w szkole, sikorki trzepotały się przy karmniku, Orchard Road cała się iskrzyła od śniegu, który napadał poprzedniego dnia, sople zwisające z krokwi zaczynały kapać, a ją mrowiła skóra zaróżowiona od kąpieli, którą wzięła w oczekiwaniu na jego

wizytę. Joe parkował wóz za jej domem, wchodził do środka przez ganek na tyłach i niedbale strząsał z siebie obszerną parkę, w kilku miejscach z zaskorupiałymi plamami brudu, na jej dywanik ze splecionych szmatek, a na to rzucał swój zgrabny kapelusik z wąskim rondem; w powietrzu roznosił się wtedy słodko-kwaśny męski zapach, bijący od jego swetra z grubej, zielonej wełny, od karczka koszuli z kołnierzykiem i staromodnego podkoszulka bez rękawków, spod którego wystawały jego włochate pachy, kiedy rzucała mu się w objęcia, całkiem naga pod niebieskim szlafrokiem.

Schody zaprowadziły ją na podest, a stamtąd do wytapetowanego korytarza, który w jedną stronę prowadził do frontu domu, gdzie, jak się domyślała, w dawnych czasach Joe spał z Giną, i na tyły, gdzie Veronica mieszkała bezdzietnie z Mikiem O'Brienem.

– Pani Spofford! – powitała ją Veronica, która właśnie pokazała się na korytarzu.

– Farlander²¹ – poprawiła ją Alexandra, uśmiechając się na myśl, że tu w Eastwick to nazwisko brzmiało wyjątkowo trafnie. – Nazywałam się Spofford, kiedy ty byłaś małą dziewczynką, ale to było bardzo dawno temu. Gdzie możemy pogadać?

– Chyba tutaj – odparła młodsza kobieta, stając z boku, nie uśmiechając się, ale też bez jawnej wrogości.

Była wyższa i szczuplejsza od Giny, miała rzymski nos Joego i jego wątrobowe cienie pod oczyma, cechy, które niestety za bardzo się rozgościły na jej kobiecej twarzy. Podobnie jak Marcy sprawiała wrażenie, jakby wprowadzono ją w świat bez dokładnych instrukcji w dziedzinie kobiecego wdzięku. Veronica niezdarnie i sztywno wprowadziła Alexandrę do pokoju, który O'Brienom służył za salon. Za zamkniętymi drzwiami w głębi bez wątpienia znajdowała się jakaś sypialnia i łazienka. Na środku stała deska do prasowania, obok kosz z praniem świeżo wyjętym z suszarki. Ledwie wyczuwalna woń osmalenia towarzysząca temu procesowi wymagającemu wielkiej cierpliwości zdawała się pochodzić z głębin dzieciństwa Alexandry; z sercem topniejącym z miłości zwykła przyglądać się swojej matce, kiedy ta prasowała – sprawdzała rozgrzane żelazko oblizanym palcem i wciskała jego posykurający nosek w rogi męskiego kołnierzyka, przekazując swojej maleńkiej córeczce drogocenną cząstkę umiejętności, która tworzy ognisko domowe.

– Te schody – powiedziała Alexandra. – Słabo się czuję.

Nawet gdyby Veronica wskazała jej gestem jakieś krzesło, czego nie zrobiła, Alexandra stałaby dalej. Po raz pierwszy w życiu czuła, że narusza spokój w domu Joego. On zawsze przychodził do niej; ona przyjmowała go w swoim domu i ciele; reszta jego życia była

²¹ "Farlander" – mieszkaniec dalekich ziem.

jego sprawą.

– Niedługo już wyjeżdżam z Eastwick i chcę ci zadać jedno proste pytanie – oświadczyła. – Proste i osobiste.

Veronica gapiała się na nią poniekąd takim samym nieprzeniknionym spojrzeniem jak jej matka, mimo że miała jaśniejsze oczy.

– No to niech pani pyta – powiedziała.

– Czy zgubiłaś okres w tym miesiącu?

Słowa potrzebowały chwili, żeby zostać zrozumiane. Zmęczone oczy kobiety zrobiły się większe.

– Mój Boże – wybąkała. – Pani naprawdę jest czarownicą. A ja myślałam, że to tylko takie gadanie.

Alexandra zaczerwieniła się z satysfakcją, po raz pierwszy od wielu dni poczuła, że w jej żyłach krąży jakaś krew.

– Próbowałam nią być, przez jakiś czas – wyznała. – Przed swoim drugim małżeństwem. Czy mam przez to rozumieć, że twoja odpowiedź jest twierdząca?

– Tak. Nikomu jeszcze nie mówiłam, nawet Mike’owi. Nawet mamie. Tak się boję, że tylko to sobie wyobraziłam albo że po prostu ten jeden raz przekleństwo mnie nie dopadło. Boję się, że je stracę. Jestem za stara, żeby mieć dziecko.

– Brakuje ci jeszcze roku do czterdziestki – powiedziała jej Alexandra. – W dzisiejszych czasach to wcale nie jest starość. Czemu miałabyś je stracić? Pomyśl o tych wszystkich kobietach w historii świata, które nie były w stanie go stracić, mimo że rozpaczliwie się o to modliły. Natura nie życzy sobie, żebyśmy traciły dzieci. Chce, żebyśmy tu trwali. Palisz albo pijesz?

– Nie. Co najwyżej kieliszek wina od czasu do czasu, żeby dotrzymać Mike’owi towarzystwa.

– No to koniec z winem. Niech teraz Mike dotrzymuje ci towarzystwa. Zakładam, że dostatecznie często dotrzymuje ci towarzystwa, by to on mógł być ojcem.

Veronica zrozumiała dopiero po dłuższej chwili. A potem się zaczerwieniła.

– O tak. Nadal mnie pragnie, kiedy jest po paru głębszych. Jakim sposobem ono mogłoby pochodzić od kogoś innego?

– No cóż, istnieją różne sposoby, ale to nieważne. Widzę, że ciebie nie dotyczą. Co byście chcieli, chłopca czy dziewczynkę?

– Chyba chłopca, ale i tak bylibyśmy niesamowicie wdzięczni za obojętnie co.

– Ja miałam po dwójce z tego i tego – wyznała Alexandra, przemawiając z głębin

doświadczenia, na które rzadko się powoływała. – Z dziewczynkami jest łatwiej przez pierwsze piętnaście lat, ale potem z chłopcami. Dziewczynki robią się skryte, a chłopcy mniej zadufani w sobie. A oto, jak rozpoznasz płeć, kiedy już przejdiesz przez pierwszy trymestr: przywiąż swoją obrączkę ślubną do sznurka i każ mężowi, żeby zawiesił ją nad twoim brzuchem. Jeśli zakołysz się w kółko, to będzie dziewczynka, a jeśli zadynda tam i z powrotem, to będzie chłopiec.

Veronica roześmiała się, gwałtownym dźwiękiem, od którego tak odwykła, że znowu się zaczerwieniła. Zakryła usta dłonią, a potem oderwała tę dłoń, zaczerwienioną od domowych prac.

– Dlaczego pani to dla mnie robi? – spytała.

– To robi natura; nie ma dowodu, że ja tu coś zrobiłam. Nigdy go nie ma. Może wypowiedziałam życzenie. Albo trochę się pomodliłam. – Alexandra zawahała się, zanim wygłosiła kolejne wyznanie: – Twoja matka mnie o to poprosiła.

– Moja matka? Ale co ona mówiła? Kiedy?

– Nic nie mówiła. Dała do zrozumienia. Przed Stop & Shop na początku zeszłego miesiąca.

– Ale dlaczego?

– Dlaczego poprosiła czy dlaczego ja usłuchałam?

– Jedno i drugie.

Alexandra znowu się zawahała.

– Byłam jej to winna, jak to mówią. Ona wiedziała. Ja wiedziałam, że ona wie. Strasznie się cieszę, że ci się udało. Ale nie przyznawaj mi tu żadnych zasług. Oddaj zasługę Mike’owi. Oddaj zasługę Matce Boskiej, jeśli ona jest wciąż twoją boginią.

Usta Veroniki rozchyliły się, podobnie powieki, ale nie dopuściła czarownicy do tej cząstki siebie.

– Powinnam już iść – powiedziała Alexandra. – Twoja matka pewnie się zastanawia, co ja tu jeszcze robię.

Veronica miała niewyraźną minę, bo pewnie czuła, że powinna okazać uprzejmość, wdzięczność, ale też nie do przesady.

– Mówiła pani, że wyjeżdża z miasta?

Każdego dnia popołudniowe światło docierające z nad wód zatoki było krótsze o kilka minut. Na polach, na końcach swoich poskręcanych pnączy, dojrzewały dynie. Księżyc rzucał cienie.

– Przed Dniem Pracy. Na początku miałam tu dwie towarzyszki; jedna umarła, a ta

druga szuka mieszkania w Nowym Jorku.

– Czy dlatego jest pani smutna? Mówiła pani, że czuje się słabo.

– Jest smutno, ale z kolei takie jest życie, albo natura, albo wzrost, albo śmierć, albo coś. Ta słabość może być wyłącznie dziełem mojej wyobraźni. Inaczej niż twoje dziecko.

Veronica znowu zaczęła się śmiać, ale zaraz przywołała się do porządku; jej wargi zacisnęły się w uroczym uśmiechu, wstydliwym, ale dumnym i uroczo zadowolonym z siebie; taki sam uśmiech miał na twarzy Joe, kiedy już przeleciał Alexandrę, wdział swoje ciuchy i w końcu wymykał się ukradkiem z jej domu na jasną Orchard Road, mokrą od topniejącego, rozjechanego przez samochody śniegu. Veronica wciąż była skrępowana, bo czuła, że jej gość zasługuje na jeszcze chwilę rozmowy.

– I jak tu pani było? – spytała. – Z powrotem w Eastwick tego lata?

– Ten powrót okazał się... przydatny – stwierdziła Alexandra. – Potwierdził moje podejrzenia, że moje miejsce jest gdzie indziej. Nie znalazłam tu wszystkiego, co mi się zapisało w pamięci.

– Domyślam się, że ci z nas, którzy nigdy stąd nie wyjeżdżali, już to wiedzą. Ale czy to nie dotyczy wszystkich miejsc?

– Owszem. Już mamy w sobie coś takiego. W taki sposób patrzymy na różne rzeczy. Dlatego bywają miejsca, chwile w życiu, które wydają się magiczne. Głównie wtedy, gdy oglądamy się wstecz.

Veronica obróciła się w połowie, z powrotem w stronę swojego prasowania, w stronę swojego życia mniej teraz samotnego, bo przybył nowy członek rodziny, bezradny, uwielbiający ją przyjaciel, którego jej ciało dopiero tworzyło.

– Wiem, że powinnam już iść – powiedziała Alexandra, głosem dostatecznie stanowczym, by druga kobieta przestała się od niej odwracać. – Wiem, że koniecznie chcesz zbiec na dół i powiedzieć o wszystkim swojej matce. Ale właśnie coś mi wpadło do głowy. Wyszłaś za mąż w tym samym roku, w którym umarł twój ojciec, zgadza się?

– Zgadza. W dziewięćdziesiątym dziewiątym.

– Znałam go, chyba wiesz?

Kobieta zamrugnęła niewinnie.

– Chyba coś słyszałam.

Wredna stara czarownica nie potrafiła się powstrzymać, żeby nie wciągnąć w to Joego, żeby nie dać sobie tej satysfakcji, że go tu wyczarowuje, z tak wielkiej odległości, z tą jego nieistniejącą już siłą, siłą, która ją poruszyła, którą przyjęła z otwartymi ramionami, nie ceniąc jej jednak dostatecznie z łapczywego pośpiechu towarzyszącego tamtym dniom, i którą

wchłonęła w siebie, w swoją mroczną stronę, w żyzną, naturalną stronę, gdzie miała wsadzoną wkładkę unieważniającą nasienie Joego. Po prostu musiała teraz przywołać Joego na swój język, w zamian za przysługę, jaką wyświadczyła tej starzejącej się dziewczynie.

– Myślę – powiedziała Veronice – że gdyby Joe żył rok albo dwa lata dłużej, gdyby tu był, żeby móc udzielić błogosławieństwa tobie i Mike’owi, to wtedy natychmiast zaszłabyś w ciążę. Miał rękę do roślin.

Pocałowała przyszlą matkę w policzek i odwróciła się, by zejść na swych słabych nogach na dół, po tych stromych stopniach.

Georgiana du Pelletier rozłożyła szeroko swe blade i wdzięcznie krągłe ramiona, jakby chciała schwycić nimi w objęcia krystaliczne powietrze przepięknego poranka na Karaibach. Jej wargi o przepysznym kształcie, różowe, mimo iż nie tknęła ich żadna pomadka [spr. – anachr. na pocz. XIX w.?], rozciągnęły się delikatnie w kocim ziewnięciu, ukazując uwodzicielsko sklepiony język tego samego soczystego odcienia co usta, których kąciki uniosły się w uśmiechu, ów uśmiech zaś z pomocą rozkosznych wspomnień pogłębił dwa namiętne dołeczki i przywiódł lekki rumieniec na jej białe, acz muśnięte pocałunkami słońca [wyciąć?] policzki.

Jej oczy – błękitne jak niebo, na które pada cień barwy głębokiego, morskiego granatu z tego miejsca, gdzie otwiera się przepaść za koralową rafą – starały się skupiać na terażniejszości i towarzyszących jej rozlicznych obowiązkach. A jednak wyciągnięta dłoń Georgiany, obdarzona idealnie smukłymi palcami, weszła w mimowolny kontakt z muślinową moskitierą, przywodząc jej na myśl inną materię – bardziej oleistą, smagłą, podbitą potężnymi mięśniami – którą tej nocy pieściła na dalekim brzegu morza snów.

Sukie zastanawiała się, czy nie napisać: „Owładnięta ekstazą wbiła głęboko swe wypolerowane, kształtne paznokcie w rytmicznie podnoszące się i opadające barczyste plecy Herculesa”, po czym udzieliła sobie upomnienia, że przecież prawidłowy romans nigdy się nie rozwodzi nad szczegółami seksualnymi, a już na pewno nie osuwa się w pornografię, by nie stracić w ten sposób określonej populacji czytelniczej złożonej z niezadowolonych z życia marzycielek. Szczegóły potrafią odstraszyć czytelniczki. Kobiety znają fakty, ale nie lubią, jak się je ubiera w słowo pisane. Na gzymsie pod oknem mieszkania Sukie gruchały gołębie, strosząc pióra i kiwając małymi główkami z paciorkowatymi oczyma. Łączyły się w pary z

towarzyszeniem gniewnego trzepotania piór i sztywnego rozkładania skrzydeł, co było przerażające, gdy się to obserwoowało z bliska, z poziomu dwudziestego piętra. Od strony alei biegnącej daleko w dół, prawdziwej rzeki migoczącej odbitym słońcem i mglistymi wyziewami samochodowymi, dochodziło ją skrzeczenie i pohukiwania sfrustrowanych pojazdów. Był już wrzesień, a jednak letnia ospałość i duchota wciąż jeszcze panowały nad tym wielkim miastem.

Przez żaluzje w sypialni przesączały się śpiewy tropikalnych ptaków – pełne powagi trele zaaferowanych czymś małych żółtych ptaszków [spr. prawidłową nazwę] i ochryple wrzaski papug o wielkich dziobach. Niewolnicy, na nogach od samego świtu, rozsiani po białych hektarach barbadoskiej bawełny, wyśpiewywali lamętliwie rytmiczne ludowe pieśni. Gdzieś z bliska docierały pomruki niewolnic skierowanych do domowych posług, które wymieniały się plotkami w trakcie wieszania prania na dziedzińcu – plotki te najpewniej dotyczyły spraw sercowych ich urodziwej pani. Nieżyjący już małżonek Georgiany, porywczy i bezlitosny plantator Pierre du Pelletier, pouczał młodziutką połowicę, jakby przewidywał swą rychłą śmierć w katastrofie statku płynącego na Jamajkę, że gdyby jakimś nieszczęśliwym zrządzeniem losu została wdową, to będzie musiała kierować plantacją żelazną, niecofającą się przed niczym ręką. Mimo że szczupła z ciała i delikatna z kości, kierowała stadem swych dwustu czarnoskórych niewolników z chłodną skutecznością, która zdumiewała jej białego rządcę, Irlandczyka Jeromea „Blaggarta” Maloneya – obdarzonego kaskadami niechlujnych, kruczoczarnych loków, szyderczymi purpurowymi wargami i zielonymi oczyma, które śledziły jej postać sekretnym, pożądliwym spojrzeniem, niekiedy wywołującym dreszcze w prostym, acz giętkim stosie pacierzowym Georgiany [za długie?]. Pod jej skrupulatnym, ale dobrotliwym zarządzaniem zyski się rozrastały. Zakazała używania bata, a masywne, żelazne kajdany, które odzierały udręczone kostki ze skóry, rdzewiały teraz w pustych celach i lochach. Pełni wdzięczności niewolnicy rozkwitali. Staną się bezczelni i skorzy do buntu, przestrzegał Blaggart Maloney, a ich powstanie skąpie ich wyspę taką samą powodzią krwi, jak to było na Santo Domingo. Drwiąc z niego, postukała wtedy złożonym wachlarzem w czubek jego poznaczonego ospą nosa. Aż do tamtego straszliwego dnia upominała go z żarem, że jej słowo jest święte. Nawet osły z rzewnymi oczyma okolonymi długimi rzęsami i importowane z Cejlonu [sprawdzić!] indyjskie krowy o

zadach barwy papieru zdawały się wiedzieć, że zarządza nimi kobieta, i radować się tym faktem.

Podwójne drzwi z bielonego drewna tekowego, które wiodły do wnętrza jej *chambre a coucher* z kasetonowym sklepieniem, otworzyły się delikatnie i do środka wszedł Hercules, młody pomocnik majordomusa, odziany w niedorzeczny, a jednak czarujący, zielony jak paproć uniform członka służby – dopasowane bryczesy sięgające kolan, kurta z wysokim kołnierzem, białą lamówką [oblamowaniem?] i rozdwojoną połą, złota kamizelka zapinana na guziki z białym, batystowym żabotem, przy czym ta elegancka całość, inna niż w Europie, gdzie sługa nosiłby wąskie czarne spodnie, pantofle i haftowane, jedwabne pończochy, ujawniała nagie, mahoniowe łydki i szerokie, bosc stopy, które mogły tym ciszej (żartobliwie pomyślała Georgiana) stąpać po subtelnie trzeszczących podłogach wyłożonych drogocennym czerwonym drewnem ze spowitych we mgły lasów północnej Brazylii. Niemal bezgłośnie, gdyby nie to poszeptywanie stóp, którego nie usłyszałyby, gdyby nie wstrzymała oddechu, Hercules podszedł do jej łóża i ułożył na jej okrytym cienkim pledem łonie, przepelnionym uczuciem mrowienia wywołanym sekretną potrzebą oddania moczu [wyciąć?], obfitą tacę, na której jak na bujnej holenderskiej martwej naturze ułożono wielobarwne śniadanie składające się z

Mimo że formuła romansu nie dopuszczała szczegółów seksualnych, to jednak zezwalała na drobiazgowy opis jedzenia, a nawet zachęcała do nich. Niestety Sukie nigdy nie lubiła gotować. Był to fakt poniekąd godny ubolewania, bo zarówno Monty, jak i Lennie uważali się za światowców, którzy wiedzą, co to znaczy żyć dobrze, i doceniliby żonę potrafiącą wykwintnie gotować, bo to ujęłoby im wydatków w restauracjach, do których trzeba się ubierać z pompą, w marynarkę i krawat, i gdzie ma się do czynienia z pretensjonalnymi i mało pomocnymi kelnerami łasymi na hojne a niezasłużone napiwki. Dla czytelniczek romansów opisy jedzenia zastępowały obrazowy seks i tu Sukie musiała mocno naginać wyobraźnię. Czubek jej języka wystawał pomiędzy jej uroczych warg, jakby chciał przywołać smakowe inspiracje za pomocą tej krótkiej, różowej antenki.

soku z guavy w kieliszku od szampana, cieniuteńkich plasterków piersi kolibra ułożonych na placuszkach z kukurydzianego puree oraz filetów ze świeżo złowionej ryby motylej, upieczonych razem z jej prążkowaną skórką. I do tego paski pociętego

wzdłuż banana zalane miodem barwy pokostu do skrzypiec, które dawało się jeść w jeden tylko sposób, a mianowicie wsuwało się je do ust, a potem oblizywało do czysta wszystkie palce po kolei. Dwa miniaturowe croissanty, zwane przez niewolników *les cornes du diable*, kusiły, by je rozerwać na pół i posmarować gęstą konfiturą z mango, której pomarańczowa barwa przywodziła na myśl niebo grożące huraganem. Dłoń Herculesa dzierżyła w mocarnym uścisku dzban z kutego srebra odziedziczony po najstarszych członkach rodu du Pelletierów, a więc pamiętający jeszcze czasy Króla Słońce; z tego znamienitego naczynia, którego krągłe powierzchnie i uchwyt zdobiły wygrawerowane motywy roślinne, połała się do podstawionej wyczekująco cienkiej jak skorupka jaja filiżanki z sewrskiej porcelany, smolista kawa wzbogacona okruchami nierafinowanego cukru trzcinowego. Dopiero teraz, gdy upiła trzy parzące usta łyki, oczy Georgiany odważyły się ogarnąć spojrzeniem wdzięczny majestat postaci jej czarnoskórego sługi.

Trzymał ją w ramionach ubiegłej nocy. Zgłębił ją aż do samej duszy. A jednak była w nim jakaś obcość, kiedy opuszczał wieko dzbana, by nie uronić ani kropli podczas ponownego napełniania jej filiżanki. Nic w jego twarzy, ani jeden drgający nerw, nie potwierdzało, iż pamięta ich nocne uniesienia, jej całkowite oddanie. Czy potrafiłaby powiedzieć, o czym on myśli? Wywodził się z innej rasy, z innego kontynentu – równie dobrze mógł być przybyszem z obcej planety. Ich ciała rozmawiały z sobą językiem miłości ponad dzielącą je wielką zatoką tabu. Nawet w tamtej chwili, kiedy jej uda zacisnęły się pod wpływem konwulsyjnej ekspulsji jego nasienia [wyciąć?], wezbrała w niej myśl: *On chce mnie zabić*. Potrafiła go sobie wyobrazić, jak bez chwili wahania uśmierca ją o świetlistym poranku markującym wybuch rebelii niewolników, mimo że przecież ubiegłej nocy skorzystał z jej czułości i obsypał pocałunkami jej słodką, alabastrową skórę. Czyżby w jego oczach ta jej skóra lśniła ohydną bladością choroby, którą należałoby zetrzeć z powierzchni ziemi? Czyżby ta obojętność, z jaką jej usługiwał teraz, skrywała morderczą ironię? Jego mroczna obecność w jej białej komnacie była czymś równie obcym jak metal wrażony w ciało.

Georgiana odegnała te niepokojące myśli. Poprawiła nogi pod obciążającą je tacą, wprawiając stłoczone na niej porcelanę i srebra w chichot. Kiedy Hercules pochylił się nisko, by zdjąć z niej to niewygodne brzemie, poczuła w nozdrzach jego męski aromat i odważyła się spytać głośno:

– Czy podobała ci się ubiegła noc, *mon bel esclave*?

Pytanie musiało pewnie spowodować, że cały zeszytniał, bo zawartość tacy zniecka zagrzechotała. Ptasie trele i niezrozumiałe plotki, które przesączały się przez żaluzje, ucichły, jakby pod wpływem zjawienia się drapieznika. Krągła, wygolona czaszka Herculesa i gładka kolumna arterii przeplecionych mocnymi mięśniami we wspierającym ją karku zawisły groźnie tuż nad jej twarzą.

– Ja nie znać, o czym panienka mówić – powiedział z oczyma przepelnionymi strachem. Jego tęczówki były równie czarne jak przyniesiona przez niego kawa; białka oczu znaczył krwisty nalot, typowa cecha jego tropikalnej rasy. Poczwała zniecka, że dzielącej ich przepaści nie da się pokonać. – Pan Blaggart patrzeć.

Sukie przestała pisać – nazywano to teraz, bębnieniem w klawiaturę – we mgle stężałego niedowierzania. Oczy ją piekły od uporczywego wpatrywania się w ekran bez mrugania. „Proszę starać się często mrugać”, powiedział jej okulista. Odgłosy dobiegające z Upper East Side, przeobrażone w dźwiękowe tło zdradzieckiej karaibskiej wyspy, ponownie stały się tym, czym były – akustycznym gruzem zalegającym brudną posadzkę rozpaczliwie zatłoczonej metropolii. Podświadomie, w trakcie tego pichcenia naładowanego erotycznie śniadania na wyspie, na której lada chwila miało dojść do buntu niewolników, usłyszała, że na jej piętrze zatrzymała się winda. Czekwała chwilę, aż usłyszy dźwięki klucza Christophera obracającego się w zamku, a potem jego skradające się, jakby węzowe kroki w głównym korytarzu.

– To ja! – zawołał, tak jak to robią mali chłopcy po powrocie ze szkoły albo placu zabaw.

Jego bezgłośne stopy, otulone miętko w najdroższy i najnowszy model butów marki New Balances, przeszły przez salon i zatrzymały się na progu maleńkiego pokoju, pierwotnie zamieszkiwanego przez pokojówki, gdzie zainstalowała swój sprzęt do pisania. Na Santa Magdalenie, wyspie zrodzonej z wyobraźni Sukie, dopiero wstawał dzień; tu, w prawdziwym życiu, było późne popołudnie, ta pora, kiedy ulice kapały się już w cieniach drapaczy chmur, a chodniki wypełniały się zniecka ludźmi podobnymi do termitów uciekających z płonącego budynku. W New Jersey pożar dobiegał już końca, nad zachodnim krańcem krzyżujących się ulic wisiało czerwone słońce. Na Manhattanie była to ta godzina, kiedy należało się zastanowić nad wyborem restauracji, w której da się coś zjeść, zamiast mierzyć się z kuchnią i pustą lodówką. A jednak stojący na progu Christopher promieniał niczym człowiek, który odmawia godzinki, wyraźnie przynosząc dla niej równie pomysne wieści jak tamte, które otrzymała Magdalena w swej przepelnionej niepokojem grocie albo Maria, na

drugim krańcu boskiego żywota, kiedy oddawała się dziewiczej samotności. *Nie bój się*, zdawał się mówić Christopher. *Wyluzuj*.

– Jak ci idzie? – spytał, opierając się o framugę drzwi.

Schudł trochę. Po powrocie do miasta, gdzie już nie rozpieszczała go niemiecka kuchnia Grety Neff, narzucił sobie reżim codziennych ćwiczeń, a w obronie przed obfitymi porcjami w restauracjach i niechęcią Sukie do bawienia się w kucharkę, przyjął na siebie obowiązki zakupowo-kuchenne i serwował wyszczuplające dania z ryb, brązowego ryżu i świeżych warzyw gotowanych *al dente*. Zajął się też innymi domowymi pracami typu obsługa pralki i ryczącego odkurzacza, w czasie gdy Sukie starała się skupiać na swoim pisaniu. W pewnym sensie dorobiła się żony.

– OK – odparła. – To chyba śmieciarstwo, ale kiedy się w to wciągam, sprawia inne wrażenie. Może nawet w to wierzę. Gdzie byłeś całe popołudnie?

– Och... no wiesz. Zajrzałem do Maksa, ma dla mnie kilka propozycji w sitcomach. Spędziłem godzinę w siłowni, poćwiczyłem z hantlami i stepperem. Potem przespacerowałem się nad rzeką, aż do Dziewięćdziesiątej Szóstej. Spotkałem kilku znajomych facetów, posiedzieliśmy na ławce, pogadaliśmy. Mówili, że w Queens będą budowali kolejne wieżowce, obok tego zielonego z napisem „Citi”. Stwierdziliśmy, że Queens podoba nam się taka, jaka jest, taka niska i obskurna, bo mogą w niej mieszkać prawdziwi robotnicy, a nie jacyś hochsztaplerzy i bogaci cudzoziemcy z Manhattanu.

Za dużo gadał, coś przed nią ukrywał. Normalnie odpowiadał „Och... nic szczególnego” albo, jeśli pytała, dokąd się wybiera, mówił tylko krótkie „Wychodzę”, czasem tylko dodając „Zaczerpnąć powietrza” względnie „Kisisz się tu cały dzień, nie wiem, jak ty to wytrzymujesz”.

Max był jego agentem i to od niego przychodziły wszelkie propozycje ról. Christopher osiągnął dość niewygodny wiek; nadal wyglądał dostatecznie młodo, by móc grać ojców albo rekiny biznesu, ale był o wiele za stary i tęgi, by wcielać się w postaci amantów, które dwadzieścia lat wcześniej zdarzało mu się dostawać. Po obejrzeniu kilku starych taśm z jego udziałem Sukie spytała, jak on trawił sceny z całowaniem. Odparł, że to na nim nie robiło wrażenia, a zresztą seks w ogóle często polega na udawaniu. I to jej dało do myślenia. Zawsze uważała siebie za entuzjastkę seksu, która potrafi stracić głowę dla pięknego kutasa i która niejednokrotnie przechodziła samą siebie podczas tych wszystkich aktów seksualnych rozgrywających się początkowo w zakurzonych, pluszowych wnętrzach przedwojennych, rodzinnych sedanów, które jej partnerzy pożyczali na wieczorną randkę, potem na kanapach, dywanach i łóżkach potajemnie wykorzystywanych domów w tamtej mieścinie jak paznokiec

w północnej części stanu, a jeszcze później, kiedy przybyło jej lat, w legalnie wynajmowanych pokojach hotelowych i domkach letniskowych. Choć oczywiście to nie zawsze okazywało się łatwe nawet dla takiej wyzwolonej i superzdrowej kobiety jak ona. Seks był sztuką i potrafił przypominać najwcześniejsze malarstwo jaskiniowe, przedstawiające bizona, futrzaste łosie i antylopy o pajęczych kończynach, namalowane ochrą na tryskających wilgocią skalnych ścianach – wyobrażenia tych zwierząt były często pokryte zadrapaniami wykonanymi prawdziwymi krzemiennymi grotami; markowane w ten sposób rany miały być magicznie przeniesione do prawdziwych polowań, przynoszących realne zdobycze. Do tych malowideł nie było wcale tak łatwo się dostać, jak to sugerowały albumy poświęcone sztuce prymitywnej: jaskiniowy malarz musiał się przeciskać przez całe ciągi ciasnych, krętych korytarzy, śliskich i dusznych, zanim wreszcie udało mu się zejść do jakiejś sekretnej komory, gdzie mógł tworzyć swoje potężne dzieła. Podobna droga wiodła do seksu i szczytowania; kiedy Sukie wspominała akrobacje i upokorzenia, na które się naraziła przez te wszystkie lata, zastanawiała się, kto tu stanowił widownię, jeśli to było odgrywanie roli... I docierało do niej, że to ona sama była sceną, artystą i widownią. Jej seks z Christopherem – przy czym to nie zawsze ona go inicjowała – był farsą, ale przez to, że świadomą, niekiedy pociągał za sobą konieczność przebierania się w transwestyckie kostiumy i używania komicznych, plastikowych gadżetów, wbrew być może ich prawdziwej naturze, a za to pozwalając im kraść siłę z perwersji, z poczucia naruszania cudzego terytorium i mechanicznej wytrwałości, która zastępowała uczuciowe wzloty młodości i iluzję, że coś się odkryło.

Mechanizm każdej maszyny wymaga dostrajania i bywa, że jest ono tak subtelne, że zasługuje na miano czulego. Generalnie ich wspólna egzystencja wymagała taktu – on musiał dbać o to, by ona nie czuła swoich lat, a ona musiała unikać komentarzy na temat jego ubóstwa, załosnej, finansowej zależności. Oboje byli mistrzami dwulicowości. Na tle wszystkich ludzi podróżujących po świecie oni dwoje podróżowali lekko. W odróżnieniu od innych heteroseksualnych mężczyzn, obciążonych takimi społecznymi imperatywami, jak napady złości wywoływane zazdrością i znęcanie się powodowane zaborczością, on nigdy nie wyrządziłby jej fizycznej krzywdy. Chodzili razem na koncerty i przedstawienia teatralne, do kin i muzeów, niemal infantylnie zafascynowani wszelkimi zjawiskami, które określa się wspólnym mianem Kultury. Oboje uwielbiali robić zakupy i z pewnej odległości śledzili najnowsze zmiany w modzie. On, jak się okazało, był zagorzałym kibicem Metsów, a ona, podczas swego pierwszego miesiąca w mieście, stwierdziła, że lubi spędzać słoneczne, wrześnie dni w tej wielkiej misie wypełnionej pokrzykującymi ludźmi i przyglądać się

jednocześnie pasażerskim samolotom, których błysk na niebie znaczył ich tor lotu w stronę lotniska LaGuardia. Uwielbiała wprost, po tylu latach życia na przedmieściach, jeżdżenie metrem gnającym bez przeszkód, oszczędnym, dopuszczającym przemieszanie ras; żałowała tylko, że zaczęła nim jeździć tak późno, bo wystarczał jej papierowy bilet zamiast ciężkiego metalowego żetonu.

Niemniej, mimo tych wszystkich beztroskich chwil spędzanych w swoim towarzystwie i niewymagającej wzajemnej tolerancji, ich małżeńska farsa miała dla Sukie pewien piekielny aspekt, niekojarzący się z ogniem piekielnym, tylko z lodem. Wieżowce były niczym innym jak stosami piętrowych zbudowanych z kostek lodu – ona i Christopher byli tylko jeszcze jednym zamrożonym elementem złożonym z hochsztaplerów i obcokrajowców. Byli parą zombi, wiało od nich zgniłym smrodem wiecznego potępienia. Sukie wybrała coś, co dalece odbiegało od ideału, czyli popełniła grzech wedle swej romantycznej wyobraźni. Na tej ich wyspie czekała na nich kara – rewolta i pożoga. Ale jeszcze nie teraz. Georgiana i Hercules pokonają wszystkie przeciwności. Będą trwali w swoich ramionach całą wieczność; taką właśnie powieść pisała Sukie.

Coś koło Halloween

Moja kochana, piękna staruszko!

Wiem, wiem, od dawna nie pisałam, ale kupiłam sobie nowy komputer, żeby móc oddać tę nową powieść, nad którą właśnie pracuję, na jednej płycie – ci pazerni na każdy grosz wydawcy domagają się teraz takich rzeczy. To laptop, który mogę zabierać z sobą za każdym razem, gdy razem podróżujemy dokądś z Christopherem, ale Microsoft wsadził mnóstwo sprytnych nowych diabelstw do oprogramowania, a zamiast myszy masz teraz taką wkurzającą namiastkę myszy, kwadracik z magicznego metalu na środku klawiatury, większy od pudełka zapalek, ale mniejszy od pudełka papierosów (nadal tęsknię za papierosami, zwłaszcza na imprezach albo podczas pisania, mimo że minęło tyle lat, odkąd zdiagnozowali u mnie rozedmę i zakomunikowali mi to dostatecznie groźnymi słowami, bym uznała, że albo rzucę, albo umrę), i wystarczy tylko lekko musnąć to coś palcem, żeby ta strzałka na ekranie natychmiast ześlizgnęła się na tę czy inną ikonę, która akurat zmienia czcionkę albo dzieli tekst na trzy kolumny, albo zmienia kolor tła na jakiś obrzydliwy, a ty nie masz pojęcia, jak to odwrócić. Z ręką na sercu, bywają takie dni, kiedy mam ochotę się

poryczeć i roztrzaskać tę cholerną maszynę w drobny mak, jestem za stara na tę całą technologię, którą musisz znać, żeby cośkolwiek zrobić w dzisiejszych czasach, choćby tylko prowadzić samochód. Wytargowałam od bmw mniejszą i bardziej ekologiczną hybrydową toyotę, dzięki której mogę poruszać się po mieście bez strachu, że mi ją ukradną – kto by kradł hybrydę? – ale jej deska rozdzielcza wygląda jak z jakiegoś bombowca niewykrywalnego dla radarów, bo ma pełno tych cudackich międzynarodowych obrazków i słów-szyfrów. Kompletnie nie rozumiem, czego to auto ode mnie chce. Nawet nie potrafię zmienić stacji radiowej na FM, bo zaraz łapię jakiś pyskawy program sportowy, faceci dzwonią i drą się na prowadzącego, który im odpowiada tym samym, i to wszystko jest nadawane na AM, pełnym zakłóceń, bo to miasto jest pełne różnych drutów. Elektryczność – na co komu ona? Chris twierdzi, że elektryczność to zła nazwa, że mówiąc precyzyjnie, nic takiego nie istnieje, że istnieją elektrony, a elektryczność to tylko taki ogólny termin dla leniwych. To, co istnieje, to są cząstki i jedne mają ładunek, a inne nie. Poza tym Nowy Jork znacznie bardziej rozprasza uwagę niż Stamford, przypuszczam, że właśnie dlatego młodzi ludzie walą tu drzwiami i oknami, mimo że praktycznie muszą mieszkać w kartonach pod mostami, a poza tym Chris stale mnie ciągnie na różne bezsensowne imprezy kulturalne, jak na przykład happeningi, podczas których jakieś kobiety tną się po rękach i dotykają własnych cipek. Monty i Lennie byli o tyle lepsi, że zostawiali mnie w spokoju co jakiś czas, dzięki czemu mogłam śnić o niebieskich migdałach, ale z kolei prawda też jest taka, że mieli stałe posady. Zabawne, że najdrobniejsze szczegóły dotyczące zmarłych małżonków potrafią być takie drogocenne, no powiedz sama. A ja w tamtych czasach uważałam, że ta ich praca to jedno wielkie wciskanie ciemnoty. Sprzedawanie ludziom rzeczy, których wcale nie potrzebują – oto całe osiągnięcie kapitalizmu. To i jeszcze zużywanie nieodnawialnych źródeł surowców naturalnych, podczas gdy taka Afryka umiera z głodu.

Ale teraz już drużyna Metsów przestała grać – Chris ma fioła na punkcie baseballu, kto by to pomyślał? – za to w Taos zapewne nastąpiła teraz cudowna jesień i znowu rozkwitłaś, bo naprawdę rzucało się w oczy, że musisz przybrać na wadze, moje słońce. W życiu nie widziałam, żebyś była równie wynędzniała jak wtedy, gdy likwidowałyśmy nasze mieszkanie w Eastwick. (Przepraszam, że obarczyłam cię tyloma drobiazgami na ostatnią chwilę; bank wykazał się niesłychanym chamstwem, że nie chciał nam zwrócić depozytu, dopóki nie odmalujemy sufitu, ja tam w ogóle nie zauważyłam żadnych plam od dymu, a zresztą ten sufit i tak był poźółkły.)

Miałaś problemy z ciałem, ale pociesz się, że wszyscy je mamy. Babski pęcherz moczowy potrafi kapryścić. Czasami nie uroni ani kropli, mimo że ci się strasznie chce, a innym razem popuszczasz w majtki, bo tylko zaśmiejesz się albo kichniesz. Mówią o tym wszystkim w telewizji, możesz tego słuchać, jeśli uważasz siebie za żalną starość. A co do *moi*, to moja skóra ma alergię na słońce, płuca są w środku zbyt gładkie, a dziąsła tak się cofnęły, że grozi mi parodontoza. Ty zwyczajnie wpadłaś w depresję, oto moja diagnoza. Może związaną ze śmiercią Jane – ona była pigułką, gorzką, ale leczyła nas – a może dlatego, że byłaś najstarsza z nas trzech i zawsze nami sterowałaś: starsza siostra, od której się wymaga mądrości – najstarsza i najbardziej magiczna, mimo że to Jane potrafiła latać, choć troszeczkę, jak jakaś latająca wiewiórka. Niemniej uważam, że to, co Bogini zrobiła wtedy Jane, sprawiło, że Ty (Ty, Lexa) zadałaś sobie pytanie, czy przypadkiem to wszystko to nie są jakieś bzdury. OK, może są. Ja teraz mieszkam w ogólnokrajowej centrali dystrybucji nonsensu i nie pozwalam, żeby to na mnie wpływało. Biorę życie takim, jakie jest, żyję z dnia na dzień. Wystarczy spojrzeć w górę, ponad tymi wszystkimi nowymi budowlami (i wszędzie są te pieprzone podwójne rzędy kontenerów na śmieci!) i jednak zobaczysz skrawek błękitnego nieba. Gdzieś w tym wszystkim musi kryć się powód do życia, bo tego jest tak dużo. Mam na myśli wszystko, co istnieje, warte miliardy lat świetlnych.

Wyciągnęłam z Chrisa tę zagadkę, w jaki sposób kopał nas prądem, mówię „nas”, choć mnie zachowywał chyba na sam koniec. To było oparte na eksperymentach Darryla i tym, co zostało z jego sprzętu. W teorii kwantów, która raczej nie jest teorią we właściwym sensie tego słowa, ale bezradnym opisem szaleństwa, którym rzeczy naprawdę są, zostało dowiedzione nieskończenie wiele razy, że jeśli dokonasz rozbicia na przykład fotonu, to jedna z powstałych cząstek będzie miała spin zgodny z ruchem wskazówek zegara, a druga przeciwny, i kiedy dokonasz pomiaru spinu jednej z tych cząstek, nawet jeśli znalazły się bardzo daleko od siebie, i okaże się, że jej spin jest zgodny z ruchem wskazówek, to spin tej drugiej będzie przeciwny, mimo że nie mogła istnieć żadna łączność między nimi. Nazywa się to kooperacją systemów odseparowanych. Na tym polega jedna z tych licznych, upiornych własności cząstek; są nie tylko cząstkami, ale jednocześnie falami, i pojedynczy foton przechodzący przez dwie szczeliny interferuje sam ze sobą, a elektrony i ich antymaterialne odpowiedniki, czyli pozytrony, bezustannie wyłaniają się z nicości w kosmosie, tyle że czas ich trwania wynosi z grubsza zaledwie jedną miliardową jednej bilionowej sekundy. Przysięgam, że tak jest. Tak właśnie zdaniem

naukowców zaczął się wszechświat – jakiejś odrobinie antymaterii nie udało się zanihilować materii. Albo jakaś cząstka wirtualna stała się niechcący niewirtualną. Cały pomysł Darryla, na który wpadł w czasie, kiedy wciąż jeszcze liczył, że zostanie wielkim wynalazcą i zarobi kupę pieniędzy, których potrzebował na podróżę i ekstrawagancki styl życia – miał nadzieję, że sprzeda ten pomysł armii amerykańskiej, mimo że dzięki niej dałoby się zabić tylko jedną osobę za jednym zamachem i na dodatek wymagałoby to czasu – polegał na połączeniu tej zasady kooperacji systemów odseparowanych z elektronami. Jeśli idzie o magię, to jedna z towarzyszących jej charakterystycznych cech jest taka, że ona działa wyłącznie na ludzi z twojego otoczenia, na ludzi, których znasz, na twoich ziomków. Żeby móc dokonać transferu elektronu na jakąś odległość, musisz się znajdować stosunkowo blisko swojej ofiary, co najmniej w tym samym miasteczku. Nawet błyskawica nie jest w stanie skoczyć dalej niż mila czy dwie. I musisz też zmodyfikować substancję elektryczną danej osoby. Zdarza ci się, że idziesz przez pokój i kiedy dotykasz klamki, strzela cię coś w rodzaju iskry; powód jest taki, że twoje buty za sprawą tarcia przejmują część elektronów z dywanu i protony w klamce przyciągają ich nadmiar. Tobie się wydaje, że wchodzi w ciebie ładunek podczas gdy w istocie on cię opuszcza. Tak samo było z halkami, które przylepiały ci się do tyłka, w czasach gdy jeszcze nosiło się halki – pamiętasz, jakie to było wkurzające, mimo że nie widziałeś iskiek, tak jak wtedy, gdy szcnotkujesz włosy w ciemnościach. To wszystko powodowały nadmiarowe elektrony dążące do tego czegoś, co nazywają równowagą elektrostatyczną.

Wracając do tematu – wiem, to jest męczące nawet dla mnie – to dowiedz się, że Darryl popełnił taką dziwną rzecz (czy wręcz ohydną, bo on naprawdę był ohydny, choć jednocześnie strasznie zabawny), a mianowicie zachował z dawnych łaźniowokortowych czasów w posiadłości Lenoksów różne elementy naszych ubrań, kradł je, kiedy byliśmy za bardzo nawalone, rozleniwione albo przygniecione poczuciem winy, żeby pamiętać o zabraniu z sobą wszystkiego, kiedy wreszcie wracałyśmy do domu, do naszych biednych i opuszczonych, świętych dzieci. To były szorty i koszulki tenisowe, koszyki, opaski do włosów, grzebienie, majtki i nawet biustonosze, porzucone, podejrzewam, w przebieralni albo na skraju basenu; on trzymał je wszystkie z podobnymi suwenirami od innych dusz, które usiłował wziąć w niewolę, a kiedy Christopher rozszyfrował, które rzeczy należały do kogo, i kiedy Greta NeFT – która okazała mu wielkie współczucie po tym, jak został sierotą (w odróżnieniu od nas, podejrzewam) – dała mu cynk, że po tak długim czasie wróciłyśmy do Eastwick,

zdobył tamto działko elektronowe, które Darryl trzymał w swoim laboratorium (można je teraz kupować na kopy, bo kosztują grosze; w każdym telewizorze jest takie działko – tworzy świetlny punkcik biegający po ekranie, rysowany przez wiązkę elektronów, która jest emitowana z lampy katodowej w drodze termoemisji i po drodze przechodzi przez otwór w anodzie – dopiero co to sprawdziłam, nigdy nie zaliczałam się do tych leniwych pisarek, które wynajmują sobie ludzi, żeby robili za nich kwerendy), i najpierw nastrzelał do gatek Jane, a potem również do Twoich maluszkich niewymownych (pot, którym nasiąkły, zdążył wyschnąć przez te trzydzieści lat), nastrzelał elektronów ile weszło i konsekwentnie, stosując jakąś wersję kooperacji systemów odseparowanych, ostrzelał również ją i Ciebie. Nadmiar elektronów gromadził się w Twoim ciele i nie tylko generował wstrząsy, ale także wywoływał chaos w Twoich wnętrznościach i ogólnym morale. Wyjątkowo diaboliczne. Chris naprawdę się zezłościł z powodu swojej siostry. Metoda nie była precyzyjna, ale z kolei świat kwantów też nie jest, same prawdopodobieństwa, nic tak naprawdę nie istnieje, każda rzecz jest zjawą, dopóki się jej nie zmierzy, ale z kolei przyrząd pomiarowy jest z jakiegoś powodu tak intruzyjny, że dokonanie następnego pomiaru staje się niemożliwe. No dobra. Nie przejmuj się tym, moja miłości z dawnych lat. Christopher przysięga, że działko elektronowe Darryla się popsuło – zaczęło świrować po tym, jak rozwalilo tętniaka Jane – on nie ma pojęcia, jak je naprawić, a nie stać go na naprawę u specjalisty. Pieniądze stanowią dość drażliwą sprawę w naszych relacjach, ale to odrębny temat.

To miasto, jak mówię, potrafi dać po kościach, ale kiedy tak wspominam Eastwick, to stwierdzam, że ono też miało swoje ujemne strony. (Tommy Gorton przysłał mi jakieś wycinki z tandetnej, wychodzącej na ksero gazetki, która ani trochę nie dorównuje „Słowu”, niemniej dowiedziałam się, że naprawdę sprzedali „Nemo”, ale Dunkin Donuts obiecało, że podczas remontu zachowa część jego zabytkowych elementów. Poza tym unitarianie przelożyli swój wiec przeciwko Irakowi na po Dniu Pracy, lecz zdaje się, cała sprawa to jedno wielkie fiasko, bo nie ma tej złości, którą wzbudził Wietnam, a poza tym ludzie bardziej się teraz przejmują ekonomią.) Ale wracając: któreś nocy, po przechadzce z Christopherem – wiem, opuściłam Cię podczas tych ostatnich dziesięciu dni czy jakoś tak, ale ja naprawdę walczyłam o Twoje życie, uwodziłam mężczyznę, który potencjalnie prawie wcale nie miał ochoty na normalny seks, i na dodatek bezlitosnego mordercę – on musiał wracać do Grety Neff, która ciężko się na niego boczyła po tym, jak do niej dotarło, że on widuje się ze

mną, i kiedy znalazłam się zupełnie samiuteńka na tym pustym terenie między Hemlock i Vane – próbowałam jakoś dojść do mojego bmw, zaparkowanego przy górnym odcinku Dock Street – wlałam w jakąś koszmarną plamę mroku, nie potrafię tego dobrze opisać, to było coś takiego, jakbym wchodziła w kałużę bez dna, blisko tej parceli na tyłach kościoła unionistów, który kiedyś należał do kongregacjonalistów, a jeszcze przedtem był miejscem spotkań purytan, którzy wygłaszali trzygodzinne kazania i człowieka nic nie chroniło przed zamarzeniem na śmierć prócz dogorywających węgli w ogrzewaczach na stopy. Nie paliły się tam żadne latarnie ani też światła w oknach, mimo że znajdowałam się blisko jakiegoś domu, należącego do kogoś, kogo nie znałam – ale sama pomyśl, jak wiele domów w Eastwick należy do ludzi, których naprawdę nie znamy, mimo że wydawało nam się, że znamy wszystkich – a ja znajdowałam się w tej starożytnej ciemności, w takiej kieszeni ciemności, pamiętacie po tych czasach, kiedy wszędzie rosły lasy i ludzie we wsiach kładli się do łóżek zaraz po zachodzie słońca, cali w strachu przed Indianami. Znienacka przestałam widzieć cokolwiek, tylko zarysy drzew i krzaków – wysokich, to pewnie były tuje – na tle lekko bledszego nieba, bez żadnych gwiazd i księżyca, i byłam totalnie zagubiona i ślepa, mimo że znajdowałam się zaledwie kilka przecznic od „Nad Zatoką” z jego światłami wylewającymi się na chodnik i blisko spóźnionych żaglówek, które dopiero wracały do portu, i tych młodych łobuzów, hałasujących przed „Ben & Jerry’s”, który jest tam, gdzie kiedyś był fryzjer. Słyszałam szum samochodów, a tymczasem byłam zupełnie sama jak na pustyni albo jak dziecko zamknięte w szafie; pamiętam, że moi barbarzyńscy rodzice odgrążali się, że zrobią mi coś takiego, ale chyba nigdy tego naprawdę nie zrobili. Poczulałam wtedy, jak bardzo lekko cywilizacja posadowiła się na tym kontynencie. Gdzieś tu jest ten mrok, który tylko czeka, żeby to wszystko zagarnąć po raz kolejny.

Chris chorobliwie lubił chodzić na groby Jenny i swoich rodziców, w nowej części cmentarza Cocumscussoc i w świetle dziennym było widać, jak te granitowe płyty nagrobne się postarzały, pociemniały od pleśni i porostów, przez co trudno było odczytać nazwiska i daty. Dużo też było świeżych grobów, z płytami o wciąż jeszcze ostrych krawędziach; ludzie, który znałam dawniej w Eastwick, gnili w nich, w swoich trumnach zakopanych w ziemi, a mimo to w mojej głowie byli wciąż żywi, niczym bohaterowie kolorowych kreskówek, na których widziałam takie szczegóły jak to, jak ktoś zezował albo się śmiał, albo mówił niektóre rzeczy, ich twarze wciąż żyły we mnie, jakby mój mózg też był cmentarzem, ale innego rodzaju, ruchomym

omentarzem, pełnym iskierkami lśniącymi jak robaczki świętojańskie albo te stokrotki od wolontariuszy, które widuje się na grobach. Przerazające odczucia i dziwne, bo nachodziły mnie przecież w samym środku dnia.

Ty i ja nie powinnyśmy się przerażać. Ocalałyśmy. Podobnie Chris. W czasie, kiedy to pisałam, to wychodził z mieszkania, to wracał. Sprawdziłam z jego pomocą kilka technicznych terminów, choć pewnie Ciebie nie zainteresują. Wśród tych wszystkich rzeczy, których mnie nauczył, jest ta zdumiewająca przyczyna, dlaczego widzimy cokolwiek, czyli to, że powłoka elektronów krążących wokół każdego jądra atomowego sprawia, że fotony odbijają się od niej i wskakują do naszych oczu. I że elektrony wiecznie szukają jakiejś luki, którą mogłyby wypełnić, dlatego z nimi naprawdę jest jak z miłością – nabijaliście się ze mnie, że to powiedziałam. Kazał, żebym Cię pozdrowiła w jego imieniu i że przeprasza, jeśli czułaś się źle przez dłuższy czas; mówi, że mu odbiło, i dlatego uważał, że za czarami kryje się jakaś prawda.

Mucho amor (Tutaj wszyscy mówią po hiszpańsku)

”Sukie” było nabazgrane na czerwono, tym rozдутym, nerwowym pismem ludzi dwudziestego pierwszego wieku, którzy odwykli od trzymania pióra w ręku. Pod spodem dopisała jeszcze numer telefonu ze strefy 212 i adres z East Side. Alexandra przeleciała wzrokiem strony gęsto wypełnione komputerową czcionką i położyła list na stoliku ze szklanym blatem, który odbijał poziomo framugi okalające jej widok na brunatny, porośnięty trawą krajobraz, na wyżynną, suchą prerię z tej samej nudnej, ale ukochanej palety barw Zachodu co elementy dekorujące jej przestrzenny salon – gliniane garnki Indian Nawaho, Zuni, Indian z Isleta Pueblo i lżejsze, mniej duchowo udekorowane naczynia wykonane przez Jima Farlandera, noszące ślady jego taktownych dłoni, które kiedyś pieściły wirującą glinę. Małe dywaniki Nawahów udawały młodszych braci większego kilimu, przybitego gwoździami do ściany z gołych cegieł, tej która nie była wystawiona na bezpośrednie działanie słońca. Krzesła obite skórą i głębokie kanapy nakryte narzutami powieleły kolor czy raczej jego brak umaszczenia sierści krów pasących się blisko jej domu.

Alexandra wróciła do nieobecności: nieobecności bujnego i zielonego listowia ze Wschodu i do nieobecności Jima, tak żywej każdego ranka jak pianie koguta. Z jakiegoś powodu wydawało jej się wcześniej, że ta jego nieobecność jakoś się sama naprawi – niczym rana, która zaleczyła się sama, albo roślina, która odżyła na nowo. A jednak nie, nadal trzymał się z daleka, z tą upartą, męską konsekwencją, którą tak kochała, i nadal obdarowywał ją ciszą, w której jej myśli mogły sobie krążyć tak, jak chciały.

Tyle było do roboty. Jego sklep mógł zamrzeć podczas upalnych miesięcy, ale teraz musiała go ponownie otworzyć i zaopatrzyć. Musiała też zasiąść znów za kołem, wyczarować własne, gorzej wykończone garnki Farlandera. I mogła też wrócić do pączuszków, swoich malutkich, feministycznych fetyszów, bez konieczności wyklócania się z mężem o przestrzeń w piecu do wypalania. Wiele spraw się nagromadziło podczas jej nieobecności, mimo że zapłaciła swojej kobiecie od sprzątanania, Marii Graywolf, żeby ta zaglądała do jej domu i przekierowywała rachunki i listy, które sprawiały wrażenie ważnych. Pośród prób skomunikowania się, które na Marii, obdarzonej dalekowzrocznym, indiańskim wyczuciem priorytetu, nie sprawiały wrażenia dostatecznie ważnych, by je przekierowywać, znajdowało się kilka powiadomień o zebraniach kolegium doradczego Domu Mabel Dodge Luhan, jakieś żądania spłaty podatków, bardzo już niestety przedawnione, list od Warda Linklatera skarżącego się na jej nieobecność i zapraszającego ją na kolację, gdy tylko wróci, i złowieszczo dodającego w postscriptum, że żadne z nich już nie będzie młodsze. Przyszedł też list od właściciela galerii z Santa Fe, których chciał z nią pogadać o retrospektywnej wystawie „neorodzimej” ceramiki Jima Farlandera – ten termin „neorodzimiy” nie przypadł jej do gustu, ale z drugiej strony uznała, że pewnie to jest podobnie jak z terminem „postmodernistyczny”. Odpowiedziała, że byłaby bardzo szczęśliwa, gdyby Jim został w ten sposób pośmiertnie uhonorowany.

Podobało jej się, że znowu dysponuje własnym autem, mimo że mocno wyeksploatowany ford pick-up domagał się wielu napraw. Dobrze było znaleźć się znowu w otoczeniu żółto-czerwonych tablic rejestracyjnych z napisem KRAINA OCZAROWANIA, zamiast tych chłodnych, niebiesko-białych z napisem STAN OCEANU, które widywała w Rhode Island. Przywrócony do życia telefon dzwonił z żądaniami i zaproszeniami od jej paczki z Taos, złożonej z wiecznie na coś utyskujących i niewylewających za kołnierzy artystów. Alexandra czuła się lepiej, była bardziej sobą. Ustąpił potencjalnie rakowaty niepokój w jej ciele i huśtawka lekkich mdłości. Brak apetytu zniknął, gdy tylko po raz pierwszy umoczyła suchą tortilę w ostrej salsie i zjadła pierwsze *quesadillas* z czarną fasolą i ryżem. Jej stopy nie były już takie odrętwiałe, choć wciąż jeszcze zdarzało jej się potknąć na nierównym terenie i miała trudności z podźwignięciem się z kanapy. Była w końcu starszą panią, nie dawało się uciec przed tym faktem. Śmierć czyhała za rogiem, razem z Wardem Linklaterem domagającym się wspólnej kolacji. Ale po powrocie na Zachód nie czuła się stara. Czuła się jak jeden z tych obrzmiałych, białych obłoków, które nie są w stanie przeobrazić się w deszcz, choćby nie wiadomo jak wysoko wspinały się nad górami. Jej stary, czarny labrador, Popiołek, przetrwał dwa miesiące w schronisku i teraz oboje wznawili swoje

spacery po brunatnej, wyżynnej ziemi: pies i kobieta identycznie powykręceni od artretyzmu i obolałych stóp.

Na jakież perfidne złudzenia, moglibyście powiedzieć, pozwalały sobie te przeklęte kobiety! Wybaczyły sobie niewybaczalne, zrzuciły z siebie brzemień winy tak naturalnie, jak naturalnie młodzi zrzucają odzienie. Jedna zajęła się kształtowaniem swymi zbrukanyymi dłońmi pulchnych, małych idoli z gliny, druga kształtowała kruchy romans z jednym ze świty samego diabła, trzecia poszła na niechybne zatracenie, rzucając na sam koniec wulgarnie słowo. Pan dokonuje swych obliczeń skrupulatnie, zna, co do grosza, wysokość długu, którego spłaty domaga się śmierć przyjsciem. Te końcowe rozliczenia nie podlegają rewizji – nie będzie żadnego ponownego zwoływania, wybielania, nic się nie stanie po raz drugi. W najlepszym razie niewybrani mogą liczyć na błogosławione zapomnienie, stanowiące kres pożądania, strachu i wzbudzanych przez nich tortur niepokoju. Podziękowaliśmy Niebiosom za to, że dopilnowały, by te bezbożne rozpustnice po raz drugi uciekły z naszej niezmiennej, nadmorskiej osady.

Zaabsorbowana codziennym szczęściem powrotu do prawdziwego życia Alexandra przez wiele miesięcy nie odpowiadała na list Suki. Okres Bożego Narodzenia był chłodny, choć słoneczny i przepełniony wizytami wnuków i jej dorosłych dzieci; całej czwórce – Marcy, Benowi, Lindzie i nawet Ericowi – udało się do niej przyjechać, w systemie zmianowym. Wszystko zorganizowała Marcy, korzystająca z e-maili i prerogatyw starszej siostry. Alexandra mocno się opierała temu konwencjonalnemu zainteresowaniu. Czyżby naprawdę była tak bliska śmierci, że wszyscy uparli się na ten spęd? Nie miała choinki, ale w zamian ustawiła na parapecie peruwiański żłóbek wypełniony glinianymi laleczkami, obok swojej kolekcji miniaturowych kaktusów, które tak fascynowały jej młodsze wnuczeta, że stale kłuły się w palce. Mały Beauregard, synek Lindy, upuścił i w rezultacie połamał Dzieciątka Jezus leżące w żłóbku z pomalowanej gliny. Maluch długo szlochał ze śmiertelnego przerażenia, czując, że dopuścił się bluźnierstwa, dopóki Alexandra, wykorzystując swój wprawny dotyk wyćwiczony przy rzeźbieniu pączuszków, nie skleiała mozolnie tych kilku fragmentów z powrotem w jedną całość.

– Zupełnie jak nowy – zapewniła dziecko, które patrzyło na to wielkimi oczyma.

Później, kiedy w jej otoczeniu rozgaszczał się już nowy rok, podstarzała matka rodu poczuła, że list od Suki nie daje jej spokoju. W tamtym liście było przecież tyle radości,

wyciągania ręki, jedna wdowa pisała do drugiej. Umiała sobie wyobrazić zadziorną, rozentuzjasmowaną twarz przyjaciółki, z tymi spłowiałymi piegami i wydatną górną wargą, która w rzadkich chwilach wyciszenia nadawała jej wyraz kruchości, pełnej wahania i zbolalej.

Pewnego ponurego, styczniowego dnia, po nocy, która przyprószyła śniegiem oleander oraz kolczastą gruszę rosnące pod jej panoramicznym oknem i zostawiła świeży, biały nalot na szczytach Sangre de Cristo Rangę daleko na wschodzie, impulsywnie wykręciła numer, który Sukie dopisała na czerwono. Daleki sygnał odzywał się tyle razy, że spodziewała się usłyszeć komunikat nagrany na sekretarce, a jednak zniemacka usłyszała głos należący do Sukie. „Halo?”, powiedział ten głos i Alexandra natychmiast się zorientowała, po jałowym, głuchym tonie, z jakim zostało wypowiedziane to słowo, że Christopher ją opuścił; roztopił się w swym półświatku, którego połowę odziedziczył po Darrylu Van Hornie.

– Lexa? – spytał ten głos, zniemacka czujny, przepełniony intuicją czarownicy.

– No dobra – odparła z zadowoleniem Alexandra. – To dokąd jedziemy w tym roku?